

Autorka bestsellerów „New York Timesa”

Paula McLain

GDY GWIAZDY CIEMNIEJĄ

„Przyspiesza bicie serca, tak jak tego pragną fani thrillerów.
To książka pełna ciemności, ale z iską nadziei”

The New York Times Book Review

„Magnetyzująca powieść, która gwarantuje nieprzespaną noc”

Kristin Hannah

Paula McLain
GDY
GWIAZDY
CIEMNIEJĄ

Przełożyła
Ewa Ratajczyk

MANDO 

Powieść *Gdy gwiazdy ciemnieją* jest fikcją literacką. Postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych lub nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *When the Stars Go Dark*

© Paula McLain, 2021

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2022

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Mimadeo/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ePub e-ISBN: 978-83-277-3258-3 | Mobi e-ISBN: 978-83-277-3259-0

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

*Dla Lori Keene, która towarzyszyła mi, odkąd zaczęłam śnić
ten sen.*

Oto świat.
Wydarzą się rzeczy piękne i straszne.
Nie bój się.

Frederick Buechner

(prolog)

Matka, która zdarła z siebie sukienkę, kiedy policja przyniosła jej do domu wiadomość, i pobiegła ulicą w samych butach, a sąsiedzi, nawet ci, którzy ją dobrze znali, chowali się za drzwiami i oknami, przerażeni jej żalem.

Matka, która ścisnęła torebkę córki w pędzącej karetce. Różowobiałą, w kształcie pudła, umazaną krwią.

Matka, która zaczęła gotować dla detektywów i księdza z parafii, próbujących jej wytłumaczyć, co się stało – spierzchniętymi dłońmi kroila góry cebuli i zmywała naczynia w gorącej wodzie. Nikt nie potrafił jej zmusić, żeby usiadła. Siadając, musiałaby się dowiedzieć. Pogodzić.

Matka, która po zidentyfikowaniu ciała swojego dziecka wyszła z kostnicy i przeszła przed wagonem podziemnej kolei pod napięciem. Wstrząs odrzucił ją pięć metrów do tyłu, czubki palców dymiły w miejscu, gdzie poraził je prąd, wargi miała czarne. Ale przeżyła.

Matka, która była kiedyś sławną aktorką, a teraz czekała na wieści, jak czekają lodowce w odległym krańcu globu, zamarznęte, milczące, pólżywe.

Matka, którą byłem ja tamtego lipcowego dnia, na kolanach, kiedy sanitariusz próbował dotrzeć do mnie słowami, zdaniem, moim imieniem. Nie chciałam wypuścić ciała mojego dziecka.

– Pani detektyw, pani Hart – powtarzał, jakby ta osoba jeszcze istniała, ale mój ogłuszony umysł runął w przepaść.

1 ZNAKI I OPARY

(jeden)

Noc wygląda, jakby była w strzępach, kiedy wyjeżdżam z miasta w dziurawej mgłę, pod kruchym wrześnieowym niebem. Portero Hill za mną jest pasem martwej plaży, a całe San Francisco – śnięte, bez życia. Ponad linią chmur wznosi się dziwna żółta kula. To księżyc, gigantyczny i przerośnięty, w kolorze lemoniady. Nie mogę przestać się przyglądać, jak wspina się wyżej i wyżej, jaskrawy niczym świeża rana. Niczym ból świecący nad drzwiami.

Nikt nie spieszy mi na ratunek. Nikt nie zdoła nikogo uratować, choć kiedyś wydawało mi się, że jest inaczej. Dużo mi się wydawało, lecz teraz rozumiem, że naprzód można ruszyć, jedynie zaczynając od zera, a nawet mniej niż zera. Mam siebie i nikogo więcej. Mam drogę i wijącą się mgłę. I ten udręczony księżyc.

Jadę, aż znikają znajome krajobrazy, i przestaję zerkać w lusterko, żeby się upewnić, czy nikt mnie nie śledzi. Travelodge w Santa Rosa jest ukryty za parkingiem supermarketu, całkiem pustego i nadmiernie oświetlonego, jak basen w nocy, z którego nikt nie korzysta. Dzwonię i z zaplecza radośnie wyłania się recepcjonistka z nocnej zmiany; wyciera dłonie w jaskrawą bawełnianą sukienkę.

– Dobry wieczór – mówi. Ten całkiem niewinny początek rozmowy jest z gruntu nieprawdziwy.

– Dobry wieczór.

Wyciąga formularz rejestracyjny i fioletowy długopis, a zwiotczała skóra pod jej ręką rozpościera się niczym skrzydło. Czuję, że patrzy na moją twarz, na moje włosy. Obserwuje moje dłonie, czytając do góry nogami.

– Anna Louise Hart. Piękne nazwisko.

– Słucham?

– Pani tak nie sądzi, złotko? – W jej głosie słyhać karaibski akcent, silny, z ciepłym zabarwieniem, więc dochodzę do wniosku,

że „złotkiem” nazywa każdego, nawet mnie.

Wysilam się, żeby się nie skrzywić pod wpływem jej uprzejmości, kiedy w zielonkawej poświacie fluorescencyjnej żarówki zapisuję numer rejestracyjny mojego samochodu. Żeby z nią rozmawiać, jakbyśmy były dwiema zwykłymi kobietami bez najmniejszych smutków.

W końcu wręcza mi klucz. Idę do swojego pokoju i z ulgą zatraskuję za sobą drzwi. Jest łóżko i lampa, i krzesło z tych, co to stoją w dziwnym miejscu i nikt nigdy na nich nie siada. Kiepskie światło spłaszca wszystko do ponurych prostokątów, nieładną wykładzinę, sztucznie wyglądającą narzutę na łóżku i niestarannie upięte zasłony.

Kładę torbę na środku łóżka, wyciągam mojego glocka 19 i wsuwam go pod sztywną poduszkę. Czuję się z nim bezpieczniej, jakby był moim starym przyjacielem. Bo chyba nim jest. Wyjmuję ubranie na zmianę i uruchamiam prysznic, starannie unikając lustra, kiedy się rozbieram; zerkam tylko na piersi, które zrobiły się twarde jak kamienie. Prawa jest gorąca w dotyku, a wokół sutka utworzył się pokryty pęcherzykami czerwony wzgórek. Pod prysznicem puszczam najgorętszą wodę i stoję, płonąc żywcem; nie czuję najmniejszej ulgi.

Wychodzę, ociekając wodą, wkładam ręcznik pod kran, a później mokry – do mikrofali, aż dymi. Przyciskam go do ciała i czuję wulkaniczny żar, który parzy mi dłonie, i zginam się wpool nad muszlą klozetową, ciągle naga. Obwisłe ciało na wysokości pasa wydaje się w dotyku tak gumowate i sflaczałe jak nienapompowana tratwa ratunkowa.

Z mokrymi włosami idę do całodobowej drogerii i kupuję bandaż elastyczny i laktator, woreczki strunowe i litrową butelkę meksykańskiego piwa. Laktatory są tylko manualne, z pompką, nieporęczne i czasochłonne. W pokoju ciężki, przestarzały telewizor rzuca krzywe cienie na nagą ścianę. Pompuję przy akompaniamencie hiszpańskiej opery mydlanej, próbując odwrócić uwagę od bólu przy zasysaniu. Aktorzy z przesadną gestykulacją i mimiką składają sobie wyznania, a ja zajmuję się jedną pierśią,

potem drugą, napełniając zbiorniczek dwukrotnie, później zaś przelewam mleko do woreczków, które podpisuję: 21.09.93.

Wiem, że całą ich zawartość powinnam spuścić w toalecie, ale nie potrafię się do tego zmusić. Trzymam worki przez długą minutę, skupiając się na ich znaczeniu, a później wsadzam do zamrażarki małej podręcznej lodówki i zamykam drzwiczki, i tylko przez chwilę myślę o pokojówce, która je znajdzie, albo kierowcy ciężarówki, który będzie szukał lodu i na widok worków poczuje obrzydzenie. Mleko opowiada całą gorzką historię, ale wątpię, żeby ktoś niewtajemniczony domyślił się właściwego scenariusza. Mnie samej trudno go zrozumieć, a jestem jego główną bohaterką; sama go piszę.

Tuż przed świtem budzę się z gorączką i przesadam z ilością advilu – przy połykaniu tabletek czuję pieczenie w zaciśniętym gardle. U dołu telewizyjnego ekranu przewija się pasek z wiadomościami z ostatniej chwili. *Czterdzieści siedem ofiar w Big Bayou w Alabamie. Najtragiczniejsza katastrofa kolejowa.* W środku nocy holownik na rzece Mobile zboczył z kursu w gęstej mgle i wyprowadził barkę na Big Bayou Canot Bridge, przesuając tory o prawie metr. Osiem minut później jadący planowo pociąg Sunset Limited z Los Angeles do Miami wykoleił się, wjeżdżając na most z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Trzy pierwsze wagony wpadły do wody, most się zawalił, zbiornik paliwa eksplodował. Amtrak zarzuca niedbalstwo kapitanowi holownika. Zaginionych jest kilku członków załogi, akcja ratunkowa trwa. W późniejszych godzinach na miejsce katastrofy ma przyjechać prezydent Clinton.

Wyłączam telewizor i żałuję, że gumowym czerwonym przyciskiem pilota nie można wyłączyć wszystkiego, w środku i na zewnątrz. Chaosu i rozpacz, i bezsensownej śmierci. Pociągów pędzących w stronę uszkodzonych szyn i dziur ze śpiącymi oraz niczego nieświadomymi pasażerami. Kapitanów holownika na złej rzece w najbardziej nieodpowiedniej chwili.

Osiem minut, chcę krzyczeć. Ale kto by mnie usłyszał?

(dwa)

Pracowałam kiedyś nad sprawą zaginięcia chłopca, którego znaleźliśmy później w kawałkach w Noe Valley pod werandą domu jego babci – kiedy przyjechaliśmy, bujała się na trzeszczącej, poobijanej huśtawce na ganku dokładnie nad jego ciałem. Przez wiele miesięcy nie byłam w stanie wymazać z pamięci jej twarzy, pudrowych zmarszczek wokół ust, bladoróżowej pomadki nałożonej ponad górną wargą. Spokoju w jej bladoniebieskich oczach.

Jej wnuk Jeremiah Price miał cztery lata. Najpierw go otruła, żeby nie pamiętał bólu. Słowo „pamiętać” było jej ulubionym słowem, pierwszym w całej historii o tym, co – jak jej się wydawało – musiała zrobić. Ale ta opowieść nie miała sensu dla nikogo poza nią. Kiedy ją przesłuchiwałam, zadawaliśmy jej na okrągło jedno i to samo pytanie. *Dlaczego go pani zabiła?* Nie była w stanie nam odpowiedzieć.

W moim ciemnym pokoju w Travelodge na tanim, poznaczonym bliznami stoliku nocnym stoi telefon z tarczą, z instrukcją wybierania połączeń i stawką opłat za rozmowy międzymiastowe. Brendan odbiera po drugim sygnale. Jego głos jest ospały i niski, jakby dobiegał spoza betonowej ściany. Obudziłam go.

– Gdzie jesteś?

– W Santa Rosa. Nie zajechałam daleko.

– Powinnaś się przespać. Głos masz straszny.

– Tak. – Spoglądam na moje nagie nogi na narzucie i czuję na udach tanią tkaninę szorstką niczym zmywak. Moja bawełniana koszulka, mokra i pognieciona, przykleiła mi się do spoconego karku. Piersi owinęłam uciskowym opatrunkiem z bandaży, ale ból, mimo całego advilu, przy każdym uderzeniu serca przeszywa mnie eksplozją spazmów, wywołując specyficzne wrażenie echolokacji. – Nie wiem, co robić. To straszne. Dlaczego mnie karzesz?

– Nie karzę, po prostu... – Zapada długa, ciężka cisza, a on waży słowa. – Sama musisz sobie pewne sprawy przemyśleć.

– Niby jak mam to zrobić?

– Nie umiem ci pomóc – oznajmia tonem człowieka przegranego, na granicy wytrzymałości. Wyobrażam go sobie o wschodzie słońca na brzegu łóżka, z ciałem skulonym nad telefonem, z dłonią w gęstych ciemnych włosach. – Próbowałem i jestem zmęczony, wiesz?

– Pozwól mi wrócić do domu. Możemy to naprawić.

– Jak? – pyta sennie. – Pewne rzeczy są nie do naprawienia, Anno. Dajmy sobie trochę czasu. To nie musi być na zawsze.

Coś w jego tonie daje mi jednak do myślenia. Mam wrażenie, że on już przeciął pępowinę, ale boi się do tego przyznać. Bo nie wie, jak zareaguję.

– Odkąd rozmawiamy? Od tygodnia, miesiąca? Roku?

– Nie wiem – wzdycha nierówno. – Muszę sobie wiele przemyśleć.

Moja dłoń na łóżku wygląda jak z wosku, jest sztywna, jakby należała do manekina z centrum handlowego. Odwracam wzrok i wbijam go w ścianę. – Pamiętasz, jak się pobraliśmy? Naszą wycieczkę?

Milczy przez minutę.

– Pamiętam – mówi w końcu.

– Spaliśmy na pustyni pod wielkim kaktusem z mnóstwem ptaków, które w nim mieszkały. Powiedziałeś, że to kondominium.

Znów cisza.

– Tak. – Nie bardzo wie, dokąd zmierza ta rozmowa, nie jest pewien, czy zupełnie nie zbzikowałałam.

Sama nie jestem tego pewna.

– To był jeden z naszych najlepszych dni. Byłam bardzo szczęśliwa.

– Tak. – Jego oddech w słuchawce przyspiesza. – Rzecz w tym, że już dawno nie widziałem tamtej kobiety, Anno. Nie było cię dla nas.

– Poprawię się. Pozwól mi spróbować.

Ze słuchawki wylewa się cisza, wzbiera wokół mnie na łóżku. Czekam na jego odpowiedź.

– Nie ufam ci. Nie potrafię – wyznaje w końcu.

Jego wyrazisty głos jest druzgocący. Kategoryczny. Zły był od tygodni, ale to jest gorsze. Podjął decyzję, z którą nie mogę wygrać, bo dałam mu wszelkie powody do tego, żeby czuł to, co czuje.

– Uważaj na siebie, dobrze?

Mam wrażenie, że balansuję nad ciemną przepaścią. W innych chwilach naszego małżeństwa rzuciłby mi linę.

– Brendan, proszę. Nie mogę wszystkiego stracić.

– Przykro mi – mówi i się rozłącza, nim zdążę cokolwiek powiedzieć.

Na nabożeństwo pogrzebowe przyszło prawie dwieście osób, spora część w mundurach. Koledzy z pracy, przyjaciele i życzliwi nieznajomi, którzy przeczytali artykuł w „Chronicle” i pomyśleli: całe szczęście, że mnie nie spotkało coś takiego.

Zapięłam zamek sukienki, której na sobie nie czułam – byłam tak nafaszerowana ativanem, że ubranie mogłoby być uszyte z noży. Zza ogromnych czarnych okularów słonecznych odczytywałam ruch warg Brendana powtarzającego bez przerwy: „dziękuję”. W domu znalazłam sobie miejsce w kuchennym kącie, tyłem do agresywnie porozstawianych kwiatów i kartek z kondolencjami, zboląłych twarzy wokół stołu zastawionego naczyniami żaroodpornymi i deskami serów. Mój przełożony Frank Leary podszedł do mnie z talerzem w dłoni, nawet nie udając, że jest nim zainteresowany.

– Co mogę powiedzieć, Anno? Co powiedzieć w obliczu takiego dramatu?

Jego głos, zwykle szorstki, teraz był łagodny. Marzyłam, żeby móc go zamrozić tam, gdzie stał, jego i wszystkich innych, jak w dziecięcej zabawie w posągi, i odejść. Ale tylko kiwnęłam głową.

– Dzięki.

– Powinnaś wziąć tyle urlopu okolicznościowego, ile potrzebujesz. Niczym się nie zajmuj.

Kiedy to mówił, poczułam, jakby ściana przybliżyła się do mnie o włos.

– Prawdę mówiąc, miałam zamiar wrócić w przyszłym tygodniu. Muszę czymś zająć myśli.

– Nie wygłupiaj się, Anno. Nie mówisz poważnie. To za wcześnie. Teraz powinnaś myśleć tylko o rodzinie i poświęcić czas sobie.

– Nie rozumiesz, Frank. – Słyszałam, jak mój głos zacieśnia się wokół słów i próbuje zwolnić, żeby brzmieć mniej rozpaczliwie. – Zwariuję bez jakiegoś zajęcia. Proszę.

Uniósł brwi i zrobił minę, jakby chciał mnie skarcić, ale w tej chwili podszedł mój mąż. Frank lekko się wyprostował i wyciągnął rękę.

– Brendan. Ciężki dzień. Współczuję. Daj znać, gdybym mógł jakoś pomóc.

– Dzięki, Frank. – Szary wełniany krawat Brendana wisiał luźno przy rozpiętym kołnierzyku koszuli, ale jego ciało wcale nie wyglądało na rozluźnione, kiedy tak stał pomiędzy Frankiem a mną, zerkając to na mnie, to na niego, jakby próbował wyczuć atmosferę. – O czym rozmawiacie?

– O niczym – skłamałam bez wahania. – Pogadamy później.

– Słyszałem. – Zamrugał szybko, a jego twarz robiła się coraz bardziej różowa. – Chyba nie masz zamiaru wracać teraz do pracy?

– Właśnie – odezwał się Frank, robiąc krok do przodu. – Powiedziałem dokładnie to samo. Jestem po twojej stronie.

– A kto jest po mojej?

Ściana za mną wydawała się gładka i zimna pod moją dłońią i nagle poczułam się jak w klatce. W pułapce.

– Ja tylko staram się przez to przejść, rozumiecie? Jeżeli nie będę miała się czym zająć... – Nie zdołałam dokończyć zdania.

– Nie wierzę! – Brendan zacisnął wargi, nozdrza mu drgały. – A co z nami? Może skupiłabyś się na rodzinie? Nie należy nam się to od ciebie? Zwłaszcza po tym, co się stało?

Poczułam się tak, jakby dał mi w twarz. Struchlałam.

– Nie to miałam na myśli. – Słyszałam, jak surowo zabrzmiała moja odpowiedź, jakbym się broniła.

– Owszem, to.

Patrzyliśmy z Frankiem, jak odwraca się na pięcie i ze spuszczoną głową przeciska się przez pokój pełen ludzi.

– Powinnaś za nim pójść. Jest w żałobie. Ludzie mówią różne rzeczy, kiedy cierpią.

– *Ludzie, Frank? A moje cierpienie?* – Wydawało mi się, że brakuje mi powietrza w piersiach, że w płucach mam próżnię. – Ty też mnie obwiniasz, prawda? Po prostu przyznaj.

(trzy)

Kiedy wyjeżdżam z Santa Rosa, mam wrażenie, że jest gorąco jak w łaźni, a słońce łśni wręcz obscenicznie. Nawet zaniedbany motelowy parking z połową tuzina albicji z pierzastymi kwiatami w kolorze fuksji, które wyglądają niczym przebranie drag queen, wydaje się ogrodem. Jest pełno ptaków – wśród gałęzi, na bezchmurnym niebie, na zepsutym neonie restauracji Jack in the Box dla zmotoryzowanych, skąd przyglądają mi się trzy puchate pisklaki z gniazda uwitego z papierków po słomkach, z tak różowymi gardelkami i rozdziawionymi dzióbkami, że żal na nie patrzeć.

Zamawiam dużą kawę i kanapkę z jajkiem, której nie jestem w stanie zjeść, a później wjeżdżam na drogę sto szesnaście, która przez Russian River Valley doprowadzi mnie do wybrzeża. Tamtejsza miejscowość, Jenner, wygląda jak miasteczko z pocztówki. Goat Rock, o wiele niżej od niej, przypomina surową piłkę zabawkę jakiegoś giganta na tle oszałamiającego błękitu Pacyfiku – w północnej Kalifornii nie brakuje takich osobliwości.

Przez trzydzieści pięć lat nie opuściłam mojego stanu ani nie mieszkałam niżej od Oakland, a jednak to piękno ciągle mnie zniewala. Głupie, naturalne, niedorzeczne piękno, które ciągnie się i ciągnie wzdłuż krętej drogi Pacific Coast, z morzem w tle, niczym nieposkromiona plama koloru.

Zjeżdżam i parkuję w utwardzonej piaszczystej zatoczce przy drodze, przechodzę przez oba pasy jezdni i staję na nagim miejscu ponad powykrzywianym krzewem, czarnymi skałami ostrymi jak zęby piły i eksplodującą spiętrzoną pianą. Widok jest pełen dramatyzmu. Oszałamiający. Napiera na mnie wiatr, wdziera się pod każdą warstwę ubrania, a ja tak się trzęsę, że muszę się objąć. Moja twarz nagle staje się mokra, łzy płyną po raz pierwszy od tygodni. Nie z powodu tego, co zrobiłam czy też czego nie zrobiłam. Nie przez

to, co straciłam i czego nigdy nie będę w stanie odzyskać, ale dlatego, że dociera do mnie, że mogę stąd pojechać tylko w jedno miejsce i tylko jedna droga na mapie jest teraz dla mnie wszystkim. Droga do domu.

Przez siedemnaście lat trzymałam się z dala od Mendocino, skrywając to miejsce w sobie jak rzecz zbyt cenną, żeby choć na nią spojrzeć. Teraz jednak, na krawędzi tego klifu, mam wrażenie, że tylko ono trzyma mnie przy życiu, że tylko ono było w życiu prawdą moje.

Jeśli się nad tym zastanowić, większość z nas ma znikomy wpływ na to, kim się staniemy, kogo pokochamy, czy też na to, jakie miejsce na ziemi nas wybierze i stanie się naszym domem.

Możemy jedynie pójść, słysząc wezwanie, i modlić się, żebyśmy zostali przyjęci.

Kiedy kilka godzin później docieram do Albionu, słońce zdążyła przesłonić nadmorska mgła. Wiruje przed moimi światłami mijania i sprawia, że wszystko niknie, po czym na nowo się wyłania – kręta przybrzeżna droga i kępy jodeł, aż wreszcie miejscowość jak z mrocznej bajki – wiktoriańskie domy, białe i niezakotwiczone, unoszące się nad cyplami. Spowijająca wszystko wokół mgła drży i łagodnieje, jakby oddychała.

Czuję ściskanie w piersi, bo każdy zakręt prowadzi mnie coraz bliżej przeszłości. Mam wrażenie, że rozpoznaję kształty drzew. I znaki drogowe, i długi mokry most. Światło sygnalizacji łada moment ma się zmienić na czerwone, kiedy je zauważam, i muszę pędem przejechać na żółtym przez Little Lake Road. Wyjeżdżam na skarpę i dalej jadę właściwie na pamięć.

Skręcam w lewo na Lansing Street i mam wrażenie, że cofnęłam się w czasie. Ponad linią dachu siedziby loży masońskiej, na tle zamglonego nieba stoją wyraźne białe figury *Czasu i Dziewicy*, najbardziej charakterystycznego elementu miasteczka. Starszy mężczyzna z brodą, ze skrzydłami i kosą zaplata włosy stojącej przed nim dziewczynie. Ona pochyla głowę nad spoczywającą na złamanej kolumnie księgą, z gałązką akacji w jednej dłoni, urną w drugiej i z klepsydrą pod stopami – a każdy przedmiot jest enigmatycznym

symbolem większej układanki. Cała rzeźba jest jak widzialna dla wszystkich tajemnica.

Kiedyś, gdy miałam dziesięć lat, krótko po przeprowadzce do Mendocino, spytałam Hapa, co oznacza ta rzeźba. Uśmiechnął się i opowiedział mi jej historię. Młody stolarz Erick Albertson wyrzeźbił ją w połowie XIX wieku z jednego kawałka sekwoi, pracując nad nią nocami w swoim nadmorskim domku. W tym czasie został pierwszym mistrzem loży masońskiej Mendocino, ale nie zaniechał pracy nad swoim dziełem. Poświęcił na nią w sumie siedem lat, aż w końcu, jakiś czas po tym, jak rzeźba w 1866 roku została postawiona, zginął w dziwnym wypadku, którego historyczne opracowania nie potrafią sensownie wyjaśnić.

Hap był członkiem loży masońskiej przez dekady, nawet dłużej niż leśniczym. Zakładałam, że wie wszystko, co tylko wiedzieć można. Ale kiedy spytałam go o to, jaki związek miała śmierć Albertsona z figurami i co one oznaczają, spojrzał na mnie krzywo.

– Śmierć Albertsona nie ma nic wspólnego z tobą. A poza tym to było tak dawno temu. Nie zrozumiesz tych symboli, nawet jeśli ci je wyjaśnię. Opowiadają historię znaną tylko masonom, nigdy nie spisaną, przekazywaną jedynie ustnie, kiedy osiągną trzeci stopień.

Zaintrygowało mnie to jeszcze bardziej.

– Co to jest trzeci stopień?

– Coś, o co się zaraz potkniesz – odparł i odszedł, zanim zdążyłam zrozumieć żart.

Parkuję i zakładam czapkę bejsbolową oraz okulary słoneczne, zanim stanę na chłodnej, wilgotnej od mgły ulicy. Raczej nie ma szans, żeby miejscowi mnie rozpoznali jako dorosłą kobietę, ale czytuje się tutaj gazety z San Francisco, a zdarzało się, że z powodu prowadzonych spraw lądowałam na stronach „Chronicle”. Podobnie jak po wypadku.

W markecie Mendosa chodzę ze spuszczonego wzrokiem i staram się wziąć tylko podstawowe artykuły – przetwory warzywne i suche produkty, łatwe do przygotowania. Czuję się trochę tak, jakbym się znalazła na taśmie starego filmu. Byłam tu, zdaje się, dokładnie tutaj, przy oświetlonej chłodziarce pełnej mleka, kiedy Hap wyciągnął

rękę po zimny kanister, otworzył go, napił się i puścił do mnie oko, a później mi go podał. Pchał wózek łokciami, pochylając się nad koszykiem. Grzebał się, jakbyśmy mieli czasu pod dostatkiem.

Ale nikt go nie miał.

Kończę zakupy i płacę gotówką, ładuję torby na tył mojego bronco i ruszam w stronę GoodLife Cafe. Nazywała się jakoś inaczej, gdy tu mieszkałam, ale nie mogę sobie przypomnieć jak, a zresztą to bez znaczenia. Dźwięki, wygląd i zapach tego miejsca dokładnie pokrywają się z moimi wspomnieniami. Zamawiam kawę i talerz zupy, siadam przy oknie z widokiem na ulicę, kojona odgłosami wokół mnie, brzękiem naczyń w pojemniku, ziaren świeżej kawy w młynku, przyjacielskich pogawędek. Nagle przez ramię słyszę sprzeczkę dwóch mężczyzn.

– Chyba nie wierzysz w te wszystkie brednie? – warczy jeden do drugiego. – Jasnowidzki i takie tam. Wiesz, ile forsy ma ta rodzina. Ona po prostu chce uszczknąć trochę dla siebie. W sumie jej się nie dziwię.

– A jeżeli naprawdę coś wie, a nikt tym tropem nie idzie? – odszczekuje drugi. – Może ta dziewczyna się gdzieś wykrwawia albo coś gorszego.

– Raczej jest już martwa.

– Co z tobą, chłopie? To *człowiek*. Dziecko.

– Dziecko znanej osoby.

– To nie ma żadnego znaczenia. A jeżeli ta jasnowidzka mówi prawdę? Tobie się nie zdarzyło zobaczyć czy usłyszeć czegoś, czego nie umiesz wyjaśnić?

– Nie. Nie mogę niczego takiego powiedzieć.

– Widocznie nie zwracasz uwagi.

Słucham ich i ogarnia mnie poczucie nieważkości. Płacę za kawę i zupę, uważając, żeby nie spojrzeć w ich stronę, i podchodzę do tablicy ogłoszeń na przeciwległej ścianie. To była zawsze część naszego porannego rytuału, Hapa i mojego. Zwykle, przeglądając ogłoszenia, zamiast pochylać się nad tablicą, odchyłał się z gładkim białym kubkiem w dłoni, a jego wzrok wędrował za czymś, co jeszcze nie rzuciło mu się w oczy.

– Jak myślisz, ile można wiedzieć o miasteczku tej wielkości? – spytał mnie kiedyś, na samym początku.

Wcześniej mieszkałam w większych, dość obskurnych miastach hrabstwa Mendocino. W porównaniu z nimi ta miejscowość była nieskazitelna, z zaledwie piętnastoma ulicami, które miały nazwy zamiast numerów. Kojarzyła mi się z domkiem dla lalek, który można otworzyć jak walizkę i zajrzeć do środka, oglądając pokój po pokoju.

– Wszystko.

– O ludziach, których widzisz codziennie? O domach, które mijasz tysiąc razy bez zastanowienia?

– Chyba tak.

– Pomyśl, Anno. Skąd się bierze martwy punkt?

Porównał to do jazdy samochodem.

– Kiedy ma się kogoś tuż obok, za blisko, żeby go zauważyć.

– To samo odnosi się do ludzi. Ten, kogo masz pod samym nosem, zwyczajnie znika. To jest ta strefa zagrożenia, tuż obok ciebie. Ktoś, komu ufasz najbardziej.

Słuchałam go, słuchałam uważnie.

Odkąd pamiętam, ludzie powtarzali mi, że *powinnam* im zaufać – pracownicy opieki społecznej i nauczyciele, i całkiem obcy, wszyscy mówili to samo: że *powinnam* się otworzyć. Ale świat, a teraz również Hap uczyli mnie czegoś przeciwnego.

– Więc w czym tkwi sekret?

– Sekretu nie ma, po prostu trzeba mieć otwarte oczy. Cały czas, ale zwłaszcza kiedy ci się wydaje, że nic nie może cię zaskoczyć. Wtedy właśnie uczysz się zwracać uwagę, słuchać swojego głosu.

– A co z innymi ludźmi?

– Albo zasłużą na twoje zaufanie, albo nie.

Miał na myśli siebie, a także swoją żonę Eden. Inna dziesięciolatka z odmiennym bagażem doświadczeń mogłaby poczuć niepokój, słysząc te słowa, lecz mnie przyniosły ulgę. On mi jeszcze nie ufał, a ja nie ufałam jemu. W końcu ktoś nie usiłował udawać, że to takie łatwe. W końcu ktoś postanowił powiedzieć prawdę.

Nazwa kawiarni się zmieniła, ale tablica ogłoszeń – nie. Powoli przedzieram się przez ogłoszenia, jaskrawe kawałki kolorowego papieru reklamujące lekcje gry na gitarze i wrózenie z dłoni, i ziemię ogrodową. Ktoś szuka modela dla artysty. Ktoś inny chce drewno opałowe za darmo. Nie spieszę się, czytam wiadomości jedna po drugiej, aż docieram do zaginionej dziewczyny z cudowną twarzą pod słowami: „Widziałeś mnie?”.

Cameron Curtis

Wiek: 15

Ostatnio widziana: 21 września

Czerwona flanelowa koszula, czarne dżinsy

160 cm, 48 kg

Długie czarne włosy, ciemnobrązowe oczy

Informacje: 724-555-9641

Wysoka nagroda

21 września był wczoraj, w dniu, kiedy Brendan w końcu miał dość i poprosił mnie, żebym odeszła. Przez tę czasową zbieżność jestem roztrzęsiona i znów spoglądam na dziewczynę, jej ciemne poważne spojrzenie, rozpuszczone sięgające do pasa włosy, zbyt piękną, żeby uchwycić się gdzieś bezpiecznie przez dłuższy czas. Jej wykrzywione wargi podpowiadają mi, że przydarzyło jej się coś bardzo złego, jeszcze zanim zniknęła. Nazbyt wiele podobnych do niej widziałam, żeby myśleć inaczej. Ale to nie jest San Francisco, gdzie ogłoszenia o zaginionych nastolatkach wiszą na każdej stacji metra, a ich widok jest tak powszechny, że stają się niezauważalne. W małej miejscowości takiej jak Mendocino, wiem o tym aż za dobrze, wszelkie akty przemocy są osobiste. Każdy to odczuje. Na każdym się to odbije.

Przypatruję się dziewczynie jeszcze przez chwilę, a później wyciągam rękę po numer domku na wynajem, tuż pod ogłoszeniem o zaginięciu. Znajduje się dziesięć kilometrów za miastem i kosztuje czterysta dolarów na miesiąc. Dzwonię do właściciela, Kirka, a on wyjaśnia, że nie ma telewizji, linii telefonicznej ani centralnego ogrzewania.

– Jak to się mówi, gołe ściany – wyjaśnia. – Ale miłe miejsce na wypad, jeśli lubi pani spokój.

– Lubię.

(cztery)

Kiedy zobaczyłam Mendocino po raz pierwszy, nie mogłam uwierzyć, że to prawdziwe miasteczko. Przy czystych ulicach stały rzędy chatki z piernika, w większości białych, bogato zdobionych, z ogrodzeniami ze sztachet. Miejscowość rozciągała się na postrzępionym, zaoblonym klifie nad Pacyfikiem i była na tyle mała, że można było ją całą objąć wzrokiem, z jednym sklepem spożywczym, garstką uroczych sklepików, dwoma cementarzami i szkołą podstawową.

– Co to jest? – spytałam Hapa, wskazując na drewnianą kanciastą wieżyczkę przymocowaną do sąsiedniego domu. Pani Stephens, odpowiedzialna za mnie pracownica opieki społecznej, właśnie wyszła i staliśmy w ogródku przed domem Hapa oraz Eden przy Covelo Street.

– Cysterny – wyjaśniła Eden. – Zbiorniki na wodę. – Jej ciało było miękkie i okrągłe, i pachniało pudrem, za to Hap był wysoki, mocnej budowy, z szerokimi ramionami i sumiastym wąsem. On przypominał kowboja, a ona wyglądała jak babcia, choć nią nie była, jak się właśnie dowiedziałam. Wychowali dużo dzieci, ale własnych nie mieli.

Ich dom był piękny, duży, wiktoriański i kojarzył mi się ze statkiem. Piętro było obszerniejsze niż parter, z wykuszowymi oknami skierowanymi w stronę cypla – dzięki połączeniu złotej trawy i powykręcanych przez wiatr cyprysów. Staliśmy tak, poznając siebie nawzajem i nasz nowy układ, w słońcu zachodzącym w ogrodzie przed domem.

Właśnie przyjechałam z Fort Bragg, z małego smutnego domu przypominającego pudełko, stojącego niedaleko tej części Glass Beach, którą miejscowi nazywali „śmietniskiem”, gdzie od lat ludzie porzucali meble, urządzenia, a nawet stare samochody. Stamtąd też

było widać ocean, ale nie tak jak tu. Czegoś takiego nie widziałam nigdy. Słońce zanurzało się w Pacyfiku, jakby powoli topniało, niczym znikający okrągły pomarańczowo-różowy karmelek, który wyglądał, jakby pulsował od środka, jak bijące serce. Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

Kiedy znikło zupełnie, nagle pojawił się zielony błysk.

– To na szczęście – powiedziała Eden.

W szczęście wierzyć przestałam, ale rzeczywiście coś się działo. Mendocino zaczęło mnie przyciągać niczym siła grawitacji.

Podążając za wskazówkami Kirka, wyjeżdżam z miasteczka na Little Lake Road. Po ośmiu kilometrach droga z asfaltowej zamienia się w ubity piach i żwir. Jodły, sosny i świerki sitkajskie zagęszczają się wokół mnie, napierając ze wszystkich stron – bajkowe drzewa z czarnymi czubkami, rzucające niespodziewane cienie, tworzące noc za dnia, jakby skradły całe światło i gdzieś je ukryły. Boże, ale za nimi tęskniłam.

Po kolejnych trzech kilometrach skręcam ostro w lewo na zakręcie oznaczonym czerwoną flagą i podniszczonym drewnianym sztyldem: zakaz wjazdu.

Gliniasta ścieżka się kurczy, wijąc się w dół stromego zbocza przez pół kilometra. W końcu dostrzegam podjazd i sylwetkę cedrowego domku mrugającą spomiędzy gęstej kępy wysokich sosen. Wygląda, jakby nadawał się dla pustelnika, jak wyspa wśród drzew, jaskinia, w której można zniknąć. Jest idealny.

Kirk czeka na mnie na ganku. Wygląda na sześćdziesięcioletniaka, ma proste plecy i krótkie siwe włosy ostrzyżone na żołnierza, twarz kanciastą, a spojrzenie zimne, mimo że się uśmiecha i lekko macha kluczami w dłoni.

– Trudno było trafić?

– Nie bardzo. – Widzę, że weranda jest schludna, ze stosem drewna opałowego ułożonym z boku pod okiennym parapetem. – To był domek myśliwski?

– Kiedyś chyba tak. Należał do rodziny mojej żony. Teraz go wynajmuję, kiedy mogę. – Czuję, że mi się przygląda, zastanawiając

się nad moją historią. – Ludzie oczekują na ogół o wiele więcej, romantycznego miejsca. Tego rodzaju rzeczy.

Kiwam tylko głową i wchodzę za nim. Duży pokój jest ponury, cały w ciemnej boazerii, i czuć w nim zapach myszy, słodkawy odór zgnilizny, niemal zwierzęcy. W jednym kącie stoi zaokrąglony piec na drewno, poczerniały od użytkowania. Okna maleńkiej kuchni ze zlewem jak z domku dla lalek i ociekaczem zdobią różowe perkalowe zasłony, a lodówka nadawałaby się raczej do akademika. Z metalowego wieszaka zwisa samotna poprzecierana ścierka do naczyń.

– Jak pani widzi, jest wszystko, czego można potrzebować – powiedział Kirk.

Gdyby tylko wiedział, jak niewiele rzeczywiście mi potrzeba. I jak wiele.

Obok pokoju dziennego w ciemnej łazience jest prysznic wielkości szafy, z tanimi drzwiami z matowego szkła. Jednoosobowa sypialnia wygląda na dobudówkę. Wchodzę do środka, a próg ugina się jak gąbka, ale sam pokój zdaje się dość solidny, z podwójnym łóżkiem z metalową ramą i prostym biurkiem z lampą. Panoramiczne okno na południowej ścianie wychodzi na gęsty las na tle blaknącego światła. *Poświata*, tak tę porę dnia nazywała Eden – dziwne słowo, powiązane ze światłem, choć odnosiło się do ciemności.

– Nocą może się zrobić dość chłodno – uprzedza Kirk. – Radzę palić w kominku, kiedy będzie pani w domu. Może pani zużyć tyle drewna, ile pani chce, tylko proszę narąbać nowego. Grzejnik pożera propan. – Wzrusza ramionami w stronę stojącego pod ścianą piecyka. – To, co pani zużyje, proszę uzupełnić.

– W porządku. – Marzę, żeby zostawił mnie samą.

Ale to nie koniec. Z prysznicowej baterii cieknie woda, a kurki od zimnej i gorącej zainstalowane są odwrotnie. Komin pieca od czasu do czasu potrzebuje perswazji. Kirk pokazuje mi, jak używać prądnicy, gdyby zabrakło prądu, a to się zdarza, ostrzega.

– Drwale przecinają przewody. Na ogół są chyba pijani. Po tych drogach jeżdżą tak, że lepiej na nich uważać. I wszystko zamykać, zwłaszcza na noc. Kobieta, sama, to znaczy... – Jego głos się przeciąga

i milknie, jakby usłyszał, że przekroczył niewidzialną granicę prywatności.

– Poradzę sobie. – Do mojego tonu wkrada się irytacja.

Kirk kaszle z zakłopotaniem.

– Na pewno.

Kiedy w końcu wychodzi, domek pulsuje ciszą. Rozpakowuję swój niewielki bagaż i wychodzę na ganek w chłodny zmierzch i fioletowe światło.

Przestrzeń pomiędzy drzewami się skurczyła. Wdycham spokój i przez jedną ryzykowną chwilę pozwalam sobie na myśl o życiu, od którego właśnie się oddaliłam nie z własnej woli, od Brendana i naszej zabałaganionej kuchni, wszechobecnych zabawek, dziecięcej wanienki odwróconej w zlewie. Naszych imion obok siebie na skrzynce na listy, jak talizman, który nie spełnił swojego zadania. Przeżyliśmy razem siedem lat – zdecydowanie za mało – ale on miał rację, mówiąc, że mnie przy nim nie było. Bo to prawda.

Szukam nad głową księżycy w postrzępionych szparach pomiędzy koronami drzew, lecz nie mogę go znaleźć. Z oddali dobiegają rozedrgane pohukiwania syczenia. Jeszcze dalej zaczyna żałośnie skowyczeć pies. A może to kojot? Temperatura gwałtownie spadła. Trzęsę się w mojej flanelowej koszuli i kurtce i zastanawiam, jak bardzo może się ochłodzić do rana i czy ta dziewczyna ma koc albo ogień, gdziekolwiek jest.

Dziewczyna.

Nie mam pojęcia, skąd się wzięła ta myśl, ale natychmiast próbuję ją odegnąć. Cały mój świat poszedł z dymem, który jeszcze się za mną unosi, z powodu dziewczyn takich jak Cameron Curtis, zaginionych i zniszczonych. Ich historie pociągają mnie jak urywana cicha pieśń syren. Od kilku lat pracuję w Bay Area nad inicjatywą o nazwie Projekt Reflektor, skupiającą się na przestępstwach seksualnych oraz przestępstwach wobec dzieci uprowadzanych i mordowanych przez nieznanomych albo porywanych i obezwładnianych przez członków rodziny, albo stających się celem alfonsów i potworów, potajemnie sprzedawanych i odsprzedawanych.

To najtrudniejsza praca, jaką w życiu wykonywałam, ale też najważniejsza, choć możliwe, że Brendan nigdy nie zdoła mi tego wybaczyć. Poza tym jestem w niej dobra. Z czasem wykształciło się we mnie coś w rodzaju radaru nakierowanego na ofiary, a Cameron Curtis wydaje mi się znajoma, niemal jakby nad jej głową migotał neonowy znak sygnalizujący jej historię, bezbronność. Nie tylko mnie. Nie wiem, jak ten symbol się tam znalazł, ale wiem, że przestępcy też go widzą – jaskrawy i charakterystyczny.

Myślę o rodzinie dziewczyny, odchodzącej od zmysłów ze zmartwienia i przerażenia. Myślę o tym, jak samotna i zagubiona od lat mogła się czuć Cameron, zrozpaczona, a nawet wyalienowana. Smutek i wstyd to coś więcej niż odczucia; są chorobą, potwornym rakiem rozprzestrzeniającym się po świecie, który odbiera życie w podstępny, cyniczny sposób i może nigdy nie mieć końca.

Kiedy znów rozlega się skowyt, krzywię się. To na pewno kojot. W tych lasach, bardziej niż jakiegokolwiek inne zwierzęta, brzmią niemal po ludzku – zmarznięte, samotne i głodne płaczą bez końca.

(pięć)

Tej nocy unoszę się bezcielesnie ponad białym półksiężycem plaży, a ktoś, potykając się, biegnie przez splątane wodorosty wśród cieni. Ale nie ma dokąd uciec. To dziewczyna, oczywiście. Potyka się i upada na kolana, wstaje i znów upada, czołga się do tyłu, krzycząc i drżąc. Aż nagle milknie. Milknie jak zwierzę, do którego wreszcie dociera, że pogoń dobiegła końca.

Budzę się przerażona, serce mi łomocze, a skóra jest śliska od potu. Widocznie wróciła gorączka, myślę, zrzucając z siebie szorstkie koce. Pod grubym swetrem piersi mam ciągle związane uciskowym opatrunkiem, lecz opuchlizna nie zeszła ani trochę. Ból jest tępy, ale uporczywy, pulsujący i nieustępliwy.

Ciemność wokół mnie jest zimna jak lód i mam wrażenie, że gęstnieje. Zapomniałam, jak to jest spać w lesie, na zupełnym odludziu, bez odgłosów ulicy czy sąsiadów i bez świateł. Wsuwam stopy w drugą parę skarpetek i idę do głównego pokoju, gdzie mrugająca mikrofala informuje mnie, że nie ma jeszcze czwartej. Przespałam może z pięć godzin. A raczej przeleżałam nieprzytomna.

Znajduję ibuprofen i kolejną tabletkę nasenną i popijam je whiskey z nadzieją, że oczyści moją głowę z koszmaru. Mogę się tylko domyślać, że tą dziewczyną była Cameron Curtis i że moja podświadomość, pochłonięta dramatem, spreparowała wersję jej zniknięcia. Zawsze mnie to intrygowało, na długo przed tym, zanim zostałam detektywem. Jakby nieustannie rozbrzmiewające w atmosferze wołanie o pomoc wzmagало się, trafiając na moją ścieżkę, i przywierało do mnie. Jakby stanowiło część mnie i jakbym nie miała nic w tej kwestii do powiedzenia, nie miała wyboru i musiała próbować na nie zareagować.

Pierwszą rzeczą, jaką widzę, kiedy budzę się kilka godzin później, jest do połowy opróżniona butelka po alkoholu na podłodze przy

kanapie i moje skarpetki zwinięte w kłębek na ławie. Pod powiekami pulsuje kac, gwiaździsty. Gdyby był tu Hap, zmartwiłby się, że tyle piję. Byłby już ubrany, umyty i parzyłby kawę. Uwielbiał poranki, ale i późne wieczory. Czasami zastanawiałam się, czy on w ogóle sypia, jednak krzepiła mnie myśl, że był zawsze, kiedy go potrzebowałam, obudzony i w gotowości. Szkoda, że już tak nie jest.

Ubieram się warstwowo i czuję, że górny guzik dzinsów zanurza się w miękkim ciele w okolicy pasa, a opuszki palców muskają pomarszczoną skórę jak tkanę świeżej blizny. Związuję włosy w kitkę, nie patrząc w lustro, a później napełniam termos kawą, rygluję za sobą drzwi i jadę do miasteczka.

Wyjeżdżam na nadmorską drogę i skręcam na północ, w kierunku Caspar i Jug Handle Creek, ulubionego miejsca Hapa na jednodniowe wypadki. Kiedy miałam jedenaście lat, Hap i wielu leśników, z którymi pracował, wraz z miejscowymi aktywistami wystąpili w obronie klifów przed wycinką drzew oraz budową osiedli – i wygrali. Z tego dziedzictwa dumny był cały region. Hap miał zaledwie dwadzieścia lat, gdy podjął pracę w Państwowej Służbie Leśnej, i awansował, aż objął stanowisko naczelnika niedługo po tym, jak u nich zamieszkałam; miał pod sobą dziesiątki leśniczych i dwadzieścia tysięcy hektarów gruntów federalnych.

Pracę miał ważną i czasami niebezpieczną. Nieustannie opowiadał o wypadkach przy polowaniach, a także o turystach w krytycznym położeniu, sinych, martwych nastolatkach wyciąganych z odludnych kamieniołomów. Wiedział, co może zrobić człowiekowi agresywny czarny niedźwiedź i co ludzie mogą zrobić sobie nawzajem na tym bezkresnym terytorium.

W ciągu ośmiu lat, kiedy mieszkałam w Mendocino ze Straterami, stałam się uczennicą i pomocnicą Hapa, jego cieniem. Z początku nie rozumiałam, dlaczego chciał ze mną spędzać tyle czasu, a przede wszystkim, dlaczego w ogóle oboje z Eden wzięli mnie do siebie. Przewinęłam się przez pół tuzina domów, ale nigdzie nie zagrzałam miejsca. Dlaczego tym razem miało być inaczej? Trzeba było czasu i wielu falstartów, żebym uwierzyła, że Hap i Eden są tacy, na jakich wyglądają, że to po prostu porządni ludzie, którzy chcą być dobrzy dlatego, że mogą. Wystawiałam ich na próby i prowokowałam,

próbując pchnąć do tego, żeby mnie odesłali jak wszyscy inni wcześniej. Pewnego razu uciekłam i nocowałam w lesie, czekając, czy Hap będzie mnie szukał. Kiedy mnie znalazł, myślałam, że będzie zły albo zmęczony moimi wybrykami, ale nie był. Spojrzał tylko na mnie, mokrą i w oplakany stan, trzęsącą się po nocy spędzonej na ziemi.

– Skoro zamierzasz wybierać się sama na wyprawy, trzeba cię czegoś nauczyć, żebyś umiała sobie radzić – oznajmił, prowadząc mnie do swojej terenówki.

– Przecież umiem sobie radzić – odpowiedziałam, odruchowo wzmagając czujność.

– Sporo przeszłaś. Wiem o tym. Musiałaś być twarda, żeby sobie poradzić, ale twardość to nie to samo co siła, Anno.

Poczułam się tak, jakby zaświecił mi latarką prosto w oczy, w pęknięcie w moim sercu, które, zdawało mi się, dobrze skrywałam.

– Co masz na myśli?

Dotarliśmy do samochodu i wsiedliśmy. On usiadł za kierownicą i wyraźnie nie spieszył się z odpowiedzią na moje pytanie. W końcu się do mnie odwrócił.

– Linda nam powiedziała, co się stało z twoją mamą, skarbie.

Linda to pani Stephens, odpowiedzialna za mnie pracownica opieki społecznej. Teraz mogłam tylko udawać, że nie obchodzi mnie, co wie, a czego nie ani co o mnie myśli.

– I?

– Nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić, jakie to musiało być trudne dla dziecka w twoim wieku. Poważnie. Mówię to z bólem serca.

Wszelkie myśli w jednej chwili wyparowały z mojej głowy. Bezwiednie przysunęłam się do drzwiczek.

Hap to zauważył i zamarł zupełnie. Zdawało się, że poruszają się tylko jego oczy, które wszystko widzą.

– Nie zatrzymam cię, jeśli chcesz uciec, ale gdybyś mogła dać nam szansę i zostać, nauczyłbym cię rzeczy, które mogą ci się później

przydać. Takich, które pomogły mnie. Związanych z przebywaniem w lesie.

Nie spuszczać wzroku z przedniej szyby z welonem pyłu nad piórami wycieraczek, wzruszyłam ramionami, żeby dać mu do zrozumienia, że słucham go mimochodem.

– Natura domaga się od nas szacunku, Anno. Ma brutalne oblicze, bez wątpienia, ale jeśli człowiek nauczy się jej języka, można odnaleźć w niej spokój i pociechę. Jest najlepszym lekarstwem, jakie znam.

– Mnie jest dobrze tak, jak jest. – Odwróciłam się do niego, prowokując go, żeby zaprotestował.

– Wiem. Ale może choć jedna lekcja, zanim wrócimy do domu? Mogę cię nauczyć, jak określić geograficzną północ. To proste.

Chciałam powiedzieć „tak”, lecz to słowo utknęło mi w gardle dawno temu, zastygłe i nieruchome niczym marmur. Więc tylko odsunęłam dłoń od drzwi i położyłam ją na kolanach.

– Spróbujemy kiedy indziej – zaproponował. – To może poczekać. Jedźmy do domu.

Tego wieczoru, zanim poszłam spać, dał mi książkę w płóciennnej oprawie zatytułowaną *Sztuka przetrwania w dziczy*. Schowałam ją do szuflady swojej nocnej szafki, ale wyjęłam, jak tylko wyszedł z pokoju, i przebiegłam wzrokiem po tytułach rozdziałów. *Sygnalizacja. Pożywienie. Schronienie. Węzły i sploty*. Nie oderwałam się od niej przed północą. Były w niej szczegółowe instrukcje, jak sprawdzić, czy rośliny i owady są jadalne, jak zastawiać pułapki, budować schronienia, łowić ryby rękami. Była mapa i słownictwo związane z kompasem, porady na temat zachowania się w terenie, budowania ognisk, ochrony osobistej, opatrywania ran, przystosowania, przewycięzania stresu, hipotermii i strachu.

Nie wiedziałam, dlaczego te scenariusze wydawały mi się pociągające, w każdym razie nie wtedy, a jednak przemawiały do najgłębszych zakamarków mojej duszy. Hap był mądrym człowiekiem. Już na samym początku wpadł na to, że w ten sposób zdoła się ze mną porozumieć – jak ocalały z ocalałym.

Wjeżdżam na mały parking na początku szlaku, mocno sznuruję ciężkie buty, zapinam kurtkę pod samą brodą i wyruszam, oddalając się od głównej drogi na mniej znany trakt prowadzący na pętlę wokół cypla. Po ośmiuset metrach docieram do gęstego cyprysowego zagajnika i przedzieram się wąskim prześwitem pomiędzy drzewami, z jedną dłonią przed twarzą, żeby odgarniać pajęczyny; nie widzę ich co prawda, ale wiem, że są. Opuszki palców lepią mi się od pajęczych nici, kiedy wdzieram się coraz głębiej, czas też jest lepiący. Mam dziesięć albo jedenaście lat i pierwszy raz widzę sekretną drogę do zagajnika.

„Krummholz” to określenie specyficznej roślinności. Zapamiętałam je z jednej z lekcji Hapa – to niemiecki termin oznaczający „zakrzywione drzewo”. Niesprzyjająca aura sprawiła, że drzewa przez wiele dekad nabrały groteskowych kształtów. Przesycone solą północne wiatry zabijają końcówki gałęzi, zmuszają je do opuszczania się i skręcania, popychają je ku ziemi zamiast ku niebu. Te drzewa są żywym przykładem adaptacji, inteligencji i wytrzymałości natury. Nie powinny przetrwać, rosnąc w ten sposób, ale jednak trwają.

W zagajniku ogarnia mnie nagła, silna tęsknota za Hapem. Za całą cudownością, jaką mi pokazał, i za brzydotą też. Za tym, jak odsłaniał przede mną ten świat coraz bardziej i bardziej, ufając mi na tyle, by mnie do niego wpuścić. Tutaj czuję, że jestem bliżej niego i o wiele bliżej odpowiedzi, po jakie przyjechałam, odnalezienia sposobu, w jaki mogłabym się pozbierać jak rozrzucone, podniszczone fragmenty układanki.

Zamykam oczy i próbuję to wszystko zatrzymać – nikłe przefiltrowane światło i intensywny zapach mchu. Ale w mojej głowie natychmiast pojawia się myśl niczym na ciemnym kinowym ekranie. Błysk powidoku, ulotny i ciemny. *To idealne miejsce na zakopanie ciała.*

Cameron Curtis pojawia się w mojej głowie niczym gorączka. Jak krew pulsująca w dłoniach, gdy je zaciskam. Wielkie brązowe oczy, które poznały trudne sprawy. Uparte, pełne nadziei wargi i długie ciemne włosy. Bez znaczenia jest chyba to, że zawiodłam inne

podobne do niej dziewczyny i siebie samą. Że prawdopodobnie dla niej także jest już za późno. Ona tu jest.

Mało się nie potykam, kiedy pochylona przeciskam się pomiędzy gałęziami na cypel; idę coraz szybciej po pustym szlaku na krawędź klifu, gdzie wieje wiatr tak silny, że niemal mną chwieje. W dole cztery tłuste kormorany dziobią ostrą czarną skałę – ich wciśnięte w grzbiety szyje wyglądają jak haczyki. Wokół nich rozbija się spieniona morska kipiela. Dalej fale są czarne i zielone. Do grzbietu fali podpływa statek rybacki i opada, jakby znalazł się w zapadni.

Chcę, żeby Cameron Curtis zniknęła w ten sposób z mojej świadomości na dobre. Ale nawet statek nie znika. Wyłania się z zagłębienia, mały i biały, i w nim zostaje. W uszach zaczyna mi dzwonić z zimna, ale siadam mimo wszystko, obejmuję mocno kolana i się nie poddaję. Wiatr wpycha mi włosy do oczu i do ust, smakują morzem. Zdaje się, że wszystko kłębi się w wirze, szarpie do tyłu i naprzód, przerażające i piękne. A ja jestem tu pośród tego wszystkiego i próbuję sobie przypomnieć, jak przetrwać niewyobrażalnie ciężkie chwile, jak wyzwolić się od pustki, chaosu i strachu.

(sześć)

Mniej więcej po godzinie wracam do samochodu przemarznięta do kości, ale spokojniejsza. Docieram na parking i staję jak wryta. Wejście częściowo blokują dwie policyjne barierki w paski. Pół tuzina umundurowanych funkcjonariuszy organizuje się wraz z zespołem leśników, z psami policyjnymi i krótkofalówkami. To poszukiwania Cameron Curtis.

Naciągam kaptur na głowę i idę do swojego bronco. Czuję, że ta moja koncentracja rzuca się w oczy. Trzy metry od auta, ściskając w dłoni kluczyki, słyszę swoje imię. Z pewnością tylko mi się zdaje. Przecież nikt mnie tu już nie zna. Przyspieszam i docieram do drzwi, a wtedy na moich plecach ląduje czyjaś dłoń.

– Hej.

Odwracam się, bezwiednie wyciągając ręce, gotowa do konfrontacji. Widok tej twarzy – tak znajomej mimo upływu lat – jest zupełnym zaskoczeniem. Czuję się, jakbym wpadła w wir albo obudziła się w wehikule czasu.

– Anna Hart. Nie wierzę.

Jestem w stanie tylko się mu przypatrywać. Szare oczy ze zmarszczkami wokół, ale z tym samym dawnym blaskiem, mocno zarysowana szczęka i zgrabny, prosty nos, grzywka nieposłusznym czerwonozłotych włosów wystających spod krawędzi kapelusza. Jest duchem, wspomnieniem, przyjacielem sprzed lat.

– Will Flood.

Chcę go uściskać i uderzam go łokciem w ramię, a później, cofając się, przydeptuję mu stopę.

– Auć! – śmieje się. – Co ty tu robisz, do cholery?

Nie jestem w stanie myśleć dość szybko, żeby mu odpowiedzieć. Ostatni raz widziałam Willa, kiedy miałam osiemnaście lat, a on dwadzieścia dwa, i od niedawna w mundurze pracował w biurze

szeryfa, które jego ojciec wzorowo prowadził od wielu dekad. Miał wtedy wielkie marzenia, często mówił o San Francisco, Los Angeles, Denver, Seattle, jakimkolwiek miejscu, byle nie w długim cieniu Ellisa Flooda.

– Co tu się dzieje? – pytam, jakby to nie było oczywiste.

– Zaginiona dziewczyna. Od dwóch dni. Zniknęła z domu w środku nocy, nie ma śladów włamania.

– Uciekła?

– Nie sądzę. Jej matką jest Emily Hague.

– Emily Hague, ta *aktorka*? – Ledwie mogę w to uwierzyć. Gwiazda filmowa w Mendocino?

– Sam nie wierzę, że spadło na mnie coś takiego. Rodzina nie chce, żeby sprawa przedostała się do mediów. Ojciec usiłował dać mi pod stołem dziesięć tysięcy dolarów, żeby przyspieszyć poszukiwania. Jakby to mogło cokolwiek zmienić. Wystarczy pomachać pieniędzmi i dziewczyna wyskoczy z kapelusza.

– Mam nadzieję, że je wzięłeś.

Natychmiast reaguje śmiechem.

– Słuchaj, wyskocz ze mną później na drinka.

– Nie mogę.

– A tam, nie możesz. U Pattersona o ósmej albo będę cię szukał.

Czuję kolejny zawrót głowy i marzę, żeby móc mrugnąć i zniknąć. Znaleźć się daleko i być niewidzialną. Ale to Will.

– Postaram się.

– Będziesz. – Odchodzi w stronę zorganizowanego zespołu, wydając po drodze polecenia.

Wsiadam do auta i uruchamiam silnik, a ekipa wyrusza na główny szlak. Znam to na pamięć i wiem, jak ciężka praca ich czeka. Będą przeczesywać każdy kilometr kwadratowy, wypatrując naruszonej roślinności albo skrawków ubrania, czegokolwiek, co wygląda nietypowo. Część psów to zwierzęta poszukiwawczo-ratunkowe skupione na zapachu Cameron z bluzy czy poduszki, czegoś, co często używała. Inne psy są wyszkolone w poszukiwaniu zwłok, wykrywaniu śladów ludzkiego rozkładu, zapachu unoszącego się z ziemi albo przenikającego powietrze.

W przypadkach takich jak ten, kiedy ktoś po prostu zniknął, jest szansa – przynajmniej na początku – że odnajdzie się cały i zdrowy. Możliwe, że Cameron zgubiła się gdzieś w lesie albo zdecydowała się na ucieczkę.

Zaginienie nie jest przestępstwem, ale towarzyszy mu wymowna pustka, znajome mroczne migotanie, które skłania mnie do zastanowienia. Może została przymuszona do ucieczki, a może nawet sama przyczyniła się do krzywdy, jaka ją dotknęła. Przypominam sobie pewną starą historię o duchach, o tym, że diabeł kradnie dusze, upominając się o nie otwarcie. Nie jest złodziejem, ale mistrzem manipulacji. Prawdziwym zagrożeniem, w każdym razie tak wynika z opowieści, nie jest sam diabeł, ale nieświadomość, że ma się wybór i można mu się przeciwstawić.

To najsmutniejsza część, moim zdaniem, i widzę ją na okrągło. Niektóre ofiary nie mają w sobie nawet cichutkiego „nie”. Nie wierzą, że same mogą ocalić swoje życie.

(siedem)

Przez całą drogę do miasteczka czuję się jak poruszona śnieżna kula, a strzępy wyraźnych wspomnień zderzają się ze sobą. Will nadal tu jest. Został szeryfem, tak jak jego ojciec, i co teraz? Jak mam odpowiadać na pytania, jakimi najprawdopodobniej mnie zarzuci, o moje życie i dlaczego wróciłam do domu? Jak uniknąć słuchania kolejnych informacji o jego sprawie, która już i tak nie daje mi spokoju? I jak ustrzec się rozmowy o przeszłości? Przecież nie jesteśmy tylko dwojgiem przyjaciół bez bagażu doświadczeń.

Przez wszystkie te lata, od czasu, kiedy miałam dziesięć lat, a Will czternaście, byliśmy obecni w swoim życiu. Jego ojciec Ellis Flood był najlepszym przyjacielem Hapa, więc często razem przebywaliśmy. Ale nawet gdyby nie to, w miasteczku tak małym jak Mendocino dzieciaki tworzyły paczki, budowały fortece z dryfującego drewna na Portuguese Beach, szwendały się po lesie za Jackson Street albo w bezksiężycowe noce bawiły się w podchody na klifach. Do naszego gangu należeli jeszcze Caleb i Jenny Fordowie, bliźniaki, które wychowywał tata, bo ich matka uciekła wiele lat wcześniej z innym mężczyzną w poszukiwaniu życia, które nie miało z nimi nic wspólnego.

Zawsze ciągnęło mnie do dzieciaków z podobną do mojej historią, jakbyśmy tworzyli klub z niewyartykułowanym hasłem. Bliźniaki były ode mnie dwa lata starsze, ale różnicę wieku, nie wiedzieć czemu, bardziej odczuwałam wobec Jenny niż Caleba. Caleb był mądry w sposób, który wydawał mi się interesujący, głowę miał pełną dziwnych faktów i historii dotyczących miasteczka i idealnie nadawał się na kolegę. Ja też zawsze lubiałam wiedzieć, nie tylko rzeczy z zakresu historii, ale o wszystkim, co się wokół dzieje. Poznawać szczegóły dotyczące ludzi i miejsc, stare opowieści i nowe tajemnice, i wszelkie sekrety.

Tak się złożyło, że Caleb znalazł najlepsze kryjówki do podchodów. Pewnego wieczoru poszłam za nim, kiedy Jenny zaczęła odliczać i wszyscy się rozpięchli. Duża część dzieciaków w zabawie w chowanego była typem samotnych wilków, ale Caleb nie miał nic przeciwko temu, żebym poszła z nim. Podreptałam więc za nim aż na skraj klifu, gdzie nagle jakby zapadł się pod ziemię. Podeszłam dalej i zobaczyłam, że znalazł małą żerdź na cyprysie, idealną na bocianie gniazdo. Rozwidlone gałęzie utrzymywały jego ciężar, a całe drzewo osadzone było, jak za sprawą magicznej sztuczki, w zboczu urwiska. Miejsce było genialne, a odczucie zakazane. Znajdowaliśmy się właściwie poza krawędzią, ale mimo wszystko byliśmy bezpieczni. Konary pod nami miały rozmiar idealny dla dwóch chudych dzieciaków. Gałęzie były na tyle gęste, żeby nas ukryć – tak skutecznie, że kiedy Jenny przybiegła i spojrzała prosto na drzewo, z twarzą oświetloną na cytrynowożółty kolor w blasku swojej małej latarki, poszła szukać dalej.

Wszystko to było dla mnie ciągle nowe i obce, nocne zabawy i gromadne śmiechy kumpli z sąsiedztwa: dzieciństwo. Caleb i ja uśmiechnęliśmy się do siebie zadowoleni, bo wygraliśmy. Mogliśmy wygrać każdą przyszłą zabawę. Wydawało się, że noc rozciąga się we wszystkie strony, stworzona dla dzieciaków takich jak my, niepokonanych – nieśmiertelnych – kiedy daleko na klifie Jenny wykrzykiwała imiona w nadziei, że skłoni kogoś do ujawnienia się. Obserwowaliśmy ją przez długi czas, z latarką, podskakującą i znikającą w czarnych zaroślach, aż w końcu puszczone przez nią światło stało się mniejsze niż łeppek szpilki.

Will podkochał się wtedy w Jenny, jak wszyscy. Nie było w miasteczku ładniejszej ani miłszej dziewczyny. Miała równe białe zęby jak z reklamy miętówek, miedziane piegi na grzbiecie nosa i długie brązowe włosy, które kołysały się z boku na bok, gdy szła. Miała też piękny, melodyjny głos, wysoki i zapadający w pamięć, jak Joni Mitchell. Trzymając stopy zakopane w mokrym piasku, grała na gitarze w te wieczory, gdy rozpaliliśmy ognisko, a inne dzieciaki podawały sobie kradzione piwo, słuchając jej jednym uchem. Nie byłam w stanie oderwać od niej wzroku.

Któregoś wieczoru zaśpiewała napisaną przez siebie piosenkę zatytułowaną *Dobranoc, Kalifornio*, o dziewczynie, która czuje się tak pusta i zagubiona, że wchodzi do morza i już nie wraca. „Nie szukajcie mnie, jestem nikim”, mówiły słowa piosenki.

Na plaży, w czerwonożółtym blasku ognia tworzyła tak intymną atmosferę, że miałam wrażenie, jakbym w rzeczywistości obserwowała ją samą w jej pokoju, z ciałem pochylonym nad gitarą, wyśpiewującą te wszystkie słowa o samotności. W prawdziwym życiu Jenny nigdy nie sprawiała takiego wrażenia, ale ja wiedziałam, że to o niczym nie świadczy. Smutek mógł się skrywać pod każdą powierzchnią.

Ponieważ Jenny była ode mnie o dwa lata starsza i nie dopuściła mnie do siebie, niewiele wiedziałam o tym, jak wygląda sytuacja u niej w domu. Ale może nie powiedziałaby mi nawet, gdybyśmy były najlepszymi przyjaciółkami. Istniały tysiące różnych sposobów, żeby milczeć, wiedziałam o tym. Piosenka była wymowna, przynajmniej dla mnie, przypawiła mnie o gęsią skórę na rękach i karku, trafiła w samo sedno. *Dobranoc, Kalifornio. Dobranoc, błękicie. Moją opowieść snuć mogą teraz fale. Wszystkie te słowa są dla ciebie.*

Miałam piętnaście lat, kiedy Jenny Ford zniknęła w sierpniu 1973 roku. Miała prawie osiemnaście lat i właśnie skończyła liceum w Mendocino. Jesienią miała pójść na uniwersytet w Santa Barbara, studiować pielęgniarstwo. Ale przedtem podjęła pracę czterdzieści pięć minut drogi w głąb lądu od rodzinnego miasteczka, w Husch Vineyards w Philo – odkładała pieniądze na samochód, a do domu wracała z kimś, kto akurat jechał w jej stronę. Pewnego wieczoru wyszła z pracy jak zwykle, lecz do Mendocino nie dotarła. Mieszkańcy miasteczka przez wiele dni byli spanikowani, zwłaszcza Caleb. Trudno było na to patrzeć. Krążyły plotki, że Jenny mogła uciec. Nastolatki robią to nagminnie z rozmaitych powodów. Ale Caleb upierał się, że ona by tego nie zrobiła – powiedziałaby mu albo zabrała go ze sobą.

Kiedy czekaliśmy na wieści, czułam, jak w moim ciele budzi się stary, uśpiony strach. Te lata w Mendocino z Hapem i Eden

zsumowały się we mnie i sprawiły, że poczułam się bezpiecznie – uratowana. Ale teraz miałam pewność, że to, co się stało z Jenny, równie dobrze mogło przydarzyć się mnie. W głębi duszy zbytnio się nie różniłyśmy.

(osiem)

Will siedzi w samym końcu przy barze z niemal pustym kubkiem kawy przed sobą, kiedy wreszcie przekraczam próg Pattersona parę minut po wpół do dziewiątej.

– Zaczynałem myśleć, że mnie wystawiłaś – mówi, ściskając mnie ciepło i mocno.

Odwzajemniam uścisk i zauważam, że wziął prysznic i przebrał się w świeży mundur. Włosy ma wilgotne, zaczesane na płasko, ale wiem, gdzie znajduje się każdy wicherek i jak niesfornie będą wyglądać te włosy, gdy wyschną. Nie licząc zwykłych oznak upływu czasu, Will jest dziwnie niezmienny – ta sama mocna szczeka i długie rzęsy. Ta sama pełna energii elegancja jego ciała, jakby był pół człowiekiem, pół labradorem.

– Cholernie mnie dziś zaskoczyłaś – mówię.

– Ty mnie też – śmieje się cicho i gestem przywołuje barmankę, blondynkę w średnim wieku o łagodnych rysach twarzy, z mocną kreską wokół oczu.

Zamawiam guinnessa z kieliszkiem jamesona i odwracam się do Willa.

– Nie napijesz się ze mną?

– Jestem w pracy. Tak naprawdę skończę dopiero, jak znajdę tę dziewczynę.

– No tak. Nie pomyślałam. – Barmanka wraca z moim zamówieniem, a ja wyciągam kufel z piwem w kierunku Willa i wznoszę udawany toast. – Nie mogę uwierzyć, że ciągle tu jesteś. Miałaś tyle wielkich planów.

– Tak? – Krzywi się. – A dokąd miałem się wybrać?

– W tysiąc miejsc. Gdziekolwiek.

– Chcesz powiedzieć: wyjść z cienia starego?

– Może. Myślę o nim czasem. Te jego występy. Królik Bugs.

– Tak. Ciężko nad tym pracował. Ćwiczył godzinami. Potrafi być sukinsynem, ale jest zabawny.

– Nadal tu mieszka?

– W domu opieki w Fort Bragg. – Will składa dłonie nad kubkiem kawy i bawi się palcami, wyraźnie zakłopotany. – Nie do końca z nim wszystko w porządku, jak to się mówi.

– Oj, przykro mi.

– Nic się nie stało. – Unosi ramiona do uszu, a później je opuszcza, próbując coś z siebie wydobyć. – Ciągle potrafi rozśmieszyć moje dzieci.

– Masz dzieci? Super. Na pewno jesteś dobrym tatą.

– Staram się.

– Chłopiec? Dziewczynka?

– Jedno i drugie, dziesięć i dwanaście lat. Oboje zbyt bystrzy, każde na swój sposób.

– A twoja żona czym się zajmuje?

– Beth. Uczy w szkole Montessori niedaleko. Pracuje tam od dawna. Jest wspaniała dla dzieciaków.

– Miły obrazek. – Instynktownie zerkam na jego lewą rękę. Nie ma obrączki ani wgłębienia w miejscu obrączki, ani też jasnego śladu na opaleniznie. Może jej nie nosi, a może jest coś, o czymś mi nie mówi.

– A co u ciebie? – pyta. – Na długo przyjechałaś?

– Nie wiem. – Odwracam wzrok. – Żyję z dnia na dzień.

– Wyszłaś za męża?

– Wzięłam ślub ze swoją pracą. – To kłamstwo, w którym jest morze prawdy.

– Śledziłem trochę twoje zawodowe losy. Projekt Latarka. Świetnie sobie poradziłaś.

– Reflektor – poprawiam go. – Dzięki.

– Te wszystkie zaginione dzieciaki, to musi być trudne. Nie mógłbym się tym zajmować.

Przecież się zajmujesz, chcę powiedzieć, ale to nie byłoby w porządku.

– Jak się trzymasz? – pytam.

Kręci głową, wyraźnie zmęczony.

– Nie spałem, odkąd dostałem telefon. Rodzina chce odpowiedzi, a ja ich nie mam.

– FBI wkroczyło do akcji?

– Potrzebuję dowodu porwania, żeby zainteresowali się tym federalni, lecz go nie mam. Prawdę mówiąc, nie mam w ogóle żadnych dowodów ani motywu. Ani świadków, ani miejsca zbrodni.

– Ale myślisz, że ktoś ją porwał.

– To tylko przeczucie, ale tak. Tak myślę. Parę lat temu była ta dziewczyna spod Richmond. Zniknęła z ogródka przed własnym domem.

– Amber Swartz-Garcia.

– Była w podobnym wieku, co?

– Ona miała siedem lat. Siedem a piętnaście to diametralna różnica. Poza tym to było pięć lat temu.

– No tak – wzdycha. – Przepraszam. Zapominam, że jesteś na wakacjach.

– Nie szkodzi. Mój umysł gliniarza tak naprawdę nigdy nie robi sobie wakacji. Jakies powody, żeby podejrzewać rodzinę?

– Na razie nie. Jeszcze prowadzimy przesłuchania.

– Domyślam się, że sprawdzacie notowanych sprawców przestępstw seksualnych z okolicy? Meldujących się na zwolnieniu warunkowym i przedterminowym? Każdego, kto mógł mieć skłonność do dziewczyn w jej wieku, do przestępstw tego rodzaju?

Posyła mi rozbawione spojrzenie.

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać?

– To moje jedyne hobby. – Wzruszam ramionami i wypijam łyk piwa. – Może ktoś nią manipuluje. Albo wciągnął ją w mroczne sprawy, a ona nawet o tym nie wie.

– Masz na myśli narkotyki? Wydaje się czysta jak łąza.

– Może seks. Może ktoś chciał ją kontrolować.

– Brat jej matki miał zarzuty za gwałt na studiach, ale to było trzydzieści lat temu. Może to tata Cameron?

– Zdarza się. – Kiedy się pochylam, nie mogę nie zauważyć napięcia wokół oczu Willa. Rozpaczliwie potrzebuje wytchnienia, rozumiem

go. Doskonale wiem, co w tej chwili dźwiga. Jak to wszystko może mu ciążyć.

– Jest adoptowana. Może to ma jakieś znaczenie?

Rzucił ten detal, jakby był po prostu kolejnym elementem do rozważenia, ale trafił w moje czułe miejsce. Cameron mogła się zmagać z typowymi skutkami adopcji, swoim zachowaniem testując miłość rodziców. Mogła też nosić całe warstwy blizny emocjonalnej, zmagać się z problemami z tożsamością czy przywiązaniem, z problemami z poszanowaniem granic albo przejawiać skłonności autodestrukcyjne.

– Może. – Wysiłam się, żeby zachować opanowany ton. – O ile ma jakieś problemy. Ale powiedziałaś przed chwilą, że jest czysta jak łąka.

– Wiem. Cholera. – Bierze głęboki i głośny oddech, a później daje znak barmance, żeby przyniosła rachunek.

– Mam nadzieję, że niedługo trafisz na trop – mówię.

– Ja też – rzuca bez przekonania. – Powiem ci coś. Zacząłem cenić ojca z nowego powodu. Presji, jaką musiał znosić w tamtych czasach, kiedy nie był w stanie zrobić czegoś dobrze. I poczucia porażki. – W jego westchnieniu słysząc udrękę całych pokoleń, podobnie jak w jednej muszelce słysząc cały Pacyfik. – Wszyscy oczekiwali, że sprawi, że znów poczują się bezpiecznie. A on nie potrafił tego zrobić.

Mówi o Jenny Ford. Oboje o niej mówimy, nie wymieniając jej imienia.

– Widziałaś się już z Calebem? – pyta nagle Will.

– Co takiego? Caleb jest *tutaj*?

– Wrócił prawie rok temu, po śmierci ojca. Zawał. Caleb odziedziczył wszystko, sprzedał też wszystkie obrazy. Ten stary bydlak miał miliony.

– Tak? – Przywołuję w pamięci Jacka Forda, jakiego znałam, ekscentrycznego pustelnika, zawsze w tych samych poplamionych farbą dzinsach i flanelowej koszuli, z postrzępionymi włosami, jakby sam je sobie ścinał kuchennym nożem. *Milioner*? – Nigdy go nie lubiłam.

– Ja też nie. Było w nim coś odpychającego. Nigdy się drugi raz nie ożenił.

– Wcale mnie to nie dziwi. Raczej nie byłoby z niego wielkiego pożytku. A co u Caleba?

– W porządku, chyba, jak na okoliczności. Nie widuję go często.

– Myślałam, że nigdy nie wróci do tego miasta. Wiąże się dla niego z takim bólem.

– Dla nas przecież też – mówi Will po prostu. – A jednak tu jesteśmy.

Regulujemy rachunek i wychodzimy z baru na cichą ulicę, gdzie latarnie zdają się rzucać nadprzyrodzony blask na *Czas i Dziewicę*, zagadkowych i hipnotyzujących jak zawsze.

Will zatrzymuje się na środku chodnika i mruga.

– Miło cię znowu widzieć, Anno. To nie był najlepszy rok. Nie będę kłamał.

– Dla mnie też nie. – Obejmuję go lekko, zaskoczona swoim ściśniętym gardłem.

– Jedź ostrożnie.

– Jednym piwem nie można się upić – mówię.

– Serio? Powtarzaj to sobie przez całą drogę.

Jego samochód stoi kawałek od mojego. Wiem, że czeka go jeszcze dużo pracy, ale czuję, że mimo wszystko zwleka. Może wyczuwam w nim zwykły niepokój z powodu sprawy zaginięcia, a może to samotność. Możliwe, że szczegóły na temat idealnej rodziny były kłamstwem. A może jego małżeństwo ma się całkiem dobrze, ale on zboczył z właściwych torów w jakiejś innej kwestii. Doskonale wiem, jak szybko życie potrafi się wywrócić do góry nogami.

Otwieram drzwi i siadam za kierownicą bronco, a Will podchodzi do mnie ze smutną, zrezygnowaną miną. Przez długą chwilę patrzy mi w oczy i wydaje z siebie cichy, niespokojny pomruk. *Zamierza mnie pocałować?*

Źle go odczytałam.

– Cieszę się, że wróciłaś – mówi. – Nawet jeśli tylko na moment. W chwilach takich jak ta, kiedy wydaje się, że świat oszalał, dobrze mieć obok przyjaciół.

Oczywiście, ma rację. Nie po to przyjechałam, ale ma całkowitą rację.

(dziewięć)

Pięć dni po zaginięciu Jenny dwóch wędkarzy znalazło jej ciało w rzece Navarro tak nasiąknięte wodą i zniekształcone, że biuro koronera musiało stwierdzić jej tożsamość na podstawie uzębienia.

Hap zabrał mnie do lasu, żeby mi powiedzieć. Do tej pory zawsze zachowywał zimną krew, ale teraz z wyraźnym trudem próbował chwycić mnie za rękę.

– Zawsze jestem z tobą szczery, prawda, Anno? – zagadnął drżącym głosem.

Zaschło mi w gardle. Miałam wrażenie, że ziemia usuwa się spod moich tenisówek, ale Hap mówił dalej, wyjaśniając, jak wędkarze natrafili na szczątki Jenny na rzadko uczęszczanym odcinku rzeki. I że gdyby nie oni, być może nigdy nie udałoby się jej odnaleźć. I że nie utonęła. Została uduszona.

Ta historia była tak przerażająca, że chciałam, żeby Hap przestał opowiadać. Ale wiedziałam, że nie przestanie. Jeśli naprawdę chciał mnie chronić, nie mógł niczego zataić.

– Kto to zrobił? – Miałam wrażenie, że mój głos odbija się od drzew i wskakuje mi na kolana jak kamień, jak mały, twardy kawałek świata.

– Jeszcze nie wiemy.

– Czy szeryf Flood go złapie?

– Wierzę, że tak.

– Jak ktoś mógł zrobić coś takiego? – spytałam, choć znałam odpowiedź. Widziałam najróżniejszych ludzi zwichrowanych z powodu bólu i okoliczności. Ludzi, którzy zostali zranieni tak mocno i tak głęboko, że nie potrafili postępować inaczej i wyrządzali krzywdę innym.

– Jenny była taka młoda. – Rozpłakałam się, a gorące łzy wpadały mi do ust. – Nie zdążyła poznać życia.

– Częścią życia jest śmierć, Anno, rzeczy zbyt trudne do zniesienia. Wiele ich, a jednak je znosimy.

Wiedziałałam, że ma rację, ale dałabym wszystko, żeby usłyszeć coś innego. Gdyby tylko Hap mógł mi obiecać, że coś takiego nigdy więcej się nie wydarzy, że ja nigdy nie umrę i że on ani Eden też nie. Że wspólnie uchronimy się przed nieszczęściem, choć świat jest pełen najokrutniejszych rzeczy i ludzi. Ludzi pokręconych w środku na tyle, żeby zamordować siedemnastolatkę i zostawić ją w rzece jak śmieć.

– Jak je znosimy? – spytałam w końcu. – Te rzeczy niemożliwe do zniesienia?

Jego dłoń była nieruchoma i ciepła na mojej, ciepła i spokojna, i żywa. Nie odsunął się ode mnie na centymetr.

– Tak jak to, skarbie.

W kolejnych dniach zaczynam wychodzić z myśliwskiego domku z plecakiem, właściwie bez celu, żeby tylko być w lesie. Hap dawno temu nauczył mnie odczytywać wskazówki i podążać nawet mało uczęszczanym szlakiem oraz przemieszczać się bez szlaku. Nic lepiej nie koi umysłu. Piękno przyrody, mokre paprocie skulone na podłożu w dolinie, koronkowe od wilgoci. Musztardowe porosty i brodaczkki jak kleksy farby na ciemnych skałach oraz pniach drzew. Korony drzew w górze niczym nakreślona na niebie mapa.

Któregoś popołudnia po sześciu czy siedmiu kilometrach wędrówki przez Jackson State Forest natrafiam na odludną lokalną drogę i docieram do Big River, która wije się przez całą tę część północnego nadmorskiego pasa i uchodzi do morza przy Big River Beach, na południe od miasteczka. Koryto rzeki jest wąskie i płytkie, z omszałymi kamieniami na dnie. Mam przy sobie szpulkę żyłki oraz kilka haczyków i próbuję złapać jednego z białych pstrągów połyskujących i ginących w cieniu. Ale są zbyt ostrożne, a mnie szybko robi się gorąco. Poddaję się, rozbieram się do bielizny i wchodzę do wody. W górze, w padającym z ukosa świetle, niczym złota mgła wirują cząsteczki sosnowego pyłku. Woda oplata moją skórę jak chłodne jedwabne wstążki. Czuję, że serce zaczyna mi bić wolniej. Właśnie to miał na myśli Hap, mówiąc o lekarstwie.

W drodze powrotnej kieruję się od razu na grań głównie z powodu wysiłku, jakiego wymaga podejście. Teren jest miejscami tak stromy, że muszę przykucnąć i wdrapywać się za pomocą rąk i nóg pośród szarych porostów, orlic oraz humusu, oddychając płytko i gwałtownie, z twarzą pokrytą fosforyzującym sosnowym pyłkiem.

Na szczycie grani zatrzymuję się, żeby się napić, zdyszana i szczęśliwa. Jedna złamana choina, z pniem podobnym do czarnej mokrej gąbki, wygląda jak zabity gigant. W miejscu, gdzie bryła korzeniowa wyrwała się z ziemi, dostrzegam w glebie trzy długie zadrapania i zwierzęcą kupę, którą mogła zostawić puma. Pochylam się, żeby się przyjrzeć, i zauważam coś kątem oka, nie zwierzę, ale nieruchomy kształt. Szałas.

Choć słońce zaczęło już zachodzić, a między moimi łopatkami usadowił się chłód, puszczam się w dół zbyt zaintrygowana, żeby nie przyjrzeć się temu dokładniej. Muszę się odchyłać, żeby przy schodzeniu nie stracić równowagi. Warstwa ziemi jest cienka i pełna pułapek. Sucha orlica kłuje mnie w dłonie i okłada po dżinsach, ale w końcu docieram do małej chaty. Ktoś podręcznikowo zorganizował sobie miejsce polowania, opierając długą na metr osiemdziesiąt żerdź o odartą z kory daglezję i przewiązując ją z przerwami drucianymi pętlami. Pułapka na pewno się sprawdzała. U podstawy drzewa na łuskach szyszek i innym leśnym runie widać było ślady deptania, uporczywego wysiłku włożonego w to, żeby wyzwolić się z wnyków. To bardzo skuteczne miejsce zabijania, wręcz eleganckie. Ten, kto je zbudował, zna się na rzeczy i odżywia się bardzo, bardzo dobrze. Szałas jest równie porządny z technicznego punktu widzenia, a mnie włącza się w głowie subtelny alarm. Chata nie wygląda na dom myśliwego – konstrukcja w kształcie stożka przypomina mi historyczne zdjęcia rdzennych mieszkańców, takich jak Pomo.

Osiedlali się w małych gromadach w Kalifornii Północnej tysiące lat przed Europejczykami, a ich domy były bardzo podobne do tego, okrągłe u podstawy, z żerdziami wspierającymi pochyłe ściany, związanymi trzcina i obłożonymi korą oraz drewnem sekwoi. Kto zadałby sobie tyle trudu, żeby zbudować dokładną replikę szałasu ludów Pomo? I dlaczego tak daleko od miasta, wiele kilometrów

od drogi? Czy to robota jakiegoś obłąkanego surwiwalowca przekonanego o rychłym końcu świata? Kogoś, kto żyje poza systemem, bo ma coś do ukrycia? Czy tylko mój mózg gliniarza doszukuje się mrocznych wyjaśnień, a to prawdopodobnie jakiś wielbiciel natury, jak Hap czy ja, który czasem potrzebuje lasu i ciszy, żeby poczuć się sobą?

– Halo? – wołam w końcu i nasłuchuję, ale odpowiada mi tylko cisza.

Do Mendocino jadę znów dopiero 1 października, po wyczerpaniu wszystkich zapasów. Światło zaczęło się zmieniać wraz z porą roku, jak zawsze, wyostrzając kontury i cienie oraz wzbudzając wdzięczność za każdy słoneczny dzień. Ten jest chłodny, ale bezchmurny, a przenikliwa rzeźkość przyjemnie muska twarz. Po zakupach upycham siatki w aucie i postanawiam się trochę przejść. W Rotary Park przy samotnym stoliku obok małej, podniszczonej pałatki piknikują mężczyzna i kobieta. Jest z nimi średniej wielkości pies o krótkiej rudawej sierści, z ciemnym pyskiem. Dostrzega mnie i zadziera głowę, jakbyśmy się przyjaźnili. Podbiega i zaczyna za mną iść.

Z początku bawi mnie to, jak szybko dorównuje mi kroku. Zatrzymuję się i podnoszę dłoń jak kierujący ruchem policjant.

– Zostań. – Ale pies mnie ignoruje. Robię krok, a on za mną. Śmieję się, a on siada. Gramy w serialu komediowym, choć chyba nikt nas nie ogląda, nawet ta para hippisów w parku.

Wracam do nich.

– Hej, mogliby państwo przypilnować swojego psa?

– Nie jest nasz – informuje kobieta. Może mieć trzydzieści albo pięćdziesiąt lat, ma opaloną twarz i nastroszone blond włosy przypominające kaczki puch. Bluza z logo Seahawks sięga jej do połowy uda, a pod nią ma długą wzorzystą spódnicę. – Nigdy go nie widziałam.

Facet, który z nią jest, wygląda, jakby żył na ulicy od czasów Lata Miłości. Pojedynczy, luźno spleciony, ale czysty, siwiejący warkocz zwisa mu nad jednym ramieniem. Jeden srebrny ząb połyskuje, kiedy mówi:

- Ale to mądry pies.
- Skąd pan wie? Nigdy nie miałam psa.
- Po oczach widać – wyjaśnia. – Słucha, mądra.
- Ona?

Posyła kolejny okraszony srebrem uśmiech.

- Nie jest pani psiarą.

Niespodziewanie parskam śmiechem, rozbawiona.

- Może ją pan w takim razie przytrzymać, żebyśmy mogła stąd pójść?

– Nie ma sprawy. – Wskazuje na ziemię, a pies siada i czeka na następne polecenie. Kiedy mężczyzna wyciąga rozpląszczoną dłoń, pies kładzie się na brzuchu. Na grzbiecie jego lewej dłoni dostrzegam pół tuzina iksów w okręgu.

- Co znaczy pana tatuaż? – pytam, wskazując dłoń.

– Lekcje. – Jego źrenice są tak czarne, że wyglądają, jakby podskakiwały. – Rzeczy, o których nigdy nie powinienem zapomnieć.

– Proszę nie wierzyć we wszystko, co mówi – odzywa się jego towarzyszka. – Kiedyś usiłował wmówić, że symbolizują mężczyzn, których zabił podczas bitwy. Proszę go spytać jakiej.

- Jakiej bitwy? – pytam posłusznie.

– Pod Waterloo.

(dziesięć)

Eden była pierwszą poznaną przeze mnie osobą, która wierzyła we wcześniejsze wcielenia. Przedtem w różnych miejscach pobytu zetknęłam się z szalonym przekrojem religijnych wierzeń, od mormonizmu przez zielonoświątkowców po nowo narodzonych prezbiterian, ale żadne z tych wyznań mnie nie przekonało. Wszechświat Eden był większy i bardziej złożony od jakiegokolwiek innego, o jakim słyszałam, i o wiele bardziej intuicyjny. Dla niej koncepcja, że podlegamy reinkarnacji, była oczywistą kolejną cyklu życia. Całego życia. Wszystko kręciło się na nieustannie poruszającym się kole narodzin, wzrostu i schyłku, otaczający nas ocean miał nad sobą Drogę Mleczną i wszystkie galaktyki, niezliczone niczym paprocie rozpościerające się na poboczu drogi. Boga nie było gdzieś *tam*, w jakimś królestwie niebieskim, ale był tutaj, na świecie, w skibach ziemi i rosie, w cierpliwości pająka mieszkającego za słojem z cukrem, w delikatnych niciach jego pajęczyny. Śmierć nie była końcem, podobnie jak drżąca fala na Portuguese Beach nie przestawała się poruszać. Ona się z tym pogodziła, a ja ciągle się zmagalam.

Po odnalezieniu ciała Jenny dochodzenie ciągnęło się miesiącami. Wydawało się, że usiłując wyjaśnić zagadkę, Ellis Flood i jego zespół przesłuchali pół miasta. Jej ojca i Caleba, wszystkich przyjaciół Jenny i jej współpracowników z winnicy w Philo. Głównym podejrzanym był Jack Ford. Od zawsze był dziwakiem i wszyscy wiedzieli, że pije. Poza żoną, która zostawiła go niespodziewanie, kiedy Caleb i Jenny mieli sześć lat, nie mówiąc, dokąd się wybiera, nie miał bliskich więzi nawet z własnymi dziećmi. Nieraz widziałam, jak Caleb się krzywił, kiedy Jack go wołał, ale to nie żaden dowód. Ellis Flood nie odkrył niczego, co mogłoby go obciążać, więc dochodzenie ciągnęło się dalej.

Jak się okazało, Jenny pisała pamiętnik, który znalazła policja, przeszukując jej pokój. Jego kartki wypełnione były głównie zagadkowymi wierszami i słowami piosenek, ale w miesiącach poprzedzających śmierć Jenny spora liczba wpisów mówiła o jej chęci ucieczki z domu, tak jak zrobiła to matka, bez słowa. Sytuacja wydawała jej się nie do wytrzymania. Nie mogła zostać. Nie była w stanie dłużej tego znosić. Tak brzmiał ogólny wydzźwięk tego, co napisała, ale nie pojawiały się żadne konkrety dotyczące napięć czy obaw ani tego, dlaczego czuła się tak zdesperowana akurat teraz, skoro lada moment miała wyjechać na studia. Przyjęto tezę, nie wiadomo, czy słuszną, że Jenny zamierzała uciec tej nocy, kiedy zaginęła, lecz zamiast kogoś, kto by ją podwiózł, spotkała zabójcę. Nie natrafiono na wiarygodny trop prowadzący do przestępcy. Mógł nim być włóczęga, który przebywał tu tylko chwilę, albo ktoś, kto nadal jest wśród nas i wcale się nie ukrywa.

Sąsiedzi zatrzymywali się na ulicy, żeby porozmawiać. Hap i Eden nigdy wcześniej nie zamykali na noc drzwi, ale teraz zaczęli to robić jak wszyscy. Służbowa broń Hapa, ta, którą zwykle trzymał w zamkniętym samochodzie, leżała w pogotowiu przy jego łóżku, kiedy spaliśmy. Czy dzięki niej czułam się bezpieczniej? Może trochę, ale świat z dnia na dzień przybrał inny kształt, zmienił się – nie tylko dla mnie. Biuro szeryfa o dwudziestej pierwszej zaczęło egzekwować godzinę policyjną, obejmującą wszystkich poniżej osiemnastego roku życia. Choć nikt i tak nie chciał po zmroku przebywać poza domem. Zdawało się, że czasy ognisk na plaży i zabaw w chowanego na cyplu minęły bezpowrotnie. Akurat wtedy, kiedy zaczynałam nabierać przekonania, że odnalazłam swoje miejsce.

Na końcu Kelly Street obłożony wyblakłym brązowym gontem dom Forda ma asymetryczny dwuspadowy dach, z jedną połącią schodzącą nisko ponad grunt i oddzielnym studiem, a oba budynki zwrócone są w stronę cypla i morza. Caleb powiedział mi kiedyś, że zbudował go jeden z założycieli miasteczka i że od 1859 roku mieszkali w nim jego potomkowie, w co nietrudno uwierzyć, patrząc na to miejsce. Jack Ford nigdy nie wkładał najmniejszego wysiłku w dbanie o dom, i teraz, po tylu latach od jego śmierci, wszędzie

widać skutki jego zaniedbań – w łuszczącej się farbie na okapie i gonce, podniszczonych drzwiach garażowych i w ogrodzie ze splątanymi wysokimi chwastami i ostami. Niemal jakby nadal tu był i pilnował, żeby nic nie wyrosło ani się nie zmieniło, ani od niego się nie uwolniło.

Jack od zawsze uchodził w miasteczku za ekscentryka. Malował olejnymi farbami na wielkich płótnach i rzadko opuszczał swoje studio. Nie miał wielu przyjaciół i zdawało się, że nie umie rozmawiać z ludźmi w cywilizowany sposób. Zawsze kiedy przychodziłam do Caleba, a był tylko Jack, odnosiłam dziwnie znajome wrażenie. Nie chodziło o to, co mówił, ani o to, co robił. Sama aura bijąca od niego odrzucała mnie do zamkniętych rozdziałów, które zostawiłam za sobą, ludzi, o których nigdy nie rozmawiałam.

Idę powoli Kelly Street w kierunku domu, choć nie wiem, po co właściwie przyjechałam ani na jakie odczucie liczę. Może jestem tu z powodu słów Willa o szalonych czasach i trzymaniu się przyjaciół z dawnych lat. A może nigdy do końca nie pogodziłam się ze śmiercią Jenny i muszę stanąć w progu jej domu jeszcze raz, mimo że nie otworzy mi drzwi.

Ledwie stoję przed furtką, z głową pełną wirujących wyjaśnień mojego zachowania, drzwi do studia się otwierają i wychodzi z niego mężczyzna. Jest wysoki i korpulentny, ubrany w malarski kombinezon upakowany białą farbą. Szara koszulka eksponuje opalony kark, szeroką klatkę piersiową, ramiona i duże dłonie. W niczym nie przypomina chudego, łebskiego chłopaka, którego kiedyś znałam.

– Caleb? – wołam.

Gwałtownie zadziera głowę, patrzy niewidzącym przez chwilę wzrokiem.

– To ja, Anna. Anna Hart.

Podchodzi do ogrodzenia, wyraźnie zdezorientowany, i w końcu mnie rozpoznaje.

– O mój Boże. Anna. Co ty tu robisz, do licha?

– Wpadłam z wizytą. – Rumienię się, skołowana. Te wszystkie dzielące nas lata zdają się kurczyć i rozszerzać. – Spotkałam Willa

Flooda i mi powiedział, że wróciłeś. Wszystko w porządku?

– Tak, jakoś leci. – Kiwa głową. – Rany. Anna Hart.

– Sporo czasu minęło.

Wzrusza ramionami, opuszczając jedno ucho do barku. Włosy chłopięco opadają mu na czoło.

– To prawda.

– Słuchaj, masz czas na drinka? – pytam bez zastanowienia.

– Jasne – odpowiada niepewnie. – Ogarnę tu tylko i spotkajmy się gdzieś za chwilę.

– Może kupię sześciopak i poczekam na ciebie na klifie?

– Jasne – powtarza. – Czemu nie?

Piętnaście minut później siedzimy na twardym występie nad Portuguese Beach i popijamy coorsa z puszki. Jest wczesne popołudnie i światło zsunęło się niżej. Piętnaście metrów pod nami w tę i z powrotem tuż przy wodzie biegają brodźce na nogach jak z kreskówek, a fala rozbija się o brzeg i cofa. Z jakiegoś powodu to wszystko wydaje mi się krzepiące i w pewnym sensie czule. Kiedy byliśmy młodzi, siedzieliśmy tu setki razy, czasami z kradzionym piwem. Tęsknię za tamtymi latami. Za tamtymi dzieciakami.

– Ty chodziłaś jeszcze chyba do liceum, kiedy wyjechałem – mówi Caleb po chwili. – Włóczyłem się parę lat, aż w końcu zaciągnąłem się do marynarki. Byłem tam szczęśliwy, nawet kiedy pojechałem do Zatoki Perskiej.

– Do Iranu? To musiało być trudne.

– Trochę. Pojechałem tam w siedemdziesiątym dziewiątym, w czasie rewolucji islamskiej. Było dość nerwowo, ale ocean zachwycał. Superciepły, nie jak ten sukinsyn. – Uśmiecha się. – Nauczyłem się tam swobodnego nurkowania. Widziałem ostrygi wielkości piłek do softballa. I zajebiste rafy. – Wypija duży łyk coorsa. – A ty?

– Pół roku studiowałam na stanowym uniwerku w San Francisco, rzuciłam studia i trochę się włóczyłam. Przez jakiś czas organizowałam wyprawy surwiwalowe do Yosemite.

– Fajnie.

– Było super, fakt, ale z czasem zaczęłam mieć wrażenie, że to kolonie.

– Nie chciałaś zostać leśniczym?

– Zastanawiałam się nad tym, ale praca w policji wydawała mi się ważniejsza. Wstąpiłam do akademii i zrezygnowałam ze wszystkiego innego. Od początku interesowało mnie poszukiwanie zaginionych osób. Wydawało mi się, że w ten sposób mogę zrobić coś dobrego. Nie wyjechałam z okolic Zatoki.

– Zaginionych osób, powiadasz? – Był wyraźnie zaskoczony. – Więc jesteś tu, żeby pomóc w poszukiwaniach tej licealistki?

– Nie. – *Na razie*, dodaje mój umysł, ale zachowuję to dla siebie, skrępowana taką bliskością dawnych uczuć. Przywołaniem Jenny jeszcze silniej niż do tej pory. – Robię sobie teraz przerwę.

– A, rozumiem, fajnie. – Słysząc, że mówi to szczerze. – Cieszę się.

– Dzięki.

Słońce chowa się teraz szybko, zabarwiając linię chmur. Pod nami na czole oceanicznej fali dryfują mewy, bez troski i wolne.

– To miejsce – mówi cicho Caleb, jakby czytał w moich myślach.

– Wiem.

(jedenaście)

W jednym szczególnie ciężkim roku w Reflektorze, kiedy miałam do czynienia z trojgiem martwych dzieci w ciągu zaledwie paru miesięcy, Frank Leary wysłał mnie do terapeutę.

– To nie jest kara – oznajmił. – Standardowe postępowanie. Sporo przeszłaś, Anno.

– Trzymam się nieźle.

– I dobrze. Niech tak zostanie.

Terapeutka nazywała się Corolla, jak samochód. Jej gabinet znajdował się na nabrzeżu i miał widok na Bay Bridge. Z okna widać było zaledwie drobne metaliczne srebro mostu rozmiarów wykałaczki, żart, żeby za coś takiego dopłacać. Miała fotel Eamesa i okulary Sally Jessy Raphael w czerwonych oprawkach, i kaszmirowe ponczo sięgające za kolana, a jego trójkątny koniuszek kierował uwagę na tradycyjny perski dywan, kiedy zakładała nogę na nogę.

Niby co ma mi to dać?, zastanawiałam się. Jak mam powiedzieć tej kobiecie w ponczo cokolwiek ważnego? I dlaczego miałabym to zrobić? Byłam dobra w tym, co robię, i miałam na koncie sporo osiągnięć. Tych trojga nie zdołaliśmy uratować, ale to się zdarza. Uratujemy następne. Nadal walczymy.

– Ma pani problemy ze snem? – wypaliła Corolla. – Koszmary?

– Nie większe niż zwykle.

– A co z nadużywaniem środków odurzających? Zastanawiała się pani kiedyś, czy przypadkiem nie pije za dużo?

A jak dużo to za dużo?, pomyślałam, ale odpędziłam niepokój i wymownie wzruszyłam ramionami.

– Coś pani powiem. Nie wierzę w tę całą psychoterapię. Bez urazy. Jestem tu, bo muszę.

– Wielu moich klientów miało traumę do przepracowania – ciągnęła niewzruszona. – Zaczynałam od sesji z żołnierzami po misjach bojowych z nerwicą frontową. Sporo żołnierzy po zakończeniu służby wojskowej przechodzi do policji. Myślą, że to, co wcześniej widzieli i robili, to pieśń przeszłości, stare dzieje. Stłamsili to. Zagłuszyli. Mają nieudane małżeństwa. Stają się alkoholikami. Aż nagle dzieje się coś, co wzbudza traumę. A wtedy trach, pękają.

– Dlaczego pani mi to mówi? Nigdy nie byłam w wojsku.

– Są inne pola bitwy. – Złączyła palce przed twarzą dla wzmocnienia efektu. – W kwestionariuszu wpisała pani, że wychowała się w rodzinie zastępczej. I że miała pani rodzeństwo. Co się z nimi stało?

– To nie ma nic wspólnego z moją pracą.

– Może i nie. Zależy od tego, na ile przepracowała pani to, co pani przeszła. Żeby uporać się z ciężarem, który niosła pani już wcześniej. Co może mi pani powiedzieć o swoich rodzicach? Pamięta ich pani? Dlaczego nie mogli pani wychowywać?

Jej pytania wydawały mi się zbyt natarczywe i zbyt trudne. Obróciłam ciało w nazbyt miękkim fotelu, marząc, żeby nasza godzina dobiegała końca, ale przecież ledwie się zaczęła.

– Nie chcę o tym rozmawiać. A poza tym niby jak to, że wyrzucę przed panią wszystko, co mi leży na wątrobie, miałyby mi pomóc w pracy? Poczuję się tylko gorzej.

– Rozmowa może przynieść ulgę. Bierze to pani pod uwagę?

– Nie.

Przyglądała mi się w trakcie długiej ciszy.

– Ludzie są wytrzymali. Nie mam wątpliwości, że znakomicie radzi sobie pani w pracy. Naprawdę świetnie się pani trzyma. Może nawet ciut za dobrze.

– Jak mam to rozumieć? – Zaczęłam ciężko oddychać. Ramiona miałam sztywne i spięte.

– Że duszenie wszystkiego w sobie nie jest rozwiązaniem na dłuższą metę. Może pani myśli, że uda się pani tak funkcjonować w nieskończoność. Ale to, co pani widziała, nie zniknie. To wszystko się w pani gromadzi i zaczyna się dawać we znaki. A oprócz tego jest

trauma, z którą się pani nie uporała. Nikt nie jest z żelaza. Zwracanie się po pomoc nie oznacza słabości.

Słabości? Skąd ona to wytrzasnęła?

– Nic mi nie dolega. Potwierdzi to każdy, z kim pracuję.

Zmierzyła wzrokiem moją twarz.

– Skoro nie chce pani mówić, możemy spróbować innych sposobów, żeby pomóc pani wszystko przemyśleć. Część moich klientów uprawia jogę albo tai chi, albo pisze pamiętnik. Próbuje zaproponować pani narzędzia. – Odłożyła notatnik, a później zdjęła okulary i trzymała je obiema dłońmi. – W jakim okresie w życiu czuła pani największy spokój, czuła się pani najbardziej sobą?

– Słucham?

– Najszczęśliwsze miejsce?

Nie miałam pojęcia, do czego zmierza, zadając te pytania, lecz jedyną możliwą odpowiedzią było Mendocino.

– Nie mam najlepszych wspomnień – wyjaśniam. – Ale tym miejscem jest dom.

– Dobrze. – Ścisnęła oprawki okularów i spojrzała na panoramę miasta, w niebo. Później zamknęła oczy. – Chcę, żeby codziennie wyobrażała sobie pani Mendocino, wybierała się tam w myślach. Proszę przywoływać je w pamięci, aż obraz stanie się pełny, tak jak pani zapamiętała. Kiedy już będzie wyraźny, chcę, żeby zaczęła pani budować dom, bardzo powoli, cegła za cegłą. Na tyle duży, by pomieścił wszystkich, których pani straciła, wszystkich, których nie była pani w stanie uratować.

Przeszył mnie dreszcz. Gapiłam się na nią. Jaki człowiek *mówi* w ten sposób? Jakie życie wiodła Corolla, że siedząc w pokoju z obcą osobą, czuła się na tyle bezpiecznie, żeby zamknąć oczy?

– W jaki sposób to ćwiczenie ma mi pomóc?

– W ten sposób zespoli pani wszystko, co pani przeżyła. Uzdrawiająca historia.

Uzdrawiająca historia? Czyżby wyczytała to w jakimś podręczniku dla terapeutów?

– Nie ma tak dużego domu, żeby to wszystko pomieścił – powiedziałam w końcu.

– To pani dom, w pani myślach. – Rysy jej twarzy złagodniały. – Może być tak duży, jak trzeba. Proszę pomalować pokoje na jasne kolory. Wpuścić światło. A kiedy już pani wszystko przygotuje, niech pani sobie wyobrazi, jak wszyscy wchodzą do niego razem, szczęśliwi, cali i zdrowi. Wszystkie te dzieci, które zasługiwały na lepszy los.

Poczułam, jak w mojej piersi coś drży i opada. Gdyby tylko przestała *gadać*, mogłabym się wyłączyć. Jednak nie przestawała.

– Nie chodzi o to, co pani dźwiga, ale o to, żeby nauczyć się to dźwigać. Musi się pani uleczyć. Musi pani uleczyć dziecko w sobie. Zrobić dla niego miejsce. Znaleźć sposób, żeby je wpuścić.

(dwanaście)

Po powrocie do domku po spotkaniu z Calebem odgrzewam puszkę gulaszu i zjadam go nad zlewem, a później nalewam do szklanki marker's mark na dwa palce i przed oczami miga mi moje odbicie w szybie. Beładny koński ogon, pognieciona termiczna podkoszulka i dzinsy nieprane od tygodni. Caleb był na tyle kulturalny, że nie wspomniał o tym, kiedy się spotkaliśmy, ale nie ulega wątpliwości, że nadawałabym się do filmu *Zew krwi*.

Siedzę jeszcze długo po północy, piję i patrzę w ogień, aż w końcu padam na szorstką kraciastą kanapę w dużym pokoju. Przychodzą sny, których nie chcę. O które nie prosiłam. Czy to w ogóle sny?

Jestem w lesie na wąskim szlaku z Eden. Ona idzie przodem w jednej z ciężkich służbowych kurtek Hapa, wyprostowana. Nie chora. Jeszcze nie.

– Spójrz, Anno. Pokazała mi to kiedyś znachorka. – Wskazuje drzewo, mocno pochylone, jakby zgięte w talii spoglądało w dół na gęsty wilgotny humus dookoła.

Zaraz.

– Znasz znachorkę?

– To punkt orientacyjny. – Słyszała moje pytanie? – Drogowskaz. Pomo czasami w ten sposób zostawiali sobie znaki, dawno temu. I popatrz, właśnie odczytujemy ich wiadomość.

– Jaką wiadomość?

Eden już nie ma, za to jest ze mną Hap, starszy, niż widziałam go za życia. Zgięty jak drzewo, niemal wpół. Zgarbiony na szlaku.

– Stare biodro, trzeszczy – mówi głośno, jakby słyszał moje myśli i wiedział, że się o niego martwię. – Chodź. Zrobimy to razem. Już prawie jesteśmy.

Gdzie? Chcę się przysunąć, ale jakbym ugrzęzła, utknęła w miejscu. Tęsknię za tobą, chcę powiedzieć. Nie dam rady sama.

– Już prawie jesteście – powtarza. Ale się nie rusza.

Mgła wokół nas jest tak gęsta, że kapie z drzew. Widzę bananowego ślimaka na ścieżce tuż przy mokrym czubku mojego buta, grubego, żółtozielonego, śliskiego od śluzu.

– Wszyscy dziś idą na drinka. – Znow słuca moich myśli i lekko się śmieje. – Popatrz na to.

Podobne drzewo-drogowskaz, którego gałęzie wskazują w dół na ranną łanię. Skóra zwierzęcia została rozdarta czymś strasznym, otwierającym brzuch, i widzę, jak drży jej serce wielkości pięści, czarne od krwi. Z jej gardła wydobywa się dźwięk ani ludzki, ani zwierzęcy, ale przypominający oba jednocześnie – rytmiczny, niski odgłos cierpienia.

Och, Hap. Zrób coś.

– Ja nie mogę, ale ty tak. Ona jest taka jak ty, skarbie. Dzięki temu ją znajdziesz.

Chwilę później łani już nie ma. Leśne podłoże ma barwę cynamonu od igieł sekwoi, chłodne i jednolite, i nieruchome. Hapa nie widać, lecz go słyszę, jego słowa przepływają przeze mnie jak prawdziwy dźwięk, jak morze w muszli, cały las w gałęzi jednego drzewa.

– Nie bój się. Będiesz wiedzieć, co robić. Po prostu podążaj za znakami.

Co takiego? Nie. Wróć!

– Anno, skarbie, dlatego tu jesteś. Otwórz oczy.

Budzę się z potwornym bólem głowy i obłożonym grubym językiem. Od dawna mam realistyczne sny. Prędzej czy później mają je wszyscy gliniarze. Ale ten sen pozostawił kaca, który ma niewiele wspólnego z maker's mark.

Włączam prysznic i stoję długo pod płynącą wodą, czekając, aż dudnienie w mojej głowie się wyciszy, lecz ono nie ustępuje. Dopada mnie fala mdłości i padam na podłogę, obejmuję kolana, a woda przykrywa mnie jak zasłona gorącego deszczu. Czuję dziwny tępy ból w dolnej części pleców i brzucha i jestem zdezorientowana, aż wyczuwam słabą woń żelaza. Zauważam strużkę krwi ciekącą do odpływu spomiędzy moich nóg, bladoróżową i rozwodnioną. Okres mi wrócił.

Zapalenie piersi powoli ustępowało i biust zaczął wracać do normalności, więc próbowałam zapomnieć o moim ciele, ale ono z całą pewnością wszystko pamięta. Mój krzyk tamtego dnia, jak kogoś obcego. Brendana powtarzającego, że karetka już jedzie, jakby to miało jakieś znaczenie. Sąsiadkę Joan nieodstępującą mnie na krok. Twarz miała białą. *Tak mi przykro*, powtarzała. Ale nie byłam w stanie jej odpowiedzieć. Później stanęli nade mną sanitariusze. Nogi oblepiały mi dżinsy, mokre i zimne. Czułam się w nich martwa. Powinnam wtedy wypuścić ciało, jednak nie mogłam rozchylić rąk. Z oddali dobiegał płacz dziecka. Jeden z sanitariuszy powtarzał moje imię, co nagle wydało mi się absurdalne.

Cała mokra trzęsę się pod prysznicem i czuję to wszystko z szokującą gwałtownością, ciężar poczucia winy, ból, jaki zadałam Brendanowi, wątpliwości Franka co do mnie, ruiny mojego życia w oddali jak płonące miasto. Miałam nadzieję, że Mendocino zdoła mi pomóc dojść do siebie i zapomnieć. A tymczasem jest pełne duchów i wskazówek, wiadomości, które czekały na mnie niecierpliwie. Hap w moim śnie o rannej łani. *Ona jest taka jak ty, skarbie. Dzięki temu ją odnajdziesz.* Udręczony wzrok Cameron na ogłoszeniu o zaginięciu. Jej wołanie o pomoc, którego nie jestem w stanie przestać słyszeć ani na chwilę, choćbym nie wiem jak próbowała.

Wstaję z kolanami złączonymi tak mocno, że mam wrażenie, jak niebezpiecznie jest być w moim ciele. Dopiero co tu przyjechałam. Nie jestem gotowa na żadną z tych rzeczy, ale to bez znaczenia. Na łazienkowym lustrze para znika w małym kręgu, a na samym jego środku znajduje się moja twarz. Wszystkie znaki mówią jedno. Mam odnaleźć Cameron Curtis.

2 UKRYTE SPRAWY

(trzynaście)

4 lipca 1970 roku wszystkie radiowozy z naszego departamentu szeryfa ustawiły się na Main Street do parady na klify, gdzie miał się odbyć pokaz fajerwerków. Miałam wtedy dwanaście lat i czekałam na swój przydział sztucznych ogni, które wszystkim dzieciom rozdawał Ellis Flood. W swoim gabinecie miał cały arsenał, włącznie ze świecami dymnymi i fontannami, i czerwonymi racami, które z boku czerwono-niebieskiego opakowania miały napis: „Nie trzymać w dłoni po odpaleniu”, jakby trzeba nam było to mówić. A może i trzeba było.

Za świętami nie przepadałam. Świętowanie oznaczało dla mnie zazwyczaj chaos, dorosłych jeszcze bardziej rozkojarzonych i nieodpowiedzialnych niż zwykle, pozwalających sobie na znacznie większy luz niż na co dzień.

W świąteczny poranek, kiedy miałam osiem lat, obudziłam się wcześnie w naszym mieszkaniu w Redding i odkryłam, że mamy nie ma w łóżku w jej pokoju, nie było jej w ogóle w domu. W salonie pod sztuczną choinką, którą ubraliśmy tydzień wcześniej, leżało tylko zmięte prześcieradło, na którym powinny czekać prezenty. Wszystkie trzy lampy świeciły się przez całą noc i rzucały migoczące tęczowe jajka na ścianę i na dywan. Na ławie, obok przepełnionej popielniczki, z reklamówki Longs Drugs wystawały trzy czerwono-białe filcowe skarpety, które nadal miały metki.

Wszystko zaczęło mi się układać w głowie w całość, ale z pokoju wyszły dzieciaki i musiałam szybko myśleć.

– Był Mikołaj? – spytał Jason. Miał na sobie swoją koszulkę Kapitana Kangurka i był bez spodni, z pluszowym gepardem Freddym pod pachą.

– W tym roku ma chyba dużo pracy – wyjaśniłam szybko. – Pewnie przyjdzie dopiero wieczorem.

– Gdzie Robin? – Amy wyciągnęła kciuk z buzi, żeby zadać pytanie, po czym szybko wsadziła go z powrotem, rozglądając się po pokoju, kiedy popychałam ją lekko od tyłu.

– Pomaga Mikołajowi. Chodźcie, zjemy śniadanie.

Jason i Amy byli moim przyrodnim rodzeństwem, mieli wtedy cztery i pięć lat. Irlandzkie bliźniaki, jak mawiała moja mama, choć ja nie miałam pojęcia, co to znaczy. Ich własna matka Trish zawsze była lekko nieogarnięta i od dawna ich nie odwiedzała. Nasz tata Red odsiadywał wyrok za napad z bronią w rękę na sklep monopolowy. Użył kominiarki, ale zdjął ją, jak tylko znalazł się na zewnątrz, więc byli świadkowie.

– Co za idiota – kwitowała nieraz moja matka, gdy już dostał wyrok. – Niedojda jakich mało.

Nauczyłam się jej przytakiwać dużo wcześniej i nie utrudniać sytuacji. Na szczęście lubiła dzieciaki, choć wcale nie były jej, i nigdy nie przejmowała się Trish. I tak większość roboty wykonywałam ja. Byliśmy na swoim już od miesiący, cała nasza czwórka, i jakoś sobie radziliśmy. Wolno mi było gotować, odkąd miałam pięć czy sześć lat, i nigdy nic mi się nie stało, nie poparzyłam sobie nawet palca.

– Dobry z ciebie pomocnik – mówiła mama od czasu do czasu, a wtedy czułam, jakby zza wielkiej ciemnej chmury wyjrzało słońce.

Tego ranka przyciągnęłam krzesło do kuchenki, żeby usmażyć jajecznicę, i drewnianą łyżką przesuwiałam jajka na patelni w tę i z powrotem, żeby dobrze się ścięły. Amy jadła tylko takie.

Amy miała bardzo jasne włosy. Kiedy się niepokoila, wsadzała do buzi ich końce i ssała je razem z kciukiem. Robiła to właśnie teraz.

– Gdzie Robin? – spytała znowu.

– Już ci mówiłam, pomaga Mikołajowi. Wypij mleko.

– Jestem jeszcze głodny – oznajmił Jason. – Mogę zjeść ciastko?

– Jajecznica ci wystarczy. – Zdążyłam już przejrzeć zapasy. Kiedyś, zanim dzieciaki z nami zamieszkały, mama wyszła do sklepu po papierosy i nie wracała przez dwa dni. Jadłam płatki z mlekiem, aż mleko się skończyło. Przy dzieciakach musiałam być bardziej zaradna. – Masz – powiedziałam, oddając Jasonowi resztę moich jajek. – Ubierzemy się i pobawimy na dworze.

– Nie musisz iść do szkoły? – zdziwiła się Amy.

– Nie, są święta, żabko. Dość już tych pytań.

Przez cały dzień bawiliśmy się na podwórku przed naszym blokiem, w pralni, która idealnie nadawała się do zabawy w chowanego, i na basenie, z którego pod koniec lata spuszczone wodę, a nowa miała się w nim znaleźć dopiero za kilka miesięcy. Zjedliśmy kanapki z żółtym serem pod krzewem kamelii, a później zbudowaliśmy czarodziejski ogród z kamieni i klamerek do prania, i wszystkiego, co udało nam się znaleźć. Zajęcie było dobre, bo długo trwało. Za każdym razem, kiedy któreś z dzieciaków pytało, kiedy wrócimy do domu, odpowiadałam im, że muszą być cierpliwe. Że Boże Narodzenie w tym roku się spóźnia z powodu śnieżnej burzy na biegunie północnym i dlatego Robin musiała pomóc.

Wszystko szło gładko jak po maśle, aż jedna z naszych sąsiadek, Phyllis, przechodziła ze swoim chihuahua Bernardem i przystanęła, mierzając nas wzrokiem, jakbyśmy już samym oddychaniem robili coś złego.

– Gdzie wasza matka?

– Śpi – odpowiedziałam, posyłając dzieciakom spojrzenie, które oznaczało, że mają nie zaprzeczać.

Jason kiwnął głową i wyciągnął rękę do Bernarda, lecz spłoszony pies odskoczył na bok, trzęsąc się.

Ten pies nie lubił ludzi, a zwłaszcza dzieci, ale Jason nie mógł się powstrzymać.

Phyllis z oburzeniem na twarzy wzięła na ręce roztrzęsione ciało psiaka i dalej się na nas gapiła.

– W święta?

Amy, która dotąd stała bez ruchu, wtrąciła się do rozmowy.

– A co w tym złego? Jest zmęczona.

Phyllis w końcu wróciła do swojego mieszkania, ale wyglądała przez szparę w zasłonach. Ja tymczasem pochwaliłam dzieciaki za to, że dobrze się spisały, i powiedziałam, że jestem z nich dumna. Bo byłam. Cały niepokój o matkę wynagradzała lekkość tego dnia, to, jak łatwe się wszystko wydawało, z wyjątkiem rozmowy z Phyllis, takie swobodne. Mama miała „sporo na głowie”, jak często mawiała. Wykarmienie trojga dzieci to nie był piknik, nawet z talonami na jedzenie. Choć Red bywał nieobliczalny i miewał humory, zawsze

potrafił ją rozśmieszyć. Teraz, kiedy od jakiegoś czasu go nie było, nic nie powstrzymywało jej przed wpadnięciem do głębokiej studni podłego nastroju. Była samotna i zmęczona, a życie płynęło obok niej.

Kiedyś przyłapałam Amy w korytarzu, jak zza drzwi słuchała mamy płaczącej w swoim pokoju. Siedziała w nim cały dzień.

– Czym Robin tak się martwi? – spytała Amy, kiedy dałam jej garść herbatników w kształcie zwierzątek, żeby odwrócić jej uwagę.

– Mnóstwem spraw. Nie zrozumiesz.

(czternaście)

Okazuje się, że Will zajmuje gabinet po ojcu. Podnosi głowę znad biurka, kiedy pukam, zajęty papierkową pracą w kałuży fluorescencyjnego światła, z czerwonoblond zarostem lśniącym na jego policzkach i nad górną wargą, z oczami zmęczonymi, ale wyczekującymi, kiedy mnie widzi; jest wyraźnie zaskoczony.

– Anna. Cześć. Co się stało?

– Masz czas, żeby pogadać?

– Prawdę mówiąc, chwilowo mam urwanie głowy. Mogę do ciebie później zadzwonić?

– Właściwie mam nadzieję, że pozwolisz mi pomóc w tej sprawie.

– Słucham? – Mruga szybko. – Mówisz poważnie?

– Bardzo.

Nalewa nam kawy do przebarwionych ceramicznych kubków i wsypuje śmietankę w proszku, pachnącą słodko i chemicznie, znajomo. Wszystko jest znajome, szarobeżowe przemysłowe ściany z pustaków, pogniecione szare teczki z wystającymi wycinkami i formularzami, podwinięte karteczki samoprzylepne i do połowy zużyte podręczne notesiki, porozrzucane niebieskie długopisy bic z połamanymi i pogryzionymi zatyczkami. Za biurkiem Willa wisi papier pakowy z nabazgranymi listami nazwisk, dat i godzin związanych ze sprawą Cameron. Tuż obok niego – kolejne ogłoszenie o zaginięciu, przypięte na linii wzroku.

UPROWADZONA

W Knife Point

Polly Hannah Klaas

Ur. 1.03.81

Brązowe włosy – brązowe oczy

1,47 m, 36 kg

Ostatnio widziana 1 października 1993 w Petalumie, Kalifornia

Spoglądam na nie i mój wzrok się na nim zawiesza, a wszystko wokół przyspiesza. 1 października był wczoraj.

– Zaraz. Co to jest?

Kręci głową, jakby żałował, że nie może wymazać faktów.

– Wiem, dużo tego. Wiszę na telefonie od świtu. Podejrzany jest ciągle na wolności. – Podaje mi portret pamięciowy postawnego mężczyzny w średnim wieku.

PODEJRZANY

Biały mężczyzna wiek 30–40 lat

Ok. 1,87 m

Ciemne / ciemnoszare włosy

Pełny zarost, ciemne ubranie

Żółta opaska na głowie

Jeżeli masz jakąkolwiek informację na temat tego mężczyzny

DZWOŃ NA POLICJĘ W PETALUMIE:

707-778-4481

Dużo tego? Przyjechałam tu gotowa zrobić, co tylko mogę, żeby znaleźć jedną dziewczynę, a tymczasem jest kolejna. Jakby przechodziły przez jakieś niewidzialne perwersyjne drzwi obrotowe.

– Jaki to ma związek z naszą sprawą? Czy to może być ten sam facet, który ma Cameron?

– Chyba na to liczę. – Will wzdycha. – Tym razem są świadkowie. Jest miejsce zbrodni. Dwie przyjaciółki Polly były z nią, kiedy wszedł do jej pokoju. Słyszały jego głos. Widziały jego twarz.

Przyswajam sobie te szczegóły i mam coraz silniejsze wrażenie, jakbym stąpała w gęstej mętnej wodzie. Jesteśmy głęboko. Chodzi o trzy dwunastolatki w trakcie pizama party. Ich piątkowe przyjęcie z nocowaniem zostało zniszczone jak różowe papierowe serce. Porywacz Polly zasłonił drzwi sypialni i zagroził, że poderżnie im gardło, jeśli zaczną krzyczeć. Przykrył im głowy poduszkami i kazał liczyć do tysiąca. Czym wydawał im się ten tysiąc? Prawie nieskończonością.

– Na tylnych drzwiach nie było żadnych śladów – mówi Will. – Tamtędy wszedł. Ekipa kryminalistyczna znalazła ślad w pokoju Polly, ale jest zbyt rozmazany, żeby sprawdzić go w systemie.

Wygląda na to, że przyszedł z przygotowanymi sznurkami i zrobionym przez siebie kapturem z jedwabistego materiału, jak halka.

Sięgam do poręczy fotela, gładkiego i masywnego.

– Jeden kaptur?

– Tak. Dziewczynki powiedziały, że wyglądał na zaskoczonego na widok ich trzech. Spytał, która z nich mieszka w tym domu.

– Może zobaczył Polly gdzie indziej, skupił się na niej i się nie zastanawiał albo nie przejmował tym, czy w domu może być ktoś jeszcze, kiedy robi ruch. W domu pełnym dziewczyn raczej nie jest cicho. Gdzie byli rodzice?

– Mama spała, a tata był u siebie. Są rozwiedzeni.

– Możliwe, że nie daliby rady jej ochronić, nawet gdyby byli na miejscu oboje i nie spali. Są tacy prześladowcy, których nic nie powstrzyma, gdy już obiorą sobie cel.

Oczy Willa lekko się zaszklily i wiem dlaczego. Przez ostatnich dziesięć dni, odkąd rodzina Cameron zgłosiła jej zaginięcie, stąpa po polu minowym, które teraz podwoiło wielkość i ryzyko.

– Jeśli to ten sam facet, który uprowadził Cameron – mówi w końcu – to znaczy, jeżeli on znowu poluje, nie ma szans, że znajdziemy ją żywą, prawda? Możesz to powiedzieć.

Ale nie ma prostej odpowiedzi. Siedemdziesiąt pięć procent zabójstw uprowadzonych dzieci ma miejsce w ciągu pierwszych trzech godzin od porwania. Cameron jednak nie jest już dzieckiem. Ma piętnaście lat. I jeszcze jedno: przez lata pracowałam nad mnóstwem przypadków, ale tylko raz miałam do czynienia z nastoletnią ofiarą, która zdołała uciec oprawcy i wrócić do domu dwa lata po uprowadzeniu.

Na ogół sukcesem jest samo znalezienie ciała. Ludzie są zdolni do wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić. I choć mój umysł gliniarza wie, że Cameron prawdopodobnie nie żyje, inny głos, czysty instynkt i intuicja, mówi mi, żeby się nie poddawać.

– Posłuchaj – mówię do Willa. – Nie dowiemy się, dopóki nie zdobędziemy więcej informacji. Kontaktowałeś się z wydziałem w Petalumie?

– Z samego rana. Śledztwo w wydziale policji w Petalumie prowadzi Eddie Van Leer. – Will sięga po najbliższy notes i go kartkuje. – Agentem specjalnym z ramienia FBI jest Rod Fraser. Pracowałeś z nim kiedyś?

– Raz, jakieś dziesięć lat temu. Jest sensowny. Zupełnie nie przypomina typowego faceta z FBI. Nie musi uchodzić za najmądrzejszego.

– W każdym razie coś tam robią. Wizerunek Polly jest już wszędzie. To sprawa krajowa, jeśli nic tu nie znajdę. Van Leer mówi, że nad sprawą pracuje już sześćdziesięciu ludzi.

– Chyba rozumiesz, skąd taka gorączka? Dwunastolatka uprowadzona z własnego pokoju w piątkowy wieczór? Koszmar każdego rodzica.

– W porządku, ale Cameron Curtis jest *moim* koszmarem od ponad tygodnia. Nie wiem, w co ręce wsadzić, Anno – mówi łamiącym się głosem, w którym słychać stres. – Nie mam pomocy, nie mam tropu. Rodzina odchodzi od zmysłów. I co mam im powiedzieć? *Jezu*.

Zdecydowanie za dużo dźwiga sam. To o wiele za dużo dla nas obojga, ale nie zamierzam mu tego powiedzieć. Odstawiam kawę i wyciągam rękę w stronę jego dłoni, szorstkiej i chłodnej, lecz po chwili ją cofam.

– Ktokolwiek porwał Polly Klaas, może być też naszym podejrzanym, ale szanse są marne, Will. Seryjny przestępca ma bardzo specyficzny schemat postępowania i preferencje. Polly jest przed okresem dojrzewania, w dodatku wygląda młodo na swój wiek. Nie zaczęły jej rosnąć piersi, nie rozbudza tej samej żądy co Cameron. Tamta może i jest niedojrzała emocjonalnie, ale wygląda jak kobieta, nie jak dziecko.

– W porządku, rozumiem. Jednak czasami rolę odgrywa przypadek, prawda?

– Jasne. Może Polly była pierwszą dziewczynką, jaka przechodziła, kiedy on ruszył na łowy i postanowił kogoś porwać. Ale zastanów się chwilę nad jego zachowaniem, Will. Ten facet w Petalumie wszedł prosto do pełnego domu z wyciągniętym nożem, zostawiając świadków.

Kiwa powoli głową. Mruga w nieprzyjemnym świetle.

– A Cameron zwyczajnie zniknęła.

– I tak to się zwykle dzieje, szczerze mówiąc, zwłaszcza w przypadku nastolatków. Jeśli chce się znaleźć kogoś takiego jak Cameron, kiedy nie istnieją żadne dowody albo ich nie widać, trzeba uważnie zbadać ofiarę, żeby znaleźć odpowiedzi. Trzeba nią żyć i nią oddychać. Zanurzyć się głęboko. A wtedy może, może pokaże, gdzie jej szukać.

– Naprawdę chcesz w to wszystko wskoczyć ze mną? – W głosie Willa wyczuwalna jest nadzieja, niczym poszarpana flaga powiewająca wśród dymu.

– O ile nie będę niczego firmować swoją osobą. Moje nazwisko się nigdzie nie pojawi. Ani w oświadczeniach, ani na liście wypłat. Nie będę rozmawiać z mediami i na pewno nie będę rozmawiać z FBI. Jestem tu dla ciebie i dla tych dziewczyn. I tyle.

– Do wszystkich twoich zasad się dostosujemy. Cieszę się, że jesteś.

Biorę oddech i wyciągam ręce do chłonnej, metalowej krawędzi jego biurka, już przytłoczona ciężarem odpowiedzialności.

– Ja też.

(piętnaście)

We wtorek, 21 września, Cameron poszła do swojego przyjaciela Graya Bensa uczyć się po szkole, skąd pieszo wyruszyła sama do domu i dotarła około szóstej piętnaście. Razem z matką, Emily, zjadły kolację, a później Cameron udała się do swojego pokoju. Tuż po dziesiątej Emily zajrzała do córki. Powiedziały sobie dobranoc i Emily jak zwykle włączyła alarm, po czym poszła do łóżka, zakładając, że Cameron zrobiła to samo. Ale o siódmej rano, kiedy chciała obudzić córkę na śniadanie, zastała jej pokój pusty, a alarm był rozbrojony. Nie miała czasu na zastanawianie się nad powodami – czy nie zadziałał, czy jednak zapomniała go włączyć. Córki nie było.

Dziewięć po siódmej zadzwoniła do męża, Troya Curtisa, który przebywał w ich drugim domu w Malibu. Rozmowa trwała trzy minuty. Gdy się rozłączyła, zadzwoniła na policję. Biuro Willa zaczęło działać błyskawicznie. Przed ósmą rano przesłuchiwali Emily i przeszukiwali pokój Cameron, chcąc znaleźć jakieś wskazówki. Ale na nic nie trafili.

Nieruchomość wyposażona była w bramę z kamerą rejestrującą zdarzenia z okresu jednego tygodnia. W nocy dwudziestego pierwszego na nagraniu widać tylko typowe wyjścia i wejścia. Emily wjechała około szóstej wieczorem, a później nie działo się nic aż do telefonu na dziewięćset jedenaście i przyjazdu ekipy Willa. Przeszukując pokój Cameron i resztę nieruchomości, nie znaleźli śladów włamania, nic istotnego nie zaginęło. Według Emily Hague Cameron regularnie odkładała kieszonkowe i miała w pokoju co najmniej kilkaset dolarów, ale najwyraźniej pozostały nietknięte.

Wiem tylko tyle, czyli właściwie nic. Najprostszym wyjaśnieniem jest to, że Cameron postanowiła uciec. Rozbroiła alarm i ulotniła się w nocy, wychodząc frontowymi drzwiami, a później przemknęła

wśród drzew, z daleka od bramy z kamerą. Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy, dzieciaki porzucają rodzinne domy jak wąż starą, za ciasną skórę i przenoszą się gdzieś czy do kogoś, kto obiecuje wolność. Jedna z wersji tej wolności jest czarna i definitywna, jak klif sto metrów od domu Cameron. Mogła z niego skoczyć, a jej ciało porwał prąd albo rozszarpały rekiny, zostało celowo wyeliminowane po tej ucieczce spowodowanej wewnętrznym bólem, którego nikt nie był w stanie dostrzec ani nawet się domyślić.

Jeśli miała skłonności samobójcze, a nawet jeśli ich nie miała, lecz jedynie czuła się pogubiona emocjonalnie, istotną część tego emocjonalnego równania może stanowić jej adopcja. Cameron została przekazana pod opiekę państwa tuż przed czwartymi urodzinami, w wieku szczególnie delikatnym, choć z doświadczenia wiem, że delikatny jest każdy wiek. Bez względu na to, jak wyglądało jej życie, zanim została oddana – i czy cokolwiek z niego pamięta, czy nie – ten okres już w niej zostanie, wiem o tym aż nazbyt dobrze, wpleciony głęboko w jej system nerwowy, wyryty w jej niepowtarzalnym kodzie. Podobnie jak trauma wywołana przenosinami. W ciągu jednego dnia po podróży samochodem z pracownikiem opieki jej dawna rodzina została wymazana, wykreślona, a znikąd pojawili się nowi rodzice, z których jedno, na dodatek, było osobą znaną. Tę sytuację mogę sobie tylko wyobrazić, ale musiała być dla Cameron dezorientująca i trudna, kiedy podrosła i nabrała większego rozeznania w otaczającym świecie, że jej nowa matka jest gwiazdą filmową światowej sławy. Niemal tak dezorientująca, jak utrata rodziny w jednej chwili dlatego, że ktoś podjął za nią taką decyzję, pewnie nawet bez próby wyjaśnienia całej sytuacji. Wraz z podpisaniem paru dokumentów jej historia się zatrzymała i rozpoczęła na nowo. Dziewczynka, którą do tej pory była, została wykasowana wraz z nazwiskiem i całą resztą. Rodzeństwem, zwierzakami, sąsiadami, zabawkami, wspomnieniami – całe lata po prostu znikły.

Przeglądając jej akta, czuję, jakbym oglądała inną wersję mojej własnej historii, i wiem, że nawet jeśli Cameron czuła się szczęściarą, że trafiła do Curtisów, tak jak ja, kiedy trafiłam do Hapa i Eden, to wcale nie znaczy, że była wolna od duchów przeszłości. Choćby

dziecko było wyjątkowo silne i upragnione, i kochane, i otoczone opieką przez nowych rodziców, rany spowodowane przez porzucenie i odrzucenie nie leczą się w magiczny sposób. Determinacja oraz wewnętrzna siła też nie leczą tych ran, bo najważniejszą rolę odgrywają rodzice.

Matki i ojcowie powinni trwać. Taka jest z założenia historia ludzkości w każdej kulturze od zarania dziejów. Z moimi tak nie było, z rodzicami Cameron też nie. Wszystkie te blizny nadal noszę, ona też je nosi. Trudności z zaufaniem, problemy z przywiązaniem, kłopoty z tożsamością, poczucie pustki, izolacji, wyobcowania i rozpacz – pęknięcia duszy, których nie da się scalić. Widziałam to. Doświadczylam tego. Ktoś z dziurą w środku będzie szukał i szukał, czasami przez całe życie, sposobów, by ją wypełnić.

(szesnaście)

W tamto Boże Narodzenie, kiedy miałam osiem lat, mama nie wróciła. Bałam się, oczywiście. Martwiłam się, że coś jej się stało i nie mogła mnie powiadomić. Staralam się nie myśleć o tym, jak wiele rzeczy mogło się wydarzyć, rzeczy, które zatrzymały ją gdzieś tam w świecie zdaną na samą siebie, kiedy położyłam się z dziećmi w jej łóżku, żeby spać razem z nimi, dając Freddy'emu własną poduszkę. W ciągu dnia dzieci w końcu zupełnie przestały pytać o Mikołaja, co odebrałam jako swój mały sukces. Zasypiałam z jedną dłonią na jedwabistych włosach Amy, a drugą na koszulce Jasona, i to pomogło mi trochę uciszyć myśli.

Następnego ranka pozwoliłam im oglądać telewizję, sama zaś zrobiłam skok na puszkę po kawie folgers w kuchni i poszłam do całodobowej drogerii po mleko, chleb, jajka i masło orzechowe, bo sklepy spożywcze były zamknięte. W drodze powrotnej spotkałam Phyllis z Bernardem, a ona zrobiła minę, jakby wiedziała, co jest grane.

– Gdzie jest twoja mama *dzisiaj*? – spytała wymownie.
– Śpi – powiedziałam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy.
– Znowu?
– Tak. – Nagle jej nienawidziłam, i jej psa też. – Mam nadzieję, że święta miała pani udane – powiedziałam z udawaną lekkością. – Do widzenia.

Choć Phyllis mnie zdenerwowała, po powrocie do domu zatrzasnęłam drzwi i dzień minął nam wspaniale. Właściwie był to jeden z najmiłszych dni w naszym życiu. Prezentów nie było, ale mieliśmy jedzenie i telewizję bez ograniczeń. Zbudowaliśmy w dużym pokoju fortecę z prześcieradeł oraz koców i stała przez cały dzień. Kiedy zrobiło się ciemno, wyłączyliśmy wszystkie światła oprócz lampek na choince i położyliśmy się na dywanie pod nią,

i patrzyliśmy w górę przez rozłożyste gałęzie na żarówki mrugające w kolorach tęczy, niemal jak ze snu. Później zagoniłam dzieciaki do wanny i dopilnowałam, żeby umyły włosy i zmówiły pacierz. Kiedy kładliśmy się tego wieczoru spać, zaczynałam wierzyć, że moglibyśmy tak żyć już zawsze, nawet gdyby mama nigdy nie wróciła. Wiedziałam, jak opiekować się Jasonem i Amy. Potrafiłam to robić. Poradzilibyśmy sobie, i to całkiem nieźle. Bylibyśmy szczęśliwi.

Następnego ranka, bardzo wcześnie, obudziłam się jednak zmęczona. Jason zmoczył łóżko i wszyscy byliśmy mokrzy. Musiałam położyć na łóżku ręczniki, ale i tak przypadkiem staczałam się na mokre miejsce i znów się budziłam. Ciągłe niepokoiłam się też z powodu Phyllis i zastanawiałam, czy znów na nią wpadniemy albo czy nie zacznie wydzwaniać, żeby sprawdzić, gdzie rzeczywiście jest moja mama. Byłam właściwie pewna, że mi nie uwierzyła.

Wstałam, poszłam do kuchni i zaczęłam robić dla nas śniadanie, ale co kilka minut wyglądałam przez okno, żeby sprawdzić, czy ktoś idzie. Dzieciaki za głośno oglądały bajkę. Byłam niespokojna i rozkojarzona i cały czas mi się zdawało, że słyszę, jak ktoś idzie korytarzem na klatce. W końcu tam poszłam i też sprawdziłam, rozejrzałam się na obie strony korytarza. Wtedy poczułam, że jajka się przypalają. Za mocno podkręciłam gaz, masło się spaliło i zaczęło dymić. Jak tylko się zorientowałam, co się dzieje, zdjęłam patelnię z palnika z głośnym stukotem, ale zdążył się włączyć alarm przeciwpożarowy, który wył i mrugał na środku kuchennego sufitu. Nie mogłam go dosięgnąć, nawet z krzesła. Dźwięk był ogłuszający i się nie kończył, a mnie łomotało serce. Dzieciaki zaczęły płakać, wrzeszczałam na nie, żeby przestały, ale one płakały coraz głośniej. Nie byłam w stanie myśleć. Nie wiedziałam, co robić. Aż nagle ktoś zaczął łomotać do drzwi i zrozumiałam, że popełniłam potworny błąd. Powinniśmy byli zjeść tylko płatki. Płatki i masło orzechowe.

Do naszego salonu wpadło dwóch policjantów, masywnych i wielkich. Przestraszyli dzieciaki mundurami, bronią w futerale i ogniem pytań. Kiedy ostatni raz widziały moją mamę? Co mówiła przed wyjściem? Wspomniała, dokąd się wybiera

w Wigilię? Czy wiem, jak się skontaktować z moim tatą? Czy są niedaleko jacyś krewni? Na większość tych pytań nie znałam odpowiedzi. Jason i Amy siedzieli skuleni przy mnie na kanapie, wciskając się mocno w moje ciało. Cały czas próbowałam ich uspokajać, że wszystko będzie dobrze, ale wiedziałam, że sprawy zaszły o wiele za daleko.

Curtisowie mieszkają w północnej części miasta, w odizolowanym fragmencie Lansing Street, daleko za Slaughterhouse Gulch. Podjeżdżamy do bramy radiowozem, Will wciska guzik i ktoś nas wpuszcza.

– Z całą pewnością widać, że mieszka tu gwiazda filmowa – mówię przy akompaniamencie terkotu wycieraczek odgarniających cienką warstwę deszczu.

– Już nie jest gwiazdą. Przestała pracować, kiedy się tu przeprowadzili cztery lata temu.

– Jaka jest?

– Jaka była przed tym wszystkim? Nawet nie wiem. Ta rodzina nie miała z nami nic wspólnego. Jej mąż przemieszcza się prywatnym samolotem. Wszystkie zakupy dostarczają im do domu. Dziwi mnie, że posłali Cameron do państwowej szkoły zamiast zatrudnić prywatnego nauczyciela. To było pewnie ich jedyne ustępstwo, jedyne kontakt z prawdziwym życiem.

Parkujemy i wysiadamy, szerokie drzwi się otwierają i staje w nich Troy Curtis, młody z wyglądu i przystojny w wyblakłych dżinsach i swetrze, mruży oczy w deszczu. Idziemy do niego szybko, a on przytrzymuje drzwi i wtedy dostrzegam, że jest starszy, niż w pierwszej chwili myślałam, pewnie pod pięćdziesiątkę, z drobnymi zmarszczkami zdradzającymi napięcie wokół oczu i warg.

Wchodzimy z Willem do holu, gdzie wszystko jest nieskazitelne i zaaranżowane z niemal chirurgiczną precyzją. Wbudowane oświetlenie sufitowe i meble w duńskim stylu, wszystkie białe. Jasna lśniąca podłoga, na którą ścieka z nas woda.

– Przyniosę państwu ręczniki – oznajmia Troy i znika.

Kiedy wraca, wycieram się, zawstydzona, a Will mnie przedstawia, mówiąc to, co uzgodniliśmy – że jestem detektywem pomagającym

w sprawie Cameron, ni mniej, ni więcej.

– Jakież wieści w sprawie tej dziewczyny porwanej w Petalumie? – pyta Troy. – Czy to ma jakiś związek z Cameron?

– Jeszcze nie wiemy – mówi Will. – Ale jesteśmy w ścisłym kontakcie z tamtejszą ekipą. Jak tylko będziemy mieć jakieś informacje, prześlemy je państwu.

Troy kiwa głową ze zmęczeniem i prowadzi nas do salonu, gdzie wskazuje gładkie fotele bez poręczy. Ciągłe trzymam mój ręcznik i wsuwam go pod siebie. Czuję się tu nie na miejscu, skrępowana. Ale to w niczym nie pomoże.

– Czy pańska żona jest w domu, panie Curtis?

– Właśnie poszła się położyć. Ostatnie dni są dla niej bardzo ciężkie.

– Rozumiem – mówię. – To na pewno straszny okres dla państwa obojga, ale nie jestem na bieżąco ze sprawą. – Zerkam na Willa, żeby się upewnić, czy nie posuwam się za daleko, lecz on rozsiada się wygodnie w fotelu. To ja tu dowodzę, daje mi do zrozumienia mową ciała. To ja muszę nadrobić zaległości. – Może mi pan streścić przebieg tej nocy, kiedy zaginęła Cameron?

Troy wygląda na wykończonego, ale się zgadza.

– Niestety, nie było mnie tutaj, pracuję w Los Angeles i w tygodniu mieszkam w naszym domu w Malibu.

– Jak zwykle wyglądają tu wieczory w ciągu tygodnia?

– Kolacja, odrabianie lekcji. Zwykle zajęcia. Kontaktowałem się z Emily chwilę przed dziesiątą, Cameron była w swoim pokoju. Wszystko wydawało się w porządku.

– A następnego ranka? Co się działo wtedy?

– Cameron nie zeszła na śniadanie, więc Emily zajrzała do jej pokoju i wtedy do mnie zadzwoniła. Kazałem jej zadzwonić na policję, a sam wsiadłem do samolotu.

– Czy pańska córka wyglądała ostatnio na nieszczęśliwą? – pytam.

Troy kręci głową.

– Cameron zawsze była spokojna. Jest introwertyczką, bardziej podobną do Emily niż do mnie. Ale nie powiedziałbym, żeby była nieszczęśliwa.

– Rozumiem, że zbiera dobre oceny i siedzi w książkach. Nie przepada za sportem i nie jest zbyt towarzyska. Przyszło panu do głowy, że za jej nieśmiałością czy wycofaniem może się coś kryć?

– Co pani ma na myśli?

Spoglądam w jego oczy barwy chmurnej szarości.

– Czasami dzieciaki zamykają się w sobie, ale wysyłają dyskretne sygnały. Tną się albo zażywają narkotyki. Angażują się w ryzykowne zachowania seksualne.

– Nie. – Jego grymas jest niemal mikroskopijny, ale go dostrzegam. – Nic z tych rzeczy. To dobre dziecko.

– Nie sugeruję, że pana córka nie jest dobrym człowiekiem, panie Curtis, ani że zrobiła coś złego.

– Nastolatki czasem trudno rozgryźć – wtrąca Will.

– Czasami się z czymś zmagają i nikt o tym nie wie – dodaję. – Umieją skrywać to, co czują.

– Nie spędzam z nią już tyle czasu co kiedyś – wyznaje Troy. – Ale Emily z pewnością by zauważyła, gdyby Cameron gryzło coś poważnego.

– Proszę mi coś opowiedzieć o adopcji – zmieniam temat.

– Skorzystaliśmy z agencji w Sacramento, Organizacji Charytatywnej Rodzin Katolickich, chyba nadal tam działają.

Zapisuję nazwę w notesie, który mam ze sobą.

– Adopcja pełna czy niepełna?

– Pełna. Dlaczego pani pyta?

– Głośno myślę. Nie zawsze tak jest, ale czasami dzieciaki nie potrafią się uporać z bólem odrzucenia. Porzucenia przez biologiczną rodzinę. Ten ból może prowadzić do pewnych zachowań i ryzyka.

– Już pani mówiłem, nic z tych rzeczy.

– Czy agencja ujawniła państwu cokolwiek na temat jej rodziny biologicznej?

– Bardzo niewiele. Dowiedzieliśmy się, że mają jeszcze jedno dziecko, trochę starsze. I że były w rodzinie problemy z narkotykami i więzienie.

– To państwa nie przestraszyło?

– Może trochę. Emily kierowała się klarowną ideą czynienia dobra, pomagania tam, gdzie pomoc jest najbardziej potrzebna. – Mruży oczy i nagle zaczyna się bronić. – Chce pani powiedzieć, że zrobiliśmy coś nie tak?

– Ależ skąd, ja tylko poddaję parę spraw pod rozwagę. Proszę mi powiedzieć, czy w życiu Cameron byli jacyś starsi mężczyźni, którzy w szczególny sposób się nią interesowali? Może ktoś z rodziny albo nauczyciel?

– W tej chwili nikt mi nie przychodzi do głowy.

– Steve Gonzales – mówi Emily sprzed półkowych schodów. – Jej nauczyciel angielskiego. – Podchodzi do nas bezgłośnie.

(siedemnaście)

Oglądać Emily Hague jako Heidi Barrows w serialu komediowym *Soho Girls*, z jej żartami, strojami i fryzurą znanymi na całym świecie, to jedno, ale przebywać z nią w jej salonie w chwilach aż nazbyt rzeczywistej tragedii to całkiem co innego. Żadna kamera nie była w stanie uchwycić jej prawdziwego piękna. Jest smutna w sposób zdecydowanie zbyt dobrze znajomy. Przez chwilę zastanawiam się, czy będę w stanie tutaj wytrzymać, ale w końcu górę bierze wyższy cel.

Wstaję.

– Jestem Anna Hart, nowy detektyw w sprawie Cameron. Mam nadzieję, że pani nie obudziliśmy.

– Nie ma problemu. – Emily idzie w stronę sofy, opanowana i krucha jednocześnie, jakby doznała urazu fizycznego, a nie emocjonalnego. – Znaleźli tę dziewczynkę z Petalomy?

– Obawiam się, że nie – odpowiada Will. – Jak tylko będziemy mieć jakieś informacje, skontaktujemy się z państwem.

– Wiem, jakie to musi być trudne – mówię. – Może mi pani opowiedzieć trochę o Cameron?

– A co pani chce usłyszeć?

– Cokolwiek. Miała z nią pani dobry kontakt? Zwierzała się pani?

– O to jeszcze nikt mnie nie pytał. – Krzyżuje ręce na piersiach, jakby było jej zimno. – Chyba tak. Staralam się, żeby wiedziała, że zawsze może do mnie przyjść. Ale wie pani, jak to jest z matkami i córkami.

– Jasne – wtrąca Will uprzejmie. – Ale poza normalnymi napięciami? Działo się coś z nią ostatnio? Jakies zauważalne zmiany w zachowaniu? Albo nowe czynniki stresujące?

– Już to omawialiśmy. – Troy trzyma ręce z mocno splecionymi palcami na kolanach.

– Wiem – mówi Will. – Musimy jednak wprowadzić detektyw Hart, żeby dochodzenie nabrało tempa. Im chętniej będą państwo współpracować, tym szybciej będziemy w stanie pomóc Cameron.

– *Pomóc?* – wybucha Troy. – Rozmawiamy w kółko o tym samym. Może byście tak zaczęli jej szukać?

– Troy... – Emily próbuje przywołać go do porządku.

– Co? – Twarz mu się zaczerwieniła. Nagle wcale nie jest ani przystojny, ani dystyngowany. Jest jak osaczone zwierzę, atakuje, żeby się bronić.

– Zapewniam, że prowadzimy działania – odzywa się Will. – Wszyscy ludzie z mojego wydziału pracują nad tą sprawą od pierwszego dnia. Mamy nadzieję, że wkrótce zmobilizowana zostanie także nowa ekipa Służby Leśnej. Nie ma teraz nic ważniejszego niż znalezienie pańskiej córki.

– Wszystkim nam zależy na tym samym – dodaje, starając się panować nad emocjami. Ciężko mi i bez wybuchowości Troya, bo już czuję się zbyt związana z tą sprawą. Prawdę mówiąc, nie wiem, czy mu ufam ani czy ufam sobie. – W tej chwili musimy się bardziej skupić na Cameron – oznajmiam spokojnie. – Jaka jest, co jest dla niej ważne, jak wygląda jej dzień, z kim się spotyka po szkole. Ma chłopaka?

– Nie – odpowiada szybko Emily. – Nigdy nie miała.

Jestem zaskoczona.

– Taka ładna dziewczyna jak Cameron? Nie interesują się nią chłopcy? Ani mężczyźni?

– Mężczyźni? – Emily wygląda na urażoną. – O żadnym nie wiem. Z takich rzeczy mi się nie zwierzała. – Zerka na Troya. – Nam.

– A ten nauczyciel, o którym pani wspomniała? – drąży Will. – Zna go pani? Widziała ich pani razem?

– Rok szkolny dopiero się zaczął, ale poznałam go na wywiadówce. Moim zdaniem nie zachowywał się niestosownie ani nic takiego, choć rzeczywiście zwrócił szczególną uwagę na Cameron. Powiedział jej, że ma talent literacki, i zachęcał ją do tworzenia poezji.

– Sprawdźmy to – mówię. – A Gray Benson? Jakies uczuciowe więzi, o których powinniśmy wiedzieć?

– Tylko się przyjaźnią – odpowiada. – Cameron zawsze mogła na nim polegać.

– Polegać? – pytam. – W jakich kwestiach?

– Chyba zwyczajnych. – Emily nie patrzy na Troya, tylko dodaje sobie otuchy, biorąc oddech. – Od jakiegoś czasu mamy pewne problemy. Rodzinne.

– Co komu do tego! – wybuchła Troy.

– Panie Curtis. – Powstrzymuję go najbardziej opanowanym tonem, na jaki mnie stać. – Jeśli Cameron przeżywała w domu stres, musimy o tym wiedzieć. Nie może pan zatrzymywać dla siebie niczego, co mogłoby pomóc w sprawie.

– Troy, proszę – odzywa się Emily. – Musimy być szczerzy. To wszystko odbijało się na Cameron. Wiesz o tym.

Po napięciu w głosie Emily domyślam się, jak trudno jej się otworzyć i okazać słabość. Ale tak bywa z większością ludzi w podobnej sytuacji. Nie spotkałam rodziny, która zdołałaby przetrwać drobiazgowe śledztwo i się nie rozpaść, czasem powoli, czasem w jednej chwili.

– Ostatnio dużo się kłóciliśmy – wyznaje Emily.

– Kłóćą się wszyscy – wtrąca Troy odruchowo. – Małżeństwo to nie spacer po parku.

– Cameron zawsze była wrażliwa – ciągnie Emily. – Mogła się martwić, że się rozejdziemy.

– Rozumiem – mówię. – Próbowала ją pani uspokoić?

– Próbowалам. Może za słabo.

Spoglądamy na siebie z Willem. Dopiero zaczynamy się zaznajamiać z sytuacją w tej rodzinie, ale wyraźnie widać, że Cameron przeżywała emocjonalne napięcie. W tym stanie mogła szukać oparcia w kimś nowym albo znajomym, kimś, do kogo, jak uważała, mogła się zwrócić po pomoc. To potęgowało jej podatność na zranienie. Zrobiło z niej cel. Sprawilo, że lśniła w ciemności.

– Pani Emily – mówię. – Być może poczuje się pani tym skrzępowana, ale szeryf Flood napomknął mi, że pani bratu postawiono w przeszłości zarzuty karne. Czy w niedawnej przeszłości miał kontakt z Cameron?

Blednie.

- Co pani rozumie przez „kontakt”?
- Czy nadal jest obecny w pani życiu? Jak często się pani z nim widuje?
- Nie tak często jak kiedyś. Teraz mieszka z żoną Lydią w Napa. Kupili winnicę i produkują wino.
- Jest więc na emeryturze?
- Bardzo dobrze się urządził. – Jej ton jest sztywny, obronny. Ale słyszę coś jeszcze. Poczucie winy ocalałego? Jakieś niewidzialne przymierze?
- Jakiś powód ustania wizyt? – pyta Will.
- Po prostu życie. Jesteśmy bardzo zajęci.
- Bardziej, niż kiedy pracowałaś?*, myślę po cichu.
- Czy on i Lydia mają dzieci? – pytam.
- Mój bratanek Ashton jest w szkole z internatem na wschodzie. W Andover. – Przerywa, a jej mina pochmurnieje. – Po co te wszystkie pytania? Chyba państwo nie sugerują, że Drew mógł skrzywdzić Cameron?
- Chciałabym zobaczyć pokój Cameron – mówię, zamykając notes. – Pokaże mi go pani?

(osiemnaście)

Will zostaje w salonie z Troyem, a Emily prowadzi mnie długim lśniącem korytarzem z kwadratowymi oknami w równych odstępach. Na każdym głębokim parapecie idealne małe drzewko bonsai wygina się w łuk z terakotowej doniczki niczym dzieło sztuki, bladozielone i posągowe. Nie wyglądają na prawdziwe.

– Ma pani ogrodnika? – pytam. – Gosposię?

– Co drugi tydzień przyjeżdża z miasta ekipa sprzątająca. Wszystko poza tym robię sama.

– Imponujące.

– Tak? Większość kobiet nie korzysta z pomocy.

Większość kobiet nie jest Emily Hague, myślę.

Docieramy na koniec korytarza do zamkniętych drzwi. Emily wygląda, jakby nie chciała wchodzić do środka, więc wchodzę pierwsza, z szacunkiem, wyczuwając jej napięcie. Były tu już dziesiątki ludzi, przetrząsali wszystko, szukali odcisków. Przekopali ubrania, książki i albumy ze zdjęciami, otworzyli każdą szufladę. To naruszenie prywatności jest konieczne, choć trudno na nie patrzeć, zwłaszcza jeśli Emily dźwiga poczucie winy i wyrzuty sumienia. Możliwe, że zbierane przez wiele lat, o ile intuicja mnie nie myli.

Obszerne łóżko Cameron jest starannie nakryte prostą kremową narzutą z dekoracyjną poduszką – małym, niebieskim, aksamitnym jaśkiem w kształcie królika. Zastanawiam się, czy to ona jest dziewczyną, która wszystko przez cały czas utrzymuje w nienagannym porządku, czy też Emily tu posprzątała po wyjściu ekipy dochodzeniowej, bo nie mogła się powstrzymać.

– Byłyście panie same tamtej nocy, tylko we dwie? – pytam. – Czy wydawało się, że u Cameron wszystko w porządku?

– Mniej więcej. Nie weszła jeszcze w rytm zajęć drugiej klasy. Miała większe wahania nastroju niż zwykle, była chyba trochę

niespokojna.

– Powiedziała z jakiego powodu?

– Staralam się nie dociekać. Mam mnóstwo książek, w których piszą, że nastolatki potrzebują przestrzeni. Popełniłam błąd?

– Nastolatki są skomplikowane. – Podchodzę do regału z książkami i delikatnie dotykam grzbietów.

Małe kobiety. Pułapka czasu. Tessa d’Urberville. Buszujący w zbożu. Są baśnie i powieści fantastyczne, komiksy i poezja. Rilke, T.S. Eliot, Anne Sexton. To biblioteczka rozkwitającej pisarki.

– Gdzie jest ta praca, o której pani wspomniała? – pytam. – Ta, którą pochwalił nauczyciel?

– Nie wiem. Cameron zawsze była bardzo skryta, już jako mała dziewczynka.

– Porządkowała uczucia na papierze. Czy również rysowała?

– Tak. Więcej, kiedy była młodsza. Skąd pani wie?

– Zgaduję. Gdyby udało nam się znaleźć jakieś niedawne zapiski, może uzyskalibyśmy więcej wskazówek, co się działo z pani córką. – Sięgam pod regał, ale nie znajduję nic, nawet kurzu. Otwieram szufladę biurka, a później macam pod krawędziami materaca.

– Możliwe, że trzymała go w zamkniętej szkolnej szafce – podpowiada Emily.

– Możliwe. Ekipa szeryfa Flooda z pewnością wszystko stamtąd zabrała, ale się upewnię, czy nic nam nie umknęło.

Podchodzę do szafy Cameron, gdzie pół tuzina sukienek przesunięto do tyłu. Dominują w niej dzinsy i T-shirty, bluzy z kapturem i kraciasta flanela. Lubi czerń, szarość i czerwień, tenisówki Converse i golfy z raglanowymi rękawami. Styl chłopczycy. Chwytam krawędź koszuli w czerwoną kratę, która wygląda na znoszoną i ulubioną. To takie intymne być tu wśród jej ubrań. Czuję silne pragnienie, żeby ją za to przeprosić.

Emily staje za mną i przytula do siebie jeden ze swetrów Cameron, jakby dając mu dostatecznie dużo ciepła i uwagi, mogła go ożywić.

– Próbuję przygotować się na najgorsze, ale to mnie zabija. Jeśli ktoś jej zrobił krzywdę albo... – Łapczywie nabiera powietrza. – Myśli

pani, że mógł to zrobić któryś z moich fanów? Jeśli to moja wina, to nie wiem, jak będę dalej żyć.

– Tak daleko lepiej się nie zapuszczać – uspokajam ją. – Jeśli byłaby to zagrywka, żeby zwrócić pani uwagę, najprawdopodobniej pojawiłby się jakiś list dotyczący okupu albo inna wiadomość konkretnie dla pani.

– Ma pani rację. – Wydaje się nieco spokojniejsza.

– Ale oczywiście mnóstwa rzeczy nadal nie wiemy. Postarajmy się działać krok po kroku.

– Cały czas mi się wydaje, że się obudzę – mówi Emily zdławionym głosem. – Że ona wejdzie do domu i okaże się, że to był tylko koszmar.

– Wiem – odpowiadam cicho.

– To, o czym pani mówiła wcześniej, problemy z powodu porzucenia, nigdy o tym nie myślałam w odniesieniu do Troya i do mnie. A może myślałam, tylko to od siebie odpychałam.

Kiwam głową, żeby ją ośmielić.

– Powinam była być bardziej otwarta wobec Cameron, powinam była więcej z nią rozmawiać. Kiedy byłam w jej wieku, mój ojciec miał romans z jakąś kobietą z klubu golfowego w Bowling Green. W północnym Ohio. Tam się wychowywałam. – Kręci głową, oczy ma zamglone, pełne nieprzepracowanych uczuć. – Wszyscy wiedzieli, że romansuje. To było straszne.

– Ale pani rodzice się nie rozwiedli – domyślam się głośno.

– Mama wyjechała na terapię odchudzającą. Kiedy wróciła, wszyscy udawaliśmy, że nic się nie stało. Sześć miesięcy serka wiejskiego i brzoskwiń. Ojciec dał jej bransoletkę z szafirami, ale ześlizgnęła jej się z ręki. Schudła piętnaście kilogramów.

– A pani uciekła do Hollywood – mówię. – Ile miała pani wtedy lat?

– Dziewiętnaście.

– I nigdy nie wybaczyła pani ojcu – zgaduję, ale mogę się założyć, jaka będzie jej odpowiedź. – A co z pani bratem? Czuje to samo w związku z państwa rodzicami?

Emily wypuszcza rękaw swetra Cameron, dotyka obluzowanego szylkretowego guzika, który zauważyła, i lekko się krzywi.

– Drew zawsze myślał przede wszystkim o sobie. Nie ogląda się za siebie. Nigdy nie rozmawiamy o tamtych czasach.

– Rozumiem. – Tego też się domyślałam. – Po przeprowadzce tutaj z Los Angeles zarzuciła pani aktorstwo. Zawsze miała pani taki zamiar?

Potakuje sztywno głową.

– Praca pochłaniała zbyt wiele mojej uwagi i ciągle chodzili za nami paparazzi, do restauracji i w czasie rodzinnych wyjść. Nigdy nie mieliśmy prywatności. Pomyślałam, że przeprowadzka wszystkim nam wyjdzie na dobre. Cameron miałaby normalne życie, a ja w końcu większość czasu mogłabym poświęcić jej. – Obserwuję, jak jej twarz się ściąga, kiedy mierzy się z okrutną ironią sytuacji, poczuciem winy i wyrzutami. – A jeżeli Cameron wołała o pomoc, a ja tego po prostu nie widziałam?

Ból w jej oczach jest potworny. Czuję nieodparte pragnienie, żeby ją pocieszyć, ale też żeby ją obudzić. Czeka nas mnóstwo pracy.

– Gdybanie wciągnie panią w bardzo ciemną dziurę. Cameron potrzebuje, żeby była pani silna. Pomoże mi pani?

– Postaram się.

– Czy pani mąż ma romans? Czy to był powód kłótni?

Jej twarz jest nieruchoma jak kamień i chłodna, ale wyczuwam bijące od jej ciała silne, wysokie fale strachu. Walczy sama ze sobą, jak dużo wyjawić.

– Ma kobietę w Los Angeles – odpowiada w końcu. – Asystentkę z Paramount. Nie jest pierwsza.

– Przykro mi. Potrzebne mi jej nazwisko.

– Po co? Chyba pani nie sądzi, że ma z tym coś wspólnego?

– Na tym etapie musimy sprawdzać każdy wątek.

– Tylko... – Kręci głową. – Troy przeżywa trudne chwile.

– Pani Emily...

– Tak?

– Dość tego. Proszę przestać go tłumaczyć.

– Przepraszam. Robię to zupełnie nieświadomie.

– Wiem.

Na biurku Cameron leży czerwony kołonołatnik z gryzmołami w kształcie gwiazd na całej okładce. Emily otwiera go i wyrywa czystą kartkę. Zapisuje nazwisko, składa kartkę na pół i mi ją podaje.

– Pewne rzeczy, których się dowiemy, mogą się okazać trudne. I brzydkie – mówię. – Ale jestem przekonana, że nawet najgorsza prawda jest lepsza niż niewiedza.

Sprawia wrażenie kruchej, pełnej wątpliwości.

– Mam nadzieję, że ma pani rację.

Wsuwam kartkę do mojego notesu i podchodzę do wielkiego prostokątnego okna, które zajmuje połowę długości północnej ściany. Wychodzi na podjazd i bramę po lewej, a po prawej na trawnik ginący wśród gęstych drzew. Plisowane rolety z przezroczystego ryżowego papieru w kolorze écru są podciągane dzięki specjalnemu mechanizmowi. Kiedy delikatnie pociągam sznurek wiszący z jednej strony, coś przykuwa moją uwagę. U dołu rolety są maleńkie zadrapania, na tyle dyskretne, że można ich nie zauważyć, jeśli szuka się czegoś innego.

– Czy Cameron wymykała się tędy z domu?

– Nie sędzę. – Emily podchodzi, żeby spojrzeć, a jej piękne rysy przesłania napięcie. – Czemu miałyby to robić?

Przyciskam kciuk do ramy rolety, a ona poddaje się natychmiast i wyskakuje do przodu. Cameron musiała ją wyciągać niejednym razem albo robił to ktoś inny.

– Co jest po drugiej stronie tych drzew?

– Nadmorska droga. Może z kilometr dalej?

– Czy kiedy ludzie szeryfa Flooda przeszukiwali nieruchomość, mieli ze sobą psy?

– Tak. O co chodzi? Jestem skołowana. Chce pani powiedzieć, że Cameron uciekła z własnej woli?

– Nie mam pewności, ale to by wiele wyjaśniało.

– Dokąd by poszła? Dlaczego?

Nie odpowiadam od razu, czekam, aż znajdę właściwe słowa. Nic dziwnego, że Emily jest zdezorientowana. Była właściwie ślepa na ból córki, ale przy okazji nie rozumiała też siebie samej. Wychowała się, gardząc ojcem, a potem poślubiła jego dokładną kopię. Żałowała swojej matki, a sama stała się taka sama. Czy

ucieczka do Hollywood, koniec końców, na coś się zdała? Została gwiazdą, owszem, zagrała role, które pokochały i z którymi utożsamiały się miliony ludzi, choć zastanawiam się, czy rzeczywiście goniła za ulotną wolnością od tego, co zostawiła za sobą.

Przez lata pracy jako detektyw, zwłaszcza w Reflektorze, bardzo dużo dowiedziałam się o spirali przemocy w systemie rodzinnym. Ale równie niebezpieczna może być spirala milczenia – i powtarza się przez pokolenia z zatrważającą stałością. Odchudzanie matki u córki zamienia się w obsesyjną dbałość o drzewka bonsai. Ukrywana rażąca niewierność spotyka się z milczącą zgodą, a później pustką. Cameron była na to wszystko narażona. Emily wpoila jej bezradność, być może srebrną łyżeczką.

– Nie sądzę, że pani córka została uprowadzona – oceniam. Moje słowa są brutalne i szybko wyciągam wnioski. Ale nie ma czasu do stracenia.

– Nie – mówi Emily tak cicho, że równie dobrze może mówić „tak”. Zdążyłam się przekonać, że te dwa słowa nigdy nie są od siebie zbyt daleko.

– Moim zdaniem Cameron ma ktoś znajomy. I myślę, że poszła z nim z własnej woli.

(dziewiętnaście)

– Wszystko w porządku? – pyta Will, kiedy jesteśmy znów w jego radiowozie i wyczuwa moją niepewność.

Podaję mu złożoną kartkę.

– Dziewczyna Troya Curtisa.

– Chyba nie jestem zaskoczony.

– Ja też nie, ale mi przykro. Ze względu na nich wszystkich.

Chwilę później przejeżdżamy przez bramę, oko kamery obraca się i w cichy sposób za nami podąża. Myślę o Cameron w jej pokoju, planującej uniknięcie tego oka, dziewczynie z tajemniczym wnętrzem trzymającej się nadziei, której, być może, nikomu nie wyjawiała i nigdzie nie zapisała.

– Co sądzisz o tym, że Drew Hague jest tak blisko? – pyta Will.

– Opowiedz mi o nim coś więcej.

– Miał dziewiętnaście lat, był na pierwszym roku studiów, kiedy oskarżono go o gwałt. Powiedział, że to było nieporozumienie i że dziewczyna była pijana. Rodzice zdołali go jakoś z tego wyciągnąć. Głowę dam, że słono ich to kosztowało.

– Ile lat miała ta dziewczyna?

– Szesnaście.

– I wyplątał się z tego? Przesłuchajmy go w tym tygodniu. Napa o tej porze roku jest naprawdę przyjemna.

Uśmiecha się.

– Zgoda.

– Bez względu na to, czy Drew ma w tej sprawie jakieś znaczenie, czy nie, sądzę, że Cameron w jakiś sposób współdziałała. W tych sprawach nic nigdy nie jest czarne albo białe, jak mogłoby się wydawać. Zdarza się, że ofiary poszukują oprawców tak intensywnie, jak są prześladowane.

– Co masz na myśli?

Brnę dalej i opowiadam mu o oknie w pokoju Cameron, i że być może została nastawiona oraz zmanipulowana przez tego oprawcę, kimkolwiek był. Może zerował na jej niepewności i potrzebach.

– Najbardziej obleśna przemoc wynika często z niewiarygodnej zażyłości, Will. Wymaga zaufania. Wymaga czasu.

– No nie wiem – mówi. – Cameron opuściła dom dobrowolnie, celowo unikała monitoringu. Dlaczego? Jej rodzice i tak z pewnością dość szybko zorientowaliby się, że jej nie ma.

– Zakładasz, że uciekła z myślą, że nie wróci. A jeżeli zamierzała jedynie wymknąć się na kilka godzin, ale sytuacja się skomplikowała? Dość łatwo uniknąć kamer, jeśli pobiegła wśród drzew na nadmorską drogę. Wystarczyło rozbroić alarm. Pilota miała na swojej nocnej szafce. Nie musiała się wysilać.

– Chcesz powiedzieć, że chodziło o schadzkę? Randkę?

– Może nie. Możliwe, że tylko chciała zwrócić na siebie uwagę.

– Kogoś, kto mógł ją skrzywdzić? Nie sądzisz, że na to była za mądra?

– Nie – mówię. – Nie była. – Nie mogę oczekiwać, że Will będzie tak wyczulony na słabe punkty Cameron jak ja. On nigdy nie był dzieckiem odrzuconym. Nigdy nie doświadczył świata w ciele kobiety czy dziewczyny. Nigdy nie miał powodu, żeby pomylić miłość z cierpieniem. Tę pomyłkę wyczułam niemal jak porażenie prądem, kiedy zobaczyłam ogłoszenie o zaginięciu Cameron, jej zraniony wzrok. – Może w ogóle nigdy nie miała zdrowego punktu odniesienia.

Will kiwa głową bez przekonania, a później zapada cisza.

– Co sądzisz o Emily? – pyta po chwili.

– Nie wiem. Chyba chciałabym, żeby była silniejsza.

– Pewnie stara się, jak umie.

Jego słowa wywołują zgrzyt i iskrę, jak krzemień na kamieniu. Jasne, że ma rację. Ludzie prawie zawsze starają się najlepiej, jak umieją. Czasami to wystarczy, ale na ogół nie.

– Gdyby Emily miała odwagę zostawić Troja, kiedy zdradził ją po raz pierwszy, może wszystko potoczyłoby się inaczej – mówię.

– Możliwe. Tego się nie dowiemy.

– A ty co o niej myślisz? – Uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, co powie.

Wzrusza ramionami.

– Kiedy się tu sprowadzili cztery lata temu, myślałem, że fajnie będzie mieć gwiazdę filmową chodzącą po ulicach, ale oni trzymali się z daleka od wszystkiego. Nie przypominam sobie ani jednej rozmowy z Emilią czy z Troyem, nawet przelotnej. A Cameron znam tylko z widzenia. Nie powinno tak być.

– Nie powinno. – Muszę się zgodzić.

– Posłuchaj. – Will odchrząkuje. – To wszystko, co powiedziałaś Curtisom o adopcji, problemach z tożsamością i udawaniu, dotyczyło też ciebie? – Zawiesza głos, wyraźnie skrępowany. – Pamiętam cię jako ładną, szczęśliwą dziewczynę, ale może czegoś nie zauważyłem.

Przez długą chwilę nie wiem, co odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, spłoszyło mnie to, że miał czelność zapytać.

– Możesz mi powiedzieć, że to nie moja sprawa – dodaje pośpiesznie, odczytując moją minę.

Wlepiam wzrok w horyzont.

– Nie twoja – odpowiadam łagodnie, ale stanowczo.

– Przepraszam. – Znów chrząka.

Objeżdżamy klif i po chwili wyłania się miasteczko, wyraźne z białymi dachami, białymi płotami, białymi wieżyczkami. Burzowe chmury zaczęły odpływać. W jednym miejscu przy cyplu ostrze błyskawicy nad wyschniętą trawą nadaje jej barwę ciemnego złota. To od zawsze mój ulubiony kolor. Kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy, zamknięta w sobie i cyniczna, wciąż wyczekująca kłopotów, byłam pewna, że nigdy nie będzie lepiej. Ale było.

– Nie udawałam – mówię w końcu.

– To dobrze. Cieszę się.

Złota trawa faluje, zgina się.

– Każdy powinien mieć gdzieś swoje miejsce.

(dwadzieścia)

Moja matka umarła w Boże Narodzenie, ale dopiero dużo później byłam w stanie poskładać wszystkie szczegóły. Wszyscy chcieli mnie chronić, jakby to nie utrudniało sytuacji jeszcze bardziej. Milczenie i domysły, usiłowanie wyczytania czegoś ze spojrzeń, min i wzroku, który zawsze unikał mojego. W końcu się dowiedziałam, że wyszła w Wigilię, kiedy dzieciaki i ja byliśmy już w łóżkach, pożyczyć pięćdziesiąt dolarów od koleżanki na prezenty dla nas. Ale zamiast prezentów kupiła heroinę i przedawkowała. Znaleźli ją w jej samochodzie na parkingu Long John Silver's w bożonarodzeniowy wieczór i przyszli po nas, ale widocznie już spaliśmy. Może wcale by nas nie znaleźli, myślałam potem przez lata w ten magiczny dziecięcy sposób, gdybym nie spaliła jajek.

A tak policja wezwała opiekę społeczną, żeby się nami zajęła. Obserwowałam, jak starsza kobieta w znoszonym niebieskim kostiumie przeszukuje szuflady, usiłując zebrać rzeczy dzieciaków. Nie pozwoliła mi pomóc, tylko wkładała ich ubrania do poszewek na poduszki w sposób wzbudzający moją złość i zakłopotanie. Ledwie udało mi się z nimi pożegnać, zanim wsadziła dzieciaki do samochodu i zawiozła do matki, która, z tego, co wiedziałam, właściwie nie potrafiła zatroszczyć się o siebie samą.

Kiedy po raz ostatni widziałam Amy, miała w buzi prawie wszystkie włosy i była cała zasmarkana. Jasonowi włożyli jej błękitne skarpetki, jakby to w ogóle nie miało znaczenia. Tego, jak oboje na mnie patrzyli, nie zapomnę nigdy, jakby w milczeniu pytali, jak mogłam do tego wszystkiego dopuścić. Ja zadawałam sobie to samo pytanie.

Ponieważ Red siedział w więzieniu i ani on, ani Robin nie mieli w pobliżu żadnych krewnych, nikt nie wiedział, co ze mną począć. Zabrano mnie na pogotowie opiekuńcze, gdzie miałam czekać

na skierowanie do pierwszej rodziny zastępczej. Opiekunką była młoda kobieta wyglądająca na niewiele starszą od mojej mamy, która miała dwadzieścia siedem lat. Powiedziała, że sama sobie szyje ubrania, podając mi talerz pełnoziarnistych krakersów i trójkątny kawałek z wielkiego bloku jaskrawopomarańczowego sera z niebieską pieczęcią wydziału opieki społecznej.

– Sporo przeszłaś – stwierdziła, kiedy jadłam. – Chcesz o tym porozmawiać?

Nie chciałam. Miała na sobie brązową spódnicę w żółte kwiaty, jakby była pionierką, postacią z książki *Domek na prerii* Laury Ingalls Wilder. Nie potrafiła zrozumieć mojego życia, a tymczasem we mnie narastało napięcie. Słowa, dla których musiałam znaleźć ujście. Nie miało to związku ze śmiercią matki, bo to dopiero zaczęło do mnie docierać, ani z tym, że martwiłam się o mojego brata i siostrę, tak jeszcze małych, potrzebujących, żeby ktoś miał ich na oku i pilnował, by jedli, ale było związane z tylko jedną chwilą. Jednym momentem z całego ciągu chwil, kiedy zamartwiałam się w myślach z powodu Phyllis, koniec końców, jak się okazało, nieszkodliwej.

– Jestem po prostu na siebie taka wściekła – powiedziałam do kobiety w falbaniastej bluzce i się rozplakałam. Do tej chwili z całej siły powstrzymywałam łzy.

– Co takiego? – spytała. – Dlaczego?

– Byłam taką *idiotką* – powiedziałam z tą samą modulacją, z jaką moja mama zawsze zwracała się do taty. – Nie powinnam była gotować. Zrobiłam taką głupotę.

Kobieta – na imię miała chyba Susan – spojrzała na mnie ze smutkiem.

– Jesteś tylko małą dziewczynką, Anno. Nie mogłabyś się opiekować bratem i siostrą. Jeśli masz się na kogoś wściekać, to na swoją mamę. Zostawiła was samych. To nie w porządku.

Nie ulegało wątpliwości, że intencje miała dobre, ale nie wiedziała o naszej rodzinie najważniejszego. Moja mama nie była szczególnie silną osobą. Jeśli za dużo spała albo za często płakała, albo brała narkotyki, to dlatego, że nasz tata nie zostawił jej dość pieniędzy i nie dawała sobie z tym rady.

– Dobrze sobie radziłam – powiedziałam. – To naprawdę grzeczne dzieci.

Posłała mi kolejne smutne spojrzenie i pokręciła głową.

– Znajdziemy ci dobry dom.

Nagle kuchenne światło zaświeciło mi prosto w oczy. Okruchy pełnoziarnistego herbatnika w buzi zamieniły się w słodką papkę. Ona mnie wcale nie słuchała.

– Ja *miałam* dobry dom.

Zapadła cisza. Chyba bała się na mnie spojrzeć.

– Tak mi przykro.

(dwadzieścia jeden)

Dwunastoosobowy zespół Willa pracował bez przerwy od 22 września, od zniknięcia Cameron, badając i przesłuchując, chodząc od drzwi do drzwi w mieście i po okolicy z jej wizerunkiem. Ludzie codziennie przekopywali się przez bazy danych, dzwoniли do kuratorów sądowych w nadziei, że znajdą nazwisko i motyw pasujące do tej sprawy. Z pewnością to dobrzy mężczyźni i dobre kobiety, ale nie chcę ich poznawać ani wplątywać się w niuanse tej sprawy bardziej niż to konieczne. Will się zgadza. Mówi, żebym informowała o wszystkim wyłącznie jego, i daje mi całkowitą niezależność, pod warunkiem że na bieżąco będę mu zdawać relację.

– Chciałabym przesłuchać Steve’a Gonzalesa – mówię. – Chcę też dowiedzieć się czegoś więcej na temat biologicznej rodziny Cameron.

– Dobrze. Ja dotrę do dziewczyny Troya Curtisa i zdobęde informacje na temat Drew Hague’a. Ale najpierw porozmawiamy wspólnie z Grayem Bensonem?

– O tym samym myślałam.

Jest nieco po trzeciej, kiedy wyjeżdżamy w poniedziałek, 4 października. Gray mieszka dwie przecznice od liceum w Mendocino, na Cahto Street, małym osiedlu graniczącym z cmentarzem Hillcrest. Właściwie nie ma miejsca do zaparkowania, ale Will kieruje radiowóz w gęstą ścianę winorośli i eukaliptusa po lewej stronie ulicy i wyłącza silnik, gdy ostatnie krople deszczu spadają na przednią szybę, zaparowaną od środka od wilgoci naszych oddechów.

Znam każdy zakątek Mendocino, ale na Cahto nie bywałam często. Są na niej tylko cztery domy, włącznie z domem Graya, prostym parterowym budynkiem krytym gontem za zwykłym niskim płotem, pod którym stoją kosze na śmieci. Wysiadamy i ruszamy

ulicą lekko pod górę, omijając błotniste wyboje i dziury w asfalcie, krocząc po słowie „szkoła”, namalowanym na jezdni popękaną, śliską od deszczu żółtą farbą. Powietrze wydaje się ciężkie i słodkie jak mokra kora. Próbuję sobie wyobrazić tutaj Cameron, postawić się na jej miejscu. W noc zniknięcia najpierw się uczyła, po szkole, z Grayem. Przechodziła tędy po drodze do swojego domu na kolację i o czym myślała? Wiedziała już, że później tego samego wieczoru spotka się ze swoim porywaczem? Czy może ich ścieżki przecięły się pomiędzy jej domem a domem Graya? Może wtedy zaproponował Cameron spotkanie, obiecując jej coś cennego. Ale co?

– Przepytałiście mieszkańców tych domów, czy ktoś widział podejrzany pojazd? – pytam Willa.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Nic.

– Jeśli Cameron często tu bywała, trzeba się baczniej przyjrzeć sąsiadom. Co z panem Bensonem?

– Z tego, co zrozumiałem, nie wchodzi w rachubę. Przeprowadził się do Nowego Orleanu, kiedy Gray był mały.

– To pewnie kolejny powód, który połączył Graya i Cameron. Utrata rodzica zmienia człowieka bez względu na to, jak do niej dochodzi.

Wysłużona furтка domu Bensonów jest otwarta i przekrzywiona na zawiasie, ze słupkiem oplecionym klematisem. Na podwórku obok domu przyglądam się zapuszczonemu warzywnikowi wyrastającemu z długich skrzyń, zaniedbanym sadzonkom pomidorów pochylającym się na drucianych podporach, i myślę o tym, jak proste i realne to wszystko mogło się wydawać dziewczynie takiej jak Cameron, uwięzionej na klifie w szklanej szkatule, gdzie jej sławna matka przycina drzewka bonsai, udając, że nie ma pojęcia o zdradach męża.

Di Anne Benson otwiera drzwi na pukanie Willa. Jest pulchną i ładną czterdziestokilkulatką z kręconymi kasztanowymi włosami. Spoza niej, z kuchni, dobiega zapach sosu spaghetti ze słoika.

– Szeryfie Flood. – Trzyma ścierkę do naczyń. – Nie spodziewałam się pana.

– Przepraszam, że znów panią niepokoję. To detektyw Hart. Czy zastaliśmy Graya? Obiecuję, że nie zajmiemy dużo czasu.

Kiwa głową i prowadzi nas za próg i dalej w górę wąskimi schodami wyłożonymi beżowym, splamionym życiem berberyjskim chodnikiem. W odstępach wiszą poprzekrzywiane roślinne grafiki z ramkami lekko pokrytymi kurzem. Idąc za nią, dostrzegam metkę, która wystaje z jej luźnego granatowego swetra, i powstrzymuję się przed wsunięciem jej z powrotem.

– Gray? – Głos Di Anne przedostaje się niepewnie za drzwi, zanim je otworzy i przesunie się na bok. Mam wrażenie, że w jej ruchach jest jakiś niepokój. Jakby wiedziała, że jej syn stał się kruchy i nieufny. Bezbronny.

Gray siedzi w połowie zatopiony w brązowym aksamitnym siedzisku na podłodze, z długimi nogami podciągniętymi do góry niczym tarcza. W rękach ma szkicownik, który zamyka, i podnosi głowę z rudymi włosami zaczesanymi w stylu pompadour, jak idol z lat pięćdziesiątych albo jak John Taylor z Duran Duran z plakatu przyklejonego do wewnętrznej strony drzwi pokoju Graya, z ich pierwszej trasy koncertowej – rozmarzony wzrok, podniesiony kołnierzyk i ta cała reszta. Ubranie Graya jest jednak proste i codzienne – ciemnoniebieska bluza z kapturem, spodnie w jasnym odcieniu khaki i wełniane bambosze na gumowej podeszwie. Wygląda mi jak ktoś uwięziony pomiędzy tym, kim chce być, a tym, kim być musi.

– Nie mam nic nowego do powiedzenia. – Bawi się zamkniętym szkicownikiem, unikając wzroku Willa i mojego.

– W porządku – mówi Will i zwraca się do pani Benson. – Zajmiemy tylko dziesięć minut.

– Jestem Anna Hart – przedstawiam się Grayowi. – Należę do detektywów próbujących odnaleźć Cameron.

– Powiedziałem już wszystko, co mogłem sobie przypomnieć.

– Wiem. I wiem też, jak ciężko musi ci być codziennie się zastanawiać, co się z nią stało. Założę się, że nie możesz spać. Że nie wiesz, co ze sobą począć.

Mruga.

– Radzę sobie.

Siadam na podłodze, żeby znaleźć się na wysokości jego wzroku.

– Byliśmy właśnie w domu Cameron. Jej rodzice od jakiegoś czasu przeżywają kryzys. Czy Cameron dużo o tym z tobą rozmawiała?

– Trochę.

Wymieniamy z Willem szybkie spojrzenie. Pora spróbować innej strategii.

– Wyjdę zadzwonić – mówi Will. – Wrócę za parę minut.

Kiedy znika, Gray spogląda na mnie nieufnie.

– Lubisz Duran Duran – mówię. – *Ordinary World* to świetna piosenka.

Zaskoczyłam go. Może dlatego mi odpowiada.

– Najlepsza na płycie.

– To prawda, ale smutna. Opowiada o Davidzie Milesie, prawda?

Jego źrenice się rozszerzają.

– Simon Le Bon nigdy tego nie powiedział.

– Zgadza się. I dlatego to taka dobra piosenka. Nie mówi niczego wprost, ale jak się wsłuchać, człowiek zaczyna słyszeć to, czego on nie mówi.

Po minie Graya widzę, że słucha mnie z uwagą. Postanawiam brnąć dalej.

– To, co dla nas najważniejsze, starannie chronimy. Czasami nie mówimy nikomu, a czasem tylko jednej osobie, która zna nas najlepiej.

– Chyba tak. – Gray kładzie szkicownik na podłodze, a bez niego jego dłonie wyglądają na puste i blade.

– Rodzice Cameron mówią, że ostatnio przeżywała ciężkie chwile. Ty też byś to tak ujął?

W długiej ciszy zmagają się ze sobą.

– W domu miała duży stres – mówi w końcu.

– Na to wygląda. Może za duży jak na kogoś tak wrażliwego jak Cameron.

Jego wzrok nadal jest ostrożny, ale podejmuje trop.

– Zawsze było jej dość ciężko z tym, że jej mama jest światowej sławy aktorką. A tata często jest poza domem.

– Czy jego podróże nie pozwalały im być blisko? Emocjonalnie, oczywiście.

– Chodzi o coś więcej. – Jego źrenice wyglądają, jakby drgały, a całe ciało delikatnie drży pod wpływem wewnętrznego konfliktu. – Ma romans z kimś z pracy. Cameron była na niego wściekła i martwiła się o mamę.

Kiwam głową, żeby go zachęcić, udając, że mnie nie zaskoczył.

– Myślisz, że zdradził ją po raz pierwszy? A może po prostu ona pierwszy raz się o tym dowiedziała?

– Cameron mówi, że on zawsze taki był. Ale teraz jest gorzej. Jego dziewczyna jest w ciąży i zamierza urodzić dziecko. Czy jej rodzice to pani powiedzieli? Może nie powinienem o tym mówić. Nie wiem.

Staram się nie reagować przesadnie. *Dziecko?* Taka informacja musiała wstrząsnąć Cameron.

– Możesz powiedzieć wszystko – uspokajam go. – Nic złego nie robisz. Cameron to twoja przyjaciółka. Nic dziwnego, że dochowujesz jej tajemnic, a ona twoich. Tak zachowują się przyjaciele.

– Szeryf przyjeżdżał ze mną rozmawiać kilka razy. Byłem naprawdę skołowany.

– Nic dziwnego – odpowiadam. – Chcesz chronić Cameron. Ale, Gray, pewne sprawy, o których wiesz, mogą nam pomóc ją odnaleźć. Myślisz, że dałbyś radę być wobec nas trochę bardziej otwarty?

Czuję, że sztywnieje na pufie, zastanawiając się, czy może mi zaufać, czy naprawdę nie postąpi niewłaściwie, jeśli powie to, co w sobie dusi.

– Cameron miała wiele poważnych problemów, zmagала się z wieloma trudnymi rzeczami. Nie tylko w kwestii rodziców.

– Sprawy osobiste – domyślam się.

– Tak.

Drzwi się otwierają i zjawia się Will. Czuję, jak niemal słyszalnie schodzi ze mnie powietrze. W czasie przesłuchania pierwsza, druga czy trzecia rzecz, jaką mówi przesłuchiwany, rzadko jest ważna. Prawdziwa szczerłość wymaga czasu. Cierpliwego przedzierania się

przez kolejne warstwy. Niewiele brakowało, żeby Gray powiedział coś ważnego.

– Jestem – oznajmia Will, siadając na łożku. – Co mnie ominęło?
Zerkam na Graya, a on kiwa głową ledwie zauważalnie.

– Rozmawialiśmy właśnie o rodzicach Cameron. Jej tata ma romans. Sytuacja jest chyba bardziej skomplikowana, niż przypuszczaliśmy.

– Tak?

Znów zerkam na Graya, szukając gestu aprobaty.

– Dziewczyna Troya jest w ciąży.

– Coś podobnego. Nieźle.

– Proszę nie mówić jej rodzicom, że coś powiedziałem – prosi Gray.

– Gwarantujemy ci pełną dyskrecję – zapewnia go Will.

– Właśnie to mam na myśli, Gray. W ten sposób możesz pomóc Cameron.

Gray milczy przez długi czas, wyginając dłonie na kolanach.

– Cameron zaczęła sobie przypominać rzeczy z przeszłości – wyznaje w końcu. – Przy ostatnim słowie łamie mu się głos. – Z czasów, kiedy była mała.

– Jakie rzeczy? – pytam łagodnie.

– Ale naprawdę nie możecie powiedzieć jej rodzicom. – Gray zamyka oczy, a później je otwiera i zdaje się, że jest gotowy zapłacić cenę prawdy. Wyczuwam jego strach i niepokój. Prosimy go o to, żeby wyciągnął mroczne sekrety Cameron ze skrzyni, w której je dla niej przechowywał. Jest jej najbliższym przyjacielem, to on jest tą skrzynią. – Musicie mi przyrzec.

Oboje kiwamy głowami.

– Chciała zacząć brać pigułkę. Nie uprawiała seksu ani nic z tych rzeczy. Proszę tak nie myśleć. Podobno naprawdę dobrze działa na skórę.

– To prawda – przyznaję. – Mnóstwo dziewczyn stosuje ją z tego powodu.

– Właśnie. W każdym razie poprosiła mnie, żebym pojechał z nią do bezpłatnej przychodni. Pojechaliśmy do Fort Bragg autobusem któregoś dnia po szkole parę tygodni temu. Czuję się, jakbyśmy robili rzecz dla dorosłych.

– Mów dalej – ponaglam. – Pojechaliście do przychodni.

– Tak, ale lekarka nie chciała wydać recepty bez dokładnego badania. Czekałem na nią, nic wielkiego, ale wyszła stamtąd wyjątkowo przygaszona i cicha. Dopytywałem, co się stało, powiedziała mi dopiero w połowie drogi do domu. To było straszne.

– Co było straszne? – pyta Will.

– Lekarka powiedziała jej, że ma blizny. – Jego twarz nieruchomieje, a później pochmurnieje. – To znaczy, tam w środku.

Czuję ukłucie w sercu.

– Czy wspominała ci kiedyś o swoim wujku? Drew Hague?

Gray kręci głową.

– Chyba nie.

– A o kimś innym? O mężczyźnie? Skup się, Gray.

– Nie było żadnych mężczyzn. W każdym razie o żadnym mi nie mówiła. Po tamtym dniu znów się zamknęła w sobie i nie chciała ze mną o tym rozmawiać. Nasza przyjaźń się zmieniła.

Jest jeszcze dzieckiem. Nic dziwnego, że poczuł się bezradny, ale podobnie poczuła się Cameron. Inaczej szukałaby w nim, swoim najlepszym przyjacielem, oparcia. Powiedziałyby mu, gdyby umiała znaleźć słowa.

– Jesteś bardzo dzielny, że zdobyłeś się na szczerą wobec nas – mówię w końcu. – To może być ważne, Gray. Myślę, że ktoś kiedyś skrzywdził Cameron. Ten ktoś mógł powrócić do jej życia albo mogła poznać kogoś nowego, kto zbliżył się do niej w ten sam sposób. Nie możesz obwiniać się o to, że nie wiedziałeś, jak naprawić sytuację. Właściwie nie da się jej naprawić. Rozumiesz?

Gray potakuje ledwie zauważalnie. Widzę, jak się stara sobie wybaczyć.

– Możesz dać nam znać, jeśli przypomnisz sobie coś więcej? Cokolwiek? – prosi Will.

Przysuwam się do siedziska i klękam, wyciągając ręce.

– Gray...

– Tak?

– Ty nie ponosisz żadnej winy.

(dwadzieścia dwa)

Do samochodu wracamy w milczeniu. Will przez dłuższy czas nie uruchamia silnika. Tuż za moją szybą gałąź eukaliptusa opiera się o szkło, a gęste zielonoszare liście wyglądają jak powiększone, uperlone kroplami deszczu.

Hap nazywał je drzewem gumowym. Kiedyś mi powiedział, że w samej Australii jest siedemset gatunków drzewa gumowego i że potrafią wytwarzać mgłę, niebieskawą poświatę, która powstaje, kiedy do ciepłego powietrza ulatniają się zawarte w nich związki chemiczne. Siedemset odmian jednego zaledwie rodzaju, a tymczasem ludzkie życie zdaje się skazane na powtarzanie na okrągło tych samych potwornych schematów, jakby historia mogła się toczyć tylko w jeden sposób.

– Czy takie blizny z całą pewnością oznaczają wykorzystanie seksualne? – pyta w końcu Will.

Nie jestem zaskoczona, że się zastanawia, mimo że widział, jak przytłoczony stał się Gray na wspomnienie całej tej sytuacji.

– Nie zawsze. To kontrowersyjny temat. Zdaniem wielu takie blizny są niejednoznaczne. Inni powiedzą, że większość lekarzy albo nie ma pojęcia, na co patrzy, albo nie chce otwierać tych drzwi. Najbardziej wymowna jest dla mnie reakcja Cameron.

– Masz na myśli to, że zamknęła się w sobie?

– Tak. Domyślam się, że ukryła to wszystko naprawdę głęboko.

– Nie rozumiem zachowania tej lekarki. Nie ulega wątpliwości, że rzucenie takiej bomby na nastolatkę jest nieodpowiedzialne.

– Cóż, to skomplikowane. Lekarze widują rozmaite rzeczy. Zatajenie tego przed nią mogłoby być o wiele bardziej nieodpowiedzialne.

– Czy nie ma tu kwestii prawnej? Czy przychodnia nie powinna zawiadomić rodziców Cameron?

– Tak by się wydawało, ale w Kalifornii nie ma wymogu przekazywania tego typu informacji, przynajmniej na razie. Zastanawiam się, co my powinniśmy zrobić z tą informacją. Może na razie zatrzymać ją dla siebie, zwłaszcza że nie wykluczyliśmy Troya jako podejrzanego. Jak wyszło jego badanie na wykrywaczu kłamstw?

– Żadnych rozbieżności. O wiele ciekawsze były wyniki Emily.

– Jak to?

– Wiesz, że te rzeczy są zawodne. Staram się nie traktować ich zbyt poważnie, chyba że nie mam żadnego innego źródła.

– Jasne. – Coś w jego tonie wzbudza mój lekki niepokój. – Co się stało?

– Nie przeszła próby.

Nim zdążę odpowiedzieć, krótkofalówka Willa nagle ożywa z trzaskiem, alarmując nas oboje. Odbiera ją, wciskając kciukiem przycisk.

– Flood.

– Tu Leon, szeryfie. Dostaliśmy przed chwilą telefon z Gualali. Wygląda na to, że zgłoszono tam zaginięcie dziewczyny. Siedemnastoletnia Shannan Russo, ostatnio widziana 2 czerwca.

– Czerwca? To czemu sprawa pojawia się teraz?

– Chyba z powodu innych dziewczyn.

Słysząc, że zastępca szeryfa jest niepewny i młody, może niewiele starszy od Willa, kiedy ten zaczął pracować jako zastępca ojca.

– Już jadę – mówi Will i się rozłącza, patrząc na mnie z brwiami uniesionymi w wielkim zadziwieniu aż pod krawędź kapelusza.

– Szlag – mówię za nas oboje, żałując, że nie ma sposobu na wciśnięcie pauzy. Gdybym tylko mogła wysiąść z samochodu i pójść sama do lasu, może udałoby mi się odzyskać trzeźwość umysłu. Ale Will ciągle na mnie patrzy. – Czasami to efekt domina – mówię. – Jakieś dziecko ucieka i nikt się tym nie przejmuje, aż ktoś taki jak Polly Klaas pojawia się na pierwszych stronach gazet. Wtedy rodzina dochodzi do wniosku, że pora wszcząć panikę.

– Może i tak. – Widać, że Will chce mi wierzyć, choć dużo nie powiedziałam. – Wyślę kogoś, żeby porozmawiał z tamtejszym

departamentem szeryfa. A może pojedę sam. Dość dobrze znam Denny'ego Rasmussena.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? – proponuję odruchowo.

– Masz co robić. Spotkamy się później i porównamy notatki. – Uruchamia silnik, a ja opieram się w fotelu pasażera, czując ulgę, że dostałam wolne.

Tych kilka ostatnich godzin wydrenowało mnie bardziej, niż mogę przyznać, rozmowa z Emily, a później z Grayem, informacja o bliźnach Cameron, to, jaki ciężar naraz na nią spadł. Za dużo dla każdego, a co dopiero dla piętnastolatki.

Will mówi, niemal jakby czytał w moich myślach:

– Biedna dziewczyna. Wyobrażasz sobie zostać zgwałconą i tego nie pamiętać?

– Nie – odpowiadam.

Ale potrafię sobie to wyobrazić. Takie rzeczy są na porządku dziennym.

Po drodze do Gualali leżącej osiemdziesiąt kilometrów na południe Will podrzuca mnie na parking liceum. Wchodzę do budynku i od razu zderzam się z przeszłością, z nastolatką, jaką tu byłam zaledwie chwilę temu, jak mi się zdaje. Te same zapachy pasty do podłogi i hormonów, rzędy powgniatanych szafek, ściany z pustaków i zielonkawe fluorescencyjne światła. Ale czy ta szkoła naprawdę była taka mała?

To koniec dnia i budynek jest niemal pusty. Wiedziona pamięcią znajduję sekretariat, gdzie pracownica administracji kieruje mnie do sali angielskiego Steve'a Gonzalesa. Zastaję go na ustawianiu krzeseł i się przedstawiam.

– Cameron – rzuca i siada ciężko na krześle, jakbym go popchnęła. Już to, z jakim trudem wypowiada jej imię, mówi mi, że nie będzie interesujący dla naszego śledztwa. Mówi mi, jak bardzo jest dla niego ważna.

Gonzales, przygarbiony, o łagodnym spojrzeniu, ma na sobie szerokie sztruksy i tani beżowy sweter, który prawdopodobnie nosi od lat co drugi dzień. W kruczoczarnych włosach widać srebrne

nitki. Domyślam się, że pracuje tu od dawna i widział rozmaite dzieciaki.

– Proszę mi opowiedzieć, jak się uczy – mówię. – Jaką uczennicą jest Cameron?

– Dobrą. Uczyłem ją dopiero od miesiąca, ale od razu się wyróżniała. Wrażliwi czytelnicy mają specyficzny wygląd. Niemal wyczuwa się, że potrzebują książek, żeby się dobrze czuć.

– Emily Hague mówi, że chwalił pan Cameron za pisanie.

– Napisała kilka wierszy i mi je pokazała. Poza programem nauczania.

– Mogę na nie spojrzeć?

– Oddałem je jej, ale żałuję, że wcześniej nie zrobiłem kopii. Może byłyby jakoś pomocne.

– Jakie były?

– Naprawdę dobre, ale mroczne. To była dla mnie trudna chwila. Powinienem mówić o kunszcie wiersza, symbolice albo szczególnie dobrym wersie, ale w tym wypadku temat był niepokojący, a ja nie wiedziałem, czy powinienem o tym wspomnieć. Młodzi twórcy prawie zawsze odwołują się do siebie, nawet wtedy, kiedy nie powinni.

– To bardzo wymowne, że zechciała pokazać panu coś tak osobistego. Musiała mieć pewność, że może panu ufać. Co było dalej? Odniósł pan wrażenie, że Cameron chciała, żeby pan z tym coś zrobił? Że prosi o pomoc?

Ciemnobrązowe oczy Steve'a pochmurnieją.

– Boże, mam nadzieję, że nie. Redaguję szkolną gazetkę. Spytałem ją, czy chce, żebym opublikował wiersze, powiedziała, że się zastanowi. Później złożyła kartki ze dwanaście razy. Pomyślałem, że jest zawstydzona, że mi je pokazała. Czuję się źle po jej wyjściu, ale następnego dnia na lekcjach sprawiała wrażenie, jakby wszystko było w porządku.

– Kocha pan swoją pracę, panie Gonzales.

– To prawda. Choć w tej chwili jest mi ciężko. – Spojrzał w dół na swoje miękkie, grube dłonie. – Inni uczniowie cały czas są przerażeni. Zauważyłem, że nie mogą się skupić. Moi koledzy są tego samego zdania. – Doskonale wiem, o czym mówi. Kiedy taka

straszna rzecz dzieje się tak blisko, często widzi się otępienie, niezdolność koncentracji, depresję i niepokój. Narzędzi do poradzenia sobie z tego rodzaju strachem nie ma większość dorosłych, a co dopiero dzieciaki. Współczuję Steve'owi, im wszystkim.

– Wiadomość o Polly Klaas na pewno jeszcze pogorszyła sytuację – mówię. – Dzieciaki pewnie czują, że to się może przydarzyć znowu, każdemu z nich.

Kiwa głową.

– Co mam robić?

– Mieć cierpliwość. Słuchać. Dodawać im otuchy swoją obecnością. Pozwolić im przeżywać to, co czują. Dzieci są odporne. Czas je uleczy, ale najpierw potrzebują jakiegoś stanowiska. Mam nadzieję, że niedługo zdołamy je im przedstawić.

Posyła mi długie spojrzenie.

– A czy pani kocha swoją pracę, detektyw Hart?

To pytanie zbija mnie z tropu. Kiedyś ta odpowiedź była oczywista, lecz już nie jest.

– Zawsze czułam potrzebę pomagania innym. Ale czasami na człowieka spada za dużo, zwłaszcza jeśli ktoś ma poważne kłopoty i nie wiadomo, czy zdoła mu się pomóc, choćby nie wiem jak się człowiek starał.

– Tak – mówi. – Tak się właśnie czuję w tej chwili.

Przed wyjściem proszę, żeby pokazał mi szafkę Cameron, która znajduje się tylko rząd ponad tą, gdzie kiedyś mieściła się moja. Ekipa Willa rozwierciała zamek i zabrała prawie wszystko. Zostały tylko podręczniki, *Algebra II*, *Wstęp do łaciny*, *Historia świata* i wysłużony egzemplarz *Jane Eyre* w miękkiej okładce.

– Właśnie zaczęliśmy lekcję na jej temat – mówi, stojąc obok mnie, Steve Gonzales. Dalej w korytarzu woźny niezdarnie prowadzi froterkę, zataczając nią koła i pozostawiając za sobą wzory podobne do szklistych, chaotycznych tarczy strzelniczych. – Dziewczyny takie jak Cameron uwielbiają Jane.

– Ja też ją uwielbiałam. – Czuję nagłą więź. – Jane ma wszelkie powody, żeby uważać się za ofiarę, a jednak się nią nie czuje. Jest spokojna, zamknięta w sobie, ale z całą pewnością waleczna.

Wyciągam książkę, żeby ją zabrać ze sobą, a później odsuwam stos podręczników na bok. W prawym rogu z tyłu szafki, w miejscu, które tylko Cameron była w stanie bez trudu widzieć, przyczepiona jest czysta pocztówka z wierszem Rainera Marii Rilkego napisanym wers po wersie jej równym, starannym pismem.

*Jestem na świecie zbyt sam, a przecież sam nie dość,
by każdą święcić godzinę.*

*Jestem na świecie zbyt nikły, a przecież mały nie dość,
by pójść przed Twoją głębinę*

jak rzecz:

ciemny i mądry.

*Ja chcę moje chcenie i chcę mego chcenia nieć
wieść czynu szlakami;*

i w cichych czasów drzenie, ponad wahaniami,

gdy idzie coś ku nam,

pośród wiedzących być

albo sam.

Chcę odzwierciadlać Ciebie według całej miary

i nie chcę nigdy być ślepy, zbyt stary,

by trzymać Twój obraz ciężki i rozchwiany.

Chcę się rozskrzydlić gestem.

Nigdzie nie chcę być złamany,

bom jest kłamany, gdzie złamany jestem.*

(dwadzieścia trzy)

U Pattersona, czekając na Willa, przeglądam *Jane Eyre*, z jakiegoś powodu skrepowana, jakbym zaglądała do pamiętnika Cameron albo wkroczyła na zakazany teren. Książki bywają dla ludzi niewiarygodnie osobiste, a nawet święte. Wygląda na to, że ta właśnie taka dla niej była – jest sfatygowana i ma pozaginane rogi, pełno podkreślonych fragmentów i uwag ołówkiem – zaszyfrowana mapa jej duszy. Mam też pocztówkę z wierszem Rilkego i przepisuję go do mojego notatnika, zakreślając wersy, które wydają się istotne. *Jestem na świecie zbyt sam... idzie coś ku nam... pośród wiedzących być...*

Wiersz musiał być dla niej ważny, bo inaczej nie poświęciłaby czasu na to, żeby go przepisać, w dodatku zatrzymała go przy sobie. Właściwie domyślałam się, że rozpoznawała w tym wszystkim siebie, że każde słowo wydawało się wskazywać, niczym płonąca strzała, na to, kim jest w środku i co dźwiga.

To, co powiedziałam wcześniej Willowi, że nie potrafię sobie wyobrazić, że Cameron zdusiła wspomnienia swojego wykorzystania, było kłamstwem. W rzeczywistości to częsta reakcja, nawet endemiczna. Doświadczenie gwałtu jest nierzadko tak przytłaczające i destrukcyjne, zwłaszcza dla dzieci, że ofiara jest w stanie poradzić sobie z tym tylko ucieczką od swojego ciała. Nie chodzi o reakcję „uciekaj albo walcz”, lecz o efekt kompletnego odłączenia. Jeśli oprawca jest przy okazji opiekunem, kimś, od kogo należałoby oczekiwać ochrony i miłości, doświadczenie zamknięcia w sobie może być jeszcze bardziej dramatyczne i daleko idące. Świadomość czy uczucia, których nie jesteśmy w stanie udźwignąć, często udaje nam się ukryć przed sobą samym, i to ukryć dobrze.

Niezależnie od tego, w jakim wieku Cameron została wykorzystana i czy stało się to raz, czy się powtarzało, jej umysł

najprawdopodobniej interweniował, żeby ją chronić. Nie była to podjęta przez nią decyzja, ale raczej coś na kształt zwierzęcego instynktu, jedyny sposób ucieczki przed rzeczą zbyt potworną, żeby ją nazwać czy czuć. Możliwe, że nie pamiętała z tego zdarzenia zupełnie nic do czasu wizyty w przychodni, nieszczęśliwego trafu, który wydobył to wszystko z mroku.

Ledwie jestem w stanie myśleć o tym, co Cameron musiała czuć tamtego dnia, siedząc na fotelu ginekologicznym, już i tak obnażona i bezbronna, ze stopami w metalowych strzemionach, kiedy lekarka włożyła lateksowe rękawiczki, nieświadoma, że lada moment zdetonuje skrywany ból łamiący życie. Historię ukrytą przez pamięć Cameron, ale nie przez jej ciało. Skrywała się w niej, spisana w zabliznionych tkankach.

Nawet gdyby wspomnienia Cameron nie zostały przywołane w ten sposób, zniszczenie bulgoczące wewnątrz od lat z pewnością znalazłoby inne sposoby erupcji, w uczuciach zawstydzienia czy beznadziei, przyciągając ją bezwiednie do ludzi bądź sytuacji będących echem lub przypominających ten pierwotny ból. Wiele razy widziałam, jak historia osoby, która przeżyła traumę, znajduje sposób, żeby opowiedzieć *o tej osobie*, a nie odwrotnie.

Cierpię razem z nią, tą dziewczyną, której nie poznałam, a jednak ją *znam*. Przetrwiała przemoc, zdradę i przerażenie, kradzież duszy. Przetrwiała palący, skrywany wstyd i milczenie, i lata wymuszonej amnezji. Ale czy zdoła przetrwać to, co dzieje się z nią teraz, w środku i na zewnątrz? Czy zdoła przetrwać ożywione wspomnienie?

Przytłoczona odsuwam od siebie książkę oraz wiersz na blacie baru i zamawiam mały kieliszek whiskey. Opróżniam go szybko i popycham kieliszek do przodu, prosząc o kolejny.

Barmanka spogląda na mnie, unosząc narysowane brwi.

- Przyjechała pani samochodem?
- Proszę się nie martwić.
- Powiem pani coś. Odda mi pani kluczyki i może pani wypić w cholerę całą butelkę.

Ogarnia mnie nagła złość.

- Proszę mi nalać drinka, jasne? Reszta niech pani nie obchodzi.

Spogląda na mnie z góry.

– Kogoś musi obchodzić.

Pod jej śmiertelną powagą dostrzegam szczerą troskę, choć o nią nie prosiłam. Przez ułamek sekundy czuję ochotę, by cisnąć pustym kieliszkiem w lustro za nią, bez powodu, tylko po to, żeby coś rozbić. Ale biorę głęboki oddech i powoli go wypuszczam.

– Ile ma pani lat?

– Słucham? – prychna. – Czasami sto. A pani?

– Trzydzieści pięć. Trzydzieści pięć, a czasami sto.

– A więc przyjaźń? – Uśmiechając się, pokazuje zęby, ale wyczuwam, że próbuje rozszyfrować, co zamierzam i czego od niej chcę. Czy chodzi tylko o ten następny kieliszek, czy o coś więcej? – W grudniu skończę czterdzieści.

– Długo pani tu mieszka?

Kiwa głową.

– Mieszkała tu pani, kiedy zamordowano Jenny Ford?

– Chodziłam z nią do szkoły. Była kilka lat młodsza. Ostatnio dużo o niej myślę.

– Z powodu Cameron Curtis? Ja też.

Nadal trzyma butelkę. Widzę, że jej umysł usiłuje rozwikłać zagadkę naszej rozmowy. Mnie.

– Chodziła pani do liceum w Mendocino? Skądś panią kojarzę.

– Pani już zdążyła je skończyć, kiedy ja zaczęłam pierwszą klasę. To było dawno temu. – Wyciągam z kieszeni dwudziestodolarówkę i kładę ją na ladzie. – Mam na imię Anna. Przepraszam za swoje idiotyczne zachowanie.

– Jestem Wanda, i chyba widziałam gorsze. – Bierze banknot i wsuwa starannie do biustonosza w chwili, gdy zjawia się Will. – O wilku mowa.

Spoglądamy z Wandą na siebie i parskamy śmiechem.

– Co was tak bawi? – dopytuje Will.

– Pańska mina – odpowiada Wanda, puszczając oko, a ja od razu czuję, że ją lubię. Świat potrzebuje całej armii takich Wand, silnych, dowcipnych, nieustraszonych kobiet, które mówią to, co myślą, i zachowują się bezkompromisowo bez przeproszenia czy pytania o pozwolenie. Kobiet, które grzmia, zamiast się kulić.

– Zabawne – kwituje beznamiętnie Will. – Przynieś mi drinka, dobrze?

Przygotowuję się na kolejną rundę wykładu Wandy na temat odpowiedzialności za kierownicą, ale ona jest na to za mądra i bez słowa nalewa mu piwo, a mnie kolejny kieliszek whiskey, a później idzie na drugi koniec baru.

Widać, że Will miał ciężki dzień. Wypija połowę guinnessa w dwie minuty, zgarbiony i przytłoczony. Mam ochotę go objąć, ale się powstrzymuję.

– I co tam w Gualali? – pytam.

– Cholernie przygnębiająca sprawa. Ta dziewczyna, Shannan, bez dwóch zdań ma kłopoty przez duże „K”. Notorycznie uciekała w narkotyki i w seks. W szóstej klasie ją zawiesili za robienie loda w szkolnej łazience jakiemuś dzieciakowi, prawdopodobnie za jego pieniądze na lunch.

Słyszę w jego głosie odrazę. Obrzydzenie. Ponieważ jestem kobietą, patrzę na to z innej perspektywy. Żyję w ciele kobiety. Doskonale znam słabości. Wszystkie sposoby na to, żeby przedstawiano cię jako ofiarę albo żeby samej się tak przedstawiać. Wiem, że seks może stać się bronią wewnątrz i na zewnątrz.

– Mów. Co jeszcze?

– Kiedy Denny i ja rozmawialiśmy z jej matką, nie mogła sobie nawet przypomnieć, ile razy Shannan uciekała. Na ogół wracała po kilku tygodniach chudsza i całkowicie spłukana. Tym ostatnim razem przysłała list, że wyjeżdża z własnej woli i nie chce, żeby jej szukać. Stempel pocztowy był z Ukiah, z 10 czerwca. Shannan czasami mówiła o przeprowadzce do Seattle, więc jej matka zakłada, że tam pojechała.

– A skąd to nagle zgłoszenie zaginięcia?

– Nie zgadniesz. – Gorycz w jego głosie nie pasuje do niego, ale jest zrozumiała, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Czego?

– Dostała telefon od wróżki. Kobiety z okolicy o nazwisku Tally Hollander. No i ta cała Tally wyszukuje Karen Russo w książce telefonicznej i dzwoni w zasadzie po to, żeby jej powiedzieć, że Shannan nie żyje. Wyobrażasz sobie coś takiego?

Nagle robi mi się zimno. Jeśli tak było, jej zachowanie rzeczywiście wydaje mi się bezduszne.

– Co dokładnie powiedziała?

– Że Shannan została zamordowana. Ponoć miała wizję lasu. Uważa, że tam może być ciało Shannan.

– Jakiego lasu?

– Dokładniejsze wskazanie chyba wykracza poza jej nadprzyrodzone moce – prycha z niesmakiem. – Do mnie też dzwoniła, tuż po zaginięciu Cameron, i była równie ogólnikowa.

– Serio? Tacy ludzie czasami się sprawdzają, Will. Mam dobre doświadczenia z paroma osobami, które okazały się bardzo pomocne. Co powiedziała o Cameron?

– Że została uprowadzona i znajduje się w jakimś ciasnym miejscu w ciemności.

– Hmm. I to wszystko?

– Tak. Równie dobrze mogłaby nam poradzić, żebyśmy szukali na Marsie.

Mój umysł szybko się uruchamia. Nie wiadomo, co począć z tak skąpych informacjami.

– Shannan miała auto, prawda? Czy ktoś sprawdził numer rejestracyjny?

– Nie wiem. Mogę spytać Denny’ego, ale list był dość oczywisty. Shannan chciała wyjechać.

– Możliwe, lecz jest nieletnia, Will. Nie wiemy, czy nie miała poważnych kłopotów albo nie została do tego jakoś zmuszona. A jeśli rzeczywiście leży martwa w lesie?

Jego spojrzenie jest przenikliwe.

– Tally Hollander to zwykła wariatka. Chyba nie jesteś aż tak łatwowierna?

– Słuchaj – protestuję – nie chodzi o mnie i dobrze o tym wiesz. Jeśli Shannan żyje, potrzebuje naszej pomocy. A jeśli jest za późno, zasługuje na to, żeby ją odnaleźć. Nie możemy się po prostu poddać.

– Ta dziewczyna to nie Cameron, Anno. To uciekinierka, która od dawna rozwalala sobie życie. I słyszałaś, co powiedziała jej matka. Shannan nie chciała, żeby ktoś jej szukał. Koniec i kropka.

– Jak możesz tak mówić, Will? Jesteś ojcem.

- A jakie to ma znaczenie?
- Jesteśmy odpowiedzialni za tę dziewczynę.
- Dlaczego? Czemu jesteśmy odpowiedzialni?

– Bo każdy chce, żeby go szukać, czy sobie to uświadamia, czy nie. Żadne z nas przez długą chwilę się nie odzywa. Ten impas dzieli nas niczym namacalny przedmiot, zabiera miejsce i powietrze. W końcu on dostrzega egzemplarz *Jane Eyre* i z zaciekawieniem unosi brwi.

- Jak było u Steve’a Gonzalesa?

– Polubiłam go. Sprawia wrażenie porządnego faceta i dobrego nauczyciela i widać, że zależy mu na Cameron. Nie sądzę, że ma z tym wszystkim jakikolwiek związek, ale możesz go zbadać wariografem, żeby go wykluczyć.

Chwileczkę. Docierają do mnie moje własne słowa i o czymś mi przypominają. W radiowozie, zanim dzień zdeorganizował nam telefon w sprawie Shannan, Will zaczął mi mówić coś ważnego.

– Wariograf Emily – przypominam mu. – Dlaczego nie zaliczyła badania?

(dwadzieścia cztery)

Szkoląc się do przesłuchiwania podejrzanych, jak wszyscy inni pracownicy organów ścigania w tamtych czasach uczyłam się techniki przesłuchań Reida. John Reid był policjantem z Chicago, który wymyślił swoją metodę, kiedy w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku Sąd Najwyższy zakazał bicia, dręczenia i gróźb w celu uzyskania zeznań. Reid lubił naukę. Był specjalistą od badań poligraficznych i uważał, że policjantów też można nauczyć wykrywać kłamstwa na podstawie bezwiednych tików i gestów podejrzanych, powtarzalnych schematów wypowiedzi, reakcji na stres. Poprzez serię coraz trudniejszych pytań i kroków przesłuchujący miał przejmować coraz większą kontrolę, a wariograf minuta po minucie rejestrował zmiany rytmu serca, ciśnienia krwi, temperatury ciała i pocenia.

Podobnie jak Will, do wariografu podchodziłam zawsze z pewnym sceptycyzmem, uważając go, owszem, za narzędzie, ale nie za czynnik, na którym można oprzeć podejrzenia, nie mówiąc o oskarżeniach. Przyspieszone bicie serca mogło sugerować poczucie winy, jasne. Jednak w takiej sprawie jak przypadek Cameron, kiedy na szali było życie dziecka, subiektywne emocje nie mogły być inne, niż tylko rozpalone, chaotyczne, rozszalałe. Nierzeczywiste. Poza tym z doświadczenia wiedziałam, że ludzie winni bez problemu zaliczali badanie wariografem. Osoby narcystyczne, psychopaci. Ludzie pozbawieni sumienia.

– Co się stało, Will? Co ją zdradziło?

Jego mina wyraźnie mówi, że chce przerwać tę rozmowę, ale w końcu się poddaje.

– Pytanie brzmiało: „Czy kiedykolwiek skrzywdziła pani córkę?”. Emily odpowiedziała: „nie”, a wiesz, na jakiej zasadzie to się odbywa.

Pytanie pojawia się jeszcze kilka razy, inaczej sformułowane. Za każdym razem, kiedy Emily mówiła: „nie”, podskakiwał jej puls.

– To chyba ważne. Nie sądzisz?

– Nie wiem. Ta rozbieżność mogła znaczyć różne rzeczy. Może Emily raz dała Cameron zbyt mocnego klapsa albo zamknęła ją w pokoju. Rodzice roztrząsają takie rzeczy latami. – Will trzyma kufel w dłoniach i turla szklankę w tę i z powrotem, jakby to miało mu pomóc ważyć słowa, pomóc mnie przekonać. – Ale możliwe, że chodziło o tę sprawę. O poczucie odpowiedzialności. Wyrzuty, że nie umiała ochronić Cameron w jej własnym domu.

Słuchając, muszę się zastanawiać, czy nie wyciągam pochopnych wniosków. Albo czy on nie przegapia czegoś, co mamy tuż przed nosem? Poczucie winy rodzica może być boleśnie dokuczliwe i bezgraniczne, wiem o tym aż za dobrze. Ale coś *rzeczywiście* stało się w domu Emily, i to nie tylko w noc zniknięcia jej córki. Emily nie ochroniła córki, kiedy należało to zrobić, kiedy Cameron była o wiele za mała, żeby mogła sama siebie ochronić. Ta szpara z czasem się rozszerzała i w końcu stała się tą obecną szczeliną. Na wszelkie sposoby, jakie w tej chwili miały znaczenie, przeszłość Cameron ukształtowała jej terażniejszość.

– Will – mówię. – Musimy porozmawiać o kwestii wykorzystywania.

Wydaje się zmieszany.

– Dlaczego sądzisz, że to się nie stało, zanim przyjechała do Curtisów, o ile w ogóle miało miejsce?

Ignoruję jego cynizm i prę naprzód.

– Statystycznie do większości przypadków wykorzystywania seksualnego dochodzi pomiędzy siódmym a trzynastym rokiem życia dziecka. Sprawcą w mniej więcej dziewięćdziesięciu procentach jest członek rodziny. A ofiary, Will, są cichymi, przeżywającymi trudności, samotnymi dziećmi. Dziewczynkami takimi jak Cameron. – Do mojego tonu wkrada się płomiennosc i wiem, że pora się wycofać, zapanować nad sobą, ale już choćby wizja opanowania emocji wydaje mi się odległa, poza moim zasięgiem. – Chyba powinniśmy skonfrontować się z Emily

i przekonać się, co nastąpi. Pojedziemy z nakazem do przychodni po kartotekę Cameron i rzucimy ją jej na stół.

Will jest wyraźnie wstrząśnięty.

– Jezu, Anna, serca nie masz. Jej córka jest *zaginiona*. – To słowo rozbłyskuje pomiędzy nami, jaskrawe i migoczące. – Nie sądzisz, że z tego powodu Emily należy nieco odpuścić, domniemywać jej niewinności? A co z Troyem Curtisem? Dlaczego jemu odpuszczasz? Może to on ją skrzywdził?

Nagle robi mi się gorąco. Z kuchni dolatuje zapach smażonej ryby. Pod dłońmi mam lepiącą się ladę barową. Zarzut Willa nie jest wcale retoryczny. Ma mnie za wariatkę, ot co. I całkiem możliwe, że nią jestem.

– Nie zapominam o Troyu – mówię szybko. – Ale to Emily była sama w domu z Cameron i to głównie ona się nią opiekowała. Porzuciła aktorstwo, żeby na pełny etat odgrywać rolę matki. I to ona nie zaliczyła próby na wariografie. Wcale nie jestem bez serca, jestem po prostu realistką. Nie mamy czasu, żeby się cackać, Will. Jeżeli Emily wiedziała o wykorzystywaniu, to wariograf właśnie w ten sposób wykazałby nie tylko jej poczucie winy, ale także jej winę. Może czuje się za to odpowiedzialna, bo *jest* za to odpowiedzialna. Może zamykała oczy, kiedy powinna była mieć je szeroko otwarte. Może trzymała język za zębami, kiedy powinna była krzyczeć na całe gardło. – Mam wrażenie, że stołek pode mną wiruje pod wpływem napięcia. Głos mi drży, rozpalony. – Może chroniła swojego brata, Drew, zamiast Cameron.

Will prostuje się, a jego mina się zmienia.

– Sprawiasz wrażenie potwornie rozemocjonowanej, Anno.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, szybko przechodząc do defensywy. – Po prostu wiem, że na coś trafiłam. Zobacz, znalazłam ten wiersz w szafce Cameron. Może być ważny.

Bierze pocztówkę Cameron, kiedy przesuwam ją w jego stronę, i czyta wersy w milczeniu. W końcu podnosi wzrok.

– Cholera. Która piętnastolatka czyta Rilkego?

– Zraniona. *Chcę pośród wiedzących być albo sam*. To chyba wystarczy za wszystkie słowa? Przemoc bywa przypadkowa, jasne, wynika z szans i możliwości. Ale czasami jest bardzo konkretna

i zaplanowana, jakby istniało jakieś ukryte powiązanie, bezbronność, jaką oprawcy są w stanie wyczuć u niektórych ofiar, nawet jeśli widzą je po raz pierwszy. Krzywda niekiedy działa jak radar. Jakby najmroczniejsza część czyjejś historii emanowała z ciała, ciągle żywa w komórkach. Rozumiesz, o czym mówię?

Will wygląda na skrepowanego, twarz ma zaczerwienioną.

– Chcesz powiedzieć, że ofiary są w pewnym sensie winne? Że to one powodują, że ktoś je wybiera?

– Nie, skądże. Wręcz *odwrotnie*. – Znow biorę kartkę, czując frustrację. Wydaje mi się, że brakuje mi właściwych słów.

– Więc o co chodzi? Jak to się właściwie dzieje?

– Kiedyś pracowałam z wyjątkowo bystrym ekspertem od profilu psychologicznego – próbuję znowu. – Na określenie tego rodzaju zjawiska, że ofiary nieświadomie informują o sobie oprawców, używał terminu „sygnał Batmana”. Wszyscy przychodzimy na świat z czystym, jasnym światłem, prawda? Jesteśmy niewinni i czyści jak cholerne niebo. Jaśni, czyści i niewinni.

– Wierzę w to – mówi Will, a wzruszenie w jego głosie sprawia, że czuję się mniej samotna. – Każdy rodzi się z czystą kartą.

– Właśnie. – Emocje wibrują pomiędzy nami na niewidzialnej strunie. – Ale później niektóre dzieciaki, jeden na dziesięć, może, choć bliżej pewnie do jednego na czworo, doświadczają naprawdę strasznych rzeczy we własnej rodzinie albo ze strony znajomego, któremu rodzina ufa. Trauma, zaniedbanie, wykorzystywanie, manipulacja, gwałt, narażenie na przemoc. I nie mają środków, żeby sobie z tym poradzić, ani nie znają słów, żeby o tym mówić. Trwa więc cisza. Wymuszony współudział. Wstyd. I wkrótce pojawia się gruba warstwa czarnej smoły, a kiedy zaświeci przez nią światło... – Zawieszam głos, wiedząc, że prawdopodobnie domyślił się, że nie mówię tylko o moich sprawach ze wszystkich tych lat, że część z tego, co wiem, przeżyłam na własnej skórze.

– Sygnał Batmana – powtarza poważnie.

– Tak. Widoczny jak księżyc nad miastem Gotham. I każdy psychopata, socjopata, sadysta, alkoholik, narcystyczny dupek widzi coś takiego i przybiega. Spotykają się i rozumieją. Rozpoznają się

na pewnym głębokim poziomie. To jak mówienie w dwóch dialektach tego samego języka.

– Nieźle, rany. Jezu. To aż za bardzo sensowne. – Chwyta wilgotną serwetkę pod kuflem i zaczyna ją gnieść, kręcąc głową. – Ale jak dochodzi do pierwszego molestowania, skoro każdy rodzi się z czystą kartą? Dlaczego celem stają się niektóre dzieci, a inne nie?

– Cameron nie miała nawet czterech lat, kiedy jej życie przewróciło się do góry nogami – wyjaśniam Willowi, a moje myśli szybują przez dekady do przeszłości, do mojego dzieciństwa i dzieciństwa Jenny, i niezliczonych innych dzieci coraz bardziej obciążonych. – Pomyśl, że takiemu małemu człowiekowi całe życie wywraca się do góry nogami. Jednocześnie jest na tyle dorosły, żeby już nie wiedzieć, kim jest ani gdzie jest jego miejsce. Nawet jeśli Cameron nie wydawała się Emily i Troyowi samotna czy przestraszona, widzisz, że zamieszanie i niepewność mogły sprawić, że stała się zbyt ufna wobec innych. Chciała miłości. Chciała się czuć dobrze. – Gardło mam ściśnięte i nieswoje, język ciężki, ale zmuszam się, żeby dokończyć myśl. – A jakby tego było mało, blizna po tej wczesnej traumie mogła ściągnąć do niej kogoś jeszcze. Innego oprawcę.

Will wzdycha.

– To byłaby cholerna ironia. To znaczy, jeśli Emily i Troy myśleli, że pomagają dziecku w potrzebie, a tymczasem przyczyniliby się do krzywdy, która doprowadziła do jej porwania?

A więc słuchał.

– Spytałeś, dlaczego nie mogę odpuścić Emily. Właśnie dlatego. A jeśli całe zło, które przydarzyło się Cameron, przydarzyło jej się *po* tym, jak została przyjęta do rodziny? W której miała być bezpieczna i szczęśliwa? – Głos mi się załamuje przy ostatnim słowie. Dłonie drżą na krawędzi barowej lady. Will zauważył to wszystko i jeszcze więcej. Porywam się z motyką na słońce i oboje o tym wiemy. Ale on nie ma pojęcia, jak wiele innych sił mnie popycha, dlaczego nie ma mowy, żebym teraz zwolniła, dlaczego nie chcę i nie mogę stracić Cameron bez względu na wszystko.

Odsuwa się na swoim krześle, żeby lepiej mnie widzieć, a na jego czole rysuje się mapa troski.

– Znasz się na rzeczy i masz ogromne doświadczenie. Wiem to. Wiem też, że praca w San Francisco zmusiła cię do oglądania wielu rzeczy, których nikt nie powinien być zmuszony oglądać, Anno. Może dlatego tu wróciłaś.

Czuję, że się rumienię i nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Jeśli ta sprawa stanie się dla ciebie zbyt ciężka do udźwignięcia, musisz mi powiedzieć, zgoda? Jestem przy tobie. Stanowimy zespół. – Wyciąga dłoń do mojej ręki i ściska ją dla podkreślenia swoich słów. – Zgoda?

– Oczywiście. – Przełykam z trudem ślinę. – Ale, Will, ktoś musi uratować tę dziewczynę.

I muszę to być ja.

(dwadzieścia pięć)

Następnego ranka, 5 października, jadę do miasta o wschodzie słońca, żeby spotkać się z Willem w GoodLife i wypić kawę. Później wsiadamy do jego radiowozu i kierujemy się wzdłuż wybrzeża na południe, do Petaluma, omijając samotny, długi, szary pas gęstej mgły, który przesłania morze i horyzont, wszystko oprócz drogi.

– Jakież wieści o dziewczynie Russo? – pytam. Obudziłam się, myśląc o niej, jakby mało mi było zaginionych dziewczyn. – Sprawdziłeś numery rejestracyjne?

– Tak. Nic ciekawego poza tym, że dowód rejestracyjny stracił ważność. Prawdopodobnie matka postanowiła nie przedłużać rejestracji. Po co marnować pieniądze?

– A może wydać komunikat o samochodzie do wszystkich jednostek? Dla pewności.

Posyła mi spojrzenie mówiące: *a ta znowu swoje.*

– Z powodu twierdzeń wróżki?

– Może. – Nie ustępuję. – Możesz im nie wierzyć, ale nie wszystkie są szalone. Co nas kosztuje sprawdzić ten wątek?

Nie odzywa się.

– To, że ta dziewczyna pakowała się w życie w kłopoty, nie znaczy, że nie jest warta naszego czasu. W tej chwili nie powinniśmy niczego odpuścić. Stawka jest zbyt wysoka.

Opuszcza podbródek, połowicznie przytakując. Obserwuję jego twarz i czekam na coś więcej.

– W porządku – mówi w końcu.

Godzinę później wjeżdżamy do Petaluma przez gaje oliwne, pastwiska, wiejską szachownicę farm i pól. Zapomniałam, jak bardzo podobna do Nowej Anglii jest ta część Kalifornii.

– Tu jest jak w *Naszym mieście* † – zauważam, kiedy jedziemy Petaluma Boulevard, mijając zabytkowe budynki z cegły i ich stare

fasady. Zdaje się, że jest tylko jeden bar z szyldem „Pub”.

– Nazywaliśmy go Kuraluma. – Will wskazuje zakład przetwórstwa drobiu. – Uwierzysz, że jesteśmy tylko siedemdziesiąt kilometrów od San Francisco?

Za blisko. Dopada mnie przybierający na sile irracjonalny strach, że cały mój ból i żal w tej odległości mogą stać się głośniejsze.

– Odłot – mówię cicho, skupiając się na schludnych sklepowych witrynach i chodnikach, na banku z gigantyczną nalepką uśmiechniętej buzi na szybie. Mam wrażenie, że wszystko jest na swoim miejscu, nawet pieszy nieprzepisowo przechodzący jezdnię. – Takie miasteczko wydaje się bezpieczne i odseparowane od zewnętrznego świata. Zaczynasz się zastanawiać, czy nie jest przez to niebezpieczne.

– Masz na myśli złudne wyobrażenie?

– Tak. Fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Przestajesz oglądać się przez ramię, bo ten obrazek wydaje się realny. Nic złego nie może się stać, kiedy całe miasto otoczone jest fosą, prawda? Blanki. Straże przy bramie. Ale smok zjawia się mimo to.

Will zerka przez ramię. Jego spojrzenie jest wymowne.

– Wiesz, z czym mi się kojarzy to miejsce?

– Tak – mówię. – Z Mendocino.

Komenda policji Petalумы znajduje się nieco na północ od centrum. Parkujemy, meldujemy się i czekamy przy recepcji, aż pojawia się młody policjant i prowadzi nas do części biurowej.

– To jest sierżant Barresi – mówi, zatrzymując się przy otwartych drzwiach.

Policjant jest postawnym facetem z bladą cerą i zaczesanymi do tyłu włosami. Kiedy wstaje zza biurka, przypomina mi wielu komendantów, z jakimi przez lata pracowałam, także z powodu beżowego munduru, tak nowego, że aż lśni. Domyślałam się, że ubrał się tak ze względu na konferencje prasowe. Niezależnie od tego, czy jest na to gotowy, teraz musi dbać o wizerunek. Już wiadomo, że ta sprawa będzie głośna. Wiek Polly i to, w jaki sposób została wprowadzona, brutalnie, w dodatku z własnego domu, wzbudziły

powszechny strach i niepokój. Rozwój wypadków będzie obserwował cały kraj.

– Myślałem, że mamy się spotkać z Edem Van Leerem – mówi Will.

– Zaraz się zjawi. Prowadzimy tę sprawę wspólnie. Proszę mi powiedzieć, co mogę dla państwa zrobić.

– Mamy zaginioną dziewczynę w Mendocino – wkraczam do akcji. – Cameron Curtis. Na pewno pan słyszał. Niedawno pojawiło się nowe zgłoszenie o zaginięciu w Gualali. Shannan Russo, siedemnaście lat, ostatnio widziana na początku czerwca. Próbujemy zbadać, czy te kropki się jakoś łączą.

– My nawet nie wiemy, jak wyglądają nasze kropki – odpowiada beznamiętnie Barresi. – Przepięknie miało miejsce w piątek wieczorem. Jest dopiero wtorek rano. Mam wszędzie FBI, z Waszyngtonu i z San Francisco, tylu agentów, ilu w życiu w jednym miejscu nie widziałem. A i tak palcem do tyłka nie mogę trafić.

Wiem, jaka ciężka na nim presja, żeby pomyślnie rozwiązać tę sprawę. Wszyscy się przyglądają. Ostatnie, czego potrzebuje, to brać sobie na głowę inne problemy, ale mimo wszystko muszę spróbować.

– Proszę posłuchać, wiemy, że pana czas jest cenny – mówię. – Gdyby mógł nam pan poświęcić tylko minutę, żebyśmy mogli zapoznać się ze sprawą.

– Van Leer powiedział, że na miejscu przestępstwa znalazł się odcisk? – dąży Will.

– Zbyt niewyraźny dla komputera – odpowiada Barresi. – Mógłby coś dać, gdybyśmy mieli podejrzanego.

– Jacyś inni świadkowie oprócz dwóch koleżanek Polly? – pytam.

– W budynku, w mieszkaniu przerobionym z garażu, był najemca. Miał gościa. Oglądali telewizję przy otwartych drzwiach, kiedy podejrzany przeszedł przez podjazd do tylnych drzwi.

Will się pochyła, a jego pytanie jest echem mojego, które zadaje sobie w milczeniu.

– Nie wzbudził ich podejrzeń?

– Facet podobno poruszał się tak pewnie, jakby był u siebie. Tyłne drzwi nie były zamknięte na klucz. Pomyślał, że to przyjaciel

rodziny.

– Tak czy siak, to cholerna zuchwałość, skoro ma się świadomość, że ktoś cię widział – odpowiada Will.

– Byli też świadkowie na ulicy – dodaje Barresi. – Ciepły piątkowy wieczór. Ludzie w parku. Dużo spacerowiczów.

Łatwo sobie wyobrazić to, co opisuje sierżant, tego człowieka, który nie przejmuje się świadkami ani porą, ani skutkami, ani ryzykiem – który, kiedy już obierze sobie cel, porwie Polly choćby nie wiem co.

To właśnie dzięki tej brawurowej pewności siebie niektórym oprawcom udaje się dokonać uprowadzeń na oczach ludzi nawet w biały dzień. W 1991 roku w małym górskim miasteczku Meyers w Kalifornii, niedaleko jeziora Tahoe, do jedenastoletniej Jaycee Dugard podjechał samochód, kiedy szła na przystanek autobusowy. Na oczach kilku kolegów została potraktowana paralizatorem i wciągnięta do samochodu. Świadkiem porwania był także jej ojczym, który ruszył w pościg na swoim rowerze górskim, ale nie był w stanie nadążyć za porywaczem. Samochód odjechał błyskawicznie. Natychmiast rozpoczęto szeroko zakrojone poszukiwania, jednak Jaycee przepadła.

Dwa lata i trzy miesiące później nadal jej nie ma, lecz jest obecna w mojej głowie w gabinecie Barresiego, choć on zmienia temat i zaczyna rozmowę na temat rodziny Polly.

Eve niedawno rozstała się ze swoim drugim mężem, który był ojcem przyrodniej siostry Polly, Annie, zaledwie sześćioletniej. Może dochodziło między nimi do kłótni, a może Marc Klaas nie był zadowolony z ustaleń dotyczących opieki? Barresi chwycił się każdej ewentualności.

– Podejrzany nie zapukał ani się nie zawahał – mówi. – To może znaczyć, że znał ofiarę, miał wcześniej dostęp do domu i go znał.

Znam statystyki, on też, wiemy, że nieznanym jest napastnikiem w mniej niż pięciu procentach przypadków. Ale mam już przeczucie, że ta sprawa wymknie się statystykom, może nawet pod wieloma względami.

– Czas pokaże – stwierdzam. – Może się pan z nami podzielić czymś jeszcze?

– Możecie pojechać na miejsce przestępstwa, o ile to w czymś pomoże. Zabezpieczyliśmy teren. Niczego nie zniszczycie.

– Dzięki – mówi Will. – Jak się trzymają dziewczynki? Koleżanki Polly?

– Są dzielne. Współpracują z nami od późnych godzin piątkowego wieczoru. Policja pilnuje ich domów. Przypuszczam, że przez jakiś czas nie będą w stanie wrócić do szkoły.

– Ja bym nigdy nie wróciła – mówię.

– Zwyczajność czasami pomaga – wyjaśnia Barresi.

Kiwam głową, bo nie chcę się sprzeczać z sierżantem w jego własnym gabinecie. Ale w głębi duszy mogę myśleć tylko jedno. Dla tych dziewczynek, podobnie jak dla kolegów z klasy, którzy widzieli atak na Jaycee Dugard na ulicy – jak Gray Benson, który był świadkiem, jak jego przyjaciółka ginie bez śladu – o zwyczajności nie będzie mowy przez długi czas, może nawet już nigdy.

(dwadzieścia sześć)

Dom Eve Nichol jest położony na sennym i spokojnym osiedlu, jakieś dwa kilometry od centrum miasta. Cały kwartał został wyłączony z ruchu, więc parkujemy w pobliżu i idziemy przez park Wickersham pod wiązami z gęstymi liśćmi i platanami. Wyobrażam sobie, jak powinien wyglądać z wrzeszczącymi dziećmi na koślawych drabinkach i huśtawkach, matkami plotkującymi na drewnianych ławkach i przy piknikowych stolikach. Dziś nie ma tu żywego ducha.

Na sztachetowym płocie okalającym mały niebieskoszary parterowy dom na środku kwartału, ładny i zadbany, ale pospolity, z białymi wykończeniami i wielkim wykuszowym oknem, rozpięto policyjną taśmę. Werandę zdobią rośliny w donicach. Skrzynka na listy wypchana jest ulotkami sklepu Safeway. To zwykły dom z amerykańskiego miasteczka. Tyle że zwykły nie jest.

Nie musimy pukać. Drzwi są szeroko otwarte, a wejścia pilnuje dwóch umundurowanych policjantów z Petalomy. Will pokazuje odznakę i rzuca nazwisko Barresiego. Sierżant zdążył zadzwonić przed naszym przyjazdem, co znacznie ułatwia sprawę. Eve i jej córka Annie przeprowadziły się do przyjaciół w pobliżu. Nie ma się co dziwić, myślę. Dwaj technicy kryminalistyki badają pokój Polly – nadal albo kolejny raz.

Kuchnię zamieniono na tymczasowe biuro zespołu agentów FBI, którymi kieruje Rod Fraser.

– Miło cię widzieć, Anno. – Ściska moją rękę swoją ciepłą i silną dłonią. Jest potężniejszy, niż zapamiętałam, lekko wyłysiał na przedzie. W końcu minęło dziesięć lat. – Szkoda tylko, że nie w przyjemniejszych okolicznościach.

– Niestety – przyznaję, choć po prawdzie w naszym zawodzie słowo „przyjemność” jest pojęciem względnym.

W kuchni Eve Nichol panuje dziwna atmosfera zawieszenia, zakłóconej normalności. Na lodówce magnesem z postacią Hamburglara przypięte jest świadectwo Polly, wakacyjne zdjęcie Polly i Eve z zawiniętymi rogami, na którym obie w jasnych sukienkach mrużą oczy w słońcu z tą samą pełnią szczęścia na twarzach, a kręcone włosy Eve zasłaniają część uśmiechu Polly. Każdy przedmiot niesie ładunek intymności i coś wyjawia. Słój ciastek oreo na blacie obok koperty pełnej kuponów zniżkowych. Nad lodówką zegar w kształcie kota z kiwającym się w tę i z powrotem ogonem.

– Przyjechałem tu w noc zdarzenia, parę chwil po północy – informuje Rod.

– Dziewczynki jeszcze tu były? – pyta Will. – Dwie koleżanki Polly?

– Allison Palmer i Erin McGrath. Nasi główni świadkowie. Mama zdążyła zasnąć i nic nie słyszała. Annie, siostra Polly, też nie.

– Chyba na szczęście – kwituje Will, a mnie serce krwawi z jej powodu. Kiedy ten potwór przyszedł po jej córkę i przyłożył jej nóż do gardła, Eve była niczego nieświadoma, niezdolna przyjść Polly na ratunek.

– Mama i Annie poszły spać około wpół do dziesiątej – dodaje Rod. – Dziewczynki przez cały wieczór się bawiły, przebierały, grały w gry planszowe, robiły sobie nawzajem makijaż. Mniej więcej o wpół do jedenastej Polly wyszła do salonu po spiwory koleżanek, a na korytarzu czekał ten facet z wyciągniętym nożem. Wielki chłop, postawny, z brodą, w średnim wieku. Miał też worek ze sznurkiem i kapturem. Widać, że wszystko zaplanował.

– Gdzie znaleźliście odcisk?

– Na górnym posłaniu piętrowego łóżka – wskazuje. – Jest częściowy i dość rozmazany. Zobaczymy, czy się na coś przyda.

– Dlaczego matka niczego nie słyszała? – pyta Will.

– Miała silną migrenę i wcześniej się położyła. Pewnie i tak nie dałaby rady go powstrzymać – ciągnie Rod. – To drobna kobieta, a facet miał nóż.

– Barresi wspomniał, że porywacz spytał dziewczynki, która z nich mieszka w tym domu – wtrącam. – To by raczej wskazywało na kogoś obcego?

– Niekoniecznie. Widziałem sprawy z konfliktami w kwestii opieki nad dzieckiem, kiedy rodzic wynajmował kogoś do jego uprowadzenia, żeby wyglądało, że zrobił to ktoś nieznajomy.

– Rozumiem – mówię. – Ale zdaje się, że w tej akurat rodzinie rodzice mają poprawne stosunki. Sześć lat bez nakazów sądowych czy zakazów zbliżania się. Bez kłótni.

– O których byśmy wiedzieli – dodaje Rod. – Podobno powiedział dziewczynkom: „Robię to dla pieniędzy”. Ale kiedy Polly podała mu pięćdziesiąt dolarów ze szkatułki na komodzie, zignorował je.

– Dziwne – kwituje Will. – Choć przypuszczam, że gdyby był wynajęty, jak mówisz, mógłby się zdenerwować albo pogubić. Wystraszyć, że zostanie złapany.

– Może – odzywam się. – A może to rzeczywiście nieznajomy. Socjopata, który mówi to, co w danej chwili przyjdzie mu do głowy. – W tym kierunku idą moje myśli, choć to mało prawdopodobne. Owszem, porywacz z prawdziwego zdarzenia pojawia się w zaledwie jednym procencie przypadków uprowadzeń dzieci, ale tutaj nie widać typowych zwiastunów rodzinnego dramatu. Poza tym szczegóły, jakie znamy, jak jedwabny kaptur i sznury, wydają się zbyt precyzyjne jak na atrapę.

Jeśli facet, który uprowadził Polly, rzeczywiście *został* wynajęty, jak sugeruje Rod, nie brałby na siebie ryzyka większego, niż to konieczne. Poczekalby do późniejszej pory. Wcześniej rozejrzałby się gruntownie, żeby mieć pewność, że członkowie rodziny śpią i że Polly jest sama. Za to facet bez żadnej motywacji poza chorymi urojeniami w głowie nie przejmowałby się zegarkiem ani tym, że ktoś może go rozpoznać. Kiedy już postanowił zaatakować ofiarę, nie był w stanie się powstrzymać. Ryzyko nie miało znaczenia. Znaczenia nie miało nic poza dziewczyną.

– Możesz nam opowiedzieć ciąg dalszy? – proszę Roda. – Co się stało później?

– Związał je wszystkie sznurkami, które przyniósł, i kablem odciętym od gry Nintendo. Przez cały czas im powtarzał, że nie robi im krzywdy.

– Psychopata – mruczy Will, a ja muszę przyznać mu rację.

– Knebluje je – ciągnie Rod. – Zakłada im na głowę kaptury i dwóm pozostałym dziewczynkom każe liczyć. Później zabiera Polly. Dziewczynki słyszą skrzypienie frontowych przesuwanych drzwi i wiedzą, że wyszedł. Przez kilka minut siłują się, żeby się uwolnić z więzów, i budzą Eve. Ona dzwoni na dziewięćset jedenaście.

– Jak brzmi nagranie? – pyta Will. – Coś nietypowego?

– Raczej nie. Matka jest lekko oszołomiona i zdezorientowana, jakby nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Rozmowa trwa, a ona zaczyna się łamać. Wybucha płaczem.

Czuję mrowiące skrępowanie, bo historia, którą opowiada, aż zanedo przypomina moją. Rozpacz Eve i moja się zlewają, zderzają.

– Słyszałeś o Cameron Curtis? – pytam Roda, celowo zmieniając temat.

– Córce tej aktorki?

– Zgadza się. Piętnastolatka znika z własnego domu kilka chwil po dziesiątej wieczorem nieco ponad tydzień temu. Żadnych śladów włamania, żadnego tropu, żadnego wyraźnego motywu, nie ma powodu do podejrzeń, że uciekła. Po prostu wyparowała.

Rod odwraca się do mnie, muskając kciukiem krawędź swojego kubka z kawą.

– I co o tym sądzisz, Anno? Jakież podstawy, żeby podejrzewać, że mógł to być ten sam facet?

Jeszcze nie mogę się pozbierać, ale z pomocą przychodzi mi Will.

– Ta dziewczyna nie jest uciekinierką. I nie sądzę, że możemy ignorować czynnik geograficzny. Bandyty mają czasem swoje terytoria, prawda?

– Jasne. Ale schemat zachowania nie jest podobny, ofiara też nie. Dwunastolatka wygląda zupełnie inaczej niż piętnastolatka, zwłaszcza w oczach oprawcy. Trzeba również pamiętać o strefie kontroli. Dokąd te dziewczyny mogły chodzić same. Na kogo mogły niechcący wpaść.

– Pamiętasz zabójstwa autostopowiczów w okolicach Santa Rosa w siedemdziesiątym drugim i trzecim? – ciągnie Will, jakby nie usłyszał słów Roda albo nie chciał ich usłyszeć. – Tamten zabójca atakował często i w bardzo szczególny sposób, zanim zaczął się

ukrywać, zawsze w promieniu tych samych stu pięćdziesięciu kilometrów.

– To było dawno. Dość nietypowym zachowaniem jak na takiego faceta byłoby uderzenie znowu w tej samej okolicy po dwudziestu latach w uśpieniu.

– Chyba tak. – Will opiera się plecami o kuchenny blat, ale jego mięśnie nadal są spięte. – Po prostu nie mogę się opędzić od myśli, że z tą sprawą mają związek jakieś wcześniejsze wydarzenia, których nie powinniśmy ignorować.

Wzrok Frasera wędruje to na Willa, to na mnie, a ja się zastanawiam, jak ostrożnie się wtrącić. Ciągłe jestem przejęta z powodu Eve, a poza tym czuję presję ze strony Willa, żebym przyznała mu rację co do podejrzenia, że chodzi o seryjnego porywacza. Stawka jest wysoka, a on po raz pierwszy dostrzegł szansę na skorzystanie z pomocy zewnętrznych źródeł. Rod też ma powód, żeby ufać mojej intuicji. Jeśli mu powiem, że widzę związek pomiędzy obiema sprawami, możliwe, że go przekonam, żeby zaryzykował i wysłał do nas swoich ludzi. Ale nie mogę zważać na presję, muszę być szczerą.

– Ja związku nie widzę – oznajmiam w końcu. – Wykluczone, żeby to był ten sam facet.

Fraser kiwa głową, a ja czuję dezorientację i rozczarowanie promieniujące od ciała Willa. Zaciska wargi. Końcówki uszu ma niemal w kolorze fuksji.

– Ktoś tę dziewczynę porwał – warczy. – Potrzebuję pomocy.

Rod krzyżuje ręce na piersi, wyraźnie skrzepowany. Ma wielkie serce, wiem o tym, i będzie mu żal Willa w całej tej sytuacji, bez względu na to, czy da radę pomóc, czy nie. Nie jest bezduszny, do tej pory nie wyzbył się współczucia.

– Nie wiem, co mogę zrobić – mówi w końcu. – Jestem na granicy moich możliwości.

Słyszę głośne westchnienie Willa. Obejmuje czoło jedną dłonią i ściska skronie, czując zapewne ból głowy. Napięcie.

– Może mógłbyś chociaż zadzwonić i przypomnieć federalnym, że mamy tu jeszcze jedną zaginioną dziewczynę. A może dwie.

Komenda w Gualali właśnie zamieściła informację o zaginięciu siedemnastolatki, która przepadła w czerwcu.

Fraser o tym nie słyszał.

– Gualala?

– Shannan Russo – wtrącam. – Zgłosiła się wróżka, która twierdzi, że to ma jakiś związek ze sprawą Curtis.

Rod unosi brwi.

– Jakaś wróżka dzwoniła też tutaj. Ciekawe, czy to ta sama kobieta.

– Spisałeś jej nazwisko? – pytam.

– Barresi spisał. Powiedziała, że chce wejść do mieszkania Marca Klaasa w Sausalito i coś o tym, że wyczuwa tam *wibracje* Polly. – Spojrzenie Roda pokazuje, że negatywnie ocenia jej wiarygodność i jednocześnie zamyka te drzwi. Nawet jeśli zamierzam przesłuchać Tally Hollander, nie jest to czas, żeby poruszać ten temat.

– Wiesz, jak jest, Rod – odzywam się w końcu, starając się sprowadzić nas z powrotem na bezpieczniejszy grunt. – Nie chcemy się zamotać, uznając, że wszystko jest powiązane, ale nie chcemy też czegoś przeoczyć. Jeśli cokolwiek łączy te dwie sprawy, próbujemy iść po tej linii.

Rod w milczeniu kiwa głową, trzymając ręce na biodrach. Zna to położenie doskonale. Jest jednym z tych dobrych – najlepszym. Ale to nie znaczy, że zdoła rozwikłać swoją zagadkę czy naszą.

(dwadzieścia siedem)

Tak jak wspomniałam wcześniej Willowi, kobiety pokroju Tally Hollander nie są mi obce. Reflektor okazjonalnie korzystał z ich pomocy, czasem z sukcesem. I była też Eden.

Była „wrażliwa” – jak sama określała – zdolna widzieć przyszłość w snach i wizjach, które przychodziły, kiedy wyczuwała, że ktoś ma problemy, zgięty wpół nad wanną po fatalnym upadku albo leży pod ciężarówką na poboczu autostrady i próbuje wymienić koło. Z tego, co wiedziałam, chodziło o ludzi istniejących naprawdę, ale prawie zawsze obcych. Ona po prostu stawiała się końcowym odbiorcą obrazu, przeblysku telegraficznej paniki, jakby jej świadomość była swoistą kosmiczną linią telefoniczną. Czasami interweniowała albo próbowała, jeśli wydarzenia miały miejsce niedaleko i była w stanie określić, o kogo chodzi, w nieodległej przyszłości czy przeszłości. Nigdy, absolutnie nigdy w jej wizjach nie pojawiała się ona sama, co przyjmowała z ulgą.

– Nie chcę wiedzieć, co mi się przydarzy – wyjaśniła mi kiedyś. – Nie wiem, jak można tego chcieć.

– Ale gdybyś mogła zatrzymać przyszłość? Odmienić ją?

Wzruszyła ramionami ledwie zauważalnie, z głową pochyloną nad miską, w której do bladego chlebowego ciasta wgniatała ciemne kulki rodzynek i orzechy pekan.

– To tak nie działa.

– Nie można nic zmienić? Więc to po prostu los?

– Nie, nie chodziło mi o los, Anno. Miałam na myśli charakter. Robimy to, co robimy, bo jesteśmy tacy, a nie inni.

Jej słowa trafiły we mnie niczym polerowane kamienie.

– A czy ja ci się śnię?

Eden podniosła wzrok. Dostrzegłam cień zatroskanej myśli, zanim zdążyła ją odegnać, jakby przeciągnęła szczotką przez kąt kuchni.

– Czasami.

Bałam się zadać następne pytanie. Wisiało w powietrzu, ciężkie, a ja na nią patrzyłam.

– Co chcesz wiedzieć, Anno? – Jej głos był czuły i cierpliwy.

– Nic. – Bez ruchu zmagalam się ze sobą. – Tylko... Myślisz, że jestem dobrym człowiekiem?

– Słucham? – Odwróciła miskę do góry nogami nad natłuszczoną blachą, która przyjęła ciasto z łoskotem zadowolenia. – Co to za pytanie? Oczywiście, że tak, skarbie.

Nagle Lenore wydała ze swojego krzesła dziwny odgłos, niemal jak warknięcie, który mną wstrząsnął. Była to jedna z tych chwil, kiedy wydawało mi się, że ptak wie zbyt dużo, że potrafi wyczuwać różne rzeczy.

– Nieważne – wycofałam się.

Eden otworzyła piekarnik i wsunęła chleb do środka, a później podeszła i usiadła obok mnie przy kuchennym stole, rozwiązując fartuch tak, że znalazł się na kolanach. Częsteczki mąki opadły na podłogę jak kurz, ale je zignorowała.

– Myślisz o twoim bracie i siostrze, Anno? Możemy spróbować ich odnaleźć, jeśli chcesz. Na pewno nadal bardzo się o nich martwisz.

Lenore rozprostowała zdrowe skrzydło i zaczęła się puszyć, rozdzielając i na nowo układając pióra dziobem. Miałam wrażenie, że to wykalkulowany gest. Jakby udawała, że nie słucha, ale w rzeczywistości zaczęła przysłuchiwać się jeszcze uważniej.

– Prawdopodobnie wszystko u nich w porządku, prawda? – wypaliłam.

– Nie wiem – odparła łagodnie. – Ile mają teraz lat?

– Osiem i dziewięć.

– Aha. Cóż, jest sposób, żeby się dowiedzieć. Zadzwońmy do Lindy. Może nawet mogłabyś ich odwiedzić. Takie rzeczy na pewno załatwia się co rusz.

Poczułam ostre ukłucie w boku, tuż pod mostkiem.

– Chyba nie chcę odwiedzin. Jeszcze nie teraz. Ale możesz zapytać. Zadzwoń do pani Stephens. Chciałabym wiedzieć, czy wszystko u nich w porządku.

– Jasne, skarbie. – Sięgnęła po tasiemki fartucha i trzymała te luźne wstążki w dłoniach, zastanawiając się przez chwilę. – Nie wiem o tych dzieciach zupełnie nic, ale mogę cię zapewnić, że nie obwiniają cię o to, co się stało.

– Skąd wiesz? – Nie mogłam podnieść wzroku.

– Bo to nie była twoja wina.

Czułam żar na policzkach i napięcie. Nie chciałam się rozplakać, choćby nie wiem co. Nie przy Lenore, która nigdy tego nie zapomni.

– No... nieważne.

– Posłuchaj mnie, Anno. – Usiadła wyprostowana i wyciągnęła ręce w stronę moich dłoni. – To ważne. Dorośli czasami upadają. Twoja mama żyła pewnie w świecie cierpienia. Pewności nie mam. To, co spotkało twoją rodzinę, mogło wynikać z tego, że czuła zbyt duży ból, albo z tego, że świat zaczął ją przerastać. Albo, cholera, z wielu powodów. Ale nie przez ciebie, skarbie. Ty nie zrobiłaś niczego złego.

Rozpaczliwie chciałam jej wierzyć, lecz było to trudne. Objęła moje dłonie swoimi tak, jakby chciała pomóc mi coś nieść. Gdybym tylko mogła to wypuścić.

– Śni ci się czasem Hap? – spytałam. Gdybym nie zmieniła tematu, naprawdę bym się rozplakała.

Jej wzrok musnął mnie łagodnie, pełen miłości i akceptacji.

– Za często. To akurat chciałabym zmienić, gdybym mogła.

– Ale nie możesz. – Chciałam, żeby wiedziała, jak uważnie jej słuchałam od samego początku.

– Nie mogę.

– Za to umiesz piec chleb.

– To prawda, Anno. – Ścisnęła moje dłonie raz, drugi, a później je wypuściła. – To umie każdy.

(dwadzieścia osiem)

Kiedy wychodzimy z Willem na Czwartą Ulicę, jest wściekły.

– Tak trudno ci było mnie wesprzeć? Jezu, Anno. Wiesz, pod jaką jestem presją.

Powstrzymuję go dłonią.

– Wiem. Przykro mi. Ale nie w porządku byłoby angażować zespół Roda, skoro schemat działania się nie pokrywa.

Will wydaje odgłos frustracji przez zamknięte i zaciśnięte wargi, ale słyszał dokładnie to samo co ja. Oprawca Polly włamał się do domu w ciepłą noc, przy gwarnej ulicy, i zabrał Polly, grożąc jej nożem na oczach świadków. Jakim cudem miałyby być to ten sam facet, który wywabił Cameron z bezpiecznego domu, a wcześniej prawdopodobnie zmanipulował? Poszła z nim z własnej woli jak dziewczynka z jednej z baśni braci Grimm wabiona coraz głębiej do ciemnego lasu lśniącymi błyskotkami rzucanymi na ścieżkę. Wzrok podniosła dopiero, gdy już było za późno, kiedy była zagubiona i przestraszona, o wiele za daleko od domu.

– Rozwikłamy to, Will – zapewniam. – Ale musisz mi zaufać.

– Muszę? – Jego wzrok płonie.

– Anno! Zaczekaj – krzyczy niespodziewanie Rod Foster z ganku Eve. Przywołuje mnie z powrotem. Proszę Willa, żeby poczekał, i szybko wracam.

– Co się stało?

– Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro.

– Nie przejmuj się – odpowiadam bez namysłu. Nagle doznaję olśnienia. Nie chodzi mu o naszą ani jego sprawę. Ma na myśli mnie. Pogrzeb i dochodzenie.

– Powinienem był wysłać kartkę. – Jego oczy są ciemne z przejęcia. – Byłem z tobą sercem.

– Nie ma sprawy – mówię głupio.

- Chyba już czujesz się gotowa. Żeby wrócić do pracy.
- Prawie. – To najszczerze słowo, jakie wypowiedziałam w ciągu całego dnia. – Dzięki, Rod.
- Jasne. – Odkasłuje. – Słuchaj. Mogę coś dla was zrobić. Niewiele, ale patrolujemy teraz helikopterem dzień i noc, fotograf robi też zdjęcia wszystkiego, co z powietrza wygląda nietypowo albo zwraca uwagę. Trzeba przeczesać kawał terenu. Ta dziewczyna może być w tylu miejscach.
- Nasza też.
- Właśnie o tym pomyślałem. Nie robi nam wielkiej różnicy wysłanie ekipy wyżej i szerzej, do Gualali też. Jak powiedziałaś, nie chcemy niczego przeoczyć.
- Byłoby świetnie. – Wyciągam do niego rękę, a później pod wpływem impulsu go obejmuję, wtulając się w jego szeroką pierś i szyję chwilę dłużej, niż usprawiedliwiają to okoliczności, tęskniąc za Frankiem Learym i moim partnerem. Tęskniąc za Brendanem, choć to skomplikowane. Ale najbardziej tęsknię za Hapem. Nigdy nie potrzebowałam go bardziej niż w tej chwili.
- Jeśli Shannan Russo nie żyje, jej szczątki mogą być ukryte gdzieś w lesie – mówię Rodowi. – Taką dostaliśmy wskazówkę. I miej też oko na jej samochód. Zdobę numer rejestracyjny.
- Świetnie – odpowiada, a ja schodzę z ganku z nikłą iskierką nadziei. Nie zaproponował wiele, ale czasami trzeba zacząć od czegoś takiego, właściwie od zera. I mimo wszystko mieć nadzieję.

(dwadzieścia dziewięć)

– Helikopter może zbadać duży obszar – relacjonuję Willowi po drodze do jego radiowozu. – To w jakimś sensie zastąpi ludzi, których nie mamy.

– Wolałbym ludzi – kwituje, nie patrząc na mnie.

Park Wickersham jest nadal dziwnie cichy. Przechodzimy obok pustych huśtawek, za nami podążają cienie.

– Wiem, że jesteś na mnie wściekły. Pogadajmy.

– A co to da?

Kiedy docieramy do samochodu, wsuwa się za kierownicę, mową ciała sygnalizując barykadę.

– Słyszałeś wszystko, co powiedział Rod – próbuję znowu. – Spożytkujmy naszą energię na to, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o Cameron.

– Przeszło ci w ogóle przez myśl, że możesz się całkowicie mylić? A jeśli jednak jest powiązanie, a ty go nie widzisz, Anno? Nigdy nie popełniłaś błędu?

Gryzę się w język i patrzę na rozciągnięte na jezdni cienie.

– A może byśmy pojechali do Napa spotkać się z Drew Hagem?

– Może. – Napięcie w jego ciele minimalnie ustępuje.

– Stąd mamy niecałą godzinę drogi. Co ty na to?

– Nie zaszkodzi.

Od naszego wyjazdu z centrum na Czwartą Ulicę minęła mniej więcej godzina, ale kiedy jedziemy z powrotem w kierunku autostrady, widać wyraźnie, że sprawy nabrały rozpędu. Na Kentucky Street, przecnicę na zachód od Petaluma Boulevard, stoją teraz zderzak w zderzak wozy transmisyjne – lokalne, regionalne i krajowe. *Dateline, Primetime Live, America's Most Wanted.*

– To chyba konferencja prasowa – zastanawiam się.

– Kolejna?

Od 2 października, dzień po porwaniu, sprawa Polly Klaas skupia coraz większą uwagę mediów, a także powoduje coraz większe wysiłki ochotników, jak nam wyjaśnił sierżant Barresi, zanim pojechaliśmy na spotkanie z Rodem Fraserem. To nie eksperci, ale zwykli mieszkańcy miasta angażują się w poszukiwania z własnej inicjatywy, chodzą od domu do domu, roznoszą informacje na temat Polly. Jak powiedział Barresi, jest pod wrażeniem, choć także lekko zdziwiony rozmiarami reakcji ludzi. Właściciel jednej z tutejszych firm przekazał pustą powierzchnię handlową na Centrum Poszukiwań Polly Klaas, utworzono i uruchomiono numery alarmowe. Ktoś inny podzielił miasto i okolicę na sieć siedemnastu pól i ponad sześćuset mieszkańców codziennie przeszukuje pola, strumyki oraz pastwiska wokół Petalумы. Nie czekają, żeby im powiedzieć, co mają robić ani w jaki sposób mogą być przydatni. Działają.

Każda restauracja i sklepowa witryna ma już na szybie ogłoszenie o zaginięciu Polly. Właściciel małej drukarenki w centrum miasta wydrukował tysiące egzemplarzy i każdej firmie z dostępem do drukarki w mieście rzucił wyzwanie, żeby zrobiła to samo. Zaczęto rozsyłać ulotki do szpitalnych izb przyjęć i wydziałów policji w całej północnej Kalifornii. Kierowcy ciężarówek i autobusów dostają kartony plakatów do rozwieszenia po trasie, w ten sposób jeszcze bardziej poszerzając sieć.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam – mówię do Willa, kiedy powoli jedziemy przez miasto.

– Ja też nie. W ciągu czterech dni została dzieckiem Ameryki. Jak to możliwe?

– Miasto czuje się za nią odpowiedzialne. To rzadkie. Myślisz, że znali ją osobiście?

– Może tak, może nie – odpowiada. – Zależy im na niej. I to się liczy.

– Jaką naukę trzeba z tego wyciągnąć? – pytam.

Stoimy długo na czerwonym świetle i Will wpatruje się we mnie.

– Że słowo „porwanie” ma cholerną moc.

– Emily powinna publicznie zwrócić się o pomoc – mówię. – Wiem, że przeraża ją medialny cyrk, ale cieszy się popularnością, jakiej inni nie mają. Zna ją miliony ludzi. Tylko pomyśl, jaką uwagę zwróciłyby na Cameron.

– Nie zmusimy jej. Nie jest na to gotowa, Anno.

– Tu nie chodzi o nią. – Słyszę piskliwy, wysoki ton w swoim głosie. Moje serce wypada z rytmu. – Marnujemy tyle czasu. Już na samym początku trzeba było uruchomić centrum poszukiwań i numer alarmowy. Powinniśmy byli drukować ulotki jak szaleni i rozsyłać je, gdzie się da. Gdybyśmy to zrobili, możliwe, że Cameron byłaby już w domu.

– Chcesz powiedzieć, że spieprzyłem sprawę?

– Skąd – zapewniam szybko. – Winę rodzinę. To oni cię błagali, żebyś prowadził wszystko po cichu. Emily nie powinna była mieć możliwości decydowania o ukrywaniu sprawy.

Will wzdycha ciężko i przechyla głowę na bok, starając się rozluźnić spięty kark.

– Może masz rację. W tej kwestii powinienem był zaufać intuicji. Ale musisz trochę odpuścić Emily. Nie jest idealna, lecz nie jest też wrogiem, Anno. Jest po prostu matką.

– Wiem.

– Cholera. Jej życie właśnie legło w gruzach.

Wiem. Oddech więźnie mi głęboko w piersi w znajomy, bolesny sposób. W tej chwili jednak najważniejsza jest Cameron.

– Może nie mamy świadków ani miejsca zbrodni – mówię w końcu – ale ty i ja wiemy, że życie Cameron jest w takim samym niebezpieczeństwie jak życie Polly.

– Nie każde dziecko ląduje na wielkich billboardach – odpowiada beznamiętnie Will głosem, który zdaje się dobiegać z oddali. – Niektóre po prostu znikają.

Słyszę, że nadal trzyma w sobie złość na Roda i moją nielojalność, lecz nagle jakoś się tym nie przejmuję. Ja też jestem zła.

– Zgadza się, Will. Ale ja nie mam zamiaru się z tym pogodzić. A ty?

Przez centrum miasta przebijamy się całą wieczność. Samochody stoją w korku bez wyraźnego powodu. W samym środku dnia,

za wcześnie na godzinę szczytu, o ile taka w ogóle się zdarza w miasteczku wielkości Petalomy. Wszyscy dosłownie się czołgają.

Nagle rozumiem dlaczego.

– Will, zatrzymaj samochód.

Pomiędzy dwoma semaforami na środku Petaluma Boulevard właśnie rozwieszono baner. Wielkie drabiny jeszcze stoją na chodniku. Tuzin dzieciaków i ich rodzice wylewają się na ulicę, żeby go obejrzeć. Przecznicę przed nami światło zmienia się na czerwone i patrzymy, jak kobieta w džinsach i rozpiętym prochowcu wysiada ze swojego volkswagena beetle. Po niej inni wyłączają silniki, stają na ulicy i wpatrują się w górę w pękate, kolorowe brzuchate litery: PROSIMY, ODDAJ POLLY! KOCHAMY CIĘ! GIMNAZJUM W PETALUMIE.

– O Jezu – mówi Will. Parkuje, wysiadamy i stajemy się częścią tego spontanicznego zgromadzenia, milczącej modlitwy.

To koledzy Polly z gimnazjum. Namalowali serca i kwiaty, ptaki i chmury, na metr osiemdziesiąt wysokości i trzynaście metrów długości, które powiewają teraz nad ulicą. Niezależnie od tego, jak się sprawa potoczy, to, co zrobili, jest niesamowite. Nawet jeśli ten szyld kiedyś wyblaknie, zostanie zapomniany i porzucony w zamkniętym centrum poszukiwania Polly. W tej chwili za tymi pękatymi sercami i kwiatami, i balonami, za radosną nadzieją i słodyczą, za niewinnością kryje się *żądanie*. Koledzy z siódmej i ósmej klasy napisali list – sięgający nieba, wyraźny i *głośny* – do porywacza Polly.

(trzydzieści)

Wyjeżdżamy z Petaluma zgodnie ze wskazówkami, jakie Leon Jentz, zastępca Willa, przekazał Willowi przez radio, objeżdżamy rzekę sto szesnastką i dalej przez zielone pola kierujemy się w głąb łądu do krainy wina. Emily powiedziała, że jej bratu się powiodło, ale kiedy przejeżdżamy przez bardziej handlową, landrynkową część miasta, przez rzekę Napa na Silverado Trail, staje się jasne, że „powiodło” to mało powiedziane. Ekstrawaganckie posiadłości lśnią niczym klejnoty obok znanych winnic, takich jak Stag’s Leap i Mumm, z tarasami degustacyjnymi wkomponowanymi w zbocza wzgórz z widokami za milion dolarów. „Malownicze” nie jest właściwym określeniem. To raj za oszałamiającą cenę.

Will gwizdże, kiedy przejeżdżamy przez bramę Provisions do prywatnej winnicy Drew Hague’a. Leon zebrał dla nas informacje i dowiedział się, że brat i szwagierka Emily nie butelkują wina ani nie handlują własnym winem, jedynie sprzedają winogrona w dolinie i okolicy. Ich produkt cieszy się powszechnym uznaniem, jest nawet nagradzany, ale nie ulega wątpliwości, że majątku dorobili się na długo przed tutejszym sukcesem. Kręty podjazd prowadzi nas wśród przystrzyżonych cyprysów do posiadłości w greckim stylu z wysokimi kolumnami okalającymi główny dziedziniec. Przypomina Tarę albo Partenon.

– Nie wierzę. – Will chichocze.

Zastrzały i frontony domu wyglądają jak zapożyczone ze starożytnej Grecji. Kremowe stiuki, w większości oplecione bluszczem, ciągną się we wszystkie strony. Przy ogromnym marmurowym wejściu drzemią dwa chude charty szkockie, które właściwie nie zwracają na nas uwagi, jakby, tak jak wszystko inne, stanowiły wyłącznie ozdobę.

Dzwonimy i do środka wpuszcza nas służąca w garsonce w prążki i z mikrofonem w klapie; wygląda jak połączenie ochroniarza z dyrektorem marketingu.

– Proszę tutaj zaczekać. – Zostawia nas w bibliotece wyłożonej grubym dywanem.

Od podłogi do sufitu lśni wykonana na wymiar zabudowa z czereśniowego drewna, wypełniona tomami w twardej oprawach i skatalogowanymi seriami, najwyraźniej ustawionymi według kolorów. W kominku buzuje wielki ogień, choć jest dopiero październik. Czuję go na drugim końcu pokoju i zaczynam się pocić.

Po niedorzecznie długiej, jak się zdaje, chwili zjawia się Lydia Hague w gładkim żółtym T-shircie i ogrodniczkach, jakie z pewnością można kupić w miejscowym sklepie Farm & Fleet. Przyglądam jej się uważnie i widzę, że Will robi to samo, zanim nas przedstawi. Różnych rzeczy się spodziewaliśmy, ale na pewno nie tego.

– Jesteśmy w trakcie zbiorów – wyjaśnia Lydia, jakby to tłumaczyło wszystko, począwszy od jej nieuczesanych siwiejących włosów po brak obuwia i białe sportowe skarpety rzucające się w oczy na drogim dywanie. Nie sprawia wrażenia zakłopotanej, więc może jednak to normalne. – Obawiam się, że mój mąż będzie zajęty do końca dnia, właściwie do nocy. Białe winogrona zbieramy po zmroku, żeby zachować poziom cukru.

Zaginęła jej siostrzenica, a jej w głowie rozmowy o poziomie cukru?

– Cameron jest w poważnych tarapatach – mówię poirytowana. – Będzie musiał znaleźć chwilę.

Jestem gotowa do kłótni, ale Lydia tylko kiwa ponuro głową i sięga po telefon.

– Jest na traktorze – informuje po rozmowie. – Janice postara się go złapać.

Janice to zapewne gospoia w prążkowanej garsonce.

Lydia wskazuje kanapę przed kominkiem, pluszową i ogromną.

– Oczywiście zamartwiamy się o Cameron. W czym możemy pomóc?

Will i ja spoglądamy po sobie i siadamy. Trudno ocenić Lydię i to miejsce. Widać rażącą rozbieżność pomiędzy jej wyglądem

a domem, w którym mieszka, pomiędzy jej początkowym zdenerwowaniem a obecnym spokojem. O co tu chodzi?

– Może pani opisać waszą więź z siostrzenicą? – pyta Will, gdy już siedzimy. – Nazwałaby ją pani bliską?

– Była o wiele bliższa, kiedy Cameron była mała. Nasz syn Ashton jest od niej dwa lata starszy, więc spędzali razem dużo czasu, przynajmniej w czasie świąt. Przeprowadziliśmy się tutaj pięć lat temu.

– Zanim Emily i Troy przenieśli się do Mendocino – uzupełniam.

– Zgadza się. Zamysł był taki, żebyśmy mogli się częściej widywać, ale nie spełnił się tak, jak byśmy chcieli. Jesteśmy teraz bardzo zajęci, a Ashton przez większą część roku jest na wschodzie.

Jej ton jest spokojny, ale mowa ciała się zmieniła, a ona sama zeszywniała. Mam wrażenie, że coś ukrywa.

– Kiedy widzieli państwo Cameron po raz ostatni?

– Chyba w lipcu z okazji urodzin Emily.

– Jakie wrażenie wtedy sprawiała?

– Cameron? Prawdę mówiąc, była lekko wycofana. Wyglądała, jakby przeżywała trudne chwile, ale cały tamten dzień był wyczerpujący.

Przyglądam się Lydii i czuję krople potu na czole. Teraz, gdy jestem bliżej ognia, wydaje się jeszcze bardziej niedorzeczny i przytłaczający. Opieram się i wycieram pot rękawem.

– Powiedziałyby pani, że wiele państwa łączy z Emily i Troyem?

Lydia unosi brwi.

– Raczej nie. Podjęli pewne decyzje... – zawiesza głos, nie kończąc zdania.

– Decyzje? – drąży Will.

– Emily nie prowadzi zwykłego życia, wiem. Staram się nie oceniać.

– Ale? – zachęcam ją, żeby powiedziała coś więcej.

– Ale, szczerze mówiąc, nigdy nie rozumieliśmy, dlaczego jest z Troyem. On nie potrafi być wierny i było o tym wiadomo, odkąd tylko zaczęli się spotykać. Taki mężczyzna się nie zmienia, a Emily zasługuje na kogoś znacznie lepszego, powinna była lepiej wybrać. To od zawsze było niezrozumiałe.

Will zerka na mnie. Powiedziałam mu dużo o niewierności Troya, ale teraz, odkąd znam historię rodziny Emily, schemat jest dla mnie o wiele bardziej zrozumiały.

– A Cameron? – pytam, zmieniając temat. – Czy pani zdaniem napięcia w małżeństwie rodziców ją odmieniły?

– Możliwe – mówi Lydia z zastanowieniem. – Ale, szczerze mówiąc, ona się zmienia już od jakiegoś czasu. A przynajmniej takie odnoszę wrażenie.

– W jakim sensie?

– Jest chyba wrażliwsza i łatwo się denerwuje. Trudniej też się do niej zbliżyć.

– Jest nieufna? – wypalam.

– Może i tak. – Jej wzrok pochmurnieje. – Kiedy się pojawiła w rodzinie, pomyślałam, że to wyjdzie na dobre im wszystkim. Emily od dawna pragnęła dziecka. Ale zawsze była pochłonięta karierą. *Hollywood*. – Lydia wypowiada to słowo tak, jakby wymawiała nazwę wirusa.

– I co dalej?

– Właściwie nie wiem. W pewnym momencie Cameron jakby zamknęła się w sobie. Prawdę mówiąc, martwiłam się o nią od lat. Ale za bardzo nie było jak powiedzieć o tym Emily.

– W jakim sensie się pani martwiła? – dopytuje Will. – O co dokładnie?

– Bałam się, że może sobie zrobić krzywdę. Dziewczyny w jej wieku czasem się tak zachowują, tną się albo wykazują zachowania autodestrukcyjne, prawda?

– Czy zaproponowała jej pani kiedyś pomoc? – pytam.

– Próbowałam. W lipcu sprawiała wrażenie, jakby była obecna tylko ciałem. Kiedy ją o to spytałam, powiedziała, że nic jej nie jest, ale później się dowiedzieliśmy, że właśnie usłyszała o dziecku. Asystentka Troya, a jakże. Co za koszmar. – Jej wzrok jest kąśliwy. – Domyślałam się, że państwo o tym wiedzą.

– Tak – potwierdza Will. – A jak dowiedziała się Cameron?

Wargi Lydii zaciskają się gniewnie na chwilę.

– Jego dziewczyna zadzwoniła do domu, a telefon odebrała Cameron. Wyobrażają sobie państwo?

Ja sobie nie wyobrażam.

– Dziewczyna Troya powiedziała Cameron o tym, że jest w ciąży? To okrutne.

– Okrutne, lecz skuteczne. – Lydia kręci głową. – Szczerze mówiąc, to niewybaczalne. Cameron była prawdopodobnie wstrząśnięta, ale siedzieliśmy przy tym kompletnie drętym urodzinowym obiedzie. Sałatka krabowa i czekoladowe ciasto bez mąki. Emily nie pisnęła słówkiem, ani jednym gestem nie zdradziła, że coś jest nie tak. Ale to Emily. – Wzdycha wymownie. – Od tamtej pory Drew i ja nie odzywamy się do Troya.

Dźwięk imienia Drew gwałtownie przywołuje mnie do rzeczywistości. Przez tę rozmowę o Cameron prawie zapomniałam, po co przyjechaliśmy. Może Will też, a może tym razem gra na zwłokę.

– Cameron znikła dwudziestego pierwszego – mówi. – Co pani i Drew robili tamtego wieczoru?

– Akurat zaczęliśmy zbiory pinot – wyjaśnia Lydia. – Z winnicy, zdaje mi się, wróciliśmy dopiero koło drugiej czy trzeciej.

Oczywiście ma na myśli noc.

– Razem?

– Tak. Od sierpnia do października wszyscy pracują na pełnych obrotach. Nie ma czasu na sen.

– A o której zaczęła się praca tamtego wieczoru? – pytam.

– Tuż po zmroku. Koło siódmej.

Serce mi zamiera, gdy słyszę ten szczegół, nie tylko dlatego że Lydia zapewniła właśnie Drew silne i wiarygodne alibi, ale dlatego że ona sama sprawia wrażenie wiarygodnej. Nic nie pasuje do tego, czego w tej chwili chcę – do solidnego tropu.

W końcu słyszymy odgłosy na korytarzu i do biblioteki wchodzi Drew. Zdejmuje zakurzony słomkowy kowbojski kapelusz i kładzie go na bocznym stoliku, a później podaje rękę każdemu z nas. Kapelusz odcisnął na jego rzadkich mysich włosach głupio wyglądający wilgotny okrąg. Twarz ma zaczerwienioną, a na grzbiecie nosa – drobne grudki iltu. Ciężko pracował, rolnictwo to dla niego nie zabawa, jak przypuszczałam, a ja czuję z tego powodu

urazę zamiast ulgi. Chcę, żeby jego wina biła po oczach. I żeby cała ta sytuacja okazała się jednym wielkim oszustwem.

Will wstaje.

– Panie Hague, jestem szeryf Flood z hrabstwa Mendocino, a to detektyw Anna Hart. Przyjechaliśmy w sprawie Cameron.

Drew siada bez zbędnych ceregieli. Janice przynosi mrożoną herbatę na ozdobnej srebrnej tacy, a on sięga po szklankę i opróżnia ją duszkiem.

– Straszna sprawa. – Jego słowom wtóruje pobrzękiwanie kostek lodu. – A teraz jeszcze ta druga dziewczyna. W Petalumie. – Marszczy czoło.

– Pańska żona powiedziała nam, że w wieczór zaginięcia Cameron pracował pan przy zbiorach – wkraczam do akcji. – Zgadza się?

– Tak. To dla nas najgorętszy okres w roku. Gdyby nie to, bardziej zaangażowalibyśmy się w pomoc.

– Czy od tamtego wieczoru często się pan kontaktował z Emily albo Troyem?

– Nie, prawdę mówiąc... Ja... – Jedną dłonią zakrywa drugą. – Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Jeśli mam być szczerą, to trochę nam wstyd – dodaje Lydia. – Napięcia i nieporozumienia w takich chwilach nie powinny mieć znaczenia. Rodzina powinna trzymać się razem.

Drew przytakuje z zakłopotaniem, a ja łapię się na tym, że mu się przyglądam, jego mokrym włosom i linii potu na kołnierzyku. I jego dłoniom, dużym i silnym. Czy wygląda na mężczyznę, który mógłby skrzywdzić piętnastolatkę? Albo dziewczynę znacznie młodszą? Intuicja mi podpowiada, że tak, mimo alibi. To jedynie przeczucie, być może całkiem bezpodstawne. Ale jest.

– Chciałbym zbadać państwa wariografem – oznajmia Will. – To standardowa procedura.

– Hm. – Drew ma zaskoczoną minę. – Skoro tak się to odbywa... – Zerka na Lydię. – Tyle że teraz może być trudno się umówić. Do końca zbiorów zostało jeszcze parę tygodni.

– My nie mamy tygodni, panie Hague. – Obrzucam go gniewnym spojrzeniem. – Na pewno ma pan pracowników, którzy mogą pana zastąpić, jeżeli musi pan wyjechać na kilka godzin.

Jestem przekonana, że ustąpi od razu, lecz tak nie jest. Spojrzenie jego niebieskich oczu jest nieugięte. Cała rodzinna uroda przypadła w udziale Emily, ale on ma coś innego. Mimo roboczego ubrania widać po nim, że przywykł do tego, że ostatnie słowo należy do niego. Że ma władzę. I że rzadko ktoś mu się sprzeciwia.

– Jeśli na mojej ziemi ktoś pracuje, mogą być państwo pewni, że jestem tam również ja. Takimi zasadami się tu kierujemy. Mam nadzieję, że państwo rozumieją.

– Pańska etyka pracy jest godna uznania – kwituje Will, kładąc nacisk na ostatnie słowo. – Ale w tej chwili nie mamy czasu na elastyczność. Będę czekał na państwa jutro w moim biurze. – Spogląda na Lydię. – Na was oboje. Może być jedenasta?

Rysy Drew się wyostają. Jest wściekły.

– Oczywiście – odpowiada Lydia, nie patrząc w jego stronę.

W progu staje Janice, a Drew się pochyla i podnosi swój kapelusz. Kiedy wstaje, przez krótką chwilę narusza moją przestrzeń osobistą, a ja czuję bijącą od niego fizyczną siłę. To mgnienie oka, ale odnoszę dziwne wrażenie, że ten ruch jest zamierzony, że celowo przysuwa się do mnie zbyt blisko, żeby mnie złamać. Moje mięśnie natychmiast wychwytyują ten podtekst, robię się spięta i czujna. Nie mogę przestać myśleć o tamtym oskarżeniu o gwałt z czasów szkolnych i o tym, że w przemocy wobec kobiet wcale nie chodzi głównie o seks, ale o dominację. Chodzi o stłamszenie kobiecej niezależności i przejęcie nad kobietą całkowitej kontroli, a wszystko to napędza nienawiść.

Po jego wyjściu Lydia odprowadza nas do drzwi.

– Oglądamy wiadomości z Petalomy. Moi znajomi zgłosili się do pomocy w poszukiwaniach Polly Klaas. Jeśli zorganizowanie czegoś podobnego dla Cameron jest kwestią pieniędzy, możemy się dołożyć. Rozmawialiśmy już o tym z Drew.

Spoglądamy na siebie z Willem. Może czuje się winna albo wstydzi się tego, że nie zrobili więcej od razu, a może ta propozycja jest zawołaną próbą przeprosin, wynagrodzenia za to, co zrobił jej mąż, albo za to, kim jest. Żony przestępców seksualnych czasami są cichymi współniczkami, a czasem – bardzo rzadko – pomagają otwarcie, występując w roli swoistego alfonsa dla zaspokojenia

apetytów męża. Są też takie, które niczego nie podejrzewają, nawet jeśli molestowanie odbywa się pod ich dachem, i to wcale nie dlatego, że są ślepymi ignorantkami. Wielu przestępców cechuje nieprawdopodobna zdolność pokazywania tylko tego, co chcą, żeby inni widzieli. Cechuje ich pewien dualizm – a niepasujące do siebie części ich osobowości dzieli ogniowa zaporą. Po naszej krótkiej wizycie trudno zgadywać, gdzie w tej skali znajduje się Lydia.

– Dziękujemy za propozycję – mówię.

– Szczegóły możemy omówić jutro – dodaje Will. – Dziękujemy za poświęcony czas.

(trzydzieści jeden)

- Co to, do cholery, było? – pyta Will, kiedy siedzimy w samochodzie.
- Pojęcia nie mam. Ale on mi się nie podoba.
- Nie wiem, co o tym myśleć. Kreuje się na Clintę Eastwooda. Odnosi się jednak też wrażenie, że często prezentował swoją posturę w salach konferencyjnych i podpisywał czeki na wielkie sumy.
- A ten tekst, że pod jego nieobecność na jego ziemi nikt nie pracuje? To chyba żart?
- Will wzrusza ramionami i uruchamia silnik.
- Tak czy siak, ma alibi.
- Niestety, nie mogę zaprzeczyć. Jeszcze raz zerkam na dom, majestatycznie nieproporcjonalne wejście, przy którym bokiem siedzą dwa charty. Utrzymanie takiej posiadłości wymaga wielu rąk, żeby wszystko działało bezproblemowo, ale nie widzę przy domu nikogo. Może wszyscy są w winnicy albo w zabudowaniach gospodarczych, zajęci tłoczeniem winogron czy inną czynnością, jakie przeprowadza się za dnia, ale mimo wszystko to dziwny obrazek – przywodzi na myśl wielki ul, perfekcyjnie skonstruowany i pełen miodu, ale bez pszczół.
- Nie wykreślałabym jednak Drew ze sprawy molestowania – mówię. – Wtedy nie siedział na traktorze.
- Słuszna uwaga – przyznaje Will, gdy przemieszczamy się długim, zadbanym podjazdem. – A co sądzisz o niej?
- O Lydii? Nie wiem. Powiedziała kilka istotnych rzeczy na temat Cameron. Ale jeśli rzeczywiście sprawa jest dla niej ważna, dlaczego od czasu zniknięcia nie skontaktowała się z Emilią i Troyem? Można by pomyśleć, że zamieszka u nich w salonie, tak zachowuje się wiele rodzin. Nic mi się tu nie klei.
- Mimo że to *zbiory* – zauważa Will wymownie. – Nie potrzebują tych pieniędzy.

– Właśnie. A jeśli są wściekli na Troya, dlaczego nie przyjechali i się nie pogodzili? Słyszałeś, co powiedziała Lydia o tym, że Cameron się zmieniła od czasu, gdy ją adoptowali? Martwiła się, jasne. Ale dlaczego zatrzymywała to dla siebie?

Will pomrukiem przyznaje mi rację i wyjeżdżamy na główną drogę biegnącą wśród rozległych winnic, które ciągną się i ciągną z czerwono-złotą symetrią. Sznury kolorowych girland połyskują z drutów nad winoroślą. Mają chronić uprawy przed ptakami, ale same w sobie są piękne. Właśnie to przyciąga turystów do krainy wina – przyjeżdżają nie tylko po to, żeby zaszumiło im w głowie po degustacji cabernet sauvignon, lecz także po to, żeby znaleźć się w świecie, gdzie w każdej powierzchni odbija się słońce.

Próbuję umościć się wygodnie na długą drogę powrotną, ale ramiona mam sztywne i przytłoczone. Radio Willa jest nastawione na odbiór połączeń z jego departamentu. Jeden z jego zastępców informuje o zgłoszeniu dziesięć – piętnaście, awanturze rodzinnej. Will pochyla się, słucha uważnie, aż do sprawy zostaje oddelegowany inny zastępca. Dopiero wtedy pytam go o coś, co krąży mi po głowie od jakiegoś czasu.

– Jakie są szanse na zdobycie nakazu odtajnienia dokumentów adopcyjnych Cameron?

Nie wiem czemu, ale ciągle się zastanawiam nad tym, kiedy mogło dojść do molestowania. Jeśli to był Drew, przesłuchanie jej biologicznej rodziny mogłoby nam pomóc wyeliminować wcześniejszy okres jej życia. A kto wie? Może znalazł ją tutaj ktoś z przeszłości? Dziwniejsze rzeczy już bywały.

– Mogę spróbować. Co sądzisz o tym, że Lydia zaproponowała pomoc w kwestii centrum poszukiwań?

– Jeśli mówiła poważnie, nie powinieneś mieć oporów i przyjąć pieniądze. Ale możliwe, że nawet wielki czek na okrągłą sumę nie pomoże nam zaangażować całego miasta. A w Petalumie liczy się właśnie to.

– Już to przerabialiśmy, Anno. Nie mogę konkurować z „porwaniem z nożem przy gardle”. U nas nic nie wzbudza takiej samej reakcji. Poza tym widać, że Polly była wyjątkową

dziewczynką. Sama widziałaś. Tyle zaangażowanych osób. Takie rzeczy nie są udawane, nie można ich też wymusić.

– Fakt. – Przyznaję mu rację. – Ale możemy popracować nad tym, żeby pokazać ludziom, kogo poszukujemy. Sam powiedziałeś, że Curtisowie zawsze trzymali dystans wobec lokalnej społeczności. Że po części problem wynika z tego. Może zwołać zebranie mieszkańców i prosto z mostu poprosić o pomoc? Wcześniej uderzyć do wszystkich mediów, żeby je przyciągnąć. Powiedzieć, że mamy sensacyjną informację.

– A mamy? – Nawet z jego profilu widać, że jest zły, choć wzrok ma skupiony na drodze.

– Może do tego czasu będziemy mieli, a jeśli nie, pokażemy im nasze działania, całe miasteczko jednoczące się w poszukiwaniach Cameron. Porozwieszamy wszędzie jej zdjęcia, a później ty wyjdiesz i wypowiesz jej nazwisko dziesięć razy. Dwadzieścia.

– To nie takie proste.

– A co nam zostało?

Nie odpowiada. Przez długą chwilę za szybą przemykają winnice, zielone i złote, i ciemnofioletowe. Światło zmierzchu niczym miękkie ciepłe zwierzę kładzie swoje ciało na łagodne żółte wzgórza i dęby korkowe.

– Mogę się skontaktować z Grayem – próbuję znowu. – I ze Steve'em Gonzalesem. Wszystkie dzieciaki w szkole przeżywają traumę. To może pomóc. Poczują się potrzebne i silne. Nie możemy ich zostawić samych, kiedy walczą z takimi uczuciami. Wiesz, że to nic dobrego. Potrzebują *zajęcia*.

– Chyba warto spróbować. Choć Troyowi i Emily ten pomysł może się nie spodobać.

Do diabła z nimi, chcę powiedzieć, ale się powstrzymuję.

– Może zmądrzeją.

Jest ciemno, kiedy Will wysadza mnie przed GoodLife. Nogi mam jak z waty po całym dniu siedzenia w samochodzie, a pasek dzinsów odcisnął pręgi na moim ciągle miękkim brzuchu. Zamiast rozsiąść się na stołku u Pattersona, postanawiam się przejść, żeby ochłonać, i od razu czuję, że to była dobra decyzja. Wiatr się wzmaga, kiedy

docieram na koniec Lansing Street, i napiera na mnie każdym podmuchem pełnym soli, oczyszczając mnie z wydarzeń tego dnia.

Na skraju klifu spoglądam w dół na plażę Big River i od razu wiem, że to jest sceneria z mojego koszmaru, ta, w której dziewczyna ucieka pośród wodorostów i wyrzuconego przez morze drewna, a ktoś ją goni czy tropi. Noc jest pochmurna, ścieżka ciemna, ale widzę kilka pierwszych uformowanych w ziemi stopni prowadzących na żłobione, piaszczyste wybrzeże i ruszam w dół, ignorując ostrzegawcze przebłyski. Jestem tu całkiem sama – w razie upadku albo i czegoś gorszego.

Mimo wszystko się nie zatrzymuję. Znam tę ścieżkę, znają ją moje mięśnie, pamiętają, jak się opuszczać i po omacku na zboczu klifu szukać podpór dla dłoni, kęp trawy niczym garści włosów. Kilka ostatnich stopni się rozmyło, ale ten zdradziecki odcinek pokonuję na pupie, zjeżdżam, odpychając się dłońmi, i ląduję półtora metra niżej, na mokrym piasku. Poddaje się z cichym łoskotem, a ja łapię równowagę i przez chwilę czuję się jak zwycięzca. Aż nagle pojawia się myśl: *jak wejdę z powrotem?*

Gdy mój wzrok oswaja się z ciemnością, widzę, że plaża jest pusta. Odpływ pozostawił długie, nierówne pasmo wodorostów. Czuję ich zgniłą, wilgotną woń, kiedy podchodzę do wody, omijając kawałki powykręcane białego drewna, a piach w ciemności wydaje się niemal fluorescencyjny, sypki i kremowy pod moimi podszwami. Gdy byłam mała, takie drewno przypominało mi ludzkie kości, i muszę przyznać, że nadal tak mi się kojarzy. Daleko na wodzie mruga na czerwono światło masztu nocnego rybaka. Odpowiada mu nieco dalej inny blask – ale tak się tylko stąd wydaje. W rzeczywistości łodzie dzielą co najmniej dwa kilometry. Prawdopodobnie nie wiedzą o sobie nawzajem. Mogą się jedynie usłyszeć za pomocą trzeszczącego radiotelefonu.

– Wszystko w porządku? – krzyczy ze szczytu klifu niski męski głos.

Podskakuję wystraszona. Olbrzymia sylwetka nie ma twarzy ani konturów. Trudno nie poczuć się osaczoną. Spoglądam w górę.

– Nic mi nie jest! – krzyczę.

– Chyba pani utknęła?

– Nie, wszystko w porządku – odkrzykuję.

Mężczyzna nie odpowiada, macha tylko enigmatycznie dłonią, a jego cień na szczęście rozprasza się i wycofuje. Kiedy zostaję sama, czuję się bezpieczniej, ale muszę pomyśleć, jak się stąd wydostać. Wiadomo, że nie podskoczę, żeby wrócić tak, jak zesłam. Czuję się głupio z powodu własnej lekkomyślności, spaceruję w tę i z powrotem wzdłuż ściany klifu, szukając lepszej drogi, ale lepszej drogi nie ma. Nic, czego można by się złapać, żadnych dobrze rozmieszczonych wyźłobień. Wiatr wieje mocniej i zaczynam się trząść. Jeśli przyjdzie mi tu spać, zamarznę na śmierć.

– Hej! – krzyczy znowu głos. Facet wrócił.

Niech to.

– Uwaga, rzucam linę.

(trzydzieści dwa)

Nawet z pomocą liny wspinaczka jest trudna. Szorstkie włókna są jak drzazgi, wżerają się w moje dłonie, kiedy powoli pokonuję zbocze, objając łokcie i kolana. Czuję skurcze mięśni na plecach, uda zaczynają palić. Dlaczego na filmach akcji to się wydaje takie proste, a w ogóle kim jest ten facet? Życzliwym sąsiadem, przechodniem czy złoczyńcą czystej krwi? I jak to się stało, do cholery, że tak skończyłam? Że ciężar mojego ciała spoczywa w rękach obcego człowieka, a ja nie mam wyjścia i muszę się wspinać?

Kiedy wreszcie docieram na szczyt, facet podaje mi rękę i wciąga mnie, zdyszana, przepełniona adrenaliną, poza postrzępiony język klifu na ścieżkę. To hippis z Lata Miłości z parku Rotary. Ulica za nim jest pusta, sklepowe witryny – nijakie i ciemne.

– Pamiętam panią – oznajmia, rzucając sznur pod swoje stopy. – Nie jest tam bezpiecznie, wie pani.

Zerkam w tę i z powrotem na ścieżkę, na której stoimy, i rozważam, jakie mam możliwości, gdyby coś poszło źle, a później znów patrzę na jego twarz i ciało, usiłując go rozgryźć. To wielki facet, bez problemu mógłby skrócić dziewczynie kark. Wystarczająco wielki, żeby mnie załatwić, o ile do tego to wszystko zmierza.

– Nic mi nie jest. Wiem, co robię. Ale dzięki.

– Miesiąć temu wielka fala wciągnęła faceta do morza. W Devil's Punchbowl. Zjawiają się nagle.

Mówi dziwnie i chaotycznie, jego zdania są jak ostre małe odłamki. Ale nie przysunął się do mnie ani nie powiedział niczego szczególnie przerażającego.

– Będę pamiętać.

– Jestem Clay LaForge. Siedzieliśmy z moją dziewczyną w parku i niedawno zobaczyliśmy, jak pani idzie. Długo pani nie wracała, więc

moja dziewczyna kazała mi iść sprawdzić, czy nic się nie stało.

– Och. – Nie mogę uwierzyć w to, co mówi. Większość ludzi ma innych gdzieś, o ile nie łączy ich z nimi coś wspólnego. – To... miłe z jej strony.

– Wszyscy powinniśmy się troszczyć o siebie nawzajem, tak zawsze powtarza. A tak w ogóle, to co pani tam robiła?

– Nic. Chyba się zastanawiałam. Czy tamten człowiek utonął? Ten z Devil's Punchbowl?

– Na pewno – mówi niemal radośnie. – Turyści. Zdaje im się, że wiedzą rzeczy, których nie wiedzą.

Dociera do mnie, że nietypowy jest nie tylko sposób, w jaki mówi, ale także wszystko, co mówi. Przypomina postać z bajki, czarnoksiężnika szafującego metaforami albo pustelnika wyciągającego trzy magiczne ziarna – w tym przypadku akurat linę. Całe to spotkanie jest dziwne, ale jeśli mojej uwadze nie umyka coś oczywistego, mężczyzna nie wydaje się groźny. Właściwie mógłby nawet być użyteczny. Nie jest turystą, a wydaje się wręcz kimś więcej niż tylko miejscowym. Śpi w parku, jak się domyślam po namiocie, który widziałam poprzednio, więc zapewne obserwuje wszystkich, tak jak obserwował mnie – jak program telewizyjny, który włącza i wyłącza, przewracając się na drugi bok.

– Czy ktoś z biura szeryfa przesłuchiwał pana i pańską dziewczynę w związku z zaginioną Cameron Curtis? – pytam.

– Dlaczego? Bo w tym mieście nam najbliżej do przestępców? – Możliwe, że mruży oczy, kiedy to mówi. Nawet pod latarnią nie jest zbyt jasno. Albo jest rozbawiony, albo go obraziłam.

– Większość czasu spędzają państwo na powietrzu – staram się wyjaśnić. – Z widzenia znacie każdego, kto tu mieszka. Zastanawiam się, czy zauważylibyście coś nietypowego. Albo kogoś.

Kiwa głową z niewyraźną miną.

– Mnóstwo dzieciaków chodzi na plażę przez park, czasami palą papierosy. Co jakiś czas ktoś nas prosi, żebyśmy kupili mu piwo albo ćwiartkę four roses. Ale nie ta dziewczyna. Nie wiem, czy w ogóle kiedyś widziałem, żeby przechodziła. A jeśli tak, to na pewno się nie wyróżniała.

– Myśli pan, że to bezpieczne miasto? Wy tu biwakujecie, prawda? Wzrusza ramionami.

– Na dworze jest czasem bezpieczniej niż w pomieszczeniu. Dokładnie wiadomo, z czym się człowiek mierzy.

Coś takiego mógłby powiedzieć Hap.

– Jak długo pan tu mieszka?

– Kilka lat. Moja dziewczyna zawsze chciała mieszkać nad oceanem. Powiedziałem, jasne, spróbujmy. Wcześniej byliśmy w Denver. Słońce tam świeci dzień w dzień, czasami w śniegu. Ale Lenore powiedziała, że wysokość mąci jej w głowie.

– Lenore? Ta kobieta, którą poznałam ostatnio?

Kiwa głową.

– Nie przepada za ludźmi. Zdziwiłem się, że z panią pogadała.

– Moja rodzina miała kiedyś oswojonego kruka, który miał na imię Lenore.

– Jak to, w domu? – Kręci głową, marszcząc czoło. – Nie można tak więzić zwierzaka. Pech.

– Była po urazie. Nie mogła machać jednym skrzydłem. – Nie wiem, dlaczego opowiadam mu tę historię ani dlaczego ciągle widzę ptaka, jak truchta po domu za Eden, żebrząc o rodzynki i jagody, i suchą karmę dla psów. Umiał też mówić, ale tylko jedno zdanie zapamiętane z wcześniejszego życia: *nie rób, nie rób*. – Śmiertelnie mnie przeraziła – niespodziewanie mówię to Clayowi. – Myślałam, że umie czytać w myślach.

– Oczywiście, że umiała – reaguje bez wahania. – Ptaki są telepatami.

Clay jest dziwny, ale wzbudza pewną sympatię, jak to hippisowski włóczęga, który mieszka pod namiotem w parku Rotary, lecz myśli o górach albo Waterloo, nie całkiem obecny w tym świecie czy w jakimkolwiek innym.

– Gdzie jest teraz pana Lenore?

– W namiocie. Chyba powinienem dać jej znać, że nic się pani nie stało. Lubi się zamartwiać.

– W tej chwili najniebezpieczniejsza wcale nie jest kipiela, Clay. Ten, kto porwał tę dziewczynę, może chodzić wśród nas.

– Wcale bym się nie zdziwił. W małym mieście jak to tuż obok może się dziać dosłownie wszystko, a człowiek się nie dowie.

Po raz drugi w ciągu kilku minut przypomina mi Hapa.

– W takim razie komu by się pan bacznie przyjrzał? Jako podejrzanemu?

Na jego twarzy pojawia się trudna do odczytania w ciemności mina. Ale ją rozszyfrowuję. Traktuję go poważnie i to mu się podoba.

– Chyba wszystkim. Nie wydaje mi się, że jest jak w filmach. *Piątek trzynastego*. Głowę dam, że z zewnątrz wygląda jak my. Cała naprawdę przerażająca treść jest w środku, gdzie pewnie nikt jej nigdy nie widział.

To celne spostrzeżenie.

– Powinien pan być detektywem – stwierdzam.

– Może jestem tajniakiem – odpowiada z promiennym uśmiechem. Później obraca głowę przez ramię, poza krąg światła rzucanego przez latarnię w górze, i patrzy w dal, na ciemną ulicę.

– No i idzie.

– Lenore?

– Nie, pani pies.

(trzydzieści trzy)

Miałam szesnaście lat, gdy Eden zachorowała, na początku mojego szóstego roku u nich. Pierwsze objawy były mylące – nudności, zawroty głowy i nocne poty. Lekarz jej powiedział, że to menopauza i że minie.

– Menopauza, dobre sobie! – wybuchnął któregoś wieczoru Hap przy kolacji, kiedy Eden podskubywała jedzenie na talerzu. – Schudłaś dwadzieścia kilo!

Rzadko podnosił głos, bo nigdy nie musiał tego robić. Eden wyraźnie się zdenerwowała, podobnie jak Lenore.

– Nie rób, nie rób! – ostrzegła ze swojego krzesła.

Wiedziałam, że kruki bywają równie mądre jak papugi, ale Lenore była nie tylko bystra. Z łatwością umiała odczytywać nasze nastroje i wyczuwać strach.

Spoglądałam to na Hapa, to na Eden i żałowałam, że nie mogę wyczuć, co się dzieje w ciele Eden, i że ona też nie jest w stanie. Że choć raz nie może pojawić się w swoim własnym śnie.

– Wrócę do niego – obiecała Hapowi Eden. – Poproszę, żeby mi coś przepisał.

– Pojadę z tobą – powiedział, w najmniejszym stopniu nieudobruchany. – Zobaczymy, czy lekarz będzie miał czelność wygadywać te swoje brednie, jak ja będę w pokoju.

Jak się okazało, miał.

Dopiero po roku dowiedzieliśmy się, że Eden ma raka endometrium. W ostatnim dniu, kiedy się dobrze czuła, pojechaliśmy do Point Cabrillo popatrzeć na wieloryby. Zabraliśmy rozkładane stołki, gorącą kawę i koce na kolana. Tego popołudnia wiał przenikliwy wiatr wywołujący miliony zmarszczek na powierzchni morza w zatoce.

– Gdybym miała być wodą – powiedziała Eden, wpatrując się przed siebie – chciałabym być tym oceanem.

Już nim jesteś, miałam ochotę jej powiedzieć. Jesteś wszystkim, co widzę.

Zdawało się, że tych kilka wspólnych godzin trwa całą wieczność. Naliczyłyśmy sześć humbaków.

– Sześć to liczba ducha – powiedziała Eden.

Widziałyśmy, jak wiatr szarpie skupiskami wodorostów, flagami zieleni i złota. A później zachód słońca i pierwszą wieczorną gwiazdę migoczącą w oddali. A później wzeszedł księżyc jak perłowy odłamek szkieleka z plaży, pęknięty, ale pełny jednocześnie.

Trzy tygodnie później Eden zmarła we śnie pod afgańskim różowym kocem, już wtedy malutka jak dziecko i nieobecna z powodu morfiny. Kiedy Hap przyszedł mi powiedzieć, że odeszła, twarz mu się wykrzywiła. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby płakał, i wtedy też się nie rozpląkał, tylko zawisł na krawędzi czegoś, czego nie był w stanie znieść, a jednak znieść musiał. Pewnego dnia ja też miałam poznać ten stan z przerażającą przenikliwością. W tej chwili mogłam tylko stać ogłuszona, a on wrócił do ich wspólnej sypialni i zamknął drzwi, żeby być z nią sam na sam. Nikt nie zamierzał go poganiać, żeby dzwonił do koronera, dopóki sam nie będzie na to gotowy. Ta kobieta była jego życiem od ponad trzydziestu lat.

Moje własne pożegnanie wydawało się niemożliwe. Nie byłam gotowa na utratę Eden. Nie potrafiłam się pożegnać. Jak w transie poszłam do lasu, choć nie miałam ochoty na wędrowkę. Wiele kilometrów za miastem, maszerując prosto Little Lake Road, dotarłam do lasu Jackson State i niemal od razu zesłam ze szlaku, po czym wspinałam się stromym wąwozem i schodziłam, przeciskając się pomiędzy mokrymi paprociami i gąbczastym poszyciem. Napotykałam ślady zniszczeń po ogniu, wypalone serca drzew, czarne i wypatroszone.

Kiedy dotarłam do polany starych sekwoi, mięśnie miałam zmęczone, a ciuchy mokre od potu. Wysokie na kilkadziesiąt metrów nieruchome drzewa wzbijały się w niebo. Hap powiedział

mi kiedyś, że drzewa tak stare i wielkie jak te biorą tylko jeden oddech dziennie. I żeby naprawdę je zrozumieć, żeby zrozumieć choć jedno drzewo, trzeba być przy nim, kiedy oddycha.

– Naprawdę?

– Jasne. Oceany też oddychają – powiedział. – Góry. Wszystko.

Padłam na kolana w środku pierścienia drzew, na posłanie z igliwia, piachu i porostów. Nie była to właściwie modlitwa, ale coś, o czym Eden mówiła przez lata. Kiedy sytuacja wydaje się trudna, a człowiek jest roztrzęsiony, mawiała, możesz paść na kolana tam, gdzie jesteś, a świat cię podtrzyma.

Miałam za dużo matek, lecz nie dość matczynej opieki. Tylko przy Eden czułam się jak prawdziwa córka. A teraz jej zabrakło. Znieruchomiałam i czekałam, aż przyjdzie wiara, czekałam na jakiś znak, jak bez niej żyć, ale żaden nie przyszedł. Czułam tylko fale dreszczy i zimny pot pośród pni i konarów, pośród igieł i liści, pośród cząsteczek. Wspinały się wewnątrz mojego ciała i zwijały ciasno pod żebrami niczym pięść upleciona ze srebrnej nici.

W końcu wstałam na słabych nogach i ruszyłam w stronę domu. Zrobiła się zupełna noc, kiedy dotarłam na miejsce, na ganku nie świeciło się światło, a we wszystkich pokojach było ciemno. Weszłam do kuchni i zapaliłam światło, a Lenore się skuliła. Jakoś przedostała się na krzesło Eden przy stole, a kiedy się przysunęłam, nastroszyła pióra wokół szyi, stawiając złowrogi kołnierz, jakby chroniła swoją przestrzeń.

– Jesteś głodna? – spytałam.

Złowroga cisza.

Znalazłam worek psiej karmy i nasypałam jej kilka ziarenek na oparcie krzesła, ale jak tylko przysunęłam dłoń, machnęła zdrowym skrzydłem, wydymając pióra na szyi, prawie mnie nim trafiając.

Uderzyłam ją bez namysłu. Jej ciało było o wiele silniejsze, niż się spodziewałam, krzepkie i sztywne jak wystrugane z drewna.

Oddała mi od razu, wbijając dziób w ciało przy kciuku, i nastroszyła teraz oba skrzydła, nawet to chore.

– Przestań! – Znów podniosłam rękę, wiedząc, że przekroczyłam granicę. Nikt nigdy nie powinien robić krzywdy zwierzętom, nigdy.

Eden nie mogłaby na to patrzeć, ale nie byłam w stanie się powstrzymać. Nie mogłam się wycofać.

– Nie rób – ostrzegła Lenore tą samą frazą co zwykle, lecz tym razem wreszcie miała sens. Mówiła do mnie o terażniejszości, o nas. Miała w oczach taki chłód, że serce mi stanęło.

Rzuciłam się na nią, chwyciłam jej grube ciało i ją zaskoczyłam. Tłukła się strasznie o moją pierś, szarpiąc się i walcząc, próbując się uwolnić, kiedy ją ściszałam. Otworzyłam drzwi i wyrzuciłam ją do ogródka, a potem szybko zatrzasnęłam za sobą drzwi i przekręciłam klucz w zamku. Szybko poszłam do mojego pokoju i też zatrzasnęłam drzwi, położyłam się na brzuchu i tarzałam z nienawiści, poczucia winy i wstydu, i Bóg wie czego jeszcze.

Och, kochanie, powiedziałaaby Eden. Na kogo właściwie jesteś zła?

Na ciebie. Ale to też nie była prawda. Wszystko było nie tak. Oczy mnie piekły. Palila mnie pustka w sercu.

Po mniej więcej półgodzinie – właściwie nie miałam pojęcia – wstałam i po cichu przeszłam przez dom do wejściowych drzwi. Otworzyłam je, spodziewając się, że ptak będzie na wycieracze albo na podjeździe, ale Lenore znikła. Wpadłam w panikę i pognałam jej szukać. Nie było jej jednak pod żywoplotem ani z boku domu. Nie chowała się w pobliżu garażu ani pomiędzy śmietnikami. Wzięłam kanciastą latarkę wielką jak termos, którą Hap trzymał w szafie w holu na wypadek burzliwych nocy, gdyby zabrakło prądu, i wycelowałam ją w atramentowe niebo, szepcząc na okrągło imię Lenore, zamiast je wykrzykiwać, choć miałam ochotę krzyczeć. Bałam się obudzić Hapa, czy może Eden, gdziekolwiek teraz była, wysoko wśród gwiazd czy też nisko w dole przy poszarpanym wybrzeżu, więc cierpliwie szukałam ptaka, pomagając sobie zbłąkanym strumieniem latarki.

W końcu się poddałam i wróciłam do kuchni, padłam na krzesło, na którym zaczął się cały koszmar, obok porzuconych kuleczek psiej karmy. Zrobiłam coś strasznego, celowo, i nie mogłam tego cofnąć tylko dlatego, że żałowałam. Żal jej nie znajdzie. Zrozumiałam, że żal jest doznaniem największej samotności, bo tylko ściąga człowieka w głąb własnej duszy.

(trzydzieści cztery)

Podbiega do nas pies, a Clay LaForge uśmiecha się szeroko, jakby wszechświat właśnie rzucił jakiś dowcip. Może i tak.

– Mówi się, że słonie mają niesamowitą pamięć, ale ja nad słonia postawiłbym psa.

– Nie mogę się zająć psem.

Uśmiecha się swoim tajemniczym uśmiechem.

– Wie pani, że tak naprawdę wcale ich nie posiadamy? To one decydują, czy z nami zostają, czy nie. To zwierzak, trzeba o tym pamiętać.

Ciągle myślę o Lenore i słowa wypływają ze mnie bez zastanowienia.

– Popełniłam parę błędów.

Stoi tak, kiwając głową, jakby chciał powiedzieć: *normalne*. A później pstryka palcami i pies natychmiast skupia uwagę na nim.

– Mam wrażenie, że tego nie zdoła pani spieprzyć. Widzi pani cętki na jej pysku i rudawy kolor? Ma w sobie coś z belgijskiego malinoisa. To jedna z najbystrzejszych i najbardziej intuicyjnych ras. Są z nich dobre psy policyjne. Tworzą z człowiekiem zespół.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Kiedyś byłem treserem, w innym życiu. Na moje oko ma cztery albo pięć lat. Zmizerniała trochę od tego życia na ulicy, ale wygląda na zdrową. Trzeba by jej dać porządnej karmy białkowej, a nie zwykłej śruty. Na sierść i wzrok dobrze robi olej z łososia.

– Clay... – Gorączkowo szukam drogi ucieczki, kolejnego argumentu, ale jego uwaga skupiona jest na psie. Klęka przy suczce i spokojnie, z wprawą przesuwa dłonią od czubka jej głowy do ogona i z powrotem, a pies poddaje się jego dotykowi.

– Tak – mówi cicho, nadal pochylony. – Niektóre rasy wiedzą, czego potrzebujemy, prędzej niż my sami. Jest w dobrym stanie. I jest silna. Nie wyobrażam sobie lepszego partnera.

Nie potrzebuję partnera, coś się we mnie upiera, ale nawet ja wiem, że to kiepska wymówka. I ewidentnie nieprawdziwa.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę – mówię.

– Owszem. – Clay chichocze. – Życie bywa zabawne.

Idzie z nami do parku Rotary, gdzie jego dziewczyna Lenore czeka na piknikowej ławce w tym samym stroju co wcześniej – bluzie z orłem bielikiem, długiej jak spódnica, z włosami niczym gęsta blond wichura nad pomarszczonym czołem.

– O, dobrze – odzywa się cicho. – Nic się pani nie stało.

– Dzięki, że przysłała pani Claya.

– Pomyślałam, że może ma pani kłopoty.

– Nie, nic mi nie jest. – Spoglądam to na jedno z nich, to na drugie i czuję niewytłumaczalną wdzięczność z powodu ich obecności. Niby obcy ludzie, a tu proszę.

– Jak ma na imię pani pies? – pyta Clay.

– Dobre pytanie. Szkoda, że nie może mi powiedzieć.

– Ależ może. Sęk w tym, że nie jest Angielką.

Docieram do Mendosa Market zaledwie parę minut przed zamknięciem, zostawiam psa przed wejściem, a sama wchodzę i szybko, niestety bezskutecznie, rozglądam się za olejem z łososia. Są tylko sardynki i anchois w puszcze. Kupuję jedno i drugie, a do tego filet z łososia, porażająco różowy na tle białego papieru pakunkowego, w który zawija go sprzedawca, i psią karmę – mokrą i suchą.

Kiedy moje zakupy toczą się po taśmie, zauważam Caleba z naręczem zakupów.

– Cześć. – Przygląda się moim produktom. – Masz psa?

Z jakiegoś powodu czuję się sfrustrowana, niemal zawstydzona.

– Przygarnęłam ją. Chyba zwariowałam, co?

– Zawsze chciałem mieć psa, ale mój tata miał alergię – wyjaśnia mimochodem, choć niezupełnie. Pod tą uwagą skrywa się cięń smutnej historii. Wyraźny znak, że życie dało mu po nosie; może nie tyle samo życie, ile Jack Ford.

Wychodzimy i następuje szalony taniec – Caleb wita się z psem.

– Jest naprawdę ładna – mówi. – I wygląda na bystrą.

– Tak mi powiedziano.

Idziemy do bronco, ładuję zakupy, a pies wskakuje na tylne siedzenie, jakby już znał swoje miejsce. Stoję ciągle tyłem, kiedy słyszę, jak Caleb mówi:

– Wpadłem wczoraj na Willa. Powiedział mi, że pomagasz mu w sprawie tej zaginionej dziewczyny.

Odwracam się do niego zupełnie zaskoczona. Uzgodniliśmy z Willem, że będę działać incognito.

– Nie pełnię żadnej oficjalnej funkcji.

– Rozumiem. Myślałem, że jesteś tylko przejazdem, to wszystko.

– Ja też. – Z hukiem zamykam tylną klapę. – Naprawdę się trzymasz, Caleb? Mnie możesz powiedzieć.

Jego wzrok wędruje w moją stronę, ale mnie omija.

– Nie rozmawiam o tamtych czasach, Anno. Tak jest łatwiej.

– Jasne, oczywiście. Rozumiem. Słuchaj, masz ochotę się czegoś napić? Stawiam.

– Nie, muszę wracać do domu. – Podrzuca zakupy na rękach jak trofeum, wymówkę. – Kiedy indziej?

– Jasne, pewnie. Do zobaczenia.

Wyjeżdżając z miasta, opuszczam szybę i włączam radio, a w samochodzie rozlega się *Against the Wind* Boba Segera, która wydaje się sensowniejsza z psem rozciągniętym na tylnej kanapie, jakby to było jego miejsce. Zakładałam, że czeka nas okres oswojenia się ze sobą, ale pies od razu sprawia wrażenie całkiem odprężonego i beztroskiego.

W chacie znajduje sobie miejsce przy opalanym drewnem piecu i czeka cierpliwie na kolację. Połowę łososa smażę dla siebie, zamykając pory przez kilka minut z każdej strony na rozgrzanej patelni, z której tryska olej. Zjadamy razem, a później pies wyciąga mi się u stóp, ja zaś siadam z egzemplarzem *Jane Eyre* Cameron, szukając wskazówek w podkreślonych fragmentach i na kartkach z pozaginanymi rogami.

We mnie tak mało pozostało, muszę posiadać ciebie; Dusza, na szczęście, ma swego tłumacza – często bezwiednego, ale zawsze

wiernego – jest nim oko; Budził we mnie miłość, nie patrząc nawet na mnie; Czy masz ze mną coś wspólnego, jak myślisz, Jane?‡

Książka wydaje się zagadką, jak wszystko inne, co ma związek z Cameron, ale czy potrafię ją rozwikłać? Czy znajdę klucz do jej problemów i bólu na stronach podniszczonej książki Penguin Classic w papierowej okładce, czy może patrzę w złe miejsce, na niewłaściwą rzecz, chwytam się brzytwy?

Odkładam książkę i czuję, że pieką mnie oczy, więc dla odmiany patrzę na psa. Koniuszek ciemnego nosa lekko dotyka ściany, a brzuch unosi się i opada rytmicznie, jakby życie, które wiodła do tej pory, nie zajmowało jej już ani w najmniejszym stopniu nie kłopotowało. Śpi tak spokojnie, że w całym pokoju robi się przyjemniej, cieplej.

(trzydzieści pięć)

– Mamy to – mówi mi Will następnego ranka, zanim z Sacramento przyjedzie technik obsługujący wariograf, żeby przesłuchać Lydię i Drew Hague. – Mówiłaś, że porozmawiamy z Grayem i Steve'em Gonzalesem o zorganizowaniu wsparcia dla ośrodka poszukiwań, prawda?

– Będą w szkole przez cały dzień. Mogę ci pomóc tutaj.

– Mamy dość rąk na pokładzie. Odpocznij i złapiemy się później.

– Odpocząć? – pytam z niedowierzaniem. – Przecież mamy dwie zaginione dziewczyny, a może trzy?

Jego wzrok mi mówi, żebym odpuściła.

– To tylko kilka godzin. Złapię cię później. – Odwraca się na pięcie i mnie zostawia, a ja rozmyślam, czy zostałam ukarana za Petalumę czy za Roda Frasera. Może Will nadal jest wściekły o to, że brakuje mu środków i ludzi, a może chodzi o coś głębszego, o nasze odmienne zdanie na temat wyników badania wariografem Emily albo o to, co powiedział u Pattersona, że zbyt emocjonalnie angażuję się w tę sprawę. Jakikolwiek ma powód, widać, że rysuje wyraźną granicę i zostawia mnie po drugiej stronie.

Wsiadam do auta poirytowana, odstawiona na boczny tor.

– Chcesz odpocząć? – pytam psa, kiedy podnosi głowę z tylnego siedzenia. Nastawia uszy, otwiera szeroko oczy i słucha.

– Ja też nie.

Najpierw jedziemy na ten fragment nadmorskiej drogi, który sąsiaduje z posiadłością Curtisów. Od mojej rozmowy z Emily nie uwolniłam się od teorii, że Cameron mogła dezaktywować alarm i wymknąć się przez okno do lasu, żeby się spotkać z kimś, kto tam na nią czekał. Może ktoś jej obiecał coś cennego – może miłość albo wolność od napięć i zawirowań w domu. Może mylnie wzięła kogoś za koło ratunkowe, kiedy czuła, że tonie.

Pas drogi biegnie na tyle daleko od miasta, że właściwie jest odizolowany, tuż za wielką niezagospodarowaną łąką kilka kilometrów od Caspar, gdzie mieszka zaledwie garstka osób. Te domy, które mimo wszystko widzę, kiedy parkuję na skraju, są dobrze ukryte za płotami. Nawet jeśli porywacz Cameron kręcił się przy drodze i czekał, aż dziewczyna się pojawi, na pewno było późno i ciemno, więc jest niewielkie prawdopodobieństwo, że ktoś go zauważył, nie mówiąc już o tym, żeby zapamiętał markę i model samochodu.

Wysiadam z psem deptającym mi po piętach i mimo wszystko szukam jakichś wskazówek – podeptanych roślin, plam oleju, odcisków opon, śladów stóp. Przeczesujemy starannie obie strony drogi, a później cofamy się przez łąkę i las, szukając czegokolwiek nietypowego. Możliwe, że obezwładnił ją od razu i zaciągnął gdzieś niedaleko. Mógł porzucić jej ciało w paprociach albo zakopać w płytkim dole. Mam takie ponure wizje, bo to moja praca. Szukam ciała, choć wiem, że może nigdy go nie znaleźć. Poza tym jakaś irracjonalna częśćka nie pozwala mi porzucić myśli, że być może Cameron żyje. Te moje dwie części nieustannie ze sobą walczą. Mój umysł jest przeświadczony, że ona nie żyje. Serce nie może się z tym pogodzić. I się nie pogodzi.

Jest prawie południe, kiedy wreszcie kończę, mając mokre nogawki dzinsów i bolące stopy. Wracam do samochodu i siedzę za kierownicą przez długi czas, zastanawiając się, co robić. I nagle doznaję olśnienia. Wróżka.

Tally Hollander nietrudno zlokalizować. Odnajduję jej nazwisko w miejskiej książce telefonicznej, niecałe dwadzieścia minut później dojeżdżam pod adres w Comptche i odnajduję podjazd oznaczony dużym namalowanym szyldem reklamującym farmę: sprzedaż wełny alpaki i mleka. Większość wrózek i mediów, z którymi pracowałam przez lata, była skromna, czy wręcz nieatrakcyjna. Ale hodowczynie alpaki? Kto by przypuszczał, że można się parać jednym i drugim naraz?

Przy końcu krętego podjazdu stoi nowoczesny wiejski dom z rozłożystym gankiem i spadzistym dachem z falistej blachy.

Z jednej strony widać lśniącą przyczepę airstream z czerwono-białą markizą rozciągniętą nad wejściem. O przyczepę oparta jest tablica z wypisanymi imionami zwierzków i cenami rozmaitych produktów: mleka, sera, wełny, miodu, dżemu i świeżych kwiatów. Zaczynam myśleć, że taką postać można spotkać tylko w filmie.

Wysiadam z bronco, pies za mną, ignorując zwierzaki jak godny zaufania pomocnik, jakim jest bez wątpienia. Na ganek wychodzi kobieta w długiej lnianej sukni, podwójnie przewiązanym w pasie fartuchu i szarych filcowych chodakach. Włosy ma ścięte na wycieniowanego karmazynowego boba z dziwną asymetryczną grzywką.

– Mogę pani w czymś pomóc? – pyta.

– Mam nadzieję, że tak. Jestem Anna Hart, detektyw współpracujący z wydziałem szeryfa Mendocino. Ma pani parę minut na rozmowę?

– Oczywiście. – Kładzie dłonie na biodrach w otwarty, radosny sposób. – Przywiozła pani przyjaciela. Proszę, wejdźcie.

Kuchnia Tally jest zagracona i panuje w niej przytulny mrok, ma kształt litery L, powtarzający zarys zewnętrznego ganku. Na drewnianym blacie pełne ziół słoje wciśnięte są pomiędzy kolekcję książek, która nie wygląda, jakby należała do jednego czytelnika, zwłaszcza w kuchni, gdzie obok publikacji na temat zmian klimatu stoi Agatha Christie, a obok niej poezje Puszkina.

Gospodyni włącza czajnik i przynosi na kuchenny okrągły stół ceramiczną miskę pełną mandarynek, a ja siedzę z psem u stóp i patrzę, jak się krząta. Ma pięćdziesiąt lat, może nieco więcej, i jest ładna, z delikatnymi zmarszczkami wokół warg oraz oczu, które są dowodem, że spędza czas na dworze, w słońcu. Jej styl ubioru i zachowania kojarzy mi się raczej z malarką, a nie wróżką, ale to pewnie kwestia północnej Kalifornii. Tutaj każdy jest malarzem albo garncarzem, albo jubilerem, albo wszystkim jednocześnie.

– Na pewno pani wie, że w okolicy zaginęło kilka dziewczyn – mówię. – Pani nazwisko pojawiło się niedawno w związku z Shannan Russo.

– Zgadza się. – Siada naprzeciwko mnie i kładzie dłonie na stole, grzbietem do dołu. To niezwykły gest, ale najbardziej rzuca mi się w oczy to, że nie wydaje się zdenerwowana ani skrepowana moją obecnością. – Zadzwoiłam do jej matki. Czułam, że powinnam.

– Shannan zaginęła w czerwcu. Skąd ten telefon akurat teraz?

– Obudziłam się z jej imieniem w głowie i miałam silne przeczucie, że została zamordowana.

– Często zdarza się pani coś takiego? Tego rodzaju wizje?

Mruga, patrząc na mnie z zastanowieniem.

– Od zawsze miałam ten dar, jeśli o to pani pyta. Kiedy byłam młodsza, nie rozumiałam przesłań, nie wiedziałam, co powinnam z nimi zrobić. Nie zawsze wiem, jak mogę pomóc, ale ostatnio odczucia i obrazy są bardzo silne. Nie chodzi tylko o Shannan. Jakies dwa tygodnie temu kontaktowałam się z szeryfem Floodem i starałam się z nim porozmawiać na temat Cameron Curtis, nie chciał jednak słuchać, co mam do powiedzenia.

Prostuję się i przypominam sobie rozmowę, jaką usłyszałam w kawiarni w pierwszy dzień po przyjeździe, kiedy dwaj mężczyźni kłócili się właśnie o to i dyskutowali, czy Tally jest oszustką. Widocznie usłyszeli tę historię od Willa albo kogoś z jego biura. Jeśli jest oszustką, a to możliwe, jeszcze nie rozumiem, jaki miałyby cel.

– Myśli pani, że Cameron jeszcze żyje?

– Tak, choć to nie potrwa długo, jeżeli go pani nie powstrzyma. – Spogląda na mnie poważnie. – Wszechświat skrywa wiele tajemnic. Nie próbuję zrozumieć wszystkiego, co przeze mnie przepływa, ale robię, co mogę, żeby się tego nie bać.

– Co powiedziała Karen, kiedy pani do niej zadzwoniła?

– Płakała. Jest przekonana, że to jej wina, bo odepchnęła Shannan.

– Naprawdę? Will Flood odniósł wrażenie, że Karen już dawno temu otrzepała ręce po Shannan.

– Może to mechanizm obronny wywołany poczuciem winy. Kiedy Shannan była mała, kręciło się przy niej mnóstwo facetów, było dużo niepewności. Przemocy. Nic dziwnego, że matka ma spore poczucie winy.

– Karen to powiedziała?

– Ludzie mówią mi różne rzeczy. Zdaje się, że muszą. Dzięki temu chyba im trochę lżej.

– Więc uwierzyła pani?

Oczy Tally błyszcza jak szyby w muzeum. Nie mruga ani się nie zastanawia.

– Tak. Może teraz zdoła przeżyć żałobę i znaleźć pokój. Każdy na to zasługuje, chyba się pani ze mną zgodzi?

Na podłodze przy moich stopach pies zaczyna się wiercić. Przysuwam nogę do ciała zwierzaka, ciepłego i jędrnego, ale czuję się niezręcznie, jakby Tally mówiła o życiu moim, a nie Karen.

– Coś jeszcze się pani śniło?

– Shannan w króliczym futrze, do pasa, z zamkiem. Bardzo miękkim, wyjątkowo miękkim.

– Czy to futro coś znaczy? Miała je na sobie w chwili śmierci? Jest jakiś dowód w którejś kieszeni?

– Możliwe. Ja jestem tylko medium. Pani jest detektywem. Jeśli ktoś potrafi rozwiązać tę zagadkę, to właśnie pani. – Jej ton się zmienia, wyostrza. – Wierzy pani, że jest coś po drugiej stronie? W życie po śmierci?

Sztywnieje mi mięsień pomiędzy łopatkami. Nie wiem, do czego zmierza Tally, ale i tak nie chcę tam iść.

– Co jeszcze może mi pani powiedzieć na temat Cameron Curtis?

– Śniła mi się tuż po zaginięciu. – Nie wydaje się speszona tym, że nagle zmieniam temat. – Kiedy to było? Dziesięć czy dwanaście dni temu? Była sama w jakimś ciasnym małym miejscu. Ciężko ranna, ale z całą pewnością żywa.

„Żywa” to potężne słowo, nawet jeśli źródło nie jest do końca wiarygodne.

– Gdzieś w pobliżu? Rozpoznała pani cokolwiek?

– Chyba nie. – Przygląda się swojej ceramicznej filiżance w kolorze mchu, którą obejmuje dłońmi. W końcu mówi: – Nie ufa mi pani. Nie szkodzi, tyle tylko, że jakaś pani część mi wierzy, albo chce wierzyć. W głębi duszy ma pani nadzieję, że mogę pomóc dotrzeć do Cameron.

Jej nagła poufałość wprawia mnie w zakłopotanie. Co ona może wiedzieć o mojej duszy?

– Zajmowała się już pani wcześniej zawodowo takimi sprawami? Współpracą z organami ścigania?

Kiwa głową.

– Kiedy mieszkałam w Oregonie, na przedmieściach Portland. Tutaj przeprowadziłam się nieco ponad rok temu. Czasami zapominam, jak się żyje w małym miasteczku, jak nerwowo ludzie podchodzą do niektórych spraw, których nie da się wyjaśnić. Ale wierzę, że każda wyjątkowa świadomość wiąże się z odpowiedzialnością. Chyba mogę pomóc pani ją odnaleźć.

– Mnie? Dlaczego nie zwróci się pani jeszcze raz do Willa Flooda? Może teraz pani wysłucha.

– Wie pani, że tego nie robi. – Chwyta filiżankę i znów ją odstawia. – Wszyscy jesteśmy energią, ja, pani, ten stół, to miasto. Wszystko porusza się z pewną częstotliwością. Kiedy odchodzimy z tego życia, nasza esencja trwa, krąży. – Jej obcesowe słownictwo jest irytujące, ale może kryje się pod nim coś ważnego.

– Do czego pani zmierza?

Bez wysiłku radzi sobie z moją wrogością.

– Pewne rzeczy zmieniają nas zasadniczo także po tej stronie, na przykład strata lub trauma. Proszę o tym pomyśleć. Wiemy, że trauma zmienia mózg. Dlaczego nie miałyby mieć wpływu na naszą energię? Oczywiście, że ma. W tej chwili pani jest właściwą osobą, żeby pomóc.

– Co pani ma na myśli? Dlaczego?

– Pani życie zawodowe jest takie nie bez powodu. Rzeczy, które pani utraciła, doprowadziły panią do tego, że pomaga pani dzieciakom i młodym kobietom. Chyba pani już o tym wie, ale nie jest pani w stanie zobaczyć tego, co widzę ja.

Robi mi się ciężko na sercu, kiedy jej słucham. Nie chcę wiedzieć nic więcej, a jednak tego pragnę.

– Czego?

– Duchów dzieciaków, którym pani pomagała, które wiszą na pani jak gwiazdy. Są wokół pani nawet w tej chwili.

Jak gwiazdy? Ten obraz wydaje się niemal groteskowy. Oprószony stratą. Rozpaczą.

– Czego pani ode mnie chce?

– Proszę nie zapominać, że to pani do mnie przyjechała. Zawiesza głos i spogląda na swoje spierzchnięte różowe dłonie. Dłonie zapracowanej kobiety. – Ja jestem tu tylko posłańcem. Nie wiem, kto porwał Cameron, ale wyczuwam od tego człowieka ciemność i chaos. On tak naprawdę nie chce jej zabić, lecz nie wie, czy zdoła się powstrzymać. Próbuje walczyć z własnymi demonami, ale one są silne. Nie sądzę, żeby Shannan była jego pierwszą ofiarą. A Cameron nie będzie ostatnią, jeśli się go nie powstrzyma.

Nie mogę znieść tego, co mówi, choć jeszcze nie podjęłam decyzji, czy mogę jej wierzyć.

– Możemy go powstrzymać?

– Chyba tak.

Oparty o moje stopy pies drży, widocznie śni mu się, że biegnie albo poluje. Jego ciepłe ciało unosi się i opada, z krótką przerwą pomiędzy jednym a drugim.

Tally też spogląda na suczkę i jej mina łagodnieje.

– Wydaje odgłos jak świerszcz, prawda?

Tak, myślę, a później znów się skupiam.

– Nie mamy czasu. Z każdym dniem szanse na to, że odnajdziemy Cameron żywą, maleją.

– Pomóc mogą informacje na temat Shannan.

– Tak mi podpowiada intuicja. Uruchomiliśmy patrole powietrzne, szukają jej samochodu. Ale mówimy o tysiącach kilometrów kwadratowych dziczy. To jak szukanie igły w stogu siana.

– Niektórym ludziom potrzebne te igły, prawda? Jakoś się uda. Coś panią tu przecież przyciągnęło. We wszechświecie nie ma przypadków.

– Kim pani jest? – pytam znowu, słysząc w uszach cichy szum.

– Powiedziałałam już pani, zwykłym posłańcem.

(trzydzieści sześć)

– Co słyszeć? – pyta Will, kiedy spotykamy się później przed Pattersonem. Przygląda się Cykadzie. Imię nie jest angielskie, jak przewidział Clay, ale z niewielką pomocą Tally pies mi je wyjawiał.

– Mój nowy partner.

Dzięki temu obdarza mnie prawdziwym, choć lekkim uśmiechem.

– Odpoczęłaś trochę?

– Tak – kłamię.

Jak się okazuje, Wanda kocha psy i nie chce słyszeć, żeby Cykada siedziała na zewnątrz, kiedy będziemy jedli, choć kucharz, wygrażając pięścią, puszcza wiązanek epitetów. Barmanka go zbywa i przynosi nam specjalne danie, kanapki z rybą i sałatkę z kapusty z octem. Will streszcza mi poranne spotkanie z Hague'ami.

– Jego wariograf nie wykazał niczego podejrzanego, Lydii też nie. Kazałem Leonowi trochę dla nas poszperać. Przesłuchał część personelu z Provisions i paru sąsiadów. Wygląda na to, że alibi Drew na tę noc się potwierdza. Pracował ze swoją ekipą, jest mnóstwo świadków. Poza tym wyszło, że sprawa gwałtu wcale nie była taka czarno-biała. Dziewczyna miała siedemnaście, a nie szesnaście lat, w dodatku była notowana przez policję. Kilka miesięcy wcześniej zaproponowała randkę agentowi z obyczajówki. Wygląda na to, że od tamtej pory Drew zdołał po sobie posprzątać. Widziałaś. Cesarz Napa Valley. Przykładny obywatel.

– Widziałam. – Nie mogę ukryć sceptycyzmu w głosie. – Ale zauważyłam coś jeszcze, kiedy się wczoraj z nimi widzieliśmy. Nie wiem. Odniosłam wrażenie, że nie lubi kobiet. Czuje się przez nie zagrożony.

– Skąd takie wnioski?

– To tylko odczucie.

Czeka, żebym powiedziała coś więcej, ale nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Za to Troy lubi kobiety aż za bardzo.

– Masz na myśli jego asystentkę? Tę dziewczynę?

– *Byłą* asystentkę – wyjaśnia. – Indiana Silverstein. Ma dwadzieścia dwa lata i nie chce mówić. Szczegóły wyciągnąłem od innej kobiety, która kiedyś była jego asystentką w Paramount. Poprosiła o przeniesienie dwa lata temu, po półrocznej pracy przy biurku Troya.

– Niech zgadnę. Okazywał jej względy.

– I składał wielkie obietnice. Z tego, co wiem, większość pracowników administracji to młodzi ludzie, którzy chcą zaistnieć.

– Co za świnia. Ale ta przynajmniej mu nie uległa. Mówiła coś na temat swojej następczyni?

– Tylko tyle, że Indiana zamierza urodzić dziecko.

– Możemy się dowiedzieć, czy próbował jej zapłacić?

– Nie bez nakazu, a nie mamy podstaw, żeby o niego wnioskować. Na razie. A może nie należy tak od razu wykluczać, że on jednak ma jakieś uczucia?

Końcem widelca odsuwam sałatkę na talerzu.

– Daj spokój. Nie wierzę w to ani przez sekundę.

– Ja chyba też nie – oznajmia Will. – Ale co z tego? Czy to, że jest dupkiem i flirciarzem, musi od razu znaczyć, że zrobił krzywdę Cameron?

– Mógł to zrobić Drew Hague, prawda? – wtrącam pośpiesznie. – To, że ma alibi na dwudziestego pierwszego, nie znaczy wcale, że nie polował na nią wcześniej. Może mógłbyś sprowadzić go jeszcze raz i poszerzyć zakres przesłuchania?

– W porządku. – Will skręca w dłoni serwetkę jak opaskę uciskową. – Ale nawet jeżeli Drew rzeczywiście wykorzystał Cameron przed laty, alibi oczyszcza go z podejrzeń w noc jej zaginięcia. A to oznacza, że chodzi o kogoś innego. Może przyjaciela rodziny albo sąsiada, albo nauczyciela? Może z Los Angeles, zanim rodzina się tu sprowadziła?

– Może. – Gotuję się. Nie mamy wątków i nie mamy czasu. A ja liczyłam na to, że moje przeczucia zaczną się potwierdzać. Co teraz?

Kto teraz? – Muszę się zastanowić.

– No to jak się będziesz zastanawiać, posłuchaj tego. Wczoraj dwie po trzeciej w nocy dzwoni telefon Marca Klaasa w jego mieszkaniu w Sausalito. Odbiera i odzywa się dziewczynka: „Tato, to ja”.

– Co takiego?

– Połączenie trwa niecałą minutę. Mówi, że jest w hotelu, ale nie wie gdzie. Że zabrał ją jakiś mężczyzna, że jest przestraszona i głodna. I koniec.

– Klaas sądzi, że to była Polly?

– Twierdzi, że mógłby przysiąc, ale jest problem. Na linii nie było podsłuchu.

– Niech to szlag – wypalam. – Jak to możliwe?

– Dziewczynka mieszka z matką. Podsłuch jest tutaj, na linii Eve Nichol. Nikt chyba nie był aż tak przewidujący.

– Jeśli to była Polly, dlaczego dzwoniła do taty, a nie do mamy? – Nie mogę nie zadać tego pytania.

Will wzrusza ramionami.

– Może rozmowa musiała być miejscowa? Jest w San Francisco? Nie dowiemy się. Chyba że zadzwoni jeszcze raz.

Moje myśli biegną do Roda Frasera. Błąd tego kalibru jest nie tylko wodą na młyn dla mediów, ale stanowi potencjalne zagrożenie dla jego kariery. Do tego osobiste konsekwencje. Poczucie winy, które niewątpliwie będzie głośniejsze i bardziej bolesne niż zarzuty, które mogą postawić mu inni.

– Biedny Rod. Jezu.

– Wiem. Wyobrażasz sobie przegapić coś tak ważnego? Kiedy media się dowiedzą, miasteczko wpadnie w szal. Może jednak powinniśmy się cieszyć, że nie mamy tu tego całego cyrku.

– Takie ryzyko się ponosi, kiedy idzie się na całość. – Telewizor przy barze pokazuje mecz piłki nożnej w Argentynie, ale na pasku przewijają się najnowsze wiadomości na temat sprawy Polly. Jej imię i wizerunek są powszechnie znane, a jednak poza tym niezarejestrowanym połączeniem nikt nic nie widział ani nie słyszał na jej temat od tygodnia. Czuję przez to większy niepokój, niż chcę przyznać, w związku z naszą sprawą.

– Coś się wydarzyło w czasie spotkania w mieście?

– Zarezerwowałem ośrodek kultury na sobotę i złożyłem prośbę o udostępnienie budynku na stałe jako ośrodka poszukiwań. „Mendocino Beacon” zgodziło się wydrukować masową ilość ulotek z informacją o zaginięciu Cameron.

– Sobota to dobry termin – przyznaję. – Będzie więcej ludzi, może trafią się też turyści. Sala powinna być pełna. – Rozglądam się po sąsiednich stolikach, szukając potwierdzenia. Tych właśnie ludzi chcemy mieć po naszej stronie. – Zaraz potem pogadam z Grayem, a później z Emily. Musimy mieć wszędzie porozlepiane zdjęcia, żeby kamery je uchwyciły. Obrazy robią wrażenie na ludziach. Widok twarzy Cameron w różnym wieku sprawi, że wyda się bardziej realna. Zwykle plakaty o zaginięciu bywają niewidzialne.

– Rozumiem – mówi Will. – Chciałbym, żebyśmy mogli użyć silnego przekazu na wydrukach. Ale nie możemy napisać „porwana”, bo na tym etapie to mylące.

– I z gruntu nieetyczne – dodaję. – A gdyby coś w stylu „Podejrzenie przestępstwa”? To może trafić na podatny grunt i ściągnąć więcej uwagi. Dziś jest szósty. Mijają dwa tygodnie, a my nie mamy żadnego wątku. Nie podoba mi się to, jak kształtują się okoliczności.

Will kiwa poważnie głową, a w tym czasie zjawia się Wanda z talerzem dla Cykady, pasztecikiem z hamburgera, który pokroiła na kawałki wielkości kęsa.

– Óśś – mówi, zerkając na kuchenne okno, a później idzie po nasz rachunek.

Choć wiem, że to prawdopodobnie doprowadzi do sprzeczki, pytam:

– Dlaczego powiedziałaś Calebowi, że pracuję nad tą sprawą? Myślałam, że uzgodniliśmy, że zajmuję się tym zupełnie nieoficjalnie.

– I co takiego? To przecież Caleb, nie jakiś dziennikarz.

– I?

– Przepraszam. Jakoś wyszło w rozmowie. Chyba myślałem, że dzięki temu poczuje się lepiej.

– W jakim sensie?

– Z powodu Jenny. Że pracujemy nad sprawą oboje. Że nie pozwolimy, żeby to się powtórzyło.

To, co mówi, przemknęło mi już wcześniej przez myśl. Taka historia to zbyt wiele, żeby przeżywać ją choćby raz, a co dopiero dwa. I nie chodzi tylko o Caleba. Prawie każdy, kto ma więcej niż dwadzieścia pięć lat, mieszkał tu, kiedy zamordowano Jenny. To dlatego tym razem sprawy muszą się potoczyć inaczej – dla dobra nas wszystkich.

(trzydzieści siedem)

Godzinę później jadę autem wyboistą, wąską Cahto Street i spotykam Graya wracającego do domu ze szkoły; ma przygarbione ramiona pod paskami plecaka, rude włosy ułożone na lakier w piramidę czy też swoistą flagę protestacyjną.

– Mam nadzieję, że w porządku było to, co powiedziałem pani wtedy – mówi, kiedy parkuję i go doganiam.

– W porządku. Twoja pomoc wiele dla nas znaczy, Gray. – Stanęliśmy na środku jezdni, ale to nie ma znaczenia. Nie ma ruchu, żadnych hałasów, nawet ptaki nie śpiewają, jakby cały świat się dla nas zatrzymał.

– Dziewczynom jak Cameron, które przeszły wiele trudnych spraw, czasami ciężko zbliżyć się do ludzi. Ale wy udowodniliście, że nie zawsze tak jest. Łączy was coś wyjątkowego. Dzięki temu optymistycznie patrzę na jej sytuację, kiedy już sprowadzimy ją do domu. Ważne więzi mogą zmienić wynik. Mogą zmienić wszystko.

Z tego, jak Gray na mnie patrzy, widzę, że jest wdzięczny za moją pewność. Za to, że nie mówię: *jeśli*, ale: *kiedy*. Poza tym to, co mówię o zaufaniu, zapada w nim głęboko. Pewnie potrzebuje tej bliskości tak bardzo jak ona.

– Myślałeś jeszcze nad tym, kto mógł mieć kontakt z Cameron? Może o kimś wspominała? Ktoś, kogo widzieliście wspólnie, choćby raz, kto wywołał w tobie jakieś podejrzenia?

– Staralem się, ale nie pamiętam. Byliśmy razem przez cały czas, właściwie codziennie. Mówiliśmy sobie wszystko. Gdyby kogoś poznała, chybabym wiedział.

– W porządku. Myśl dalej. A na razie chciałabym cię poprosić o wielką przysługę. W sobotę wieczorem organizujemy w mieście spotkanie w ośrodku kultury, żeby porozmawiać o Cameron. Chcę przygotować kolaż dotyczący jej życia, żeby ludzie się dowiedzieli,

kim jest i co jest dla niej ważne. Ty jesteś z nią najbliżej, Gray. Pomożesz?

– Mogę spróbować.

Minę ma niepewną, ale wiem, że dla Cameron zrobi wszystko.

– Świetnie. Pomyśl o wszystkim, co wyróżnia Cameron. O tym, co kocha. Co jest w niej wyjątkowego. Zrób listę jej ulubionych rzeczy i kopie jej najlepszych zdjęć, żebyśmy mogli je pokazać. To nie musi być profesjonalne, ważne, żeby było z serca.

– Mam tylko rzeczy z kilku lat. Zaczęliśmy spędzać ze sobą dużo czasu dopiero pod koniec siódmej klasy.

– Nie szkodzi. Dwa lata to bardzo długo, kiedy jest się z kimś naprawdę blisko.

Znow ruszamy w stronę jego wejściowych drzwi. Kiwa głową, przyswajając to, o co go poprosiłam. Żeby zrobić to dobrze, będzie musiał zagłębić się w rozmaite bolesne uczucia. Wykonanie tego zadania zaboli go, może nawet bardzo.

– Z kim się przyjaźniła przed tobą?

– Z Caitlyn Muncy, w szóstej i siódmej klasie. Ale to wredna suka.

– Możliwe, lecz na pewno będzie w stanie pomóc. Zachowała kawałek Cameron. Nakłoń ją, żeby ci go pokazała.

– Jak? – Staje w miejscu i poprawia szelki plecaka, jakby zrobił się cięższy. Wszystko jest już za ciężkie. – A jeżeli nawalę?

Wyczuwam przejawy ogarniającej go paniki. Przypomina mi mnie samą z tak wielu chwil. Zawsze, kiedy stawka była wysoka i za bardzo mi zależało. Tak jak teraz.

– Nie nawalisz – uspokajam go łagodnie. – Kochasz ją. A w tym wszystkim liczy się miłość.

Moim następnym przystankiem są Curtisowie, chcę ich jakoś zaangażować. Troy jest akurat poza domem z powodu nagłego spotkania w Paramount, jak wyjaśnia Emily, która wpuszcza mnie do środka i częstuje herbatą. Najważniejsze sprawy we własnym domu są pewnie zbyt trudne do udźwignięcia, dlatego Troy musi mieć wyjście awaryjne. W dodatku jego życie jakiś czasu temu eksplodowało. Radzi sobie, owszem, ale nic dziwnego, że chce być gdzie indziej, kiedy zawalają się kolejne cegielki.

– Ma pani jakieś nowe informacje? – pyta Emily z jednej strony jasnej marmurowej wyspy kuchennej, otoczonej lśniącym chromem i szkłem.

– Zgłoszono zaginięcie innej dziewczyny w Gualali. Jeszcze nie wiemy, czy ma to jakiś związek z Cameron. Nikt nie widział jej od czerwca.

Emily wygląda, jakby się wahała, choć się nie rusza.

– Całe to czekanie i brak wiadomości. Nie wiem, jak to przetrwać.

– Trzeba żyć z dnia na dzień, nie ma wyjścia. Czasami pomaga znalezienie jakiegoś ujścia dla emocji. Może pani rozmawiać z Cameron albo pisać do niej listy. Żeby panią usłyszała.

Emily podnosi wilgotne oczy.

– Dobrze.

– Byliśmy w Napa porozmawiać z Drew i Lydią.

Słysząc, że wstrzymuje oddech.

– Tak?

– Przesłuchaliśmy ich oboje na wariografie. Przesłuchanie członków rodziny jest standardową procedurą – zapewniam, nie wyjawiając swoich przypuszczeń. – Rozmawiałam też ze Steve'em Gonzalesem. Nie sądzimy, żeby miał na sumieniu coś złego, ale podzielił się wrażeniami na temat twórczości Cameron. Wygląda na to, że pokazała mu dość mroczne prace. Zastanawia się, czy mogą mieć wątki autobiograficzne.

– Naprawdę była tu nieszczęśliwa? – Głos Emily jest wątki i zraniony. – Powinnam była poświęcać jej więcej uwagi.

– Organizujemy w mieście spotkanie, żeby zwerbować pomoc – mówię, skupiając uwagę znów na Cameron. – W sobotę wieczorem. Pani i Troy powinniście się zaangażować. Publiczne wystąpienie mogłoby zwrócić większą uwagę na problem i zaangażować więcej osób w poszukiwania w terenie. Musimy działać prężniej, nie tylko lokalnie.

– Chce pani powiedzieć, żeby pójść z tym do mediów... – zawiesza głos. – Rozmawialiśmy o tym z Troyem i uważamy, że w tej chwili byłby to błąd. Dla nas. Proszę sobie wyobrazić, jakie artykuły zaczną się ukazywać. Sensacyjne, bezwzględne. Ci ludzie to potwory.

– Zaznałam nieprzyjemności związanych z rozgłosem w swojej pracy. Nie twierdzę, że tymi ludźmi kierują szlachetne pobudki, ale nami mogą. Możemy mieć wpływ na to, jaki wydźwięk będzie miało przesłanie.

– Niestety nie. W tym rzecz. – Słysząc, że Emily jest osłabiona psychicznie i fizycznie, jakby się wycofywała, choć ja potrzebuję, żeby stanęła na wysokości zadania, zebrała siły. Mam ochotę nią potrząsnąć. Pokazać jej, że na świecie są potwory o wiele większe niż dziennikarze telewizyjni. Jeden z nich porwał jej córkę.

Biorę głęboki oddech i próbuję inaczej.

– W tej chwili Cameron to tylko imię na plakacie o zaginięciu, na który nikt nie zwraca uwagi. Ale jeśli ludzie się przejmą, zaczną działać. Wyciągają pomocną dłoń, dzwonią, poświęcają czas, pieniądze.

– My zaproponowaliśmy pieniądze. Od razu.

– Wiem i proszę mi wierzyć, że zrobimy z nich dobry użytek. Ale mimo wszystko myślę, że pani obecność mogłaby zmobilizować społeczność. Rozumiem, dlaczego nie chce się pani angażować w życie tego miasteczka. Sława nauczyła panią ostrożności. Trochę dziwnie jest pokazywać tym ludziom samą siebie, a nie jakąś fikcyjną postać. Ale to ważne.

Emily odwraca wzrok, kiedy kończę zdanie, i zdaje się, że zamyka się w sobie. Poza nią, w wielkim oknie, popołudnie jest mgliste, a słońce zostawia ledwie widoczny ślad za niskimi, luźnymi chmurami. Cisza pomiędzy nami staje się swoistym barometrem, wskaźnikiem ciśnienia.

– Bez względu na to, co pani myśli, kocham moją córkę. Jest dla mnie najważniejsza na świecie.

– Wierzę pani. – Chcę jej wierzyć. Widzę, jak się wysila, żeby zachować twarz. Nad tyłoma rzeczami straciła panowanie. Pewne sprawy wolałaby załatwić inaczej. I załatwi je inaczej, jeżeli będzie chciała odzyskać Cameron całą i zdrową. Wszyscy robimy takie zakłady, potrafimy oddać cokolwiek, wszystko za jeszcze jedną szansę.

– Ma pani dzieci, pani detektyw?

Pytanie jest proste. Nie jestem w stanie jej odpowiedzieć.

(trzydzieści osiem)

Mój przełożony z Reflektora, Frank Leary, jest doświadczonym weteranem. Wygląda jak Karl Malden z *Ulic San Francisco*, z bulwiastym nosem, wielkimi szarymi brwiami przypominającymi gąsienice i z krzywym uśmiechem, zupełnie niepodobnym do uśmiechu Hapa, ale mimo wszystko często mi go przypomina. Pracuje na tym stanowisku od trzydziestu lat i chyba tylko cudem zachował zdrowie psychiczne.

On i jego żona Carole mieszkają w North Beach, na tym samym osiedlu, na którym dorastał Joe DiMaggio. Ich lekko zapadający się wiktoriański dom ma ganek dookoła i grill wielkości małego samochodu. W niedzielę Frank gotuje dla swoich trzech zamężnych córek z ośmiorgiem wnucząt, zięciów, sąsiadów i dla każdego, kto akurat jest głodny. Byłam tam w niedzielę kilka tygodni po tym, jak zaczęłam się spotykać z Corollą.

– Jak idzie terapia? – spytał, łagodnie wymawiając ostatnią sylabę.

– Dobrze – odpowiedziałam, otwierając kolejną butelkę heinekena. – Właściwie to nie moja bajka. Dlaczego nie zostałeś terapeutą, Frank?

Zachichotał lekko, a później szczypcami do grilla wskazał ogród, swoje królestwo. Żółte róże i wielki garaż pełen narzędzi. Pochyły trawnik, na którym cztery jego wnuczki bawiły się na olbrzymiej niebieskiej plandece – zjeżdżalni domowej roboty. Dziewczynki miały od pięciu do siedmiu lat, piszczwały i turlały się w jaskrawych dwuczęściowych kostiumach kąpielowych, a Carole polewała je prysznicową końcówką ogrodowego węża.

– To moja terapia.

Uśmiechnęłam się ze świadomością, że mówi całkiem poważnie. Ale to nie było proste rozwiązanie. W ogrodzie obserwowałam, jak jedna z dziewczynek oddziela się od grupy i z jakiegoś tylko sobie

znanego powodu biega po trawniku w tę i z powrotem, tworząc barwną plamę. Obrazek niewinności, bezbronności.

– Na pewno się o nie martwisz.

Opuścił pokrywę grilla i spojrzał na mnie, trzymając dłonie na biodrach w fartuchu z napisem „Pocałuj kucharza”.

– Czasami jest trudniej, czasami lżej. Kiedy pracuję nad zbyt skomplikowaną sprawą, to chcę, żeby wszystkie się do mnie przeprowadziły i tutaj zabunkrowały. Jak w schronie bombowym. Ale one mają swoje życie, i tak powinno być. Czasami, kiedy wyjeżdżają, ściska mnie w sercu. Jakby na piersi siedział mi jakiś cholerny słoń.

– A potem?

– A potem to odczucie mija, czyszczę grilla i chowam zabawki. Kładę się spać i całuję żonę na dobranoc, a kiedy przychodzi poniedziałek rano, idę do pracy. Kiedy kogoś kochasz, jest ryzyko. Nie da się go uniknąć.

Kiwnęłam głową i napiłam się piwa tak zimnego, że przy przełykaniu ścisnęło mnie w gardle. Brendan od jakiegoś czasu naciskał, żebym zaszła w ciążę, i trudno mi było usprawiedliwić moją niechęć. Oczywiście, na początku naszego związku powiedziałam mu o tym, że moja mama zmarła i że wychowywałam się w rodzinie zastępczej. Wiedział, że mam swój bagaż doświadczeń, ale pewne rzeczy zachowałam tylko dla siebie. To, że zawiodłam Amy i Jasona. Że ich straciłam. Wiedziałam, że to nierozsądne, ale w pewnym sensie czułam się niemal tak, jakbym już miała swoją szansę z dziećmi i jakbym nawaliła na całej linii.

Od czasu do czasu nadal się dowiadywałam, co słychać u Amy i Jasona, i o tym też nie mówiłam Brendanowi. Gdy zostałam policjantką, jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiłam, było odszukanie ich nazwisk w bazie, żeby ze strzępów informacji – adresów, miejsc pracy i mandatów za przekroczenie prędkości – dowiedzieć się, jak przeżyli dzieciństwo. Czy naprawdę jest im dobrze.

Kiedy sprawdzałam ostatnio, mniej więcej rok temu, Jason był robotnikiem w Daly City i miał podejrzaną dziewczynę z długą listą przestępstw na koncie. Głównie drobnych. Jason nie był notowany

poza kradzieżami sklepowymi, łamaniem przepisów drogowych i raz jazdą pod wpływem narkotyków, za to był częstym gościem kliniki odwykowej i kiedy to przeczytałam, poczułam się, jakbym dostała cios w pierś. Amy nadal mieszkała w Redding i z tego, co ustaliłam, dwa razy wychodziła za mąż. Poprosiłam kolegę, który miał kontakty w okolicy, żeby dyskretnie się trochę rozejrzał, nie tłumacząc, co mnie z nią łączy ani dlaczego muszę wiedzieć, ile ma dzieci i czy pochodzą od różnych ojców, w jakiej dzielnicy mieszka, od jak dawna jest kierowniczką w Burger King i czy wygląda na szczęśliwą.

Oczywiście, mogłam była pojechać tam sama, gdybym zdobyła się na odwagę, i zapukać do jej drzwi. Wyobrażałam sobie to spotkanie tysiące razy, ale nigdy nie przeszłam w scenariuszu poza moment, kiedy zatrzaskuje mi drzwi przed nosem za to, że ją zawiodłam. W prawdziwym życiu zbliżyłam się do nich na tyle, że pewnego dnia siedziałam w samochodzie i przyglądałam się, jak Jason zdziera gont z dachu czyjegoś podniszczonego garażu z kilkoma innymi facetami bez koszulek. Później rzucił półtoralitrową butelkę na przednie siedzenie zakurzonego dwukolorowego el camino, a ja pomyślałam o tej jego cholерnej wypchanej panterze, o tym, jak nie mógł zasnąć bez Freddy'ego przyciśniętego do twarzy. Nigdy nie rozumiałam, jak może oddychać z tym pluszakiem, ale kiedy nastawił Beastie Boys i ruszył spod krawężnika, zastanawiałam się dla odmiany, jak może oddychać bez niego. Beze mnie.

Ale na myśl o macierzyństwie niepokoiło mnie nie tylko to, że zawiodłam Jasona i Amy. Chodziło też o moje DNA. Moja matka nie dożyła trzydziestki. Mój ojciec został śmiertelnie postrzelony w 1989 roku w awanturze domowej z powodu kobiety, jak w nędznym odcinku *Current Affair*. Jakby tego było mało, miałam pół tuzina zastępczych rodziców i zaczęłam się przez nich poważnie zastanawiać, czy są na świecie dorośli, którzy mają wszystko po kolei pod sufitem. Dopiero kiedy trafiłam do Mendocino, zetknęłam się z dorosłymi z prawdziwego zdarzenia, dla których liczyło się coś więcej niż to, żeby jakoś przeżyć. Hap i Eden byli stabilnym małżeństwem – pierwszym w moim życiu. Mówili, co myśleli.

Cierpliwie znosili moje nastroje i wybuchy. Zadawali pytania i zdawało się, że obchodzi ich, co mam do powiedzenia. Zapewnili mi prawdziwe dzieciństwo, choć od dawna już nie wierzyłam, że takie istnieje. I wystarczyło im, żebym po prostu była sobą.

Wszystko to – uzasadnianie każdej decyzji, którą musiałam podjąć – wydawało się zbyt skomplikowane, żeby próbować wyjaśnić to Brendanowi. On nie miał najmniejszych oporów przed założeniem rodziny. Pochodził z licznej irlandzkiej rodziny, miał pięcioro rodzeństwa, ludzi głośnych, radosnych i zawsze zorientowanych, co się u każdego z nich dzieje. Kiedy zobaczyłam ich z dziećmi, niemal umiałam sobie to *wyobrazić* – tę zwariowaną, szczęśliwą wersję rodzinnego życia, które moglibyśmy wieść, *może*, gdyby wszystko dobrze się ułożyło.

– Nie postąpiłbyś inaczej? – spytałam Franka, kiedy operował swoimi szczypcami do grilla, z sykiem satysfakcji przewracając paprykę i cebulę.

– Może poszedłbym na stomatologię? – Uśmiechnął się ironicznie. – Nie. Lubię moje życie.

– Skąd wiesz, kiedy jesteś gotowy?

Jego śmiech przypominał parsknięcie, jakbym zadała najbardziej zabawne pytanie, jakie w życiu usłyszała.

– Nikt nigdy nie jest gotowy, dziecko. Trzeba po prostu skoczyć na głęboką wodę.

(trzydzieści dziewięć)

Na spodzie leżą narysowane kredkami świecowymi głupkowate patykowate postaci z wielkimi głowami. Kameleon na chmurze i słowa: *Kochana Mamo, tęsknię za Tobą!* Dyktando z drugiej klasy z oceną sto procent w czerwonym kółku, z gwiazdkami za dwa wyjątkowo trudne słowa: „równoległy” i „tożsamość”. Lśniaca, fioletowa, wypchana grochem jaszczurka ze zwariowanymi plastikowymi oczami. Zestaw do herbaty z nadrukiem truskawek. Wszystko to w wielkim plastikowym pudle na poddaszu – części dziewczyny, dzieciństwa. Biała deskorolka z lekko zdezelowanymi kółkami. Wetknięte do środka tęczowe szelki, jakie nosił Robin Williams w *Mork & Mindy*. Cztery pastelowe kucyki My Little Pony z kolekcją maleńkich różowych szczotek do czesania grzyw i ogonów. Ja nigdy nie miałam takiego pudła, ale wiem, że mam do czynienia ze skarbami. Te przedmioty w jakiś sposób ją definiują. Wiedziałam, że muszę ją odnaleźć, żeby mogła powrócić do tego, kim była. Kim *jest*.

Są też zdjęcia. Na jednym wygląda na pięciolatkę, stoi na plaży – w Malibu? – i trzyma w dłoni perłową różową muszelkę, ma bosc stopy zanurzone w piasku. Na paru widać kilkuletnią Cameron obok dziewczynki mniej więcej w tym samym wieku, bladej w porównaniu ze śniadą Cameron, z ciężkim blond kucykiem obok czarnej lśniącej czupryny Cameron. Na niektórych dziewczynki są uczesane tak samo, jakby szukały sposobów, żeby się do siebie upodobnić. Żeby stać się tą samą osobą. Tak wygląda przyjaźń we wczesnym dzieciństwie, przypominam sobie. Upodabniasz się do przyjaciółki, i to jest cudowne. Nie chcesz się z nią rozstawać.

– To Caitlyn – wyjaśnia Emily od progu, idąc z kubkami świeżej herbaty, z których niczym płomień unosi się para. – Przyjaźniły się, odkąd się tu przeprowadziliśmy do końca siódmej klasy.

Spoglądam jeszcze raz na zdjęcie, na promiennie uśmiechniętą Caitlyn z lśniącym metalowym aparatem na zębach. W uszach ma kolczyki, różowe emaliowane serca.

– A później wypadła z łask?

– Chyba tak. Cameron nie chciała o tym mówić. Prawdę mówiąc, martwiłam się o nią. Wyglądała na taką smutną. Kiedyś mi powiedziała, że nikt nie siada z nią podczas obiadu. Chyba nie miała w ogóle przyjaciół, aż później trafił się Gray. Dzięki Bogu.

– Odmieńcy się przyciągają.

Emily wygląda na wstrząśniętą.

– Jak to: odmieńcy?

– To nie krytyka. Niektórzy czują, że nie pasują do środowiska, kiedy są młodzi, nie dlatego, że coś jest z nimi nie tak, ale dlatego, że mają w sobie coś wyjątkowego, co ich wyróżnia. Coś, czego jeszcze sobie nie uświadomili.

– Uświadomili? O czym pani mówi?

Wyraźnie wyczuwam jej zmieszanie i postanawiam działać nieco subtelniej, odkładając na bok moje podejrzenia wobec Graya.

– Cóż, w przypadku Cameron może chodzić o tożsamość. Ma za sobą inne życie. To jak przewrócenie kartki w książce. Może zaczęła się zastanawiać nad tym, gdzie jest jej miejsce.

– Jej miejsce jest tutaj – oznajmia obronnie Emily. – U nas.

– Oczywiście. Chcę tylko powiedzieć, że kiedy dzieciaki przeżywają ciężkie chwile, często są przekonane, że to one się do tego przyczyniły. Że to ich wina.

Emily ma na sobie kaszmirowy sweter w kolorze owsianki i miękkie zamszowe pantofle, a jej ciemne włosy spięte są szylkretową kłamrą. Jest całkowicie naturalna i wyrafinowana, idealnie zadbana. Ale oczy jej pochmurnieją.

– Staraliśmy się codziennie jej okazywać, jak bardzo ją kochamy.

– Wierzę pani. Ktoś ją jednak zdradził. Trudno sobie z tym poradzić, nawet jak się jest dorosłym.

– Może i tak. Ale ja miałam oboje rodziców, którzy trwali w małżeństwie, i mogę panią zapewnić, że nie była to sielanka. Rodzice Troya byli niewiele lepsi. Pochodzi z Zachodniej Virginii.

Lubi powtarzać, że wychowały go wilki, lecz zamieniłabym się z nim bez wahania. Jego rodzice byli prostymi ludźmi. Nie mieli wiele, ale to żaden wstyd.

To słowo na chwilę zawisa w powietrzu.

– A co jest wstydem, Emily?

– Słucham?

– Co by pani zmieniła w swojej rodzinie?

Obserwuję, jak mięśnie jej ramion napinają się i uspokajają. Łąduje na nich wielki ciężar albo je opuszcza.

– Wszystko.

Za cieniami w jej wzroku nietrudno podążać do Ohio, do długich, głuchych zim i krótkich, gorących letnich miesięcy z oficjalnymi przyjęciami w klubie golfowym. Oczywiście, to tylko moje domysły. Jedynie Emily wie, jak wielkie rozmiary ma ta sprawa, co się w niej kryje, gdzie nadal uwiera.

– Jedną rzecz – drązę.

– Chyba układność. Oglądę. Prasowane lniane serwetki do każdego posiłku. Mój ojciec mawiał: „Wyślij swoją kopertę”, co miało znaczyć, że serwetkę należy trzymać na kolanach. „Wyślij swoją kopertę, Emily”. – Jej głos wibruje od wstrzymywanych emocji, gdy go naśladuje. To pewnie wściekłość i dużo więcej.

Mój umysł wykonuje wielki skok do następnej kwestii, ale muszę ją o to zapytać.

– Bił panią?

– Nie. – Nie wydaje się zaskoczona, że otworzyłam te drzwi. Możliwe nawet, że czuje ulgę. Większość ludzi, gdy już się zmęczy skrywaniem tajemnic, w pewnym momencie chce wyjawić swoje historie. – Co to, to nie.

– Proszę mi opowiedzieć o swoim ojcu.

– Za bardzo nie ma czego opowiadać. Ciągłe pracował, a weekendy spędzał w klubie. Kiedy wypił za dużo, przywoływał mnie do baru i chwalił się mną przed swoimi kumplami. To nie były najprzyjemniejsze chwile.

– Poprosiła go pani kiedyś, żeby przestał?

Jej broda podskakuje gwałtownie.

– Nie wychowywano mnie tak, żebym kierowała się własnymi uczuciami, nie mówiąc o stawianiu się. To dialogi z filmów, nie z prawdziwego życia.

– Może dlatego zajęła się pani aktorstwem. Żeby mieć możliwość wyrażania swojego zdania.

Kręci przecząco głową. Jej oczy rozbłyskują.

– Czy wszyscy detektywi rozmawiają jak psychologowie?

Złapała mnie.

– Wielu, owszem. Ludzie są interesujący.

– Dlaczego rozmawiamy o mnie, a nie o Cameron?

Słuszne pytanie. Ale odpowiedź jest tak skomplikowana, że potrzebuję chwili, żeby ocenić, jak dużo mogę jej powiedzieć.

– Model rodziny wiele mówi. Przekonałam się o tym w mojej pracy. Im więcej rozmawia się z ludźmi, tym wyraźniej widać, że kolejne pokolenia powielają pewne schematy. Wszystko do siebie pasuje, nawet jeśli się zdaje, że tak nie jest.

– A adopcja? Jak się ma adopcja do teorii na temat rodziny?

– Ja to widzę tak: biologiczni rodzice przekazują swoje geny, mapę fizycznej osobowości. Ale ten, kto wychowuje, kształtuje człowieka na tego, na kogo wyrasta, dobrego czy złego. Więzy rodzinne się tworzy, nie powstają automatycznie, chociaż może kiedyś naukowcy dowiodą czegoś innego.

– Napięcia z Troyem – odzywa się Emily. – Żałuję, że nie byłam w stanie trzymać jej z dala od tego.

– Może to by pomogło. A może Cameron potrzebowała czegoś zupełnie innego... więcej rozmów o tym, co się dzieje. Kto wie? Jak wróci do domu, może ją pani spytać.

Twarz Emily się wykrzywia, jej oczy błyszczą.

– Gdybym mogła z nią spędzić choć jeszcze *jeden* dzień... – Nie jest w stanie dokończyć zdania.

Emily i ja jesteśmy różnymi kobietami, z całkowicie odmienną historią, ale widzę, co nas łączy. Toczmy tę samą wojnę.

Przez jakiś czas obwiniałam ją o to, że nie zapewniła Cameron dostatecznego bezpieczeństwa, nie ochroniła jej wtedy, kiedy ona sama nie mogła się ochronić. Ale co z tego wszystkiego wynika? Po co to całe cierpienie, jeśli nie po to, żeby dostrzec, że jesteśmy

podobni i że nie jesteśmy osamotnieni? Skąd ma przyjść miłosierdzie, jeśli nie od nas samych?

* M.R. Rilke, *Księga godzin*, przekład Witold Hulewicz, Wilno 1935.

† Sztuka teatralna autorstwa [Thorntona Wildera](#) z 1938 roku, której akcja rozgrywa się w fikcyjnym amerykańskim miasteczku, gdzie wszyscy się znajdują.

‡ Ch. Brontë, *Dziwne losy Jane Eyre*, przeł. Teresa Świdorska, Warszawa 1976.

3 CZAS I DZIEWICA

(czterdzieści)

Will dotrzymuje obietnicy i wkrótce otrzymujemy sądowy nakaz wglądu do dokumentów adopcyjnych Cameron. Proponuje, że do Organizacji Charytatywnej Rodzin Katolickich w Sacramento wyśle Leona Jentza, ale nie mogę pozwolić, żeby zamiast mnie pojechał ktoś inny. Nie chcę oglądać faksu czy kopii tych dokumentów. Cokolwiek znajdę, mam do tego stosunek osobisty – i z tym się godzę. Może *zbytne zaangażowanie* to właśnie sposób na odnalezienie Cameron. Może tak się to miało potoczyć od chwili, gdy postanowiłam wrócić do Mendocino. Wszystko właśnie tak, jak się toczy.

Podróż do Sacramento trwa długo, cztery godziny, więc się cieszę, że Cykada jest idealnym podróżnikiem. Zatrzymuję się niedaleko Clearlake, żeby zrobić dla niej przerwę na siusiu, i ruszamy dalej międzystanową piątką pomiędzy szachownicą farm i pól, które wyglądają na wysuszone, z gęsto obsadzonym oleandrami pasem zieleni pośrodku jezdni. Docieramy na połatany asfaltowy parking i nie czuję się dobrze z tym, że muszę zostawić psa w samochodzie, ale oficjalnie nie jest psem na służbie – na razie. Parkuję więc w cieniu i uchylam okno, żeby Cykada miała dopływ świeżego powietrza.

– Wrócę za pół godziny – obiecuję, a ona nastawia uszu i słucha. Aż nagle słyszę samą siebie i muszę się uśmiechnąć z niedowierzaniem. Czyżbym w ciągu czterdziestu ośmiu godzin stała się osobą, która uważa, że psy mają poczucie czasu?

Siedziba Organizacji Charytatywnej Rodzin Katolickich wygląda w środku jak budynek rządowy; spotykam w nim mniej zakonnic, niż się spodziewałam. Mijam głównie pracownice w szaroburych garsonkach z poliestru i butach na płaskiej podeszwie oraz całe mnóstwo szaf z dokumentami. Odnajduję drogę na górę

i rozmawiam z sekretarką, ta z kolei odsyła mnie do innej, a w końcu trafiam do zagraconego gabinetu etatowej prawniczki w kostiumie ze spodniami i z hełmem atramentowoczarnych włosów, która zadaje mi tylko kilka pytań, później podaje kopię dokumentów i prosi o podpis. Beznamiętny wyraz jej twarzy zdradza, że jest przepracowana i za mało zarabia. Cameron nic dla niej nie znaczy, bo niby dlaczego miałyby coś znaczyć? Metalowe szafy za nią są pełne przypadków, każda teczka jest złożoną historią, życiem. Dziękuję jej i kieruję się z powrotem do rzędu wind na korytarzu. Nagle dociera do mnie, że dokumenty Cameron mam tylko dla siebie. Czuję się, jakbym obrabowała bank.

Wciskam guzik pierwszego piętra i wchodzę do środka sama, niemal zamroczonej od tej nagłej intymności, od wyczekiwania. Gdy tylko drzwi się zamykają, odgradzając mnie od wszystkiego, otwieram teczkę i widzę wcześniejszy adres Cameron. Ukiah. Emily i Troy mieszkali w Malibu, kiedy adoptowali Cameron. W 1989 roku, cztery lata temu, kiedy ich córka miała jedenaście lat, przeprowadzili się do Mendocino, do szklanego domu na klifie. A gdyby narysować linię od tego klifu niemal na wprost na wschód nad nadmorskim pasmem górskim, Ukiah znajdowałoby się w odległości zaledwie pięćdziesięciu kilometrów. Przy pełnej adopcji nikt z rodziny nie miałby o niczym pojęcia. Ale jakaś siła mimo wszystko przyciągnęła ich do siebie. Pięćdziesiąt kilometrów pomiędzy wcześniejszym i późniejszym życiem Cameron? To było szaleństwo. *Przeznaczenie*, jak powiedziałyby Eden.

W głównym holu dostrzegam automat telefoniczny, przystaję przed nim i szukam ćwierćdolarówek, żeby zadzwonić do Willa. Nagle zamieram. Trzymam w dłoniach nazwiska i adres biologicznych rodziców Cameron. Jestem blisko – tak blisko – tego, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o pierwszych latach jej życia. Może klucz do rozwiązania zagadki jej zniknięcia też jest tuż-tuż, u jej pierwszej rodziny.

Mam wrażenie, że przez długą chwilę balansuję na granicy, ciągnięta w dwie strony. Will chciałby być obecny przy rozmowie, ale jakaś część mnie go tu nie chce. Nie chcę się dzielić informacjami ani czekać, aż do mnie dołączy, ani przeskakiwać przez ewentualne

przeszkody. Nie chcę nawet prosić go o pozwolenie. Podróż w pojedynkę jest ruchem niezależnym i krótkowzrocznym. A jeśli coś przegapię? A jeśli wszystko spieprzę?

Chowam ćwierćdolarówki do kieszeni i jeszcze raz otwieram teczkę. W środku przypięte jest zdjęcie dwojga dzieci w wyjściowych strojach na tle wirującego niebieskiego tła, podobne do tych, jakie można zrobić u fotografa w centrum handlowym. Chłopiec to na pewno brat Cameron, na zdjęciu około dziesięcioletni, z wykrochmalonym białym kołnierzykiem, kruczoczarnymi włosami i lekko krzywymi zębami na przedzie. Ale to od trzyletniej Cameron nie mogę oderwać wzroku. Brązowe oczy jak spodki pod ciemnymi, miękkimi brwiami. Jej twarz jest okrągła i odważna, i taka piękna, że z trudem oddycham, gdy na nią patrzę. Wysunięta broda jakby rzucała wyzwanie nie tylko temu, kto stoi za aparatem, lecz całemu dniowi i wszystkim, którzy się w ciągu tego dnia pojawiają. Jej wyjątkowo gęste włosy są odgarnięte z twarzy za pomocą białej plastikowej spinki w kształcie motylka. Bawełniana sukienka ma naszytą koronkę, a Cameron promiennie się uśmiecha. Widać bijące od niej światło, czyste i jasne jak cholerne słońce. Nie czuje się znaku ofiary. Nie widać sygnału Batmana. To tylko mała dziewczynka. Lisa Marie Gilbert, urodzona 20 marca 1978 roku, pierwszego dnia wiosny.

(czterdzieści jeden)

Wyjeżdżamy z Cykadą prosto na sto jedynekę i docieramy do Ukiah po czwartej, kiedy wszystkie szyby w oknach są już opuszczone. Hap nazywał Ukiah krowim miastem, zbyt małym na kulturę i zbyt dużym, żeby było urokliwe czy osobliwe. Nigdy go nie poprawiałam ani nie powiedziałam mu, co pamiętam z okresów dwukrotnego mieszkania tutaj w dwóch placówkach przez krótki okres, mniej niż rok za każdym razem. Wymazałam wspomnienia z tamtych czasów, już wtedy. Zachowałam tylko skrawki obrazów: nauczycielki z pierwszej klasy, która nosiła ciemne, cieliste, nylonowe rajstopy i piła przy biurku niskokaloryczną colę; matki w prześwitującej żółtej koszuli nocnej przez cały dzień popijającej na kanapie likier brzoskwiniowy z kubka na kawę; lutowego popołudnia, kiedy kilkoro dzieciaków w autobusie wyśmiewało się ze mnie i powiedziało, że mój brat śmierdzi sikami. Tak naprawdę nie był moim bratem i to ja śmierdziałam, ale wtedy tylko zsunęłam się na siedzeniu z książką i znikłam.

Zjeżdżam z autostrady przy ciągu restauracji fast food obok punktów realizujących czekci, centrum handlowego Walmart i przetwórni gruszek Bartlett – na szczęście niczego nie poznaję. Ta część miasta za Ford Road, w której Cameron spędziła pierwsze lata życia, znajduje się pomiędzy autostradą a terenem wystawowym. Mijam park Vinewood, połąć suchej trawy otoczonej niskimi domami, z których większość ma za sobą lata świetności. Park wygląda na spragniony i smutny wydzielony plac ze ścianką wspinaczkową z opon z odzysku i koszmarnie zardzewiałymi huśtawkami.

Cameron pewnie się tu bawiła jako Lisa, podobnie jak my bawiliśmy się w pozbawionym wody basenie i wydawało nam się to czymś wspaniałym. Zapewne nie dostrzegała obskurności, bo jej się nie dostrzega, dopóki nie spojrzysz się z zewnątrz.

Adres trzymam w ręce, ale nie mam pojęcia, czy ktoś z rodziny Gilbertów jeszcze tutaj, pod numerem 3581 na Wierzbowej, mieszka. Sąsiednie ulice noszą podobne nazwy – Mimoszowa, Akacyjowa, Figowa – sielankowe słowa kłócą się ze zdezelowanymi ogrodowymi meblami porozstawianymi przed domami oraz na tarasach i obwisłymi sznurkami na pranie rozwieszonymi w wiatach. Parkuję na piaszczystym poboczu, a chłopak z ogoloną głową, w koszulce z Hulkiem, ryczącym trójkołowcem zatacza szerokie kółka kilkadziesiąt metrów ode mnie. Gapi się na mnie, jakbym się zgubiła. To całkiem możliwe.

Wysiadam z bronco, chowam kluczyki do kieszeni i podchodzę do długiego, wąskiego parterowego domu, z Cykadą depczącą mi po piętach. Ma oblicówkę w kolorze rdzy ze srebrnymi aluminiowymi wykończeniami okien, skąd padają snopy światła. Z dachu zwisa przekrzywiona antena telewizyjna. Zanim zdążę podejść do trzech stopni ze sklejki, drzwi się otwierają i niski, barczysty mężczyzna zatrzymuje mnie niczym falochron. Czuję, że nastrój Cykady zmienia się natychmiast, i chwytam ją za obrozę.

– W czymś pomóc? – pyta, ale tak naprawdę mówi: *proszę stąd iść*. Prawe oko z czerwoną obwódka ma niżej niż lewe, przez co wygląda żałośnie. Cała reszta to masa, grube bicepsy, nieogolony podwójny podbródek, szeroka szczęka, która się zaciska, kiedy mierzy mnie wzrokiem.

– Poszukuję Rubena albo Jackie Gilbert. Nie są w nic zamieszani. Potrzebuję tylko pewnych informacji.

– Już tu nie mieszkają. – Oczywiście doszedł do wniosku, że jestem zawodowcem, z plakietką czy bez.

Kaszle, czekając, żebym się wycofała.

– Jest pan ich krewnym?

– Ta rodzina się wyprowadziła. Nie wiem gdzie.

– Pracuję nad sprawą zaginionej osoby w Mendocino, chodzi o piętnastolatkę, Cameron Curtis.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Jest w poważnych tarapatach, panie Gilbert. – Nazwisko wymyka mi się, a ja czekam, aż wywrze efekt.

Jego wielkie ciało faluje, kiedy bierze głęboki oddech.

– Wynocha stąd – odzywa się w końcu. – Nic nie wiem o żadnej zaginionej dziewczynie.

Odsuwam się lekko, nim zdążę się opanować. To potężny facet i może mnie nieźle pokieraszować, gdyby miał taki zamiar. Może przyjeżdżanie tu samej było beznadziejnym pomysłem.

– Nie chcę pana niepokoić, muszę tylko wypełnić pewne puste pola.

– Nie gadam z glinami.

– Nie jestem gliną, jestem detektywem, a poza tym nic panu nie grozi. Chodzi o Cameron. Nie oglądał pan wiadomości?

Kaszle mocno, prostuje się.

– Nie.

– Możliwe, że była związana z tym miejscem, dawno temu.

Milczenie.

– Właściwie w okolicy zaginęło kilka dziewczyn, ale ja jestem tu tylko w sprawie Cameron. Moglibyśmy wejść do środka i chwilę porozmawiać?

Opuszcza brodę i zdaje się, że wybałusza zdrowe oko.

– Powiedziałem pani. Gówny wiem o jakiejś zaginionej dziewczynie. Niech się pani wynosi. Mam robotę. – Gapi się na mnie z góry, pochylony, aż w końcu nie mam wyjścia i muszę się przesunąć na bok.

Stoję w ogródku i obserwuję, jak wsiada do brązowego forda taurusa i niemal czuję mdłości, bo spieszyłam sprawę. Cameron tu mieszkała. Być może gdzieś w pobliżu są brakujące fragmenty, te, które ukazałyby ją w pełni. I co teraz? Mogę spróbować wybadać sąsiadów i się modlić, żeby znalazł się ktoś, kto ją pamięta albo może mi powiedzieć o Gilbertach coś, co w jakiś sposób mi pomoże. Ale nie jestem dobrej myśli.

Taurus przyspiesza na zakręcie z Wierzbowej w Figową, zbliżając się niebezpiecznie do skrzynek pocztowych, a zaraz potem chłopak na trójkołowcu wraca, gapiąc się na Cykadę. Dzieciaki chyba zawsze koncentrują się na psach.

Macham do niego lekko, ale wzrok ma kamienny. Mierzy mnie i nagle się rozpromienia. Za mną po cichu otworzyły się drzwi.

– Cześć, Kyle – odzywa się głos.

– Cześć, Hector – odpowiada dzieciak. – Mogę na chwilę wejść?
Mamy nie ma w domu.

Patrzę to na jednego, to na drugiego, zbyt zaskoczona, żeby się odezwać.

– Za chwilę, dobra? Muszę porozmawiać z tą panią.

(czterdzieści dwa)

Znajoma włochata wykładzina, poprzecierana, w kolorze groszkowej zieleni, ciągnie się przez salon do maleńkiej kuchni. Jedyne meblami są stół z krzesłami i sofa, która wygląda na wysłużoną, z ciemną plamą na oparciu. Cykada sadowi się u mego boku, a Hector stoi z dłońmi na biodrach i przygląda się, jak ja przyglądam się jemu. Domyślam się, że ma dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Spod wyblakłej niebieskiej roboczej koszuli widać umięśnione, wytatuowane przedramiona. Szyję też ma wytatuowaną – pas splecionych wyblakłych plam, jak skóra pytona. Podwinięte nogawki ciemnych dżinsów wiszą nad czarnymi wysokimi butami ze stalowymi noskami, idealnymi do kopania.

Wygląda groźnie, a jednak nie czuję się zagrożona. Instynktownie wierzę, że przynajmniej wysłucha moich pytań. Wiek i tatuaż wskazują, że może być chłopakiem ze zdjęcia albo innym bratem Cameron. No i otworzył drzwi.

– Hector, nazywam się Anna Hart. Próbuje odnaleźć zaginioną dziewczynę z Mendocino.

Przez jego ciemne oczy przemyka cień.

– Co się z nią stało?

– Nie wiemy. Znikła z domu w nocy 21 września i od tamtej pory nie dała znaku życia. Obawiam się, że ktoś mógł ją porwać.

– Słyszałem o tej drugiej dziewczynie z Petaluma. Czyba nie spotkało jej coś takiego, co?

– Nie wiem. Chciałabym wiedzieć.

– Słyszałem, jak pani mówiła, że ma piętnaście lat. Mam siostrę, która byłaby w tym wieku.

Nawet nie oddycham w nadziei, że będzie mówił dalej. I mówi.

– Miałem jedenaście lat, kiedy nas rozdzielono.

– Dziewczyna, której szukam, została adoptowana w osiemdziesiątym drugim roku. Jak miała na imię twoja siostra, Hector?

– Lisa.

Coś chwyta mnie za gardło, a po chwili przychodzi ulga. Nadzieja.

– Możesz mi o tym opowiedzieć?

Siada ciężko na kanapie, sięga po paczkę cameli na podłodze obok niebieskiej szklanej popielniczki i zapala papierosa.

– Moi starzy chyba wiedzieli, że zabierze nas opieka, ale nic nam nie powiedzieli. To chyba najbardziej popieprzona rzecz, jaką pani w życiu słyszała.

Zajmuję krzesło naprzeciwko niego, a Cykada idzie za mną i się kładzie. Widzę napięcie na twarzy Hectora, także w jego dłoniach.

– I co się stało?

– Wszystkiego nie wiem. Mój tata był chyba zamieszany w niezłe gówna. Narkotyki. Parę razy przychodziły gliny, a później ktoś z sąsiadów zadzwonił anonimowo i zgłosił *zaniedbanie*. – Ostatnie słowo niemal cedzi.

– Czy to z twoim ojcem rozmawiałam?

– Z tym szmaciarzem? To mój wujek Carl. Tata dawno temu wyjechał do San Quentin. Z tego, co wiem, nadal tam jest.

– Dlaczego Carl nie chciał ze mną rozmawiać?

Hector prycha. Zadałam niedorzeczne pytanie.

– Ale ty ze mną rozmawiasz – mówię.

– Nie mam nic do ukrycia. Poza tym czuję, że przyjechała tu pani w ważnej sprawie. Ma pani czasem takie odczucia?

Tak, chcę powiedzieć. Na przykład w tej właśnie chwili.

– A twoja matka? Gdzie teraz jest?

Wzrusza ramionami, marszcząc czoło.

– Prysła z miasta z jakimś frajerem. Zdziwiłbym się, gdyby jeszcze żyła. Już wtedy robiła wszystko, żeby się zabić.

– Dlaczego was rozdzielono?

– Właściwie nie wiem. Wróciłem kiedyś ze szkoły do domu, a Lisy nie było. Byli za to ludzie z opieki. – Drapie się mocno w ramię, jakby to wspomnienie pojawiło się w opuszkach jego palców pod postacią

pieczenia czy bólu. Znam ten odruch. Jego bezcelowość. To, że nie można osiągnąć bolesnego miejsca.

– Ty też zostałeś wtedy adoptowany?

– Nie. Chyba byłem za stary. Zabrali mnie do rodziny zastępczej, ale uciekłem. – Ma jeszcze pół papierosa, lecz sięga po paczkę na stole i ściska ją, żeby dodać sobie otuchy. Celofan szepcze coś w jego dłoni. – Uciekałem pięć czy sześć razy, aż trafiłem do domu dziecka, bo nikt mnie nie chciał wziąć. Jak skończyłem osiemnaście lat, wróciłem tutaj, ale moich rodziców nie było. Carl za mną nie przepada, ale on nienawidzi wszystkich. Sama pani widziała.

– Tak mi przykro. – Wiem, że moje słowa są teraz równie nieważne jak wtedy, kiedy dorastałam i na okrągło powtarzali mi je obcy ludzie. Język czasami zawodzi, ale mnie *naprawdę* jest żal Hectora. Jest w takim wieku, że wszystko pamięta. Bitewne rany z dzieciństwa. Stratę siostry, skołowanie, wysiedlenie. Ból. Jest mną, a Lisa to Amy albo Jason. A teraz przyszła jeszcze większa strata. Jeszcze większa tragedia.

– Powinni byli mi powiedzieć, że nie mogą się nią opiekować – mówi o swoich rodzicach. – Sam bym się tym zajął. Coś byśmy wymyślili. Przynajmniej bylibyśmy razem. – Jego źrenice robią się czarne, rozszerzają się pod wpływem emocji. – Przywieźli ją do domu ze szpitala i to był najszczęśliwszy dzień mojego życia. Przedtem byłem sam z tymi wariatami. A potem? Zajmowałem się nią.

Chce mi się płakać, kiedy tego słucham. Kiwam głową.

– Spaliśmy jak szczeniaki na tym materacu na podłodze. Obejmowałem ją, o tak. – Podnosi ręce, żeby mi zademonstrować. – Zawsze byliśmy razem. Wystarczyło, żeby ktoś na nią spojrział i już przy niej byłem. Wie pani?

Wiem. Absolutna lojalność w jego głosie przenosi mnie w czasie do tamtego Bożego Narodzenia, które spędziłam sama z Jasonem i Amy. Do tych godzin i dni zawieszonych w swoistej bańce, gdzie nic nie mogło nas dotknąć.

– Chroniłeś ją.

Zaciąga się camelem, bibułka poddaje się z sykiem, kiedy on zмага się z przeszłością.

– Próbowałem. Nasi rodzice byli naprawdę popaprani, ale popapranym jest chyba każdy.

Nie każdy, chcę powiedzieć, choć wiem, że on nie ma powodu, żeby mi wierzyć.

– Jaka była? Spokojna?

– Lisa? – parska śmiechem, głośnym i spontanicznym. – Ciągle gadała albo tańczyła. Śpiewała w wannie, biegała po ulicy. Siedziała przed skrzynką na listy i bawiła się byle czym. *Kamieniami*, niech sobie pani wyobrazi. I przy tym *śpiewała*.

Nagle ją widzę, tę dziewczynkę. Przywołał ją i jestem zdruzgotana. Jak to możliwe, żeby jedno życie zostało skradzione dwukrotnie?

– Przypominasz sobie, żeby coś się stało, zanim was rozdzielono? – pytam. – Coś, co odmieniło zachowanie Lisy? Czy bywała przygaszona albo płakała bez powodu, albo wyglądała na przestraszoną?

– Dlaczego? Co pani ma na myśli?

– Nie jestem pewna. Chcę, żebyś na coś zerknął. – Z kieszeni wyciągam ogłoszenie o zaginięciu Cameron i rozkładam je przed nim.

– Cholera – szepcze i odkłada papierosa. – To na pewno ona. – Przysuwa kartkę do siebie i kiwa głową. Oczy mu lśnią. – Nie wierzę. Jest taka ładna, taka dorosła. Musi ją pani znaleźć.

– Robię wszystko, co mogę. Coś ci się rzuca w oczy?

Przygląda się kartce przez długą chwilę.

– To są jej oczy. Oczy Lisy. Ale wygląda na taką smutną. Co?

– Mnie też się tak wydaje i chcę dociec dlaczego. Życie jest ciężkie, Hector. Wiemy o tym oboje, ale nie mogę sobie wyobrazić *tej* dziewczyny siedzącej przed skrzynką na listy, jak śpiewa do kamieni.

Czuję, że próbuje zrozumieć, co mam na myśli. Ścisną kartkę mocniej, a jego kciuki bieleją przy macierzy paznokci, jakby marzył, żeby jakoś przedostać się do środka i jej dotknąć. Pomóc jej.

– Moja Lisa była waleczna – mówi w końcu. – Rany, była *uparta*. Jak się próbowało odebrać jej zabawkę albo zgonić ją z huśtawki, zanim

miała dość, robiła się z niej tygrysica. Tak zaciskała pięści. – Podnosi jedną dłoń i robi minę, z której się domyślam, że w tej chwili widzi siostrę w odległości dotyku. – *Jak dzika.*

– Więc co się stało? Tego się chcę dowiedzieć. Po to tu przyjechałam, żeby zobaczyć, czy uda mi się to wyjaśnić. Masz jakieś zdjęcia z dzieciństwa?

Kręci głową.

– Niestety, nie. – Znow spogląda na ogłoszenie. – Mogę je zatrzymać?

– Jasne. Zostawię ci też mój numer. – Odwracam kartkę na drugą stronę i zapisuję telefon do biura Willa, a obok moje nazwisko. – Gdyby przyszło ci do głowy coś, co może być użyteczne, daj znać. A jeśli chcesz, żebym informowała cię na bieżąco, nie ma sprawy.

– Tak. – Wygrzebuje z kieszeni pognieciony paragon, gryzmoli na nim swój numer telefonu i mi go podaje. – Gdybym mógł jakoś pomóc, proszę mi dać znać. Szukacie jej, prawda?

– Tak.

– To dobrze.

Odprowadza mnie do drzwi, a za nami drepcze Cykada. Na wyszczerbionej framudze na wysokości wzroku znajduje się czarna smuga wielkości odcisku dłoni. Klamka wygląda na plastikową. To miejsce jest tak ciasne, obskurne i beznadziejne, że czuję szaloną chęć zabrania Hectora ze sobą, wrzucenia go na tylne siedzenie samochodu razem z Cykadą i pognania w stronę wzgórz. Ale on od dawna nie jest już dzieckiem. I wcale nie prosi, żeby go ratować.

(czterdzieści trzy)

Jest późno, gdy w końcu docieram do miasteczka. Przejeżdżam obok biura szeryfa w nadziei, że zastanę Willa w pracy, i łapię go, gdy wsiada do samochodu. Opuszcza szybę, kiedy do niego podjeżdżam. Odzywa się, nim zdążę wypowiedzieć choćby „cześć”.

– Do cholery, gdzie się podziewałaś? Szukam cię od paru godzin.

– Mówiłam ci, że jadę do Sacramento.

– Nawet biorąc poprawkę na nadmierną biurokrację, zakładałem, że odezwiesz się przed drugą. Co jest grane?

– Masz ochotę na drinka? – wycofuję się. – Wszystko ci wyjaśnię.

Jego mina nie łagodnieje.

– Chodź do środka. To był długi dzień. Mam ci sporo do powiedzenia.

Z drepczącą za mną Cykadą idę za Willem do pustej sali konferencyjnej z kiepskim światłem fluorescencyjnym. Opada na najbliższe krzesło.

– Słucham.

– Chyba po prostu się podekscytowałam. – Siadam naprzeciw niego i coraz bardziej czuję się, jakby wysłano mnie na dywanik do dyrektora. – Otworzyłam dokumenty i okazało się, że biologiczna rodzina Cameron mieszkała w Ukiah. Nie sądzisz, że to dziwne? Jakie jest prawdopodobieństwo?

– I pojechałaś do Ukiah? Ta rodzina mieszka tam nadal?

– Rodziców nie ma na horyzoncie, ale poznałam wujka i brata Cameron, Hectora. Will, mówię ci, serce pęka, jak tych dwoje dzieciaków zostało rozdzielonych przez opiekę. Hector nigdy się nie dowiedział, dokąd zabrano jego siostrę. Został zaskoczony i przeczołgany przez sierocińce. Widać, że to się na nim mocno odbiło.

Twarz Willa nadal jest beznamiętna i bez wyrazu.

– Przesłuchałaś tego faceta czy przeprowadziłaś grupową sesję terapeutyczną?

Czuję ukłucie wstydu.

– Dlaczego jesteś taki złośliwy?

– Nie wiesz? – Ściąga kapelusz i rzuca go pomiędzy nas dla wzmocnienia efektu. – Zniknęłaś na cały dzień, nie dałaś znaku życia, podejmujesz decyzje dotyczące sprawy bez wcześniejszego upoważnienia i nie przywozisz nic poza scenariuszem na serial telewizyjny.

Przełykam zawstydzenie, a jego słowa jeszcze bardziej wybijają mnie z równowagi.

– Przepraszam, powinnam była najpierw skontaktować się z bazą. Miałam po prostu odczucie, że powinnam pojechać sama.

– Mój wydział nie pracuje na podstawie *odczuć*, Anno. To dochodzenie też się na nich nie opiera. Powinienem był tam być, ja albo któryś z moich zastępców. Wtedy sytuację oceniałyby przynajmniej dwie pary oczu. Skąd wiadomo, że ten Hector nie jest podejrzany?

– Nie jest. Wiem to.

– *Skąd* wiesz? Sprawdzałaś, czy jest notowany? A co z wujkiem? Masz dla mnie numery tablic rejestracyjnych? Przewiska? Alibi na noc 21 września?

Odpowiedź brzmiała „nie”, ale umykało mu najważniejsze.

– Za dużo siedzisz przy biurku, Will. Intuicja to co najmniej połowa sukcesu. I, do cholery, Hector prawdopodobnie *jest* notowany po tym, jak w dzieciństwie potraktowało go hrabstwo. Ale siostra jest dla niego ważna i w życiu by jej nie skrzywdził, nawet gdyby miał kontakt z Cameron, tylko że go nie miał.

– Chwileczkę. Spytam raz jeszcze, Anno. Na jakiej podstawie wyciągasz te wnioski? Najpierw masz *pewność*, że to Drew Hague wykorzystał Cameron, a nic nie mamy. Później mi mówisz, że Steve Gonzales nie jest podejrzany, wyłącznie na podstawie jakiegoś twojego odczucia. Na szczęście z tym trafiłaś.

Twarz mi płonie.

– Dlaczego tak się na mnie wyżywasz? Skoro nie ufasz mojej ocenie, to co ja tu robię?

– Chwileczkę. Możemy ochłonać na minutę? Ja tylko wykonuję swoją pracę. A przynajmniej się staram. Jesteś wspaniałym wsparciem i naprawdę się cieszę, że tu jesteś. Ale mam prawo zadawać ci pytania. W porządku?

Patrzę na swoje dłonie.

– Powinnam była zadzwonić z Sacramento. Przyznaję. Ale głowę daję, że Hector Gilbert nie porwał Cameron Curtis.

– Z pewnością masz rację. Postępujemy zgodnie z protokołem i sprawdzimy jego przeszłość, zobaczymy, z czym mamy do czynienia. I powinniśmy ściągnąć go na badanie wariografem, standardowa procedura. To samo z wujem, to samo ze Steve'em Gonzalesem. Musimy zbadać wszystkie możliwości.

– Chcesz powiedzieć: chronić swój tyłek – mówię bez namysłu.

– Anno – ostrzega donośnie.

– Przepraszam. – Unoszę ramiona i opuszczam, starając się rozładować zgromadzone w nich napięcie. – To był ciężki dzień.

– Tutaj też... Musisz ze mną coś obejrzeć. Sporo cię ominęło.

(czterdzieści cztery)

W kącie sali konferencyjnej na metalowym wózku na sprzęt stoi telewizor i magnetowid. Will podchodzi, włącza zestaw i uruchamia odtwarzanie. To nagranie dzisiejszego odcinka *Najbardziej poszukiwani w Ameryce*. Ładna blond dziennikarka, której nie znam, rozmawia z Erin McGrath i Allison Palmer. Może nawet nie jest dziennikarką. Ten program to nie są najważniejsze wiadomości.

Kiedy rozpoczyna się wywiad, kamera kieruje się na dwie dziewczynki siedzące obok siebie na wąskiej kanapie w studio. Wydają mi się odważne, opanowane i bardzo, bardzo młode. Bo takie są.

– W pierwszej chwili myślałyśmy, że to kawał – mówi Erin McGrath. Ma długie do ramion brązowe włosy, zadarty nos i szeroko rozstawione brązowe oczy. – Polly czasami robiła takie rzeczy. Była dobrą aktorką.

Zwracam uwagę na to, że używa czasu przeszłego, i odbieram to jak ukłucie igłą.

– Wcześniej sporo się wygłupiałyśmy – dodaje Allison Palmer, wsuwając za ucho kosmyk ciemnoblonde włosów. – Rozmawiałyśmy o Halloween i próbowałyśmy nastraszyć się nawzajem. Pomalowałyśmy Polly twarz na biało, a ona zrobiła sobie oczy jak u ducha i pomalowała usta na czarno.

– I co się później stało? – popędza dziennikarka.

– Poszła przynieść nam śpiwory – ciągnie Allison. – Jak wróciła, w progu stał za nią facet z nożem i marynarską torbą. Był starszy. Nie wyglądał groźnie ani nic takiego, z początku. Dlatego myślałam, że może Polly się wygłupia.

– To wyglądało jak nieprawdziwe – dodaje szybko Erin. – Tak pomyślałam. On był naprawdę spokojny, tak też mówił. Powiedział, że chce pieniędzy, i Polly pokazała mu swoją szkatułkę. Miała

pięćdziesiąt dolarów. Wtedy się zmienił. Jego głos zrobił się surowy i powiedział nam, że mamy nie krzyczeć, bo poderżnie nam gardła.

– Później zaczął związywać Polly, a ona płakała – mówi Allison. – Wziął z łóżka poszewki na poduszki i założył nam na głowy. Potem nas związał. Powiedziałam, że sznurek jest za mocno zawiązany, i trochę go poluźnił, i przeprosił.

– Wtedy powiedział, że jak policzymy do tysiąca, Polly wróci – kończy Erin.

– Czy tak się stało? – drąży łagodnie prowadząca.

– Nie – odpowiada Erin. – Słyszałyśmy, jak szklane drzwi się zamykają, i wtedy próbowałyśmy się uwolnić ze sznurków, którymi nas związał. Allison się potykała, ale próbowała obudzić mamę Polly, która spała w pokoju obok.

– Obie byłyśmy naprawdę przerażone – mówi Allison.

– Nie dziwię się. Porwano waszą przyjaciółkę. Uważam, że jesteście bardzo odważne. A cała Ameryka szuka porywacza Polly na podstawie opisu, który podałyście policji. Ten program oglądają miliony ludzi. Każdy stara się odnaleźć Polly. Wszyscy chcą, żeby wróciła do domu. – Twarz dziennikarki wyraża posępną nadzieję, wzrok jest celowo łagodny. – Co możecie opowiedzieć Ameryce o tym, jaka była Polly? Dlaczego wasza przyjaciółka była wyjątkowa?

– Jest naprawdę zabawna – odpowiada Erin, niemal uśmiechając się przez ułamek sekundy. – Z kolorów najbardziej lubi fioletowy i codziennie po szkole je grzankę z cynamonem.

– Chce zostać aktorką – dodaje Allison. – Jest po uszy zakochana w Melu Gibsonie. W pokoju ma plakat z dwoma biało-czarnymi kotami i dalmatyńczykiem, na którym jest napisane „nie małpuj”. To cała ona. Nie ma nikogo takiego jak Polly.

Po wywiadzie na ekranie pojawia się ten sam co zwykle numer z prośbą o informacje i ekran czernieje. Spoglądam szybko na Willa. Jestem ogłuszona i skacowana po naszej rozmowie, mam mętlik w głowie.

– Właśnie dlatego to spotkanie w mieście potrzebne nam na *wczoraj* – mówię. – Grzanka z cynamonem. U nas właściwie nikt nic

nie wie na temat Cameron. Nie może być czymś ważnym coś, czego nie można sobie wyobrazić.

– Jasne. Ale posłuchaj. Znasz aktorkę Winonę Ryder? Leci chyba jutro do Petalomy prywatnym odrzutowcem Harrisona Forda. Rozmawiałem z Fraserem i wygląda na to, że zebrała darowizny od wielu gwiazd na prywatną nagrodę, jeżeli Polly zostanie znaleziona. Anno, chodzi o dwa miliony dolarów.

– Co takiego? To szaleństwo! Nawet jeśli zdołali zebrać tyle pieniędzy, dlaczego wydawać je na Polly? A w ogóle dlaczego Ryder się tak zaangażowała?

– W dzieciństwie przez jakiś czas mieszkała w Petalumie. Aktorstwo miały nawet z tą samą nauczycielką. Widocznie oglądała wiadomości i doszła do wniosku, że pora wkroczyć do akcji. Dzwoniła dzisiaj. To *à propos* medialnego cyrku.

– Wróćmy więc do Emily. Dwa miliony dolarów to dla niej nie problem.

– Tu nie chodzi o pieniądze, Anno, i o tym wiesz. Problem w tym, że nie mamy dowodów. FBI uważa, że Cameron uciekła. *Najbardziej poszukiwani w Ameryce* taką sprawą się nie zajmą. Nawet nie wiem, czy mimo pomocy Emily zainteresują się nami w tej chwili lokalne media. Wszyscy będą relacjonować wizytę Ryder.

– Mimo wszystko musimy próbować. Na uwagę mediów wpływu nie mamy, ale możemy się pokazać, do cholery.

– Może – przyznaje. – Lecz to nie wszystko.

– Znowu dzwoniła Polly?

– Nie. Fraser jest przekonany, że ten telefon to był kawał. Ale do akcji wkroczyła Dolina Krzemowa. Wiadomości oglądał jakiś spec od systemów komputerowych i wpadł na genialny pomysł, żeby zeskanować ogłoszenie o zaginięciu Polly. Spora liczba firm komputerowych ofiarowała sprzęt. Przesyłają faksem tysiące plakatów po całym świecie i wykorzystują też Internet. Słyszałem od kogoś, że plakat widziało dziesięć milionów ludzi w sześciu krajach.

– Jasny gwint. Robi wrażenie.

– Wiem. Nowy wspaniały świat, co? Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy mieli coś takiego dziesięć czy dwadzieścia lat temu? –

Spogląda wymownie. *Jenny*.

Ni z tego, ni z owego pojawia się jej twarz. Jej śmiech. Jej chód. Jej głos na cyplu, który rozbrzmiewa w ciemności i milknie. W czasach gdy zniknęła, i dużo wcześniej, zaginione dzieci i nastolatki pojawiały się wyłącznie na nieostrych odbitkach ogłoszeń przyklejonych do budek telefonicznych albo leżących w stosach na poczcie. Czy coś by się zmieniło, gdyby Internet istniał w 1973 roku? Gdyby dokładna podobizna Jenny została rozesłana wszędzie w mgnieniu oka? Może nic, a może wszystko. Może nasze życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

– Możemy zrobić coś takiego dla Cameron? – pytam. – I dla Shannan?

– Zadzwońm już w parę miejsc.

– Co sądzisz o tym, żebym pojechała porozmawiać z matką Shannan Russo?

– A czego się chcesz dowiedzieć?

– Czy istnieje jakiś związek między tymi dwiema dziewczynami.

– Mnie wydają się różne jak dzień i noc. Skoro nie widzisz związku z Polly, dlaczego szukasz tutaj?

– Obiecuj, że nie będziesz się śmiał.

Minę ma enigmatyczną.

– Spotkałam się z Tally Hollander.

– Tą jasnowidzką? Oj, ludzie, zaczynam się o ciebie poważnie martwić, dziecko.

– Daj spokój. Posłuchaj mnie przez chwilę, Will. Tally opowiedziała mi co nieco o Shannan i jej dorastaniu, a ja pomyślałam, że te dwie dziewczyny mają podobne DNA emocjonalne. Chcę to sprawdzić. – Łapię za blat stołu przed sobą, chłodny, płaski i prawdziwy. – Nie mówię o *wizji*. Kiedy Tally zadzwoniła do Karen, ta się otworzyła i opowiedziała jej wszystko: o zamieszaniu w życiu Shannan w dzieciństwie, swoich licznych facetach, narażeniu na przemoc. Wiem, że Karen wobec ciebie była niewzruszona, ale gdyby udało mi się ją skłonić do rozmowy, może dowiedzielibyśmy się o wiele więcej o tym, dlaczego Shannan trafiła na psychopatę.

Will wzdycha i widzę, że jest zmęczony. Oboje ciągniemy na oparach.

- W porządku.
- Zgadzasz się?
- Szanse są małe, ale liczą się chyba najmniejsze okruchy.
- To prawda.

(czterdzieści pięć)

Wczesnie rano następnego dnia jadę do Gualali, do miejsca, gdzie pracuje Karen Russo, staroświeckiego salonu fryzjerskiego o nazwie Plotkuje Się Głównie O Włosach. Opiera się o ladę recepcji, kiedy wchodzę; ładna brunetka, choć widać, że po przejściach, w czarnym fartuchu na dżinsowych dzwonach i wysokich koturnach z korkową podeszwą. Daję jej ze trzydzieści pięć lat, a to oznacza, że Shannan urodziła, mając prawdopodobnie osiemnaście albo dziewiętnaście.

Przedstawiam się, a wzrok Karen od razu pochmurnieje. Ma dość glin i dziennikarzy. Może powinnam była zabrać ze sobą Tally, myślę poniewczasie.

- Ja tu pracuję – wypala.
- Może piętnaście minut przerwy na kawę?
- Nie mam za dużo do powiedzenia.
- Nie szkodzi. Poczekam w kawiarni naprzeciwko. Mam tylko kilka pytań.

Pojawia się w końcu czterdzieści pięć minut później. Zdążyłam wypić trzy kubki rozwodnionej obiadowej kawy, ale dłonie mimo wszystko mam wilgotne, a mój optymizm słabnie.

- Mam kogoś o jedenastej – oznajmia. – Stała klientka, nie mogę się spóźnić.
- Rozumiem. Chcę mieć tylko wyraźniejszy obraz pani córki, jeśli to możliwe, pani Russo. Co może mi pani powiedzieć na temat zwyczajów Shannan, oczywiście przed tym wszystkim?
- Była znudzona, często miała problemy.
- Chodziła do maturalnej klasy, kiedy zaginęła, zgadza się?
- Szkołę miała gdzieś, a ja się poddałam i przestałam próbować ją tam zaciągać. Szczerze mówiąc, poddałam się w wielu kwestiach. Wiem, że to brzmi paskudnie. Shannan nie chciała matki. Nie chciała, żeby ktoś się o nią troszczył.

Hardość Karen to być może mechanizm obronny, jak zasugerowała Tally, ale jest onieśmielająca.

– Musiało to być trudne, to, że panią tak odpychała.

Mruży oczy, jej rzęsy są grube od atramentowego tuszu tak intensywnego, że wydaje się niemal granatowy.

– Miałam mnóstwo czasu, żeby do tego przywyknąć.

– Proszę mi opowiedzieć o ostatnim dniu, kiedy ją pani widziała. – Przeglądam notatki. – 2 czerwca. Poszła tego dnia do szkoły?

– Wiem tyle samo co i pani. Wstała i była ubrana, ale mogła pójść wszędzie. Miała mnóstwo przyjaciół, którzy przyjaciółmi nie byli, rozumie pani.

– Mężczyzn? Chce pani powiedzieć, że pani córka się prostytutuowała?

– Możliwe. – Z kieszeni kurtki wyciąga papierośnicę we wzory i przysuwa zapalniczkę do koniuszka marlboro light, zaciąga się i wprawnym ruchem odgania dłonią dym. – Nie wiem, jak zarabiała. Ja jej finansowo nie pomagałam, tyle mogę powiedzieć. Wiedziałam, że wszystko, co jej dam, przepije albo wciągnie nosem, albo wpakuje sobie w żyłę. Przestałam pytać.

– A ci przyjaciele? Wymieniła kiedyś kogoś z nazwiska?

– Nie przypominam sobie. Ale przynajmniej jeden z nich miał pieniądze. Kiedyś przyniosła nowiutki aparat Nikon. A ktoś dał jej płaszcz, ładny.

To zwraca moją uwagę.

– Mogłaby go pani opisać?

– Krótki, brązowy, z futra jakiegoś zwierzęcia. Może nie było prawdziwe, ale zupełnie tak wyglądało, i na drogie. Na pewno nie kupiła go w okolicy.

– Miała go na sobie ostatniego dnia?

– Może. Nie pamiętam.

Widzę, że z Karen niewiele wycisnę. Być może istnieje jakiś trik, żeby skłonić ją do szczerzej rozmowy, ale ja najwyraźniej go nie znam.

– Ta jasnowidzka, która do pani zadzwoniła? Co pani o niej pomyślała?

– A co *mogłam* pomyśleć? – Karen robi zmartwioną minę i znów wypuszcza dym, który rozchodzi się niczym woal trucizny. – Shannan zawsze robiła dokładnie to, co chciała. Jeśli ktoś ją zabił, pewnie się o to prosiła.

Bezwzględność jej słów ucisza mnie na długą chwilę. Znam kobiety takie jak Karen, twarde i zamknięte w sobie. Ale rozumiem też, że człowiek z taką skorupą dorobił się jej nie bez powodu. Karen chciała się chronić, i nadal chce.

– Pani Russo, naprawdę chcę pomóc odnaleźć Shannan, ale będę z panią szczerą. Zajmuję się głównie sprawą Cameron Curtis. Słyszała pani o niej.

– Pewnie, córka tej gwiazdy filmowej. Oglądałam jej program przez lata. Nie przyszło mi jednak do głowy, że będę miała coś wspólnego z Heidi Barrows. – Kręci głową.

– Mamy bardzo niewiele informacji w sprawie Cameron, ale wiadomo, że w dzieciństwie doświadczyła wielu trudnych sytuacji. I przemocy. Naszym zdaniem mogło to mieć wpływ na to, że stała się celem. – Patrzę na nią wymownie. – Dlatego tu przyjechałam i wypytuję panią o dzieciństwo Shannan. Możliwe, że to ten sam facet. Szukam wątków.

Sprawia wrażenie niewzruszonej, przynajmniej z zewnątrz. Zerka na zegarek.

– Powiedziałam pani, co mogłam.

– Mamy jeszcze parę minut. Gdzie jest ojciec Shannan? Uczestniczył w jej wychowaniu?

– Ten szmaciarz? – Wydyma wargi. – Zwiął, kiedy była w przedszkolu. Od tamtego czasu nie dostałam od niego złamanego grosza.

– Trudno być samotnym rodzicem.

Mierzy mnie wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy jestem z nią szczerą, czy kierują mną jakieś ukryte powody.

– To prawda.

– Zawsze byłyście tylko we dwie?

– Z przerwami. Przez lata miewałam facetów. To pewnie nie najlepsze dla dziecka.

– Faceci w ogóle czy jacyś konkretni?
Posyła mi uszczypliwe spojrzenie.

– W sensie? Kwestionuje pani moje decyzje w wyborze partnerów?

– Nie znam pani życia.

Spogląda na ścianę, złoty laminat plus wzór z zawijasów. Ciemnozłoty, jak to w latach siedemdziesiątych, kiedy wszystko było złote albo w kolorze zieleni awokado.

– Cóż, mogę powiedzieć, że może nie były to za każdym razem wybory rewelacyjne. Chyba nikomu się to nie udaje.

Niestety, ma rację. Nie co do wszystkich, ale do wielu z nas.

– Ma pani zdjęcie Shannan?

– Tylko stare. – Odkłada papierosa, przeszukuje notes i wyciąga etui na zdjęcia, jakie czasem są przy portfelach. Plastik jest pożółkły i pozaginany na rogach, ale wypełniony – wszystkie szkolne zdjęcia z siwoniebieskim tłem, Shannan jako szczerbata pięcio- czy sześciolatka na czele parady.

Biorę od niej plik zdjęć, przeglądam je i ogarnia mnie coraz większy smutek. Ta dziewczyna może i sprawiała kłopoty, ale nie było tak od początku. Nie urodziła się niezłym ziółkiem, lecz słodkim, czystym, wyjątkowym dzieckiem – jak każdy.

– Jest naprawdę ładna – mówię. – Kim chciała zostać? Jak była mała, oczywiście? Miała jakieś wielkie marzenia?

– Księżniczka Disneya się liczy? – Karen zaciska usta, a lekkie zmarszczki nad górną wargą się pogłębiają. – Miała bardzo lśniące włosy. Zaplatałam je w warkocz kłos. Nie jest to łatwe. Zajmuje co najmniej godzinę, ale siedziała naprawdę grzecznie i się nie ruszała.

Patrzę jej w oczy, starając się nie mrugnąć, nie zepsuć tej chwili. To jej najbardziej bezpośrednie zachowanie przy mnie, najbardziej ludzkie.

– Na pewno wyglądała pięknie.

– To prawda. O to nie było trudno.

(czterdzieści sześć)

Strzępy przeszłości czasami wzbijają się niczym konfetti i mnie zaskakują; to, co wydawało się zapomniane. Mama śpiąca na boku na kanapie, z kolanami podciągniętymi jak dziecko, pod szydełkowym kocem częściowo zachodzącym na twarz. Dzień, który zdawał się fantazją, kiedy miałam sześć czy siedem lat, a dzieciaki były brzdącami, kiedy na trawniku na zmianę trzymaliśmy na kolanach czyjś królika. Gdy przyszła moja kolej, dotknęłam jego ciepłych uszu, poczułam szaleńcze bicie serca i spięte mięśnie, i to, jak chciał uciekać, ale nie uciekał. Kilka dni później przed nasze mieszkanie podjechały trzy wozy policyjne z nakazem aresztowania mojego ojca. Wyprowadzili go w kajdankach, a mama krzyczała, żeby go zostawili. Rzuciła popielniczką, która rozbiła się o ścianę. Rzuciła lampę na podłogę i żarówka potłukła się w drobny mak. Przyglądałam się temu wszystkiemu z ciemnego korytarza. Drzwi wszystkich pokoi były pozamykane, a dzieciaki ukrywały się w szafie, do której je wsadziłam i kazałam siedzieć bardzo cicho. Napięta, duszna atmosfera wokół mnie i w moim ciele. Od tej pory tata stał się dla nas kimś obcym. Dopiero kilka lat później moja mama wyszła pożyczyć pięćdziesiąt dolców i nigdy nie wróciła.

Były też inne wspomnienia, delikatne niczym kawałki pajęczyny. Wspomnienia Hapa, Eden i Mendocino, i kiedy jako dziesięciolatka odkryłam, że mogę kucnąć w trawie na cyplu nad Portuguese Beach i *być* trawą. Mogłam być zachodem słońca rozsmarowującym światło jak dziki miód nad wszystkim, czego dotknie. Byłam Pacyfikiem z jego zimnym niebieskim okiem, wroną na cyprysie machającą skrzydłami, gadającą do siebie na temat świata. Bo odkąd pamiętam, miałam powody, żeby zniknąć. Byłam ekspertem w stawaniu się niewidzialną, ale teraz było inaczej. Stawałam się

częścią czegoś, wplatałam się w krajobraz. I nie byłam niezauważana, ale się o mnie troszczono.

Dom kultury stoi na rogu School Street i Pine, przy boiskach pożółkłych jak wszystko inne o tej porze roku. Spotykam się tam z Grayem i jego mamą Di Anne w sobotę parę minut po południu, żeby przygotować gazetkę ścienną, która powinna przedstawić Cameron tym, którzy jej nie znają, a tym, którzy ją znają – pomóc ją wspomnieć. Wniosek Willa o bezterminowe udostępnienie obiektu został właśnie uwzględniony przez radę miasta. Na zewnątrz wisi prowizoryczny szyld, dopóki nie powstanie transparent z napisem czerwonymi drukowanymi literami: „Centrum Poszukiwań Cameron Curtis”.

– Czerwony to ulubiony kolor Cameron – wyjaśnia Gray. Szyld przygotowali wspólnie z Di Anne, a z tego, co widzę, w centrum są już od paru godzin. Gazetka ścienna jest w ponad połowie zapełniona zdjęciami, pocztówkami i rysunkami. W jednym rogu Gray przykleił okładkę albumu Madonny *The Immaculate Collection*, płyty, która towarzyszyła ich przyjaźni przez ostatnie dwa lata. Dotarł do wszystkich nauczycieli Cameron i z nimi porozmawiał – niektórzy zachowali kopie jej wypracowań i wierszy. Jeden napisany w piątej klasie nosił tytuł *Liście miłorzębu*:

Płaskie balony. Spadochrony.

Każdy liść jakby płonął.

Wzbijające się do lotu marzenie. Stoję

Pod żółtym drzewem i myślę

O wczorajszym dniu. Czy wczorajszy dzień

Myśli o mnie?

Czytam te wersy ze ściśniętym gardłem. To coś więcej niż dobre pisanie; ukazuje bezbronność, której ja w jej wieku nie ośmieliłabym się wyjawiać, zwłaszcza w kwestii przeszłości. Nie byłam wtedy taka odważna. Możliwe, że nadal nie jestem, nie w ten sposób.

– Jest wyjątkowa, co? – odzywa się Gray spoza mnie.

– Tak, jest wyjątkowa.

Z pomocą Graya i Di Anne zajmuję się rzeczami, które przyniosłam za zgodą Emily – to rysunek kameleona, *Kochana Mamo, tęsknię*

za Tobą!, zdjęcie z plaży w Malibu z perłoworóżową muszelką i kilka innych, między innymi fotografia Cameron i Caitlyn Muncy na łyżworolkach, z włosami zaczesanymi w końskie ogony, które przekrzywiają się w różne strony, jakby dziewczynki się dopełniały.

– Rany, jakie są słodkie – stwierdza Di Anne, przypinając zdjęcie. – Nie pamiętam Cam w tym wieku.

Cam.

– Porozmawiałem z Caitlyn Muncy, jak pani prosiła – mówi Gray. – Wcale nie była wredna. Płakała.

– Cameron na pewno dla niej też wiele znaczy – odpowiadam.

– Dała mi to – wyciąga taśmę wideo. – Można ją odtworzyć?

Przeszukujemy zaplecze i znajdujemy schowek ze sprzętem audiowizualnym, rzutniki, stary magnetofon szpulowy, odtwarzacz Betamax, aż w końcu – bingo. Odtwarzacz wideo.

Włączamy go do kontaktu i cała nasza trójka w małej kuchence ogląda nagranie ze starej taśmy Magnavox. Obok, na parapecie pod przekrzywionymi żaluzjami, leżą szarawe sterty łusek śmy. Suchy zlew jest pełen spękanych naczyń ceramicznych. Telewizor ożywa i zaczyna szumieć, i nic innego już nie ma znaczenia. Pokój znika.

Cameron i Caitlyn co sił w płucach śpiewają do zabawkowych mikrofonów *Na morza dnie z Małej syrenki*. Kucyki podskakują z pełną mocą, kitka Cameron sięga jej niemal do pupy. Wyglądają już prawie na podlotki, ale twarze mają jeszcze dziecinne – dołki w policzkach, aparaty na zębach. Są promienne.

– To jest świetne – zwracam się do Graya, wzruszona i przytłoczona.

– Nie wiem, czy chciałyby, żebyśmy to pokazywali tłumowi ludzi.

– Dlaczego?

– To było dawno temu. I, no nie wiem, ale na tej taśmie wydaje się taka niewinna.

– Niewinność to dar, Grayu. – Słyszę w swoim głosie głębokie wzruszenie. – Zobacz, jaka jest piękna. Jeśli doświadczyła bólu, jeśli została skrzywdzona, tutaj tego nie widać. Uwolniła się od tego, choćby na minutę. Dzieciaki bywają takie wytrzymałe. Nigdy nie przestają mnie zadziwiać.

– Nie pomyślałem o tym w ten sposób.

Taśma się kończy, odtwarzacz trzeszczy, a później furkocze. Gray włącza przewijanie, a Di Anne go obejmuje, przytula i oglądamy nagranie jeszcze raz. Słońce przenika przez żaluzje i rzuca pojedynczą ukośną kreskę światła na ścianie tuż nad magnavoxem. Rozlega się śpiew:

*Rozejrzyj się wokół siebie,
Bo tutaj na morza dnie
Cudownie jest, proszę ciebie,
Gdzie lepiej być może, gdzie?*

(czterdzieści siedem)

Tego wieczoru umówiliśmy się z Willem piętnaście po szóstej, żeby przećwiczyć jego przemowę, ale o tej porze ludzie już zaczęli się gromadzić. Pod ścianą w głębi ktoś rozstawił duży stół, pełno na nim potraw. Każdy coś przyniósł: jest wolnowar z grillowanymi klopsami, ser, krakersy i stosy bułek, plastikowe sztucce, papierowe serwetki, różowa lemoniada i wieża styropianowych kubków. Przez chwilę czuję zaskoczenie, ale przypominam sobie, jak to jest w małych miasteczkach, gdzie każde publiczne zgromadzenie oznacza jedzenie. A jedzenie zawsze przyciąga ludzi, dzięki niemu mają co zrobić z rękami.

Wkrótce sala zaczyna się zapełniać. Wanda rozdawała ulotki i dobrze wywiązała się ze swojego zadania. Zjawiają się wszyscy mieszkańcy miasteczka, dlatego że przyszedł na to czas – na to, żeby przyjść i się podporządkować, powiedzieć „tak” prawdzie i po prostu pójść tam, w to miejsce, gdzie my już jesteśmy.

Tuż przed rozpoczęciem widzę, że zjawia się Steve Gonzales z niską, ładną kobietą, która najpewniej jest jego żoną. Trzyma dłoń na jej ramieniu, kłania mi się skinieniem głowy i idzie na miejsce obok grupy młodych ludzi, którzy z pewnością są uczniami liceum. Kilka minut później przychodzą Clay LaForge z Lenore, oboje nieco speszeni, w każdym razie na takich wyglądają, i zajmują miejsce w tylnym rzędzie. Zjawia się Lydia Hague i subtelnie macha na powitanie. Później zauważam, jak wchodzi wysoka, atrakcyjna kobieta z osobliwym srebrnym kosmykiem w falistych czarnych włosach. Ma ze sobą chłopca i dziewczynkę. Przyglądam się reakcji Willa. To jego rodzina: Beth z jego dziećmi.

- Idź do nich – mówię.
- Za chwilę.

Dociera do mnie, że moje domysły na temat rozpadu ich związku mogą być prawdziwe, i jest mi z tego powodu potwornie smutno, współczuję im wszystkim. Córce Willa w bielonych dżinsach z dziurą na kolanie, synowi z tymi samymi gęstymi kasztanowymi włosami, tą samą mocno zarysowaną brodą i szarymi oczami. I jego żonie, której nie znam, ale mimo wszystko wydaje mi się kimś bliskim. W czasie takim jak ten muszą się trzymać razem. Ludzie w kryzysie zawsze tak robią.

Przychodzi pora na przemowę Willa i okazuje się, że w sali jest tylko dwoje dziennikarzy i żaden z nich nie wziął ze sobą ekipy telewizyjnej. Will słusznie przewidział, że każda stacja stąd po San Francisco będzie relacjonować przyjazd Winony Ryder do Petalomy, a nie nasze zgromadzenie. Przez cały dzień w biurze Willa krążyły plotki, że aktorka poszła w teren z ekipą poszukiwawczą i godzinami wołała Polly przez megafon.

Ale ja nie mam zamiaru pozwolić sobie na rozczarowanie. To, co się dzieje w związku ze sprawą Polly, to jedno, a czymś innym jest to, co się dzieje tu i teraz. Przyszło całe miasteczko. Dwa razy więcej ludzi, niż oczekiwałam. Jest i Tally, a obok niej na elektrycznym wózku inwalidzkim siedzi ciemnoskóry mężczyzna, którego nie znam. Zamknęli Pattersona i przyszli wszyscy pracownicy, wielu jeszcze w służbowych strojach. Sprzedawcy z Mendosa Market, facet, który nalewa mi paliwo na stacji w Little River, kobieta od dwudziestu pięciu lat prowadząca oddział poczty. I Cherilynn Leavitt, która odbiera telefony w biurze szeryfa, ze Stewartem, swoim kudłatym chłopakiem, muzykiem dającym folkowe koncerty w kilku lepszych hotelach. I Gray z mamą, Caitlyn Muncy z ojcem, Billem, który prowadzi „Mendocino Beacon”, a nawet Caleb, jak widzę, i niewiele brakuje, żebym się rozplakała, bo wiem, ile go to kosztuje, jakie wspomnienia czyhające przy powierzchni może przywołać.

Kiedy w sali zapada cisza, Will przesuwając się przed ścienną gazetkę Cameron, gdzie czeka mikrofon, i podnosi nowy plakat z informacją o zaginięciu ze słowami PODEJRZENIE PRZESTĘPSTWA bijącymi po oczach czerwienią.

– Większość z was znam – zaczyna. – I wiem, na co was stać. Jakie macie serca. 21 września Cameron Curtis zniknęła z domu w środku nocy. Mamy podstawy sądzić, że została do tego zmuszona. Od tego czasu zgłoszono zaginięcie dwóch innych dziewczyn, o czym z pewnością wiecie, nie dalej niż sto pięćdziesiąt kilometrów od nas. Nie wiemy, czy zniknięcie Cameron ma z nimi coś wspólnego, ale coś wam powiem. Wszystkie te dziewczyny nas teraz potrzebują. Każdego z tej sali i z całego hrabstwa, z całego wybrzeża. Proszę was o zgłaszanie się do pomocy w poszukiwaniach. Pracujecie. Wiem. Macie swoje życie, ale może poświęćcie jedno popołudnie w tygodniu, żeby wyjść w teren z ekipą poszukiwawczą. Może roześlecie ulotki ze swojego kuchennego stołu. Będziecie odbierać telefony, chodzić od drzwi do drzwi, przekazywać informacje. Niektórzy z was znali Cameron, ale wielu nie miało okazji jej poznać. Jej mama i tata są skrytymi ludźmi i trzymali się na uboczu. Jednak nawet jeśli widzicie Cameron po raz pierwszy na tych ogłoszeniach, chcę, żebyście się dobrze przyjrzeni. – Odwraca się w stronę gazetki. – Ktoś skrzywdził tę dziewczynę. Nie wiemy kto, ale to teraz nasz problem. Jest jeszcze dzieckiem i zasługuje na lepszy los. Postarajmy się, żeby taki ją spotkał. Sprowadźmy ją do domu.

Wśród gromkich oklasków wstaje Troy Curtis i wychodzi na przód sali. Ledwie go poznaję. Wygląda o dziesięć lat starszej od czasu, kiedy ostatnio go widziałam, blady i odrętwiały sięga po mikrofon. Po raz pierwszy nie dostrzegam w nim arogancji.

– Cameron jest wyjątkową osobą. – Widać, że się wysila, żeby panować nad głosem. – Zjawiała się u nas, kiedy miała cztery lata. W głowie się nie mieści, że ktoś mógłby chcieć ją skrzywdzić. Każde takie przestępstwo wobec dziecka jest potwornością. Jakiegokolwiek dziecka. To niewinna dziewczyna. Proszę, pomóżcie mi ją odnaleźć. – Głos załamuje mu się ze zdenerwowania. – Wiem, że jest gdzieś żywa. Czuję to. – Przytłoczony nadmiarem emocji Troy oddaje mikrofon Willowi i wraca na swoje miejsce, a w sali zaczynają podnosić się ręce i padają pytania. Rozglądam się po twarzach w pobliżu Troya, szukając Emily, ale nie ma jej z mężem. Jednak nie jest gotowa.

Sala pustoszeje późno. Stoję przy drzwiach gotowa do wyjścia, żeby sprawdzić, co u Cykady, kiedy mija mnie wychodzący Caleb. Chwytam go za rękę i czuję, że jego ciało jest sztywne. Ramiona ma jak z kamienia, ale nie ma się co dziwić. Na pewno nosi w sobie tyle wspomnień, tyle bólu.

– Cieszę się, że przyszedłeś – mówię.

– Jakimś cudem. Chyba zaangażowałaś się w tę sprawę, co?

– Wydała mi się zbyt ważna. Złapmy się niedługo, dobra?

– Chętnie – odpowiada.

Kiedy wychodzi, zjawia się Tally.

– Mój mąż, Sam – z ciepłą, szczerą miną przedstawia towarzysza.

Mężczyzna na wózku jest od niej młodszy, ma ze trzydzieści pięć, czterdzieści lat i jest rdzennym Amerykaninem, z długimi czarnymi włosami zebranymi w schludny kucyk i ciepłymi, ciemnymi oczami. Kiedy odwiedziłam ją w Comptche, założyłam, że jest samotna, ale wygląda na to, że nie.

– To pani detektyw, o której ci opowiadałam – wyjaśnia Samowi.

– Dzięki za to, co pani robi – mówi. – Mogę pomóc przy odbieraniu telefonów czy czymś innym, ale pomyślałem też, że mogę udostępnić moje studio jogi dla każdego, kto chce przyjść i posiedzieć chwilę w ciszy, odetchnąć. Dzieciakom ze szkoły Cameron. Komukolwiek.

– To wspaniałomyślne z pana strony. Dziękuję.

– Zająłem się tym po wypadku i to odmieniło moje życie. Teraz pracuję z wieloma weteranami, ludźmi z uszkodzeniem rdzenia kręgowego, którzy mają problemy z połączeniem umysł–ciało.

– Nie bardzo wiem, o co chodzi.

Patrzy na mnie, mrużąc jedno oko, lekko karcącym spojrzeniem.

– Umysł. Ciało. Połączenie. Co jest niejasne?

– Sam. – Tally się śmieje. – Zachowuj się.

– Nic się nie stało. Jest zabawny.

– Wykorzystuje swoje wdzięki – mówi Tally. – Potrafi być bardzo przekonujący.

– Zapraszam na moje zajęcia – wypala Sam.

– Widzi pani? – Tally znów parska śmiechem, melodyjnym i dźwięcznym.

– Aż tak widać, że potrzebuję pomocy?

– Polubiłaby pani ludzi, z którymi pracuję – odpowiada Sam. – Mają za sobą niesamowite historie i są bardzo silni. Nie ustają.

– W czym?

– W próbowaniu.

(czterdzieści osiem)

W połowie drogi do samochodu zatrzymuje mnie Will i proponuje, żebym pojechała do niego na drinka. Nigdy nie byłam w jego domu, więc czuję się niepewnie, kiedy wyjeżdża z miasteczka, kierując się na południe nadmorską drogą, i zatrzymuje się dopiero piętnaście minut później, kiedy docieramy do Elk. Miasto jest zaledwie kropką na mapie. W dawnych czasach wyrębu lasów było sporą miejscowością, ale obecnie mieszka tu niespełna pięćset osób w skupisku domów wokół sklepu wielobranżowego i restauracji Queenie's Diner, gdzie Hap i Eden czasami zabierali mnie w weekendy na śniadanie.

Will parkuje obok sklepu. Bielone schody prowadzą do wąskich drzwi z numerem mieszkania.

– Nie wiedziałam, że ktoś tu mieszka – mówię na ciemnej ulicy, wypuszczając Cykadę z samochodu.

– Wprowadziłem się niedawno – wyjaśnia. – Muszę cię uprzedzić, że dawno nie sprzątałem.

Idę za nim po schodach, a Cykada tuż za mną, i obserwuję miejsce pomiędzy łopatkami Willa. Ta chwila wydaje się nieco zbyt intymna, a może wystarczająco intymna, zależy jak upadnie moneta. Przez moment wiruje we mnie, kręci się i nie daje odpowiedzi. Will otwiera drzwi i włącza światło. To kawalerka, skromna i pusta. Nie widać kawalerskiego niechlujstwa. Ale przecież on nie jest kawalerem.

– Kiedy się wyprowadziłeś? – Rozglądam się. Jest sofa, ława, mały stół z jednym wolnym krzesłem i drugim obładowanym dokumentami.

– Parę miesięcy temu. Beth uznała, że tak będzie lepiej dla dzieci.

– Tak mi przykro, Will.

Wzrusza ramionami zrezygnowany.

Przyglądając się jego twarzy, uświadamiam sobie, że od przyjazdu nie bardzo wykazałam się jako przyjaciółka. Widać było, że ma kłopoty, a ja nie zdobyłam się na to, żeby go zapytać, co się dzieje w jego małżeństwie. Ledwie radziłam sobie z moimi własnymi kryzysami, żeby brać na siebie cudze. Ale to nie było ani w porządku, ani uprzejme.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy mam siły...

Na chwilę marszczy czoło, ale otrząsa się z myśli czy odczuć i wyciąga z lodówki smukłą butelkę wódki. Po takim wieczorze picie mocnych trunków nie jest chyba najlepszym pomysłem. Wiem też, że ostatnio trochę za bardzo wspierałam się alkoholem, ale z jakiegoś powodu nie jestem w stanie wypowiedzieć żadnej z tych rzeczy na głos, kiedy Will podchodzi ze szklaneczkami wódki z lodem.

– Co wynikło z twojej wyprawy do Gualali? – pyta Will.

– Niewiele. Karen była wobec mnie dość powściągliwa, jednak mimo wszystko uważam, że te dwie dziewczyny mają ze sobą więcej wspólnego, niż mogłoby się wydawać. Pamiętasz, jak Karen powiedziała tobie i Denny’emu, że Shannan zaczęła uprawiać seks w szóstej klasie? To oczywista wskazówka. W tym wieku nikt dobrowolnie nie robi loda w łazience, Will. Pożądanie nie ma tu nic do rzeczy. Seks nie ma tu nic do rzeczy. Ona rozładowywała jakiś emocjonalny bagaż, świadomie czy też nie.

– Myślisz, że ona też była wykorzystywana?

– Możliwe, ale granice mogły jej się zatrzeć i z wielu innych powodów. Jeśli na przykład widziała bitą matkę. Jeśli miało miejsce dużo przenosin czy występowały zaniedbania. Możliwe, że Karen była tak pochłonięta własnymi problemami, że nie potrafiła stworzyć więzi z Shannan albo zrozumieć jej potrzeb. I gdzie w tym wszystkim jest ojciec? Z pewnością porzucił rodzinę, a to kolejny cios. Wyrwa do zapełnienia.

Will prostuje się i kręci szklanką, aż kostki lodu dzwonią.

– Dobra, powiedzmy, że masz rację i że obie wysyłały ten sygnał Batmana, obie były nie do końca idealnymi dziewczynami. I co dalej? Jaki facet na takie poluje? Kogo szukamy, Anno?

– Jeszcze nie wiem, ale o niczym innym nie myślę. – Pstryknięciem palców przywołuję Cykadę i kładę dłonie na jej ciepłym łebku. Nie mogę się nadziwić, jak szybko przywykłam do jej obecności i jak wiele już dla mnie znaczy.

– Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego oboje jesteśmy tu w tej chwili? – pyta Will.

– Bo miałaś ochotę na drinka?

Liczyłam na uśmiech, ale on jest oficjalny.

– Mam na myśli Mendocino. I całą tę sytuację.

– Zła karma? – próbuję znowu.

– Bardzo zabawne. – Kaszle i przysuwa się do mnie na kanapie, aż nasze kolana dzieli zaledwie kilka centymetrów i czuję, jak ciepło jego ciała sączy się w tej przestrzeni.

– Rzeczywiście, czasami zdaje się, że to była karma. Ale podobno życie przynosi tylko to, co możemy udźwignąć.

Zdobywam się na pusty śmiech.

– Nie można powiedzieć, żebyśmy byli największymi szczęściarzami.

– Fakt. – Wypija duży łyk wódki, opróżniając szklanekę bez wysiłku. Doskonale to znam. Im szybciej pijesz, tym szybciej jesteś w stanie wymazać to, co chcesz usunąć. – Mogę ci coś pokazać?

Skupiam się na szklance w dłoni.

– Jasne.

(czterdzieści dziewięć)

Mieszkanie to jedna długa przestrzeń, oddzielona z tyłu ścianką, dzięki czemu wyodrębniono łazienkę i sypialnię. W każdym razie spodziewam się, że to sypialnia, i z niepokojem się zastanawiam, czy przegapiłam jakieś romantyczne sygnały. Ale kiedy Will otwiera drzwi i zapala światło, widzę tylko stos pudeł na środku pustego pokoju.

– Gdzie śpisz?

– Na sofie. Wystarcza mi. Nie śpię dużo.

Myślę o Hapie. O jego zwyczaju drzemania w salonie z kocem naciągniętym pod brodę – kiedy odpoczywał, myślał i roztrząsał problemy tego świata. Patrząc na kartony i już mam spytać, o co chodzi, ale nagle doznaję olśnienia. Decyzja Beth o rozstaniu. Jego bezsenność. To, że pije wódkę jak wodę. Wszystko wynika z jednego problemu, jednej obsesji.

– Chodzi o Jenny.

– Nie tylko, ale tak. – Podnosi pokrywę pierwszego pudła i wyciąga nieostrą fotografię ładnej nastolatki. Zadarty nos, proste zęby widoczne w szerokim uśmiechu, oczy z kącikami opuszczonymi ku dołowi, ale promienne, nadal otwarte na to, co ją czeka. Nie rozpoznaję jej, choć mam wrażenie, że powinnam.

– Yvonne Lisa Weber – mówi, odczytując moje spojrzenie. – Jedna z ofiar zabójcy autostopowiczek z Santa Rosa.

– Chwileczkę. – Przypominam sobie, że podjął ten temat w rozmowie z Rodem Fraserem w Petalumie, doszukując się powiązań. – O co tu chodzi?

– To takie moje zadanie. Wiele z tych dziewczyn zaginęło w tym samym roku co Jenny.

– I myślisz, że te sprawy mają związek. – Wypuszczam powietrze zaskoczona. Nawet nie wiedziałam, że wstrzymuję oddech. –

Żadnego związku nigdy nie stwierdzono. Pamiętam to z dzieciństwa.

– Zgadza się, ale ja zawsze uważałem, że policji coś umyka. Że mój tata przegapił jakiś wątek albo że nikt nie przyjrzał się sprawie dostatecznie wnikliwie.

Mowa jego ciała zdradza, jak bardzo jest zaangażowany i że nic w tym wszystkim nie jest teoretyczne ani czysto przypadkowe. Mnie też od początku mojej kariery zawodowej napędzały obsesje, które nadal są obecne, może nawet głośniejsze i bardziej natarczywe niż wcześniej.

– Myślisz, że te stare sprawy mają coś wspólnego z Cameron?

Jego wzrok przeskakuje z kartonu na moją twarz i wraca do pudła.

– Niekoniecznie. Ale nie potrafię się wyzbyć myśli, że jeszcze mógłbym dociec, co się stało z Jenny. A wskazówka może znajdować się tutaj. – Wyciąga kolejne zdjęcie, tym razem Maureen Louise Sterling, przyjaciółki Yvonne Weber. – Znikły razem w lutym siedemdziesiątego drugiego roku, kiedy po zmroku wyszły z lodowiska. Miały trzynaście lat.

Właściwie nie chcę wziąć do ręki tych dwóch zdjęć, kiedy podaje mi je Will, jedno po drugim. Wydrukowane zostały na papierze lekkim jak piórko, a jednak niemożliwie ciężkim. Dziewczynki mogłyby być siostrami, tak są do siebie podobne. Brązowe oczy. Zadarte nosy. Ciemne proste włosy z przedziałkiem na środku, opadające na szczupłe ramiona. Ich wzrok coraz bardziej mnie przyciąga.

– Kiedy zacząłeś nad tym pracować? – pytam w końcu.

– Po śmierci Jenny. – Wzrusza ramionami.

Cholera.

– I czego się dowiedziałeś?

– Że dwudziestoletnia obsesja na czymkolwiek punkcie rozpieprzy ci życie.

– Och, Will. – Serce mi kołacze. Wiedziałam. – Przykro mi.

– Zniszczyła moje małżeństwo.

– Opowiedz mi o tym. Opowiedz mi o Beth.

Odwraca wzrok i muska dłonią foliową koszulkę pełną wycinków ze starych gazet.

– Proszę...

– Jest święta.

– Nikt nie jest święty.

– No to dla mnie jest prawie święta. Poznaliśmy się tuż po studiach przy Mount Shasta. Biwakowałem tam z kumplami. Ona z koleżankami były na sąsiednim kempingu. I to by było na tyle.

Muszę się uśmiechnąć.

– Miłość i ziemniaki z ogniska?

– I kilka kartonów coors light. Owszem. – Znow sięga do pudła i wyciąga kolejne zdjęcia, notesy i fiszki spięte suchymi jak pieprz gumkami.

– Oprócz Jenny śmierć tych dziewczyn dotknęła mnie najbardziej. Siedem ofiar w ciągu osiemnastu miesięcy, licząc Jenny. Ale te dwie były najmłodsze. Jedyne uprowadzone razem. Jedna patrzyła, jak druga umiera przed nią. Wyobrażasz sobie? Były przyjaciółkami.

– Dwadzieścia lat to długo jak na jedno niewyjaśnione morderstwo, a co dopiero siedem, Will. – Czekam, aż moje słowa do niego dotrą. – Czy Beth naprawdę nie rozumie, dlaczego nie możesz odpuścić tej sprawy? Chyba zna twoją przeszłość? Wie, co cię łączyło z Jenny? Jak mogła tak po prostu z siebie zrezygnować?

– Nie zrezygnowała. Nigdy. Sam się poddałem.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie otwierałem tych pudeł od jakiegoś czasu. Może z rok. – Drapie się po głowie i pociąga nosem, próbując powstrzymać łzy w typowy dla mężczyzn sposób, udając, że ma katar. Problemy z zatokami. Zawsze mnie to rozczulało i rozwścieczało, ale w przypadku Willa głównie mnie rozczula. Żal mi go.

– Więc dlaczego teraz?

– Nie wiem. Może przez Cameron i pozostałe dziewczyny w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. Może to przez Internet. Do tej pory nie mieliśmy takiego narzędzia ani niczego podobnego. Kilkom wciśnięciami klawisza można dotrzeć do milionów ludzi, a na pewno choć jeden z nich będzie coś wiedział.

Ma rację. To początek zupełnie nowej ery. Okazja, żeby jeszcze raz pochylić się nad tą sprawą i nad tysiącami poszukiwań, które nie przyniosły rezultatów, na tyle licznych, żeby wypełnić paszczę grzęzawiska.

– To nie może być zbieg okoliczności – ciągnie. – Oboje tu wtedy byliśmy i oboje jesteśmy teraz. Nie sądzisz, że to jakiś znak? Powinniśmy ponownie zająć się tą sprawą. I ją rozwiązać.

Niemal kręci mi się w głowie, kiedy go słucham. Duża część mnie dałaby wszystko, żeby w końcu zamknąć sprawę zabójstwa Jenny z tych samych powodów co Will i moich własnych. Ale on ma na myśli także te pozostałe dziewczyny, a to ogromne wyzwanie dla każdego.

Will nie czeka na moją odpowiedź, nie czeka na nic, wzbierająca w nim fala nabiera pędu.

– W Petalumie Baressi o czymś wspomniał, jak poszłaś po kawę. FBI pracuje nad uruchomieniem krajowej bazy danych łączącej laboratoria kryminalistyczne w całych Stanach. Wiesz, jak teraz się wszystko ślimaczy, jakie jest chaotyczne. Kiedy ta baza danych ruszy, próbkę nasienia po gwałcie w Seattle będzie można powiązać z przestępcą skazanym w Filadelfii albo Waszyngtonie. Pomyśl, Anno, o tych wszystkich nierozwiązanych sprawach, które mogłyby dostać drugie życie. Coś niesamowitego.

– Bez wątpienia ekscytująca perspektywa. Ale w czym to nam teraz pomoże? Dlaczego mnie tu ściągnąłś?

Na jego twarzy malują się mieszane uczucia. Bierze głęboki oddech.

– Przywiozłem cię tutaj, bo miałem nadzieję, że ty też to dostrzeżesz. Że przy okazji rozwiążemy sprawę Jenny. Ich wszystkich.

Minę ma przejętą. Wiele go kosztowało, żeby pokazać mi te rzeczy.

– Może kiedyś – mówię w końcu, bojąc się obiecywać więcej. – Jak to wszystko się skończy.

Niepostrzeżenie zaczyna się do mnie przysuwać. Czuję jego krem do golenia Barbasol pod zapachem wódki, którą piliśmy. Czuję jego zdenerwowanie, pragnienie.

– Will – mówię. Ale on już się pochyla, żeby mnie pocałować. Pocałunek, na który trzeba było czekać całą wieczność, z tygodniami kryzysu i chaosu. Jego wargi są ciepłe i natarczywe. Jego usta smakują zapomnieniem.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że tego nie chcę. Nie chodzi o sam seks, lecz o oderwanie się od całej tej sytuacji. Zamykam oczy i padam w jego ramiona. Ale po wszystkim będę przecież w tym samym miejscu, tylko z dodatkowym poczuciem winy i żalu. Dość już zraniłam Brendana. Nawet gdyby się nigdy nie dowiedział, zламаłam zbyt wiele obietnic, żeby dokładać do tego niewierność.

Wargi Willa napierają mocniej, jego język rozchyła moje usta.

– Proszę, nie. – Cofam się niezdarnie. Jego mina mnie dobija.

Jest zraniony, dezorientowany. W jego oczach zbiera się rozczarowanie z całych dekad niczym burzowe chmury. Został już wyrzucony z małżeństwa. Do tego presja miasteczka, zadanie niemożliwe do wykonania. On wcale nie chce seksu, chce koła ratunkowego. Tratwy, która utrzyma go na powierzchni w zapomnianej przez Boga nicości, albo choć kawałka dryfującego drewna, o ile będziemy mogli się go uchwycić oboje.

W drugim pokoju dzwoni telefon, a ja podskakuję. Eksplozja przenikliwego dźwięku.

– Niech dzwoni – kwituje Will.

– Nie. Odbierz.

– Anno.

Zdaje się, że dzwonienie ciągnie się całą wieczność. Cykada wydaje w salonie jedno wysokie, ostre szczeknięcie i Will w końcu idzie odebrać. Niemal drżąc, znajduję drzwi do łazienki, zamykam się w środku i surowym wzrokiem spoglądam w lustro. *Nie rób tego*. Moje oczy napotykają w szkle jej oczy. Myślę o Brendanie, myślę o kobiecie, którą byłam nie tak dawno temu. Popełniłam potworne błędy, to prawda. I może za bardzo pochłaniała mnie praca, i nie byłam tak naprawdę przy nim i dla naszej rodziny. Ale to nie znaczy, że go nie kocham. W głębi duszy się nie poddałam i ciągle mam nadzieję, że zdołam odzyskać jego zaufanie i będę mogła wrócić do domu. Ale nigdy nie będę miała takiej możliwości, jeżeli teraz pójdę do Willa, choć jego ramiona w tej chwili mogą mi dać pokrzepienie.

Słyszę pod drzwiami Cykadę, która mnie szuka, spędzam jednak w łazience jeszcze chwilę, spryskuję twarz zimną wodą i wycieram ją ręcznikiem Willa. Nawet to wydaje się zbyt intymne. Nie mam

wątpliwości, co powinnam zrobić. Jeszcze wiem, gdzie znajduje się geograficzna północ.

Z drepczącą za mną Cykadą idę przez korytarz do części dziennej, starając się znaleźć słowa, które przekonają Willa, że zawsze mi na nim zależało i właśnie dlatego muszę w tej chwili wyjść. Że nie mogę dać mu tego, co nie należy do mnie. Że nie możemy pozostać na tej tratwie poturbowani, nawet dla siebie nawzajem. Nawet dla Jenny. Dla nikogo i niczego. Musimy skoczyć i płynąć co siłą, samotnie, bo tylko tak uda nam się dopłynąć do brzegu.

Will właśnie skończył rozmowę, ciężka plastikowa słuchawka wygląda w jego dłoni obco i niepozornie.

– Znaleźli samochód, który mógł należeć do Shannan Russo. Namierzył go dziś późno helikopter hrabstwa Sonoma. Ekipa Denny’ego jedzie o świcie to sprawdzić.

– Musimy przy tym być.

– Zgoda. Wyjedziemy o szóstej. Ubierz się ciepło. To może być długi dzień.

– Will... – Czuję potrzebę nazwania tego, co się stało, przejścia przez to, a nie obok tego. Jesteśmy to sobie winni.

Ale on mnie powstrzymuje.

– Prześpij się. Jutro wcześniej zaczynamy.

(pięćdziesiąt)

W odległej części Montgomery Woods, godzinę drogi na południowy zachód od nas, stoi firebird Shannan, ukryty wśród kępy drzew za rzadko uczęszczaną polną drogą dojazdową. Wygląda tak, jakby przez dach nalano do środka benzyny albo innej substancji, która wzmogła płomień na tyle, że spaliły się fotele, stopiły się farba, opony, wycieraczki i kierownica. Szyby w pewnym momencie eksplodowały, rozrzucając szkło niczym móżdziej poza pierścień spalonej roślinności.

Kiedy przyjeżdżamy, Denny Rasmussen i jego ludzie są już na miejscu, a z nimi koroner i ekipa kryminologów, którzy zaczęli badać spalony, zgnieciony samochód. Jestem rozczarowana rozmiarem szkód. Potrzebujemy odcisków palców, włosów albo włókien, czegoś, co dostarczyłoby podstawowych informacji, ale z auta została zaledwie zwęglona skorupa. Trudno przypuszczać, że przetrwał jakiś dowód.

– W porządku? – pyta Will.

Z tonu jego głosu nie jestem w stanie się domyślić, czy chodzi mu o wygląd miejsca, czy coś bardziej osobistego, ale tak czy owak, nie mam czasu mu odpowiedzieć. Technicy kryminalistyczni przeszli do bagażnika, który sprawia wrażenie zachowanego lepiej niż cała reszta. Przyłączamy się, kiedy udaje im się go otworzyć. I wtedy zapada cisza. Zderzamy się ze ścianą odoru, gęstego i ciężkiego. Jej ciało leży w pozycji embrionalnej, z otwartymi oczami zapadniętymi w czaszkę jak galareta. Usta ma rozchylone, a przez szparę widać rząd zębów.

Zbieram się w sobie, wkładam emocjonalną zbroję, żeby skupić się na pracy. Choć to niełatwe. Ręce wykręcono jej do tyłu, dłonie związane cienkim elektrycznym kablem, pewnie od przedłużacza. Bagażnik ochronił ciało przed płomieniem, ale przy okazji utrzymał

wilgoć i ciepło. Jej płyny ustrojowe utworzyły kałużę, jakby unosiła się na jeziorze siebie samej, w którym czerw wije się jak piana, jak sunąca fala.

– Matko Boska – mruczy Denny. Jest atletycznie zbudowany, z jasnymi włosami i nogami cyklisty, jego masywne łydki ciasno opina materiał bojówek. Fizyczna siła tu mu jednak nie pomoże. Zbladł. Ja pewnie też. Choć szczątki ofiar morderstwa widziałam wiele razy, zawsze odbieram to jak gwałt na psychice. Ludzki umysł nie potrafi nic z tego zrozumieć.

Mimo to musimy się tym zająć. Musimy patrzeć na wszystko dociekliwym wzrokiem. Musimy przyznać, że choć znalezienie ciała w takim stanie jest czymś strasznym, Shannan nie jest już przynajmniej zaginiona. To sukces. Gówniany, ale zawsze. Koroner Robert Lisicky w milczeniu przez kilka minut ogląda ofiarę, a później dłonią w rękawiczce poprawia okulary w drucianych oprawkach.

– Rasa biała, na podstawie włosów. Od kilku miesięcy tutaj, sądząc po stanie rozkładu ciała. Zamknijmy bagażnik. Musimy przemieścić auto do zamkniętej przestrzeni, żebyście nie stracili dowodów. Możecie ściągnąć lawetę?

– Jasne – odpowiada Denny i oddala się, żeby zadzwonić. Jeden z jego zastępców wycofuje się, jakby chciał pójść za nim, ale pędzi pod drzewa i wymiotuje.

Zerkam na Willa, zastanawiając się, jak to znosi. Jest zawodowcem, lecz mimo wszystko to dla niego nowość. A przekonałam się, że mężczyźni chyba zawsze gorzej od kobiet radzą sobie z rozgraniczeniem pewnych kwestii. Kobiety są silniejsze, bo muszą.

Przyglądam się, jak lekko chwieje się obok mnie, aż w końcu znów się prostuje, a Lisicky wyciąga z kieszeni dwa małe słoiczki i ostrożnie zbiera okazy z kwiatostanu robaków na ciele. Entomolog, miejmy nadzieję, pomoże nam określić, jak długo tu była. Podobnie jak raport z sekcji zwłok. Na razie z bagażnika są zbierane odciski palców, później zostaje zaplombowany taśmą policyjną, a samochód sfotografowany ze wszystkich stron. Dziwne, że ogień nie rozprzestrzenił się poza wielki pierścień spalenizny okalający samochód. To podejrzane. Lato jest tutaj suchą porą. Płomienie

powinny były strawić całe hektary, połowę cholernego parku, tak się jednak nie stało.

Will też zwrócił na to uwagę. Wskazuje ogołoconą, poczerniałą roślinność pod wrakiem, a później linię drzew.

– Jeśli ten facet jest amatorem, to miał szczęście.

– Może doskonale wiedział, co robi – wtrąca Denny. – Może to strażnik parku?

– Shannan nie miała żadnego powodu, żeby znaleźć się w tym lesie – dodają. – Nie wybrała się na biwak, została napadnięta w samochodzie i zwabiona tutaj. Zabójca zna te drogi. Wiedział, że samochód nie zostanie szybko znaleziony.

– Zaczniemy sporządzać listę pracowników parku na podstawie bazy danych, żeby sprawdzić, czy ktoś do tego pasuje – informuje Denny. – Służba Leśna na ogół dokładnie weryfikuje kandydatów do pracy, zresztą bo ja wiem. Może zabójca jakoś zdołał powstrzymać pożar przed rozprzestrzenieniem, kiedy go wywołał. To niełatwe, o ile pogoda nie sprzyja.

– Nie pamiętam, żeby padało tu na początku czerwca – stwierdza Will. – Ale potwierdzimy to zaraz w Archiwum Danych Meteorologicznych.

– Zabił ją tutaj czy tylko szukał miejsca, żeby porzucić samochód i ciało? – pytam, choć wiem, że nie otrzymam odpowiedzi. Dowiemy się czegoś dopiero po sekcji zwłok i kiedy otrzymamy raporty z miejsca zbrodni, a może nawet to wszystko niczego nie wyjaśni.

– Zaczniemy przeszukiwać cały ten obszar – proponuje Denny. – Są w tym parku chaty strażników i szałaszy dla turystów. Jeśli przywiózł Shannan tutaj jej samochodem, to jak się wydostał, o ile nie czekało na niego inne auto? Albo nie mieszka gdzieś na terenie parku?

– Może miał współnika – rzuca Will. – To jedna z teorii w sprawie zaginionej Klaas. Że był jeszcze kierowca, który został w samochodzie, kiedy ten drugi poszedł po Polly.

– To możliwe – muszę przyznać, chociaż w głębi duszy mocniejszy głos mówi mi: „nie”. Że facet był sam, że był wystarczająco silny, żeby podnieść ciało i wsadzić je do bagażnika, i na tyle obeznany, że wiedział, jak zapanować nad poważnym pożarem w znanym sobie lesie. Może to strażnik, jak zasugerował Denny. Tak czy siak,

jeśli to ten sam facet, który pod koniec września uprowadził Cameron, to odczekał cztery miesiące, zanim ponownie wyruszył na łowy. Mimowolnie zastanawiam się, czy to możliwe, że Cameron też jest w tym parku, ukryta gdzieś niedaleko? Czy jej przerażająca udreka jeszcze trwa, czy jest już za późno?

Spoglądam znów na samochód, ostatni bastion, bez świadków. Myślę o zdjęciach z portfela Karen, jej opowieści o warkoczu kłosisie. Dziewczyna z bagażnika nie wygląda jak ta, która kiedyś chciała zostać księżniczką Disneya. Ale to Shannan, wiem to. Była torturowana, zanim ją zniszczono.

(pięćdziesiąt jeden)

W Montgomery Woods ostatni raz byłam jako nastolatka. Była późna, ciepła wiosna, jeden z rzadkich wolnych dni Hapa. Wywiózł nas z Mendocino drogą prowadzącą z Ukiah do Comptche, z jedną dłonią na kierownicy, drugą wystawioną przez okno. Kilka kilometrów przed rezerwatem przyrody, na niepozornej, wąskiej Orr Springs Road zjechał swoją terenówką na pobocze i wyłączył silnik. Wyjął plecak z bagażnika, wypił trochę wody i poprowadził nas prosto do lasu, w którym na długości wielu kilometrów nie było szlaku.

Wędrówka była trudna, taka, jaką oboje lubiliśmy. Brnęłam za nim, gałęzie kłuły mnie przez dzinsy, atakowały dłonie, pajęczyny oplatały mi włosy i oblepiały twarz. Ale po chwili zdołałam dorównać mu kroku. Moje nogi z roku na rok stawały się silniejsze, a umiejętności znacznie się rozwinęły. Mając dziesięć lat, byłam ostrożnym cieniem Hapa, za to w wieku piętnastu nabrałam zwinności i sprawności. Dobiegał końca sezon kwitnienia kalmii, a rozpadające się białoróżowe kępki w kształcie gwiazd pokrywały ziemię niczym zużyte konfetti. Przedzierając się przez ich gęste skupisko, zeszliśmy do małej doliny, w której roślinność zamieniła się w paprocie i pnącza podmokłych łąk i gdzie pachniało błotem. Kierując się na południe, zielonym brzegiem łąki przeszliśmy jeszcze kilometr, aż dotarliśmy do gęstego olchowego lasu, a później rozległego lasu sekwoi. Na środku stał gigant tak wysoki, że rozboleła mnie szyja, gdy spojrzałam w górę, żeby zobaczyć, jak wysoko sięga.

– Niektórzy twierdzą, że to najwyższe drzewo na świecie – oznajmił Hap. Był w weekendowym stroju: niebieskiej flanelowej koszuli, dzinsach i brązowym filcowym stetsonie. Jego sumiaste, srebrzyste wąsy poruszały się wraz z wargami. – Możliwe, że inne, w Humboldt, jest wyższe.

– Ile ma metrów?

Spojrzał w górę po powierzchni pnia, lekko zmierzwionego w miejscach, gdzie włókna odstawały niczym kępki włosów, czerwone i brązowe, niemal ludzkie.

– A czy to takie ważne? Jeśli coś urosło takie wysokie mimo wszystkich przeciwności wszechświata, może powinniśmy mu po prostu powiedzieć „dziękuję”.

Jak zwykle miał rację. Podążyłam wzrokiem za strzałą pnia w kierunku odległego skrawka nieba, bladoniebiesko-ciemnozielono-rdzawej mandali.

– Wiesz, gdzie jesteś? – spytał cicho.

– W Montgomery Woods?

– Co słyszysz? – Wtedy się zorientowałam, że rozpoczął się jeden z jego testów surwiwalu, dla zabawy, ale też całkowicie poważny.

Skupiłam się i zamarłam.

– Drzewa szumią, jakby szeptały.

– Mogą ci powiedzieć, jak wrócić do samochodu? Uważałaś po drodze?

– Chyba tak.

– Załóżmy, że się zgubiłaś, a mnie tu nie ma.

– Ale jesteś.

Uśmiechnął się.

– Nie ma mnie. Co zrobisz?

– Odszukam szlak – rzuciłam. – Poszukam wody.

– Więc co najpierw?

– Szlak.

Nie powiedział „tak” ani „nie”. Wychowując się w obcych domach, nauczyłam się odczytywać miny, odgadywać uczucia, zachowywać się zgodnie z oczekiwaniami innych, ale przy Hapie nigdy mi się to nie udawało. Był zbyt nieprzenikniony i zbyt spokojny, za bardzo skryty. Przypomina mi się piosenka o tym, że ludzie są skałami i wyspami. Hap nie był ani jednym, ani drugim. Miał swoje własne bezdroża.

– Która godzina? – spytał.

Spojrzałam w górę przez koronę, żeby ocenić wysokość słońca na niebie. Z samochodu wysiedliśmy około trzeciej i szliśmy godzinę

albo trochę dłużej.

– Piętnaście po czwartej. Mamy mnóstwo czasu do zmroku.

Nieczęsty uśmiech.

– Może i tak.

Zamknęłam oczy i zaangażowałam pozostałe zmysły, nie ruszając się, aż zaczęłam słyszeć to, czego przed chwilą nie było – drżenie liścia lądującego na pajęczynie, płynącą pod ziemią strużkę wody, która napierała i wzdychała. I było coś jeszcze. Oprócz tego wszystkiego, oprócz tego, co rzeczywiście słyszałam, analizując sytuację racjonalnie – odgłos silnika, urządzeń. Cywilizacji.

– Chyba znam drogę.

Pozwolił mi prowadzić – przez las sekwoi i olszy czerwonej, podążając za znakami, które subtelnie, ledwie dostrzegalnie wskazywały mi, dokąd iść. Pewne przestrzenie między drzewami różniły się od innych, pobudzały moją pamięć, zwracały uwagę na punkty orientacyjne w postaci połaci białych grzybów, porostów i mchu. Był słonawy zapach łąki, wilgotne powietrze, kiedy zbliżaliśmy się do lasu paproci, kwiaty kalmii tworzące przezroczysty różowy dywan. Kilka razy zboczyłam z drogi, ale Hap nie odezwał się słowem. Tym razem nie zamierzał pomagać mi wcale i nie robił tego z uporu, lecz z miłości. Chciał mi pokazać, że jestem w stanie sobie poradzić. Że jestem zdolna i zaradna. Że mogę ufać sobie w takim samym stopniu, w jakim on nauczył się ufać mnie.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do samochodu, przyglądałam się, jak Hap pakuje do środka plecak. Pewnym ruchom jego dłoni i cichemu skupieniu. Przede mną rosło najwyższe, najbardziej proste drzewo, jakie miałam w życiu zobaczyć.

– Dziękuję – powiedziałam, kiedy się odwrócił.

(pięćdziesiąt dwa)

Następnego dnia dzwoni koroner z raportem z sekcji zwłok. Śmierć wskutek zabójstwa, uduszenie. Potwierdzają to złamana kość gnykowa i uszkodzenie tkanek miękkich szyi. Ślady więzów wskazują na długie krępowanie.

– Jak usłyszą to Curtisowie, oszaleją – mówi Will, który przekazał mi informacje. – Na pewno zaczną się zastanawiać, czy następna będzie Cameron.

Jesteśmy w jego biurze, oboje rozedrgani od ciągłego stresu i nadmiaru kofeiny. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były tak wyczerpujące i deprymujące, że prawie nie pamiętam pocałunku w jego mieszkaniu.

– Uduszenie to prawie zawsze kwestia siły – mówię do Willa. – Trzeba być bardzo silnym, żeby wykończyć kogoś w ten sposób. Widzisz czyjeś oczy i czujesz jego oddech, i masz świadomość, że w każdej chwili możesz zatrzymać ten pociąg i go oszczędzić. Albo i nie.

– Jezu – mówi z trudem. – Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego wydarzy się w czasie mojej służby. Mojego ojca coś takiego niemal dobiło. Po tym chyba już nigdy nie był takim samym szeryfem. Może nie jestem dostatecznie silny, dość dobry. To znaczy, *cholera*, Anno.

Wiem, co w tej chwili krąży mu po głowie. Bagażnik. Ciało. Podobnie jak mnie.

– Postaraj się o tym nie myśleć – radzę mu łagodnie. – Dasz radę. Pracujemy nad tym razem.

– Tak. – Nie brzmi jakby był przekonany. – Co myślisz o hipotezie Denny’ego, że to strażnik?

Zawód Hapa był dla mnie zawsze święty, ale muszę przyznać, że ta teoria wydaje się sensowna. Strażnik to ktoś miejscowy, obeznany z okolicą, radzący sobie w terenie.

– Mógłby to być strażak – dodaje. – Albo wojskowy, albo ktoś z Gwardii Narodowej? Umieją się obchodzić z ogniem i są silni.

– Fakt – przyznaje Will. – A z innej beczki, zauważyłaś, że Drew Hague nie pojawił się na spotkaniu w domu kultury? On też chyba nieźle radzi sobie w terenie.

Zauważyłam. Emily nie była w stanie się przemóc i przyjść, i można to zrozumieć. Drew nie ma wymówki. W każdym razie żadnej wiarygodnej, chyba że coś się za tym kryje.

– Moim zdaniem on czegoś unika. Jak wyszło drugie badanie wariografem?

– Technik w ostatniej chwili musiał odwołać. Przełożyliśmy na środę.

– To za dwa dni.

– Nie musisz mi mówić, Anno. Ale co miałem zrobić? Zawsze muszę ściągać techników z innych hrabstw, a sprawa Polly Klaas ciągle pochłania mnóstwo zasobów. Wszyscy zdolni pracują tam. Gorąca linia jest rozgrzana do czerwoności, a szaleństwo będzie tylko coraz większe.

– Będziemy musieli zadzwonić natychmiast do Roda Frasera i przekazać wszystko, co wiemy. Może to ten sam facet, który uprowadził Polly? Nie mamy zielonego pojęcia.

Will wpatruje się przez długą chwilę w środek zabałaganionego biurka, wyraźnie przytłoczony.

– Wróćmy na chwilę do teorii strażnika – mówi. – Jeśli to jego szukamy, jak nawiązałyby kontakt z Shannan tam, w lesie, szczególnie że jechała do Seattle? Nie była miłośniczką natury.

– Mógł ją spotkać gdzieś wśród ludzi, w barze, czy coś takiego? Może nawet przez jakiś czas się z nią spotykał? – Wrzucam do kawy jeszcze dwie torebki słodzika w nadziei, że usprawni mi umysł. – Może nawet to był wypadek. Na przykład on i Shannan spiknęli się któregoś wieczoru i pojechali w jakieś spokojne miejsce uprawiać seks w samochodzie. Ale coś poszło nie tak. On stał się agresywny, udusił ją i został z ciałem. Musiał pojechać w jakieś znajome miejsce, prawda? Spalił samochód, zatarł ślady i starał się o tym zapomnieć.

– Od czerwca do września minęły cztery miesiące – dodaje Will. – Przez jakiś czas mu się udawało, a może ciągle myśli, że załatwił już

sprawę. Nagle jednak pojawia się Cameron Curtis. Dlaczego akurat ona, a nie kto inny? Czy Cameron ma coś wspólnego z Shannan?

– Są nieco podobne – próbuję. – Obie mają długie ciemne włosy z przedziałkiem na środku i brązowe oczy. Obie są też wyjątkowo ładne. Olśniewające. Zwracają uwagę.

– Rozumiem. Ale on z pewnością nie poznał Cameron w barze. Coś musiało się zmienić. Wyszukał ją.

– Na pewno. – Prostuję się na krześle i czuję, jak twardy plastik wrzyna mi się w nogi z tyłu. – Ona nie kręci się za dużo wśród ludzi, tylko szkoła, dom i czasami Gray Benson. – Czuję tępe dudnienie w skroniach. – To szalona myśl, ale może to jego wyszukała Cameron? Pamiętasz ten wiersz z szafki Cameron? *Chcę się rozskrzydlić gestem. Nigdzie nie chcę być złamany, bom jest kłamany, gdzie złamany jestem.*

– Rany, zapamiętałaś.

– Daj spokój. Posłuchaj mnie przez chwilę. Cameron nie jest pierwszą lepszą piętnastolatką. W jej życiu w ostatnich miesiącach tak dużo się działo. W domu cisza i kłamstwa pomiędzy rodzicami. I sytuacja się jedynie pogarszała. Dziecko w drodze, być może rodzice się rozwiodą albo, co gorsza, nie rozwiodą, tylko będą w tym trwać. Na pewno rozpaczliwie szukała ucieczki od tego wszystkiego.

– A co z przychodnią? – Will mówi tak, jakby nie załapał, co powiedziałam. Szczerze mówiąc, dość ostro szafujemy teoriami. – Jak to się ma do całej reszty?

– Nie wiem. Może w tej wizycie chodziło o niezależność, a przynajmniej od tego się wszystko zaczęło. Może Cameron próbowała znaleźć własną drogę w życiu? Na pewno nie było jej łatwo z Emily w roli matki. Emily przestała występować w filmach i telewizji całkiem niedawno. A mimo to pozostała osobą znaną. Raz znalazła się nawet wśród pięćdziesięciu najpiękniejszych ludzi na świecie, prawda?

– Myślałem o tym. To znaczy dla nas te gazety są głupie, ale dla Cameron pewnie nie były. Większość dziewczyn nie czułaby się na tyle wyjątkowa, żeby się mierzyć z kimś takim.

– Jeśli Cameron chciała się jakoś wyłamać i odcisnąć własny ślad, w jaki sposób mogła próbować to zrobić? Jak wygląda takie

rozskrzydlenie i w jaki sposób postawiło ją na ścieżce, na której poznała faceta, o którym rozmawiamy, strażnika albo wojskowego? Który miał coś, co mógł jej zaoferować, drogę ucieczki z tej złotej klatki?

– Nie wiem – mówi Will.

– Ja też nie. – Czuję, że w gabinecie brakuje tlenu. Czuję, że oboje pędzimy na złamanie karku. – Jakimś sposobem musiało się zrodzić między nimi takie zaufanie, że Cameron zgodziła się na spotkanie z nim późną nocą. Jak do tego doszło? Co miał w sobie akurat ten facet, że jej nie odstraszył, ale przyciągnął do siebie? To magiczne pytanie.

Will mruczy coś na potwierdzenie moich słów.

– Emily powiedziała, że Cameron nigdy nie miała chłopaka, pamiętasz?

– Właśnie. Z Shannan mógł się bzykać, ale zaczynam się zastanawiać, czy Cameron mogła go pociągać z innego powodu. Na zasadzie pewnego ideału.

– To znaczy?

– Podobne rzeczy często wychodziły przy profilowaniu – posiłkuję się językiem, który pomoże mu nadażyć za moim tokiem rozumowania. – Outsiderzy, którzy nie są w stanie stworzyć więzi z ludźmi, czasami postrzegają osobę niewinną jako swoją szansę na ocalenie. A przynajmniej chcą w to wierzyć.

– Chwileczkę. Czyli on nie jest psychopatą?

Najwyraźniej nie odniosłam sukcesu.

– Może i jest – próbuję znowu. – Ale nawet najbardziej skrzywione umysły chcą miłości i więzi. Może ciała Cameron jeszcze nie odnaleźliśmy dlatego, że on wierzy, że dzięki niej wszystko, co mu doskwiera, minie, a on znów poczuje się dobrze. Że ona uleczy rany zadane mu przez świat.

– No, nie wiem. – Will jest pełen wątpliwości. – To dość odważna hipoteza, Anno. Dlaczego zakładasz, że ten facet został zraniony?

Gapię się na niego sfrustrowana i wytrącona z równowagi. Ten dzień jest zbyt długi i zdecydowanie za ciężki. Ten tydzień, miesiąc, rok.

– Bo tak się rodzi złoczyńca.

(pięćdziesiąt trzy)

Któregoś roku Frank Leary dał wszystkim w Reflektorze egzemplarz książki pod tytułem *Zabójstwo na tle seksualnym: wzorce i motywy* i powiedział, żebyśmy traktowali ją jak biblię. Autorami byli dwaj kryminolodzy z FBI i dyplomowana pielęgniarka psychiatryczna, którzy zorganizowali i przeprowadzili dziesiątki rozmów ze skazanymi zabójcami oraz oprawcami, psychopatami, socjopatami, pedofilami i sadystami seksualnymi, próbując zrozumieć umysł przestępcy i tak usystematyzować informacje, żeby mogły stanowić narzędzie dydaktyczne dla profesjonalistów.

Niewątpliwie był to kontrowersyjny materiał. Agenci udali się do więzień o zaostrowym rygorze w całym kraju i w sali przesłuchań usiedli twarzą w twarz z Charlesem Mansonem, Davidem Berkowitzem, Edmundem Kemperem i trzydziestoma trzema innymi w nadziei, że czegoś się od nich dowiedzą. Nie chodziło o fakty związane z ich przypadkami czy przekonaniem ani o to, czy kiedykolwiek zdołają się zresocjalizować, ale o to, co myśleli parę chwil przed, w czasie i po morderstwach, których się dopuścili. Jak i dlaczego wybierali ofiary, co ich pchnęło do zbrodni, gdzie miały początek ich fantazje związane z przemocą i które etapy przestępstwa najbardziej ich emocjonowały – ogólnie mówiąc, co ci brutalni zabójcy myśleli i co czuli w związku ze wszystkimi aspektami swoich uczynków.

Nigdy wcześniej nikt nie próbował zajrzeć tak głęboko w psychikę przestępcy, nie mówiąc o zebraniu i usystematyzowaniu danych, dzięki którym funkcjonariusze organów ścigania, jak ja, mogli precyzyjniej profilować i typować podejrzanych oraz szybciej rozwiązywać sprawy. I choć zatrząsała mnie skala obsesji spaczonych umysłów i to, że autorzy czasami skupiali się na makabrycznych, sensacyjnych szczegółach, kiedy czytałam

książkę, nagle coś zrozumiałam i usiłowałam analizować związki pomiędzy ofiarą a oprawcą.

Pamiętam, jak któregoś wieczoru próbowałam porozmawiać o tym z Frankiem przy drinku niedaleko naszej siedziby – zdawało się, że mroczny bar zakrzywia się wokół nas, siedzących na stołkach, a whiskey migocze.

– Kiedy czytasz taką książkę, zaczynasz mieć wrażenie, że to scenariusze filmowe. Wydaje się, że zbrodnie to chora fabuła, nie prawdziwe życie, a wszystkie szczegóły są takie drastyczne i dokładne. Ale to *jest* rzeczywistość. Ofiary to tylko nazwiska pod małymi zdjęciami, cele, których nie znamy *w ogóle*. Nie dostajemy całego obrazu: przede wszystkim, jak zostały wciągnięte w tę sytuację, jakie sploty doświadczeń je na to naraziły, nie tylko ogólnie, ale wobec tych akurat oprawców, którzy upatrzyli je sobie za cel. Taka książka byłaby fascynująca, nie sądzisz? To bym chciała wiedzieć. – Przerywam, żeby wziąć oddech. Powiedziałam wszystko z głębi serca.

Przyglądał mi się długą chwilę.

– Cóż, może kiedyś będziesz musiała ją napisać.

– Akurat.

– Dlaczego nie? To dobre pytania, a nikt ich nie zadaje. W każdym razie jeszcze nie zadaje. To zdecydowanie twoja działka, Anno. Widzę, jak się angażujesz w swoje sprawy, jak bardzo zależy ci na ofiarach, jak starasz się zrozumieć sytuację z ich perspektywy. Chyba taki masz charakter. Dlaczego by za tym nie pójść i nie przekonać się, co z tego wyniknie?

Frank nie wiedział wtedy, bo nigdy nie byłam z nim w tej kwestii szczerą, że ja nie tylko jestem zaangażowana w swoje sprawy – ja nimi żyłam i oddychałam. Dzięki poświęceniu byłam dobrym detektywem z wysokim wskaźnikiem rozwiązanych spraw, ale przy okazji rujnowało mi ono życie osobiste. Corolla zadała mi pytania na temat snu, picia zbyt dużej ilości alkoholu. Tamtego dnia nie powiedziałam jej prawdy. Ciągle miałam koszmary i często budziłam się w środku nocy z wrażeniem, że całe moje ciało buzuje, jest w stanie gotowości. Jak tylko przekraczałam próg domu po pracy, musiałam nalać sobie drinka, jednego albo trzy, żeby ochłonić

po intensywnym dniu. Nawet kiedy napięcie ustępowało, często byłam obecna tylko ciałem. Ciągłe myślałam o sprawie, próbowałam analizować przesłuchanie albo rozwikłać złożony wątek, w myślach przepytując świadków nawet pod prysznicem. Kiedy Brendan narzekał albo się na mnie wściekał, przyjmowałam postawę obronną. Prawda jednak wyglądała tak, że nie miałam żadnej kontroli nad swoją obsesją ani energii, żeby z nią walczyć. Nigdy nie powiedziałabym tego głośno, ale Brendan nie był dla mnie najważniejszy.

Wtedy wszystko się skomplikowało. Kiedy wróciłam po dziesięcioletnim urlopie macierzyńskim, Frank przydzielił mi i mojemu partnerowi szczególnie trudną sprawę – zaginięcia niemowlaka. Porwanie zgłosił ojciec, twierdząc, że chłopca uprowadzili handlarze narkotykami. Mieszkali w niebezpiecznej dzielnicy. Nie było to wykluczone. Chłopiec miał zaledwie sześć miesięcy i padaczkę, która, jak poinformowała rodzina, była wynikiem trudnego porodu. Przyjmował leki, a bez nich mógł umrzeć. Czas uciekał, szukaliśmy go, a mnie ogarniał coraz większy stres. Ciągłe śniły mi się dzieci krzyczące zza ceglanego muru. Całe rodziny pod wodą, bez szans, żeby do nich dotrzeć. W dzień byłam rozdrażniona i rozkojarzona, co nie umknęło uwadze Franka.

– Chyba potrzebujesz więcej wolnego, Anno. Ściągnąłem cię za wcześnie.

– Nie, nie, poradzę sobie – zapewniłam go pośpiesznie. – To tylko hormony, czy coś takiego.

– Wróć przynajmniej na terapię – zasugerował.

– Nie ma potrzeby.

– Zwracanie się o pomoc wcale nie znaczy, że jesteś słaba.

– Wiem.

– Czasami nie jestem pewien – powiedział wyraźnie nieprzekonany. – Jak mały?

– W porządku. – Zdobyłam się na pogodny ton. – W ogóle wszystko jest w porządku.

– I niech tak zostanie.

Kilka dni później ja i mój partner znaleźliśmy ciało Jamie Rivera w piwnicy jego rodzinnego domu. Odkryliśmy je niemal przypadkiem pod dwudziestoma kilogramami przetworzonej dziczyzny. Zamrażarka to był stary skrzyniowy whirlpool, otwierający się jak trumna. Kompresor charczał, kiedy przeszukiwaliśmy wnętrze, wydając chemiczny zapach. Otwieraliśmy ją już wcześniej, ale intuicja podpowiedziała mi, żeby wrócić i sprawdzić jeszcze raz. Leżał na samym dnie, pod osobliwymi czerwonymi cegłami, które kiedyś były żywym stworzeniem. Wyrzuciliśmy je na podłogę i wtedy zobaczyliśmy chłopca. Szron usztywnił jego rzęsy. Jego małe niebieskie dłonie.

4. KRZYWY LAS

(pięćdziesiąt cztery)

Kiedy zwłoki Shannan Russo zostały zidentyfikowane, wozy transmisyjne ściągnęły do Gualali i rozlokowały się przed Plotkuje Się Głównie O Włosach i na Lansing Street w Mendocino, a nasza sprawa w końcu nabrała rozpędu. Nie patrzę na zapętlone ujęcia Karen Russo, bo nie jestem w stanie znieść widoku jej twarzy. Skupiam się za to na nowym impulsie i kierunku, jakie pojawiły się po odnalezieniu Shannan. Odkrycie jej ciała pomogło nam zacząć tworzyć i dopracowywać profil jej zabójcy, co mogło okazać się pomocne także w poszukiwaniach Cameron. Tortury, jakich zaznała Shannan, uduszenie i kontrolowany pożar jej samochodu na pierwszy rzut oka nie mają nic wspólnego ze szczegółami wprowadzenia Polly, ale Rod Fraser jest informowany o każdym istotnym fakcie i na temat profilu, który cały czas tworzymy, fragment po fragmencie.

Na razie szukamy pracownika parku federalnego lub stanowego, strażaka albo wojskowego, prawdopodobnie samotnego, w wieku mniej więcej pomiędzy dwudziestym siódmym a czterdziestym piątym rokiem życia; kierujemy się statystyką i mamy na uwadze fizyczną siłę, której dowiódł.

Media lubią tworzyć sensacje wokół psychopatów i geniuszy zła, takich jak Charles Manson i David Berkowitz, ale w prawdziwym życiu seryjnych morderstw dopuszczają się na ogół ludzie o przeciętnej inteligencji, rzadko wykazujący wyraźne objawy choroby psychicznej, przynajmniej na pierwszy rzut oka. W tym przypadku jeszcze więcej przesłanek wskazuje na to, że nasz podejrzany z łatwością wtapia się w otoczenie. Prawdopodobnie najpierw poznał Shannan w miejscu publicznym i nie przestraszył jej ani nie dał powodu do niepokoju w takim stopniu, żeby zrobiła scenę. Podobnie pewnie było z Cameron, jeśli intuicja mnie nie zawodzi. Ze względu na jej wiek musiał zbliżyć się do niej powoli

i mieć też jej coś do zaoferowania, pewną sposobność czy możliwość, jakiej nie miała w domu. Musimy się tylko szybko dowiedzieć, co to jest, i przeszukać dziesiątki tysięcy akt personalnych w nadziei, że ktoś się rzuci nam w oczy.

Odnalezienie zwłok Shannan w naszym hrabstwie znacznie pchnęło do przodu poszukiwania Cameron. Ciągłe brakowało nam dowodów i niepodważalnych wskazówek. Teraz, gdy wygląda na to, że obie sprawy mają związek, w końcu znalazło się więcej ludzi i sprzętu, nie mówiąc o ochotnikach. Teren parku jest przeczesywany kilometr po kilometrze, podobnie jak ujścia rzek i wybrzeże, ze szczególnym uwzględnieniem wszelkich chat, szop czy konstrukcji w Montgomery Woods lub w pobliżu. Większość seryjnych zabójców porusza się w bezpiecznym promieniu i ma wyraźny punkt zakotwiczenia, z którego działa, wąskie terytorium, które doskonale zna. Jeśli wszystko się zgadza, Cameron jest pewnie w odległości nie dalszej niż mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów od jej rodzinnego domu i miejsca znalezienia ciała Shannan. To nasz najbardziej prawdopodobny schemat.

Centrum Poszukiwań Cameron Curtis zaczyna działać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Miejscowi przedsiębiorcy ofiarują pokrycie opłat pocztowych, telefony i faksy. Wszyscy robią, co mogą – pomagają przy wysyłkach, pakowaniu kopert, rozklejaniu ogłoszeń w okolicy i odbieraniu telefonów. Ludzie dzwonią setkami, niektórzy tylko po to, żeby powiedzieć, że modlą się za Cameron, inni oferują dziesięć czy dwadzieścia dolarów, dzieciaki chcą oddawać pieniądze otrzymane na urodziny i kieszonkowe. W większości telefonują kobiety, które nie zamierzają się przedstawić.

– Wiem, kto to jest – mówi jedna. – Umawiałam się z nim na studiach.

U Pattersona wszystkim ochotnikom serwują rybę z frytkami. Do liceum, szkół podstawowych i gimnazjów w Mendocino zostaje wysłany zespół terapeutów, który ma zapewnić wsparcie i pomoc. Część starszych dzieciaków zaczyna pełnić popołudniowe dyżury, chodząc od drzwi do drzwi, a nad wszystkim czuwa Gray Benson. Clay LaForge i Lenore spędzają wiele godzin dziennie, adresując

koperty do hoteli i restauracji, stacji benzynowych, pralni, do wszystkich miejsc, w których ktoś mógł widzieć Cameron od czasu jej zniknięcia. W każdym liście – to pomysł Lenore – znajduje się ręcznie napisana notatka z prośbą o to, by ten, kto ją otrzyma, umieścił plakat Cameron w widocznym miejscu i nie zdejmował go ani nie zakrywał. To drobny szczegół, osobisty i bezpośredni. Wanda zgłasza się do pracy w centrum późnymi wieczorami.

– I tak jestem nocnym markiem – wyjaśnia, gdy ją tam zastaje pakującą koperty, samą przy długim składanym stole konferencyjnym. Zerka na Cykadę i doskakują do siebie jak starzy przyjaciele.

Nagle drzwi się otwierają i wchodzi Hector, mrugając w żółtym fluorescencyjnym świetle. Ma na sobie dżinsową kurtkę, zbyt opiętą na ramionach, i te same botki idealne do kopania, które widziałam w Ukiah, ale minę ma nieśmiałą. Niepewną.

– Czytałem o tej zamordowanej dziewczynie – oznajmia. – To nie może spotkać Cameron. Niech mi pani powie, co robić.

Mięknę od samego patrzenia na niego. Cykada podchodzi, żeby przypomnieć sobie jego zapach, a Wanda się wita i widać, że wie, że coś się za tym wszystkim kryje, coś, czego dowie się kiedy indziej.

– Możesz pomagać przy wysyłkach albo w terenie – rzucam. – Codziennie wysyłamy cztery czy pięć grup. Przyjdź jutro rano. Będziemy tu.

Kiwa głową, mierzy wzrokiem pomieszczenie i podchodzi do gazetki ściennej, naszego sanktuarium na cześć Cameron. Obserwuję, jak jego wzrok wędruje po zdjęciach, wierszach i rysunkach – wszystko to jest nową częścią życia Cameron, której nie miał okazji poznać. Wzruszona podchodzę i staję obok niego. Wpatruje się w zdjęcie, którego nie widziałam. Widocznie Gray przyniósł je niedawno, może nawet dzisiaj. Cameron jest na nim prawie nie do poznania. Włosy ma zaczesane gładko i związane nisko w kitkę przerzuconą na lewe ramię. Makijaż wygląda na profesjonalny, na powiekach ma kreskę, dzięki której wygląda nie tyle na starszą, ile na mądrzejszą, pewniejszą siebie i bardziej doświadczoną. W jej pozie i minie jest pewna sztuczność – nie wiem,

jak inaczej to wytłumaczyć – jakby Cameron odgrywała przed kamerą kogoś innego, nie tylko pięknego, ale sławnego. Jej czarna bluzka ma marszczone rękawy i odsłania jej talię. Obcisłe czarne dżinsy wyglądają jak namalowane na jej ciele ponad czarnymi botkami na płaskiej podeszwie. Stałam w jej garderobie i nie widziałam niczego takiego. Czy to w ogóle ubranie?

Hector wpatruje się nadal.

– Gdzie to zrobiono?

Przysuwam się. Tło jest leśne i bujne. Cameron opiera się o pień drzewa z głęboką fakturą, wygiętym jak ciało, w kolorze niemal fioletowym od cieni. Dociera do mnie, że światło jest dziwne i znajome, kształt drzew – również. Nagle czuję ukłucie paniki. Ziszczenie wizji. To krzywy las.

(pięćdziesiąt pięć)

Przed siódmą rano następnego dnia jadę znów na Cahto Street, a mój umysł buzuje od pytań. Czy krzywy las to tylko przypadkowe miejsce, dokąd Cameron i Gray postanowili się wybrać pewnego dnia, czy też ma związek z terytorium zabójcy? Czyżbym przeoczyła jego ślady, kiedy się tam wyprawiałam? Był wtedy w pobliżu albo podczas robienia zdjęć? Przywiózł tam Cameron innym razem? A przede wszystkim dlaczego na tym zdjęciu jest tak do siebie niepodobna?

Di Anne otwiera drzwi w szlafroku i łapciach, rozczochrana, ale mimo wszystko urocza bez śladu makijażu. Proponuje kawę i prowadzi mnie do kuchni, w której Gray pakuje śniadanie do szkoły – ser i jabłka w brązowej papierowej torbie, puszkę napoju, muffinkę, wszystko tak zwyczajne i nieskomplikowane, że z trudem zdobywam się na zadawanie pytań.

Wyciągam zdjęcie Cameron.

– Ty je zrobiłeś, Gray?

– Tak. – Wygląda na zmieszanego moją natarczywością. – Zrobiliśmy je, jak nam się nudziło któregoś dnia latem. Obijaliśmy się.

Serio? Cameron nie wygląda na kogoś, kto nie wie, co robić z wolnym czasem. Ma jakiś cel, choć ja nie potrafię go jeszcze nazwać.

– Moim zdaniem są dobre. Cameron w ogóle siebie nie przypomina. Gray się rozpogadza.

– Zrobiłem jej makijaż. Dostałem nowy aparat na urodziny. Ona też zrobiła mi kilka fotek.

– Dlaczego wybraliście to miejsce? Byłeś tam wcześniej?

Kręci głową.

– To był jej pomysł. Z początku wydawało mi się tam strasznie, ale światło było rewelacyjne.

– Ta sesja to też był jej pomysł?

– Chyba tak. Nie pamiętam, jak to wyszło.

– Nie poznaję tego stroju Cameron, a ty?

– Przyniosła go ze sobą. Wcześniej wpadła do lumpeksu.

– Gray – odstawiam kawę, bo potrzebuję jego pełnego skupienia – te ubrania nie wyglądają jak z lumpeksu. A nawet jeśli, skoro je zabrała, prawdopodobnie miała w głowie jasny cel.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

– Dobre pytanie. Nigdy wcześniej nie wspominała ci o lesie? Pamiętasz, w jaki sposób zaproponowała ten wypad?

– Nie. – Marszczy czoło. Widzę, że moje pytania go przerażają. Najwyraźniej nie pomyślał, że ten dzień może mieć związek ze zniknięciem Cameron, i teraz się martwi, że mógł przeoczyć coś ważnego, szansę, żeby mi pomóc, szansę odnalezienia przyjaciółki.

– Nie szkodzi – mówię, próbując go uspokoić. – Powiedz, czy Cameron kiedykolwiek wspominała, że chciałaby zostać modelką?

– Była za niska. Wiedziała o tym.

– Nie chodzi mi o praktyczne aspekty. – Szukam odpowiednich słów, a Di Anne siada obok i owija się szlafrokiem.

– Kochanie, Anna chyba pyta o to, czy Cameron marzyła o takim życiu. No, wiesz, tak jak dzieciaki w waszym wieku marzą o podróżach po świecie, o tym, żeby zostać sławnym, poznać ciekawych ludzi. Robić coś wspaniałego.

Gray mruga – jego rzęsy są muśnięte tuszem, subtelnie, ledwie zauważalnie, ale jednak.

– Czasem gadaliśmy o takich rzeczach, wiadomo. Jej mama była bardzo negatywnie nastawiona do Hollywood i do bycia piękną, bycia celebrytką, ale Cameron i ja czasami rozmawialiśmy, że byłoby fajnie, gdyby ktoś nas odkrył tak jak Emily. Gdybyśmy mieli tyle pieniędzy, że moglibyśmy pojechać, gdzie tylko chcemy, razem. Ale o takich rzeczach marzy chyba każdy?

– Nie zetknęłam się z nikim w twoim wieku, kto nie miałby marzeń, o których lubiłby rozmyślać – odpowiadam. – Bez względu

na to, jak niemożliwe by się wydawały i jak odległe. Im surowszy prawdziwy świat, tym ważniejsze stają się marzenia. Wiesz, co mam na myśli?

– To, z czym miała problem? Że jej rodzice ciągle ją okłamywali, i te powracające okruchy wspomnień?

Kiwam głową, żeby dodać mu otuchy.

Słysząc skrzypienie, kiedy Di Anne zmienia pozycję na krześle. Po jej minie widzę, że Gray nie powiedział jej o sytuacji w domu Cameron ani o wykorzystywaniu, ale nie wtrąca się ani nie zmienia tematu. Może wyczuła mrok, jaki nosi w sobie Cameron.

– Marzenia wiele o nas mówią – ciągnę. – Są swoistą mapą wewnętrznego życia. Czasem myślenie o tym, kim pewnego dnia możemy się stać, jest jedynym sposobem na wytrzymywanie w rzeczywistości, w której jesteśmy.

Di Anne ma łagodną minę.

– Na przykład kiedy nie można się odnaleźć w małym miasteczku, gdzie nikt nie wygląda i nie myśli tak jak ty.

Jestem pełna podziwu dla niej. Jest samotną matką. Gray nigdy nie wspomniał o tacie, ale zdaje się, że Di Anne dobrze sobie radzi sama, przynajmniej w tej jednej kwestii. Stara się rozumieć syna, akceptować, kiedy on poszukuje swojej drogi, i kocha go.

– Chyba tak – odpowiada cicho Gray.

– Marzenia to odwaga – mówię. – Czasami mamy tylko je.

Po chwili jestem na Jug Handle i mam nadzieję, że w krzywym lesie natrafię na jakąś podpowiedź. Zapuszczam się coraz głębiej, Cykada biegnie przede mną, jakby od dawna znała tę drogę, przez polanę, z nosem przy ziemi, już pochłonięta wyzwaniem. Poranne słońce przedziera się przez baldachimy koron. Światło wyłapuje dziesiątki pajęczyn i zamienia je w diamenty. Niektóre są wielkości klonowego liścia. Inne – maleńkie i uperlone rosą, jak hamaki czy huśtawki wrózek. W takim miejscu można uwierzyć prawie we wszystko: że pod kapeluszami grzybów może mieszkać cała cywilizacja; że obowiązujące w świecie prawa tutaj w pełni nie dotarły albo nie mają znaczenia.

Cykada sprawdza teren, nurkując pod niskimi, udreńczonymi gałęziami, a ja robię własny rekonesans okolicy. Upłynęło zdecydowanie za dużo czasu, żeby istniało prawdopodobieństwo natrafienia na fizyczne wskazówki, ale szukam czegoś głębszego i subtelniejszego – czegoś, co raczej poczuję, niż zobaczę. Mój wzrok przeskakuje z gałęzi na gałąź. Czy to tu Cameron stała tamtego dnia? Czy tutaj? Patrząc w obiektyw, za którym był jej przyjaciel, na co liczyła? Kto stanął na jej drodze i rozpałił w niej nadzieję? A przede wszystkim, jak do niej dotarł?

Trudno mi sobie wyobrazić, że przynęta pojawiła się niespodziewanie, że ktoś wpadł na Cameron na ulicy, może po szkole, i zagadnął, czy myślała o tym, żeby zostać modelką. Czy nawet jeśli miała niewłaściwie ustawione granice i była bardzo zdesperowana, nie powiedziała by Grayowi o swoich planach? A w ogóle czy facet, którego w tej chwili szukamy – strażnik bądź pracownik parku z dostępem do tych miejsc i znajomością terenu – mógł wzbudzić w Cameron przekonanie, że da jej szansę na odniesienie sukcesu czy zdobycie rozgłosu, nawet jeśli próbował ją jakoś zaabsorbować i omamić wielkimi obietnicami? Co łączy te dwa elementy, o ile w ogóle coś je łączy? Może mylimy się w kwestii leśnika i rozważam teraz niedorzeczne punkty wspólne? Idę fałszywym tropem do miejsca bez znaczenia?

Przemów do mnie, Cameron, myślę. Proszę. Ale tylko Cykada się tu wierci z sierścią skropioną słonecznym blaskiem, a wokół nas unoszą się drobiny pyłku, które nigdy nie osiadają.

(pięćdziesiąt sześć)

Kiedy Eden zmarła we wrześniu 1975 roku, pochowaliśmy ją na cmentarzu Evergreen obok matki i ojca Hapa, babki i dziadka, ciotek i wujów, w rodzinnym grobie Straterów, na którym daty sięgały połowy XIX wieku.

Hap nie wygłosił mowy pogrzebowej, a podczas nabożeństwa powiedział zaledwie kilka słów. Nie chciał, żeby ludzie przychodzili do domu, składali kondolencje i nie chciał mieć na sobie garnituru ani chwili dłużej, niż było to konieczne. Chciał być w lesie.

Pojechaliśmy do parku stanowego Van Damme tylko we dwoje, do paprociowego lasu, i szliśmy w milczeniu. Bo co można było powiedzieć? Wędrowaliśmy godzinę albo dłużej i zatrzymaliśmy się dopiero, gdy dotarliśmy do zacienionego obszaru nad rzeką. Tam usiedliśmy obok siebie na dużym płaskim kamieniu i patrzyliśmy w wodę.

– Opowiadałem ci o chłopcu, którego kiedyś znalazłem, co przypadkiem postrzelił brata? – spytał po chwili Hap.

Pokręciłam głową. Nie opowiadał, ale nawet gdyby, to powiedziałabym „nie”. Zrobiłabym wszystko, żeby mówił. Mogła to być każda historia. Jakakolwiek lekcja. Potrzebowałam ich wszystkich.

Chłopaki miały po szesnaście lat, Jake i Sam Douglasowie. Bliźniaki. Najpierw wiedział tylko, że zgłoszono ich zaginięcie po jednodniowej wędrowce. Matka wysadziła ich tutaj, w stanowym parku Van Damme, i wpadła w panikę, kiedy po trzech godzinach nie wrócili na parking.

Ekipa Hapa wyruszyła przed zmrokiem tego samego dnia, ale wróciła z pustymi rękami. Następnego ranka Hap zebrał więcej ludzi i wznowili poszukiwania. Park miał siedemset trzydzieści hektarów i piętnaście kilometrów utrzymywanych szlaków nad Little River.

Matka chłopaków twierdziła, że nie mieli żadnych powodów, żeby zapuszczać się w głąb parku, ale nie znaleziono ich na żadnym odcinku szlaku. Ani w lesie karłowatym, gdzie gleba była gąbczasta po niedawnym deszczu. Ani w zagajnikach skarłowaciałych cyprysów, rododendronów i kosodrzewiny.

Dopiero drugiego dnia późnym popołudniem jeden z leśników Hapa dostrzegł lazurową koszulę wewnątrz wgłębienia w pniu sekwoi, małej jaskini, gdzie system korzeniowy utworzył się niczym ukryte drzwi. Wewnątrz odnaleziono przykurczonego w tej wąskiej przestrzeni Sama Douglasa, niemego, ogłuszonego i zupełnie zdezorientowanego. Pod nim jego brat Jake wykrawiał się z powodu postrzałowej rany uda, która niemal pozbawiła go nogi. Najwidoczniej chłopcy strzelali do celu nielegalnym pistoletem dziadka. Broń wypaliła w dłoni Sama. Przestraszony zaciągnął ciało do jaskini w drzewie i ukrywał się w niej cały dzień i całą noc, bo nie umiał stawić czoła sytuacji.

– Jake zmarł? – spytałam Hapa nad rzeką, pewna, że odpowiedź będzie brzmiała „tak”. W jego opowieściach zawsze ktoś umierał.

– To jest właśnie najlepsze. Stracił przytomność i prawdopodobnie wykrawiłby się na śmierć, gdyby Sam ruszył po pomoc. Ciężar ciała brata podziałał jak opaska uciskowa.

– Zaraz – odezwałam się. – To on nie wiedział, że jego brat żyje?

– To dla mnie najciekawsze w tej historii. Sam myślał, że stało się najgorsze, ale tak mu się tylko zdawało. Dzięki temu, że w to uwierzył, uratował bratu życie. – Hap spojrzał na mnie, żeby się upewnić, czy go słucham. To była najważniejsza część. – Wiesz, nie zawsze rozumiemy, co przeżywamy w środku ani jakie to będzie miało znaczenie. Możemy zgadywać do woli i nawet się przygotować, lecz nigdy nie wiadomo, co z tego wszystkiego wyniknie.

Trudno mi było zrozumieć jego słowa. Mówił jeszcze o tych chłopakach, czy też próbował mi powiedzieć coś więcej o nas i o terażniejszości, o Eden i o tym, jak mamy żyć bez niej. Chciałam czasu, żeby zadać mu pytania i usłyszeć odpowiedzi, chciałam lat, dekad – wieczności. Ale on już odpoczął i był gotowy do dalszej drogi. Lekcja dobiegła końca.

Spędziłam razem jeszcze rok, tylko we dwoje, sami, a później wyjechałam na studia na uniwersytecie w San Francisco. Hap zawiózł mnie swoją terenówką z bagażnikiem wypełnionym pudłami i pościelą. Powinnam była być szczęśliwa, że zaczynam nową przygodę, ale już tęskniłam za domem. A przecież jeszcze nawet nie wysiadłam z samochodu.

– Do zobaczenia w Święto Dziękczynienia – powiedziałam, kiedy już wszystko wypakowaliśmy i Hap miał odjeżdżać. Choć próbowałam, nie udawało mi się zachować opanowanego tonu, być silną, kiedy czułam się słaba.

– Uważaj na siebie, skarbie – powiedział Hap, zamykając drzwi samochodu. Jego dłoń spoczywała przez chwilę na uszczelce opuszczonej szyby. – Powodzenia.

Dwa miesiące później, wczesnym rankiem 12 listopada 1976 roku, jeden z młodszych leśniczych Hapa znalazł jego plecak dziesięć kilometrów za początkiem szlaku w parku stanowym Russian Gulch, ale ani śladu samego Hapa. Nikt nie widział go od poprzedniego popołudnia, kiedy wybrał się sam na rekreacyjną wędrowkę. Szeroko zakrojone poszukiwania nie dały rezultatu mimo wykorzystania psów policyjnych. Wyparował.

Telefon Ellisa Flooda złapał mnie w akademiku, przez moją wykładowczynię. Siedziałam na twardym krześle w jej pokoju i patrzyłam na pomalowaną ścianę z pustaków, zaalaminowany plakat o nastolatkach i stresie. Ledwie przyswajałam słowa Ellisa Flooda, całkowicie zdezorientowana i pogrążona w niedowierzaniu. Co sprawiło, że Hap zszedł ze szlaku bez prowiantu, a nawet wody? Był profesjonalistą w terenie, znał wyzwania i zagrożenia dzikiej przyrody. Nie wierzyłam, że mogło mu się stać coś strasznego. Nie z jego umiejętnościami i doświadczeniem.

– Oczywiście będziemy szukać nadal – zapewnił mnie Ellis. – Ale, Anno, możliwe, że pod wpływem żalu stracił czujność. Oboje wiemy, że od śmierci Eden nie jest już taki sam.

Miał rację, ale nie chciałam mu przytaknąć. Rozpłakałam się, a szeryf ciągnął spokojnie, próbując mi wyjaśnić swój tok myślenia. Możliwe, że Hap popełnił kardynalny błąd i się zgubił albo znalazł się w stanie w hipotermii. Mógł źle ocenić odległość i wpaść do wąwozu.

Mógł stracić orientację i utonąć albo paść ofiarą niedźwiedzia. Takie rzeczy często się zdarzały, nawet tym, którzy wiedzą, co robią. Jeśli chodzi o ciało, najpewniej było gdzieś w lesie, zbyt dobrze zamaskowane, żeby mogli je odnaleźć poszukiwacze z psami, albo rozszarpane przez niedźwiedzia czy pumę. Ellis nie tracił nadziei, chciał jedynie, żebym przynajmniej zaczęła brać pod uwagę możliwość, że mogą go nie odnaleźć.

Kilka kolejnych tygodni czekania na jakiegokolwiek informacji było piekłem. Nie mogłam się skupić na zajęciach ani żadnych zadaniach, właściwie prawie nie jadłam. Co kilka dni kontaktowałam się z szeryfem Floodem. W końcu, tuż przed feriami bożonarodzeniowymi, ponieważ przez ponad miesiąc nie natrafiono na żaden ślad, powiedział:

– Nie przestaniemy szukać, Anno. Ale w głębi duszy zaczynam się zastanawiać, czy tamtego dnia Hap nie zszedł ze szlaku celowo. Możliwe, że chciał odebrać sobie życie.

Rozmawiałam z budki telefonicznej w akademiku. Ellis mówił dalej, a ja wcisnęłam się w kąt i się trzęsłam, nie przejmując się tym, czy ktoś mnie widzi i słyszy. Jeśli Hap *rzeczywiście* chciał umrzeć, zrobiłby to właśnie w ten sposób, jasne – samotnie w lesie na swoich zasadach. Bez dramatów i fanfar. Bez pożegnania. Choć bardzo chciałam wierzyć, że nigdy by mnie nie zostawił, bez względu na to, jak bardzo był nieszczęśliwy, miałam osiemnaście lat i nie byłam już pod jego opieką, przynajmniej oficjalnie. Spełnił daną mi obietnicę. Wciśnięta w kąt, ciągle płacząc, słuchałam słów Ellisa niosących się echem przez telefon, kradnących powietrze z moich płuc.

– Będzie pogrzeb? – zdołałam go spytać z uczuciem dziwnej pustki.

– W takich przypadkach trzeba wielu lat, żeby oficjalnie uznano kogoś za zmarłego. Ale myślimy o nabożeństwie żałobnym. Poinformuję cię, byś wtedy przyjechała do domu.

Dom. To słowo w tej chwili całkowicie zmieniło znaczenie. Bez Hapa i Eden Mendocino było tylko miejscem – jak każde inne – przynajmniej tak mi się zdawało, mnie pogrążonej w żalu.

– Dobrze – odpowiedziałam, podziękowałam mu i się rozłączyłam. Nigdy tam nie wróciłam.

(pięćdziesiąt siedem)

Wychodzę z lasu i kieruję się prosto do Navarro Beach na południu miasteczka, żeby się spotkać z ekipą poszukiwawczą. Mały parking przy plaży znajduje się na końcu zarośniętej drogi, która prowadzi mnie obok starego motelu, stojącego tutaj od czasów gorączki drewna w XIX wieku. W tamtych czasach wybrzeże usiane było norami, jak je nazywano, maleńkimi punktami przeładunkowymi, gdzie pracownicy tartaków koślawymi kanałami spławiali drewno do czekających szkunerów. Później pojawiły się statki wielorybnicze, przemytnicy alkoholu i kobiety o złej reputacji. Przez siedemdziesiąt pięć lat albo dłużej – całe pokolenia, ten region się rozwinął i kwitł – powstały karczmy i sklepiki spożywcze, i domy, które przypominały raczej biwaki. Teraz jest tylko opustoszały motel, szeroki pas plaży pełen wyrzuconego na brzeg drewna i dwudziestu czy trzydziestu poszukiwaczy przygotowujących się na parkingu.

Wysiadam, zakładam Cykadzie obrożę i dostrzegam niedaleko grupkę kobiet zapinających wiatrówki na sportowych strojach. Jest wśród nich Emily, a ja czuję dumę. I zaskoczenie. To dla niej wielki krok. Kilka sekund później zauważam Hectora przytupującego podczas czekania, jakby już zrobiło mu się zimno w stopy. Bardziej prawdopodobne, że czuje niepokój na myśl, że mogłby odnaleźć siostrę za późno. Albo nie odnaleźć jej wcale. Dziwnie jest widzieć jego i Emily stojących w odległości niecałych sześciu metrów. W piętnastoletnim życiu Cameron byli przy niej oboje, nie wiedząc o sobie nawzajem, znając całkowicie odmienne twarze tej samej dziewczyny, dwie różne wersje, które nigdy się ze sobą nie zetknęły. Teraz jednak są od tego o krok.

Organizatorem wyprawy jest Bill Muncy, ojciec Caitlyn. Dzieli zgromadzonych na mniejsze grupy, więc szybko witam się z Hectorem i podchodzę do Emily, chcąc się znaleźć w jej grupie. Nie

widziałam jej po odnalezieniu ciała Shannan i chcę się dowiedzieć, jak się miewa.

Wygląda na to, że czuje ulgę, że dziś rano wie, co zrobić ze swoim strachem. Ja czuję to samo, kiedy grupki poszukiwawcze wyruszają z parkingu. Nasz zespół został skierowany na najbardziej wysuniętą na północ część plaży, gdzie znajduje się najwięcej wyrzuconego przez morze drewna. Fala przynosi je i zostawia w wybielonych przez słońce stosach, które od dekad przekopują nastolatki, artyści i wolne duchy, żeby konstruować szałas przypominające schronienie rozbitka albo dziwne, wyszukane rzeźby, splecione naturalnie, zakotwiczone w piasku.

Te budowle zawsze mi się podobały, ale dziś wieje zimny wiatr, słońce się schowało, a my nie jesteśmy tu dla rozrywki, tylko szukamy ciała albo miejsca zbrodni.

– Znalazła pani tę dziewczynę – mówi Emily, kiedy ruszamy. Jej głos jest łamliwy, kruchy. – Co to oznacza dla mojej córki?

– Niestety, tego jeszcze nie wiemy. Ale w pewnym sensie może to być dobra wiadomość. Teraz pomaga nam FBI. Mamy o wiele więcej rąk na pokładzie i więcej środków. Naprawdę liczę na to, że wkrótce coś zaskoczy. Znajdziemy ją.

Emily nie odpowiada, więc podążam za jej wzrokiem do stosu drewna, w którym znajdują się puste miejsca, ciemne obszary, które ktoś dziś będzie starannie, a nawet drobiazgowo przeszukiwał. Emily jest spięta, a ja zgaduję, o czym myśli – że „znalezienie” Cameron wcale nie oznacza, że wróci do domu żywa.

Subtelnie kieruję nas na północ, gdzie plaża jest szeroka, ograniczona jedynie skałą czarnego klifu w oddali i małym estuarium, które już zostało przeszukane. Ale Emily nie musi o tym wiedzieć. Zachowuję to dla siebie. Idziemy ramie w ramie, wiatr popycha nasze plecy lekkimi podmuchami, które są niemal jak pchnięcie ludzkich dłoni. Piach unosi się wokół nas, iskrząc, nadaje powietrzu gęstość szkła. Dłonie mam zimne, chowam je głęboko do kieszeni.

– Wiedziała pani o tym, że Cameron chciała zostać modelką? – pytam, postanawiając nieco się otworzyć, podzielić myślami, choć nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Co takiego? Nie. Ona nawet się nie malowała. Nie miała w sobie nic z kokietki.

– Z pozoru może nie. – Wyciągam zdjęcie i jej podaję.

Zatrzymuje się w pół kroku, jakby zobaczyła węża.

– Jest zupełnie do siebie niepodobna. Kiedy to zrobiła?

– Pod koniec wakacji, tuż przed rozpoczęciem szkoły. Chyba pracowała nad portfolio modelki. Nigdy nie wspomniała o swoich zainteresowaniach?

– Zabroniłabym jej.

– Dlaczego?

– Bo złamałaby sobie serce.

Złamane serce jest przywilejem człowieka, mawiała Eden. Wtedy nie wiedziałam, co ma na myśli. Moje serce zostało złamane wiele razy i niby powinnam być za to wdzięczna? Teraz, sporo lat później, w końcu zaczynam rozumieć, że chodziło jej o całą ziemską podróż człowieka. O to, że żyjąc, nie sposób uniknąć zranienia, jeśli żyje się we właściwy sposób.

– Jest taka piękna – mówię. – Może miałyby szczęście.

– Pięknych dziewczyn jest na świecie w bród.

– Nawet gdyby zaznała rozczarowania, dokonałaby własnego wyboru, prawda? Na pewno by sobie z tym poradziła.

Emily nie odpowiada.

Znajdujemy się teraz sto metrów od brzegu estuarium, przy płytkim rowie z morską wodą, z brzegiem upstrzonym pianą, sto pięćdziesiąt metrów od linii przyływu. Na połaci nieruchomej wody coś przykuwa mój wzrok – wygląda na lewitujący kamień albo płetwonurka, a tymczasem to foka, która wynurza się przy brzegu. Przyglądamy się, jak wydostaje się z mętnej wody – obserwujemy jej przednie płetwy, gładką brązową głowę z profilu, nos skierowany w kipiel. Właśnie tam musi się przedostać centymetr po centymetrze – z powrotem do morza. Nikt jej w tym nie pomoże.

– Dlaczego wspomina pani o tym akurat teraz? – pyta Emily. – Jaki to ma związek ze sprawą?

– Po prostu próbuję zrozumieć marzenia Cameron.

– Dlaczego?

Z jakiegoś powodu nie mogę oderwać wzroku od foki. Szamocze się na suchym piasku, rzucając swoje ciało naprzód jak wór kamieni. Nie została stworzona do tego, by poruszać się w ten sposób, w ogóle nie została stworzona do przebywania na lądzie, tylko w wodzie. A jednak prze naprzód.

– Czasami najwięcej mówią o nas nasze marzenia. To, kim jesteśmy, gdy nikt nie patrzy, to, kim chcielibyśmy być, gdybyśmy wiedzieli, że możemy to osiągnąć.

Emily znów kieruje wzrok na fotografię, a później patrzy na mnie, zdezorientowana albo zła, albo jedno i drugie. – Chce pani powiedzieć, że ta Cameron jest prawdziwsza niż dziewczyna, którą codziennie widziałam?

– Nie chodzi o makijaż. Nie to miałam na myśli. Chodzi o pragnienia. Chęć zajścia gdzieś dalej.

Emily kręci głową, a ja widzę, że w ogóle mnie nie słucha. Może dlatego, że ja sama ledwie nadążam za własnymi słowami. Może to zupełnie niewłaściwy temat rozmowy.

– Nie chciałam pani zranić ani zszokować – odzywam się, zanim zdążę się zastanowić. – Ale mam powód, żeby podejrzewać, że pani córka mogła być w dzieciństwie wykorzystywana seksualnie. Wie pani coś na ten temat?

Zamiera natychmiast, jakbym zadała jej cios. Bo zadałam.

– Dlaczego w ogóle *wspomina* pani o czymś takim?

Mogę jedynie mówić dalej, choć nienawidzę każdego słowa.

– Pojawiły się pewne dowody z przychodni, w której Cameron była miesiąc temu. W tej chwili nie mogę zdradzić nic więcej, ale badanie wykazało wewnętrzne blizny.

– Co takiego? – Jej słowa przecinają powietrze pomiędzy nami. Piach pod naszymi stopami jest zdradziecki, pełen noży. Emily zmaga się teraz z mnóstwem pytań, przede wszystkim dlaczego Cameron wybrała się do lekarza w tajemnicy przed nią, a odpowiedź na jedno z nich może ją dobić. Albo zabić.

Mnie też.

– Przypomina pani sobie, żeby osobowość Cameron się zmieniła, kiedy była mała? Czy zdarzało jej się moczyć łóżko w nocy? Albo

chciała spać przy włączonym świetle? Może miewała koszmary albo nagle wybuchy złości bez powodu?

– Nie bardzo. Nie przypominam sobie niczego takiego. – Kręci głową, zastanawiając się, a miodowe włosy smagają jej twarz.

– Lydia mówi, że wcześniej Cameron wydawała się bardziej beztroska. Pani też tak uważa?

– Nie wiem – odpowiada Emily. – Może. Był okres, że bez przerwy bolał ją brzuch. Myślałam, że to ze zdenerwowania przed sprawdzianami. Jest bardzo wrażliwą dziewczyną.

– Ile miała wtedy lat?

– Osiem albo dziewięć.

– Czy te objawy nasilały się rano? Czy kiedy odrabiała lekcje?

Widzę, że Emily cofa się w myślach w czasie i szuka wspomnień, które zmieniają się, gdy po nie sięga.

– Prawdę mówiąc, ze szkołą nigdy nie miała problemów. Dostawała dobre stopnie. Zadania domowe nie sprawiały jej trudności, z wyjątkiem jednego roku. To było chyba w czwartej klasie. Cały semestr spędziła ze mną w domu.

– Cały semestr? Dlaczego?

– Miała mononukleozę. Właściwie wydawało nam się to nawet zabawne. Że nabawiła się choroby pocałunków w tak młodym wieku.

– Rzeczywiście tak ją nazywano – mówię ostrożnie, bo w końcu do czegoś dochodzimy. Muszę się wysilać, żeby mówić powoli, ważyć każde słowo. – Ale przyczyną mononukleozy jest tak naprawdę osłabiony układ odpornościowy. To może być skutek stresu. Pamięta pani, co w tym okresie działo się w domu? Pojawił się w życiu Cameron jakiś nowy *dorosły*? Ktoś, kto szczególnie się nią zainteresował?

Mruga, patrząc na mnie, jakby miała się zaraz rozpaść.

– O co właściwie pani pyta?

– Niech pani pomyśli. Kto mógł skrzywdzić Cameron, kiedy była za mała, żeby się obronić? Niewiele brakuje, żebym dodała: *Kiedy pani jej nie obroniła*, ale to nas donikąd nie zaprowadzi. W tej chwili muszę budować pomiędzy nami most, nie mur. – Kiedy była bezbronna?

Emily jest zupełnie nieruchoma i tak przestraszona, że nie jestem w stanie na nią patrzeć. Wszystko zaczyna do niej docierać, rozdziera ją. Zaczyna cicho płakać, a po chwili szlocha, skrzywiona na twarzy, brzydka i szczerą.

– Dlaczego?

– Tak bywa. – *W życiu zdarzają się straszne rzeczy*, odzywa się w moim sercu głos Hapa. – Niech pani się skupi. Na tym, co mi pani przed chwilą powiedziała. Przechodziła mononukleozę w czwartej klasie. Wcześniej miała silne bóle brzucha. Co nowego pojawiło się w życiu Cameron, kiedy miała osiem czy dziewięć lat? Czas może nam wskazać osobę.

– Na pewno ma mnie pani za straszną matkę.

– Nie – mówię szczerze, może po raz pierwszy. Teraz, z perspektywy tej rozmowy, czuję, że byłam okrutna w ocenie Emily. Może od samego początku byłam wobec niej niesprawiedliwa, bo widziałam w niej siebie i nienawidziłam siebie. Ona starała się postąpić właściwie, choć z powodu własnego cierpienia było jej jeszcze trudniej.

– Robiła pani, co mogła.

Drży.

– Staralam się.

– Proszę się cofnąć pamięcią – naciskam najłagodniej, jak umiem.

– Wtedy mieszkaliśmy jeszcze w Malibu.

– Jakież nowe opiekunki albo sąsiedzi? Przyjaciele rodziny?

– Nie.

– Zostawiała ją pani z kimś samą?

– Nie – mówi znowu, ale to słowo coś przywołuje, działa jak zegarek. – Zaraz. – Krew napływa jej do policzków, gorący kwiat trudnego uczucia. – Kiedy Cameron była w trzeciej klasie, po raz pierwszy do domu nad morzem przyjechała do nas na święta moja rodzina. Wybieraliśmy się z Cameron do Ohio, ale tamtego roku Troy oznajmił, że bez sensu jest męczyć się w śniegu, skoro nie musimy.

Widzę, jakie to trudne terytorium dla Emily, ziemia wspomnień, które brutalnie się zmieniają, gdy na nie patrzy. Nic już nigdy nie będzie takie jak wcześniej. Bo wcześniej było kłamstwem.

– I co dalej? Co się zmieniło?

– W Bowling Green mieliśmy zawsze jeden pokój. Cameron spała w dodatkowym łóżku w naszym pokoju. Bała się ciemności.

– Ale w Malibu miała swój pokój.

– Tak. – Jej głos drży, wibruje. – O mój Boże.

Nie odzywam się, daję jej czas, żeby poskładała wszystko w całość. Zobaczyła to, czego nie potrafiła zobaczyć wtedy. Usta ma zaciśnięte, białe w miejscu, gdzie się stykają.

– W tamtym roku wszyscy przyjechali na tydzień – mówi w końcu. – Lydia i Ashton mieli jelitówkę i większość czasu przeleżeli w łóżkach. Pamiętam, że byłam na nich wściekła za to, że narazili nas na kontakt z zarazkami. – Zawiesza głos. Widać, że przeżywa gonitwę myśli. – Mój tata nigdy wcześniej nie brał tyle urlopu. Nawet nie grał w golfa.

Dalej milczę. Przez długą chwilę tylko stoję obok niej, kiedy wszystko się w niej zbiera i z niej wypływa. Piach unosi się wokół nas niczym miliony lustrzanych powierzchni. Na plaży fale uderzają w wybrzeże, a foka w końcu dotarła do morza. Dziwne, ale mam ochotę wiwatować na cześć zwierzaka, który się nie poddał i nie zawrócił.

Nagle coś pęka i rozbłyska. Przebija się. Emily zaczyna drzeć, a po chwili się trzęsie. Krzyczy, zakrywając twarz dłońmi, zgięta wpół.

Delikatnie kładę dłoń na jej plecach, chcę, żeby wiedziała, że nie jest sama. Ale właściwie nie potrafię jej pomóc. Nie w tej kwestii.

Kiedy się prostuje, twarz ma mokrą i surową. Policzki pobrudził tusz. Oddycha z trudem.

– Jaki potwór skrzywdziłby małą dziewczynkę? Mój własny ojciec? – Wzdryga się z odrazą. – Albo mój brat? To wstrętne.

– Przez ile lat pani rodzina przyjeżdżała na święta do Malibu?

– Trzy. Później moja mama nie mogła podróżować z powodu demencji. Potem przeprowadziliśmy się tutaj, a Drew zaczął prowadzić gospodarstwo.

– Drew też przyjeżdżał na te wszystkie święta?

– Tak. Nienawidzę tak myśleć. *Nienawidzę.*

– Wiem. Przykro mi. – Stoimy o krok od siebie, a ostry wiatr smaga nasze plecy. Nie jestem w stanie jej niczego ułatwić. Nie mogę zdjąć

z niej bólu. Wszystkie te pytania są bolesne. Prawda ma kły i nie odpuści.

– W jakim wieku była Cameron, kiedy wszystko zaczęło się zmieniać?

– Kiedy przyjechaliśmy na północ. Myśleliśmy, że to z powodu gór, świeżego powietrza. Znów była prawie taka sama jak dawniej. Później poznała Caitlyn i przez jakiś czas wydawało się, że jest naprawdę świetnie.

– Ten schemat czasowy pasuje do większego obrazka. Możliwe, że wykorzystywanie się wtedy skończyło. Cameron dorastała. Istniało większe zagrożenie, że o wszystkim powie.

– Mój Boże. To *odrażające*. Co teraz robić?

– Dalej szukać córki. Będziemy musieli wykluczyć podejrzanych, oczywiście. A kiedyś, jak to wszystko się skończy, przeprowadzimy dochodzenie i postaramy się doprowadzić do skazania.

Spogląda mi w oczy, widać, że przepływa przez nią fala świeżego przerażenia.

– Moja mama jest teraz taka krucha. Informacja o Cameron była dla niej ciężkim ciosem. To ją zabije.

– Rozmawiała pani ostatnio z ojcem?

– Kilka dni temu. Staram się informować ich na bieżąco. Chyba nie sądzi pani, że to on ją w tej chwili przetrzymuje?

– Czy to możliwe? Czy on i Cameron utrzymywali kontakt? Poszłaby z nim?

– Nie. Nie sądzę. Ojciec nie zostawia teraz matki samej. Jak na ironię. – Jej spojrzenie staje się surowsze. – Mama nie jest już w stanie podróżować. To dlatego nie wychodzą.

– Departament szeryfa sprawdzi te informacje, żebyśmy mieli pewność, że nic nam nie umyka.

– Dlaczego Cameron nigdy mi nie powiedziała, co się dzieje? – pyta Emily.

Chciałabym mieć dla niej prostą odpowiedź, ale taka nie istnieje.

– Możliwe, że nie pamiętała – udaje mi się powiedzieć. – Często się tak dzieje. Podświadomość prawdopodobnie to wymazała, żeby pomóc jej przetrwać. A nawet jeśli pamiętała, mogła się za bardzo wstydzić, żeby pani powiedzieć. Ofiary molestowania o to, co im się

przydarzyło, na ogół obwiniają siebie, jakby zrobiły coś, co do tego doprowadziło. To jeden z najtrudniejszych do zrozumienia aspektów. I najsmutniejszy.

– Nie ochroniłam jej. – Słysząc, że Emily jest przytłoczona, zdruzgotana i wycofana. – Zawiodłam ją.

Wyciągam do niej rękę. Chciałabym móc cofnąć czas dla niej i dla Cameron. I dla siebie samej. Czuję pomiędzy nami rosnący żal.

– Nie chciała pani jej krzywdy. Po prostu jej pani nie widziała. Może nie była pani w stanie. Miała pani własne rany. Jak każdy. – Do moich oczu napływają łzy, a ja ich nie powstrzymuję. – Ciągłe jest szansa na pomoc. Może pani zacząć w tym miejscu.

Opiera się o mnie, poddając się czemuś. Może wszystkiemu. Ponad jej ramieniem, daleko na plaży, inna grupa poszukujących krzyczy do siebie na wietrze. Hector na przedzie stawia duże, zdecydowane kroki. Morze jest wzburzone, czarna woda okolona białą koronką.

– Dobrze. – Łapczywie nabiera powietrza.

– Dobrze – odpowiadam i stoimy tak, kilka centymetrów od siebie, razem, ale samotne.

(pięćdziesiąt osiem)

Trudno rozstać się z Emily pod jej drzwiami po spędzonym razem dniu, ale Troy jest w domu i wiem, że trzeba im dać czas na rozmowę.

– Może pani dzwonić o każdej porze – mówię.

– Dziękuję. W tej chwili mam wrażenie, że wszystko to jest złe, a nawet nieprawdopodobne. – Jej głos drży niczym cienki drucik. – Ale wiem, że pani chce pomóc. Że zależy pani na Cameron.

– Zgadza się.

W drodze powrotnej do miasteczka dostrzegam samochód Willa, który mijają mi z naprzeciwka. Widzę go we wstecznym lusterku, zjeżdżam na piaszczyste pobocze, znajduję miejsce, żeby zaparkować, i spotykam się z Willem w pół drogi.

– Wszędzie cię szukam, Anno. Jeden z patroli znalazł w Montgomery Woods kilka przedmiotów Shannan, pojedynczy but, bransoletkę, portfel z pieniędzmi, kilkaset dolarów. Więc nie chodziło o kradzież, ale to już wiedzieliśmy.

– Jakież odciski palców.

– Niestety, nie. Był też aparat fotograficzny. Bez odcisków, ale wywołaliśmy kliszę i możliwe, że jakimś punktem zaczepienia będą oznaczenia godziny i daty.

Czuję napór u podstawy czaszki, jakby ścisnęły mnie w tym miejscu czyjeś dłonie. Próbuję zignorować to wrażenie.

– Gdzie są te zdjęcia? Mogę je zobaczyć?

– Jasne. Zrobię dla ciebie odbitki. Jadę na spotkanie z Drew Hagem i technikiem od wariografu. Chcesz jechać ze mną?

– Pojechałabym, ale muszę ci powiedzieć, że dziś rano odbyłam długą rozmowę z Emily. Wygląda na to, że Cameron mógł także skrzywdzić jej ojciec.

– Powiedziałaś jej o naszych podejrzeniach?

– Tak.

– Jak się czuje?

– Jest wstrząśnięta. Dopilnuj, żeby technik wypytał Drew przede wszystkim o święta. Boże Narodzenie w Malibu. Ojciec nazywa się Andrew Hague, mieszka w Bowling Green w Ohio. Emily mówi, że ostatnio nie podróżuje, bo jej matka jest bardzo chora, ale tak czy siak, musimy go zweryfikować.

– Jasne. Sprawdzimy to później. A ty powinnaś odpocząć. Wyglądasz strasznie.

– Nie obchodzi mnie, jak wyglądam, Will. Chcę te zdjęcia.

Widać, że nie ma ochoty dać za wygraną.

– Chyba nie ma sensu, żebym się upierał?

– Nie.

Jak tylko dostaję do ręki zdjęcia z aparatu Shannan, rozkładam je na podłodze w moim domku i szukam znaków albo wskazówek. Większość to głupie, spontaniczne fotki bez znaczenia – Shannan bosowała z powykrecanym dmuchawcem pomiędzy dwoma palcami. Sześciopak piwa na trawie. Rozmazane zdjęcie krajobrazu, które może przedstawiać wszystko i być zrobione wszędzie. Kawałek nagiej nogi Shannan, być może ktoś pstryknął zdjęcie przez przypadek.

Cykada spaceruje dookoła mnie, a ja czuję rosnącą frustrację. Naiwnie myślałam, że coś rzuci mi się w oczy od razu, ale wszystkie zdjęcia wydają się równie niewinne, nawet to, na którym jest w czymś, co wygląda na tajemnicze futro z królika, z rozpuszczonymi, potarganymi włosami i cynicznie zmrużonymi oczami. Widnieje na nim data z maja tego roku, prawie miesiąc przed zniknięciem. Nie ma szans się dowiedzieć, kto zrobił zdjęcie i czy był to ten sam facet, który dał jej aparat oraz futro, albo jedną z tych rzeczy. Może obie ukradła. Może to wszystko jest ślepą uliczką, a zdjęcia nie mają żadnego znaczenia dla nikogo, nie miały go nawet dla Shannan, kiedy jeszcze żyła.

Will jest cały dzień zajęty, więc postanawiam pojechać do Comptche porozmawiać z Tally. Pewnie będzie to strata czasu. Nie ma przecież kryształowej kuli i może nie zobaczy na zdjęciach

niczego więcej niż ja. Ale w tej chwili czuję, że muszę gdzieś jechać, podążać za tropem, nawet jeśli to bezcelowe.

Przyjeżdżamy z Cykadą po drugiej i zastajemy Tally w ogrodzie – przywiązuje winorośl, przygotowując ją na zimę. Twarz ma różową i osmaganą wiatrem nad kołnierzem zielonej filcowej kurtki.

– Właściwie nie wiem, dlaczego tu jestem – oznajmiam szczerze, kiedy do mnie podchodzi i zdejmuje grube robocze rękawice. – A pani *wie*, dlaczego tu jestem?

Mruży oczy, uśmiechając się.

– Widocznie nie odstraszyłam pani ostatnio. Zastanawiałam się nad tym.

Na werandzie stoją dwa szerokie fotele wiklinowe. Siadamy na nich obok siebie i Tally przegląda zdjęcia.

– Rzuca się pani coś w oczy? – pytam po chwili. – Czy to kożuch, który się pani śnił?

– Chyba tak. – Pochyla się. – Biedna dziewczyna. Cierpię na samą myśl o tym, co przeszła.

– Wiem. Ja też. Ale jeśli uda nam się ustalić, kto to zrobił, może nas to zaprowadzić do Cameron. Intuicja mi podpowiada, że te dziewczyny są w jakiś sposób powiązane.

– Mnie też. – Tally kiwa głową. – A może to tylko nadzieja. – Jeszcze raz przegląda zdjęcia, tym razem wolniej. Teraz, kiedy widzę futro, zastanawiam się, czy było dla Shannan czymś bardzo ważnym, czymś, co kochała, i dlatego je zobaczyłam? Nie wiem.

– Nie szkodzi. Będę myśleć dalej. Może na coś wpadnę.

Przed wyjściem Tally pyta mnie, czy mam ochotę przejść się z nią do stajni zobaczyć małe alpaki.

Cykada biegnie przed nami, przez ogród i obrzeżone pastwisko z wysoką trawą upstrzoną astringami i granatową kampanulą, ostatnimi kwiatami o tej porze roku. Stajnia jest stara, ale porządna. Tally otwiera duże drzwi, a wystraszone gołębie odfruwają na krokwie. Przez szczeliny w podniszczonej przez warunki atmosferyczne elewacji rozmazanymi snopami przedziera się pod kątem światło.

– Niesamowite miejsce.

– Prawda? Moi dziadkowie przenieśli je tutaj z Idaho, deska po desce. – Prowadzi nas do drewnianych boksów. W najbliższym stoi mama alpaka, zwrócona w stronę kąta, z uprzężą wokół pochylonej brązowej szyi. Zaciekawiona Cykada zagląda przez metalowe pręty, w końcu siada i obserwuje, co zrobimy.

– Jeszcze nie nauczyła się karmić – wyjaśnia Tally. – Czasami tak jest. Będę jej pomagać.

Wchodzę za nią do środka i przyglądam się, jak klęka obok zwierzęcia, głaszcze je po nodze i przemawia do niego łagodnie. Alpaka powoli się rozluźnia.

– Jest pani dla niej dobra.

– Nie przepada za ludźmi. Muszę obchodzić się z nią delikatnie.

Mam wrażenie, że mówi nie tylko o matce alpacy, ale o całym procesie. Obserwuję, jak mleko płynie do wiadra cienkimi strumieniami, niewiele ciemniejszymi od wody. Po pięciu minutach Tally udaje się zebrać niewielką ilość płynu, niecałe pół kubka.

– Wystarczy maluchowi? – pytam.

– Mam nadzieję. To głównie siara. Będzie małemu potrzebna.

Noworodek w boksie obok jest jeszcze wilgotny. Tally przenosi go na dużą podgrzewaną poduszkę i nabiera siary do strzykawki, a później klęka.

– Podniesie mu pani głowę?

– Boję się, że zrobię coś nie tak. Jest taki malutki.

– Mocniejszy, niż wygląda.

Klękam w luźnym sianie i wyciągam rękę, żeby przytrzymać głowę maleństwa. Jego sierść jest jak ciepły, wilgotny dywan. Czuję w dłoniach jego puls i serce mi mięknie. Niepojęte, jaki jest bezbronny.

– Przeżyje? – Boję się odpowiedzi.

– Poranek miał trudny, ale sądzę, że tak. Proszę. – Podaje mi strzykawkę. – Trzeba ją przytknąć do podstawy języka. O właśnie. Dobrze.

Czuję pociągnięcie, kiedy maluch zaczyna ssać miękką plastikową końcówkę, widzę, jak jego rzęsy drgają, gdy patrzy na mnie, jedząc. Zalewa mnie dawny ból, wdziera się we mnie wszystkimi otworami niczym woda, a właściwie jak miłość.

– Podobnie jak karmienie butelką niemowlaka – mówi Tally. Zapada długa, spokojna cisza. – Myślałam dziś o przebaczeniu – odzywa się w końcu. – Wie pani, tylu ludziom trudno zrozumieć, czym ono jest, łączą je z winą. Wstydzą się rzeczy, na które nigdy nie mieli żadnego wpływu. Moim zdaniem wcale nie musimy harować jak wół, żeby zasłużyć na przebaczenie. Ono już jest wokół nas, jak deszcz. Musimy je tylko do siebie dopuścić.

Ręce zdrętwiały mi pod głową malucha. Zmieniam lekko ich ułożenie, zastanawiając się, do czego zmierza Tally. Dlaczego poruszyła ten temat.

– To nie takie proste.

– Może i nie. Ale moim zdaniem im coś jest ważniejsze i wydaje się niemożliwe, tym bardziej potrzebujemy tego w sobie do życia.

Spoglądam na maleństwo, najedzone, z zamkniętymi oczami, i na strzykawkę, w której zostało tylko trochę piany.

– Dlaczego pani mnie tu przyprowadziła?

– Pomyślałam, że może chciałaby pani przytulić zwierzaka, to wszystko.

Oczy mnie pieką, zachodzą mgłą. Jestem w stanie tylko kiwnąć głową i oddać strzykawkę.

(pięćdziesiąt dziewięć)

Tego wieczoru siedzimy z Willem przed kominkiem w moim domku z butelką jacka danielsa i zdjęciami Shannan między nami. Nie byliśmy sami w takich okolicznościach od czasu mojej wizyty w jego mieszkaniu i choć mam wrażenie, że to było wieki temu i ta sytuacja nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia, zastanawiam się, jak zapatruje się na to Will, bo żadne z nas nigdy tego nie skomentowało. Może uważa, że tamten pocałunek był wynikiem chwili słabości albo złej oceny, a może nadal go do mnie ciągnie, ale stara się stłumić uczucia – równie doświadczony jak ja w ignorowaniu trudnych emocji w nadziei, że same odejdą.

– Czego nie widzimy? – pytam o zdjęcia.

– Żebym to ja wiedział, cholera. Nie wiadomo, co zaszło w samochodzie, bo nic się nie zachowało. Żadne z tych zdjęć nie wskazuje podejrzanego.

– Niestety. – Wyczerpana sięgam po zdjęcie Cameron, starając się wyczuć, w jaki sposób jest powiązana z Shannan. Poza piękną twarzą i przedziałką na środku ciemnych włosów nie ma z nią nic wspólnego. Nie wiadomo, co robić dalej. – Jak wyszedł wariograf Drew Hague’a?

– Wyniki były niejednoznaczne. Chyba zaczyna się trochę łamać.

– Spytaliście go o Shannan?

– Tak. Tutaj nic nie wyszło. Ale gorącą kwestią jest Cameron. Był ze mną Denny i się z tym zgadza.

– Czy alibi Drew jest nadal ważne?

– Niestety, tak. Mamy do czynienia z poczuciem winy najprawdopodobniej z przeszłości, ale jak odległej?

– Zachowanie większości przestępców seksualnych wychodzi na jaw dopiero po latach, a nawet dekadach, kiedy wykryje ich policja. *O ile* ich wykryje. Nie wiem, w jaki sposób wyciągnąć

od niego pełne zeznania, jeśli nie będziemy mieli Cameron jako świadka albo nie pojawi się ktoś inny.

– Lydia?

– Nie liczyłabym na to, że go zdradzi, nawet jeśli wie. Musimy bazować na tym, co mamy.

– Jutro będziemy mieć trochę więcej ludzi, a także sporo quadów i jeszcze raz przeczeszymy teren wokół Montgomery Woods.

– To dobrze, Will, ale mamy połowę października.

Ogień rzuca cienie na jego wargi i oczy. Wygląda, jakby w ciągu zaledwie tygodnia postarzał się o kilka lat.

– Są jeszcze szanse, że zdążymy ją uratować, prawda? To nie jest niemożliwe.

– Niemożliwe nie. Ale tak mało prawdopodobne.

Will wychodzi tuż przed północą. Cykada przeciąga się z pomrukiem i wstaje ze swojego miejsca przy kominku. Wyraźnie mówi: *chodźmy spać*, ale jak mam choćby próbować zasnąć, kiedy wszystko wydaje się takie mgliste i ponure? Pomimo że ogień już prawie dogasa i zrobił się półmrok, wpatruję się w dwa zdjęcia – Cameron w krzywym lesie i Shannan w futrze z królika – i staram się spojrzeć na nie z dystansu, obiektywnie, wykorzystując jedną ze starych sztuczek Hapa, żeby uniknąć martwego punktu, kiedy jest się za blisko, żeby dostrzec to, co najważniejsze.

Wiem, że Cameron pozowała Grayowi tamtego dnia w lesie, ale nadal nie mam pewności dlaczego. Co zamierzała zrobić ze zdjęciami z tej sesji, na kim usiłowała zrobić wrażenie ubiorem i fryzurą, i spojrzeniem? Co do Shannan, nie widziałam wielu jej zdjęć oprócz tych z dzieciństwa, które Karen pokazała mi w Gualali. Na tym ma przebiegłą, cyniczną minę, mruży brązowe oczy, jakby rzucała komuś wyzwanie, i zaciska wargi w poziomej linii. Bez uśmiechu. Bez zachęty czy otwartości. Cameron robiła wszystko, żeby po raz pierwszy zostać zauważoną, za to Shannan zauważano aż nazbyt często, była wykorzystywana ze względu na swój wygląd, z którego sama od dawna czerpała korzyści, zbyt długo, żeby sądzić, że może wyniknąć z tego coś dobrego. Widok tych dziewczyn obok siebie jest niemal ironiczny. Ze względu na kształt twarzy, włosy i typ sylwetki

są do siebie podobne, ale ich podejście do życia, do możliwości jest całkiem odmienne. Czarne i białe, jak twierdził Will od samego początku, dwie strony rzuconej monety, która nie chce spaść.

W końcu się poddaję. Z ognia został już tylko maleńki czerwony żar. Cykada zwija się w kłębek obok mnie, ciepła i silna wykonuje swoje zadanie, a jest nim bycie obok mnie. Ciągłe nie pojmuję, czym sobie na nią zasłużyłam ani jak do mnie trafiła, ale jestem wdzięczna za jej ciało, a nawet za bicie serca. Zwłaszcza teraz, z nadejściem nocy, która mocno daje mi się we znaki. Wciąga mnie sen, dziwne obrazy są gęste i wilgotne jak oddech zwierzęcia. Znajduję się w okrągłej budowli, częściowo podziemnej, podobnej do tych, jakie niegdyś budowali Pomo na swoje rytuały i ceremonie. Wokół mnie odbywa się specyficzny ryt oczyszczenia – starsi w czapkach i płaszczach ze skóry jelenia, z nagimi torsami, nuca całymi sobą. Jakby śpiewali wszystkimi porami swojego ciała.

Czuję paloną szalwią. Wzdłuż ziemistych ścian wije się szary dym, rozpościerający się w górze niczym zakłęcie.

– Gdzie cię boli? – słyszę znajomy głos.

Wszędzie, odpowiada mój umysł.

To Hap. Nie widzę go w dymie, ale rozpoznaję silne, rozlewające się ciepło jego skóry i jego zapach, które zawsze były właśnie takie, niczym woń nabierających mądrości drzew.

Nie dam rady, mówię mu w myślach o rozwiązaniu tej sprawy, rozwikłaniu zagadek, odnalezieniu Cameron. Nagle chodzi mi o wszystko. O całe moje życie obciążone stratą. Jasona i Amy. Moją matkę, która zmarła w Boże Narodzenie na tym okropnym parkingu. Zabójstwo Jenny i raka Eden. Zniknięcie Hapa. Wypadek mojej córki. Ciemną przepaść mojej pracy i to, w jak potworny i jawny sposób wiąże się ze wszystkim.

– Nie przejmuj się – mówi mi Hap do ucha. – To było dawno temu.

Nie. Czuję się przy nim mała i bezradna, jakbym znów miała dziesięć lat. Dwanaście. Osiem. Szesnaście. Jak w każdym wieku. Spośród mokrego dymu dobiega dźwięk przypominający dzwonek telefonu, ale jest zbyt odległy i nie mogę go dosięgnąć. *Gdzie zniknąłeś, Hap? Szkoda, że się nie pożegnałeś.*

– Życie jest zmianą, Anno. Nie jesteśmy w stanie zatrzymać siebie nawzajem.

Zawiodłam cię. Nie jestem taka, jak myślisz.

– Ćśś.

Muszę ci powiedzieć, co się stało. Co zrobiłam.

– Spokojnie, skarbie. To już nieważne.

Owszem, jest ważne. *Pomóż mi, Hap. Nie mogę tak żyć, błagam we śnie.*

Starsi stoją tyłem do nas i biją w bębny nad gorącymi kamieniami. Okrągła budowla oddycha niczym płuco, pochłania żal i go wypuszcza.

– Bardzo ci współczuję, skarbie – mówi Hap. – Wiem, że to boli, ale nie jesteśmy skazani na to, żeby robić coś samemu. Nigdy cię nie zostawiłem. Zobacz, co ci przyniosłem.

Podnoszę wzrok. Dach znikł. Na oszłamiającym, bezkresnym niebie co rusz rozbłyskują i gasną migoczące iskry.

– Nie zawsze je widzimy. – Hap ma na myśli gwiazdy. – Ale one są zawsze z nami, złotko. Nie poddawaj się.

Pomóż mi ruszyć naprzód, Hap. Muszę odnaleźć Cameron.

– Już ją odnalazłaś, Anno. Widzisz? Była tam przez cały czas.

(sześćdziesiąt)

Budzę się z posklejanymi, mokrymi rzęsami. Płakałam we śnie. Wspominając, na nowo przeżywając. Odtwarzając traumę w moim ciele, w którym była przez cały ten czas.

Ubieram się otępiała, odpuszczając prysznic, a Cykada chodzi wkoło, próbując odgadnąć mój nastrój. Wzuwam botki i jadę do miasta – prawie nie czuję kierownicy w dłoniach, powietrza na skórze. Lekkie przebłyski snu o okrągłym domu przebijają się przez emocjonalną mgłę – Hap próbujący mnie zapewnić, że nie jestem sama. A jednak czuję, jakbym była sama.

Ta sprawa mi się wymyka, Willowi też. W biurze tamtego ranka, kiedy zadzwonił koroner, powiedział, że może być nie dość silny albo nie dość dobry. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie miał racji – o nas obojgu. Że nie rozwiążemy tej sprawy. Może Cameron pozostanie zaginiona, a jej oprawca – nieznany, i historia się powtórzy.

Zostawiam Cykadę w samochodzie i idę do GoodLife, bombardowana radosnym chaosem, jaskrawym światłem, głośnymi rozmowami i zapachem mleka zamieniającego się w słodką pianę. Zamawiam kawę oraz burrito na śniadanie i czekając na jedzenie, z przyzwyczajenia podchodzę do tablicy ogłoszeń. Ciągłe wisi na niej stare ogłoszenie o zaginięciu Cameron i nowe ze słowami „podejrzenie przestępstwa” krzyczącymi ze środka. Pozostałe to nic ciekawego – jest wśród nich ogłoszenie o darmowych zajęciach jogi Sama Foxa – ale nagle coś dostrzegam. W uszach zaczyna mi brzęczeć alarm, sygnał ostrzegawczy, bo właśnie *tak* porywacz Cameron mógł do niej dotrzeć. Właśnie tak niewinnie – ukryty na samym widoku.

Mój wzrok wędruje po tablicy, z góry na dół i z boku na bok, a mnie ogarnia poczucie strachu i nieuchronności. I wtedy widzę

ogłoszenie, którego szukam, w prawym dolnym rogu, proste i lakoniczne, wydrukowane na papierze ksero w kolorze butelkowej zieleni:

ARTYSTA POSZUKUJE MODELKI

Doświadczenie nie jest konieczne

W razie spełnienia wymogów przewidziane szkolenie

Wisiało tutaj trzy tygodnie temu, kiedy znalazłam ogłoszenie o domu do wynajęcia, ale nie zwróciłam na nie uwagi. Do tej pory nawet o nim nie pamiętałam. Miejscowy numer telefonu na dole jest powtórzony na ponacinanych paskach do odrywania, bez nazwiska. Brakuje tylko dwóch pasków. Artysta poszukuje modelki... szkolenie. Trzyście słów, trzy linijki, wszystko bez gorączki, perswazji czy ostentacji – to dlatego ogłoszenie jest tak przekonujące. Przypomina miejsce polowań, które widziałam w lesie, proste i niewiarygodnie efektywne.

Wyciągam z kurtki zdjęcie Shannan. Jest mi niedobrze i czuję, że wszystkie włoski na moim karku drżą. Nie patrzę już na futro. Ono nie ma znaczenia, liczy się tylko dziewczyna z ciężarem w sercu, która ma je na sobie. Jej cynizm, znużenie światem. Sygnał Batmana migoczący spoza ran.

Wszystko, co przeżyła, widać w jej oczach – dzień, w którym ojciec uciekł z miasta, a matka przestała się starać, wszystkie kłótnie, jakie słyszała nocami ze swojej sypialni, odgłos pięści walącej w ścianę, w twarz matki. To, jak próbowała wszystko zagłuszyć w szkolnej łazience, klęcząc na podłodze, z dłonią jakiegoś chłopaka na karku, popychającego ją zbyt mocno. Te sytuacje, kiedy uciekała i niczego nie odnajdowała. Wracała i niczego nie odnajdowała. Uciekała znowu. Oczywiście, fantazjuję, uzupełniając luki. Ale patrząc z drugiej strony, to żadne fantazje, bo wszystko jest niewiarygodnie znajome.

Shannan nie jest mną ani Jenny. Nie jest też Cameron, ale mimo wszystko widzę nas stojące jedna za drugą – każda jest inną wersją tego samego kształtu. Próbuje wierzyć w ludzi i obietnice. Próbuje być wystarczająco dobra. Próbuje – ciągle próbuje – jakoś się uwolnić. Otworzyć.

Wyciągam pinezkę z korkowej tablicy i czuję ukłucie, bo igła trafia w opuszkę kciuka. Ogarnia mnie uczucie balansowania na linie. Numer na dole ogłoszenia, które trzymam w dłoni, to jego numer. Z cienkim kawałkiem papieru, drżącym w moich palcach, skupiam się zupełnie na jednym miejscu – plamce mojej jasnej krwi.

Ostrożnie dotykam tylko dolnej części ogłoszenia, żeby nie zniszczyć żadnych cennych odcisków palców ani pozostałości potu, proszę jedną ze sprzedawczyń przy kasie o strunowy woreczek i chowam do niego ogłoszenie, a później idę do automatu telefonicznego w głębi kafejki, żeby zadzwonić do biura szeryfa. Odbiera Cherilynn Leavitt.

W jej głosie, ciepłym i pogodnym, nadal słyszę alarm.

– Cześć, Cherilynn – mówię z wysiłkiem. – Tu Anna Hart. Jest może Will?

– Pojechał w teren. Mam go złapać przez radio?

– Nie, nie trzeba. – Mój głos jest lodowaty. Biorę oddech. – Słuchaj, sprawdziłabyś mi, do kogo należy numer telefonu z ogłoszenia? Zaczekam.

– Jasne.

Czekam, obecna właściwie tylko ciałem. W głowie mam zamęt, niedorzeczne myśli. W końcu na linii pojawia się Leon Jentz.

– Cześć, Anna. Mam informację, o którą prosiłaś. O co chodzi?

– Na razie trudno powiedzieć. – Znowu to uczucie bezcielesności, ale jakimś cudem mówię dalej. – Sprawdzam trop. Czego się dowiedziałeś?

– To numer zarejestrowany na Pracownię Malarską Mendocino.

On jest tutaj, kilka przecznic stąd. A jakże.

– Jakieś nazwisko?

– Nie. Takie placówki mają numery, i to jest właśnie taki numer. Prowadzący pewnie często się zmieniają.

– Wiadomo, który to lokal?

– Numer cztery. Na coś wpadłaś?

– Być może na nowego świadka. – Bez trudu rzucam kłamstwo. – Dam znać, jak coś z tego wyniknie. Mógłbyś powiadomić Willa, żeby spotkał się ze mną w tej Pracowni Malarskiej najszybciej, jak tylko będzie mógł?

– Załatwione.

(sześćdziesiąt jeden)

Kilka minut później parkuję, zostawiam Cykadę na tylnym siedzeniu i podchodzę do skupiska zabudowań, które stoją tu od końca lat pięćdziesiątych. W największym budynku mieści się dwanaście ponumerowanych lokali służących jako mieszkania i miejsca pracy dla nauczycieli oraz artystów rezydentów, sześć na górze i sześć na dole, z łączącą je obłą klatką schodową o przemysłowym wyglądzie.

Pod numerem cztery jest pusto i cicho. Fragment witrażu w brudnym oknie po lewej stronie od wejścia rzuca rozmazany kolorowy cień na betonowy chodnik – czerwone, niebieskie i żółte okręgi.

Pukam, lecz nikt nie reaguje, więc naciskam klamkę, żeby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte na klucz. Tak, są. Próbuję zajrzeć do środka przez okna, ale szyby są pokryte warstwą brudu, pajęczyn i muszych kup.

Galeria, w której turyści kupują ręcznie malowane wskaźniki wiatru i popielniczki z dmuchanego szkła, nie jest jeszcze otwarta. W pobliżu nie ma nikogo oprócz ogrodnika, na kolanach ostrym szpadlem rozdzielającego kłacza funkcji – to starszy człowiek, którego nie znam. Ma na sobie kombinezon i bejsbolówkę; wystają spod niej kępki srebrnych włosów.

Podchodzę do niego i wskazuję budynek za sobą.

– Wie pan, do kogo należy ten lokal? Numer cztery.

– Jakiś czas stoi pusty, ale pod koniec miesiąca przyjeżdża nowy stażysta z Portland. – Kładzie na kolanie ubrudzone ziemią rękawiczki. – A kogo pani szuka?

– Artysty, który wyjechał.

Okulary ma zaparowane, lecz wzrok przenikliwy. Jest barczysty.

– Wynajem mu się skończył, ale wszystkie dokumenty są w biurze. Czemu pani pyta? Co pani chce wiedzieć?

Widzę, że wzbudziłam jego podejrzliwość. Prawdę mówiąc, z potarganymi włosami, w pogniecionym ubraniu, zaniedbana, wyglądam bardziej niż podejrzanie. Na dodatek ciężko dyszę. Ale choć doskonale wiem, że muszę się uspokoić i przekonać go, że nie stanowią zagrożenia, myślę tylko o tym, żeby dostać się do środka. Może tam być mężczyzna, który zabił Shannan, a później uprowadził Cameron. Na telefonie mogą znajdować się jego odciski albo jego nazwisko na rachunku czy na wizytówce bądź na jakiejś pracy.

– Kto jest pana kierownikiem? – pytam, kucając, żeby znaleźć się na jego poziomie. – Muszę się dostać do tego lokalu. Kto ma klucz?

– Ja jestem kierownikiem. Stan Wilkes. Co tu jest grane?

Potrzebuję kilku długich minut, żeby wyjaśnić sytuację i przekonać Stana, żeby pozwolił mi zajrzeć do środka. W końcu kiwa głową, poruszając nią w zółwym tempie, wstaje i otrzepuje kolana. Czekam wieki, aż sięgnie do kieszeni na biodrze i wyciągnie uniwersalny klucz, mały i zaokrąglony na górze, wiszący na kawałku czerwonej tasiemki.

Idziemy razem, on otwiera drzwi, a jego wielki cień pada na nadproże i framugę.

– Proszę – mówi.

Wchodzę do środka i po raz pierwszy nachodzi mnie myśl, że mimo swego wieku tym, kogo szukam, może być Stan. Jest postawnym mężczyzną, mógłby zrobić krzywdę. Wstrzymując oddech, odwracam się do niego na pięcie.

Cofa się niezdarnie, przestraszony. W jego szeroko otwartych oczach widać starość. W dłoniach również i w lśniącym czole. To tylko stary człowiek, a ja go przestraszyłam.

Po wyjściu Stana zamykam drzwi, żeby zapewnić sobie prywatność. Pokój ma kształt surowego prostokąta, może sześć metrów na siedem. Betonową podłogę szpecą pęknięcia i ciemne plamy. Zacieki farb olejnych. Pod jedną ścianą stoi drewniany stół, równie sponiewierany, zniszczony przez lata użytkowania.

Włącznik górnego światła nie działa, ale w suficie są trzy świetliki z akrylowego szkła z wybrzuszeniami. Rzucają światło w postaci mlecznych stożków, w których unoszące się drobiny kurzu wydają się powiększone. Ziarniste. Choć pomieszczenie jest zupełnie puste, wszędzie czuć pozostałości. Emanujący ze ścian niemal medyczny zapach oleju lnianego i gwaszy. Czerniałe usta pustego pieca. Oparta w rogu sztaluga, z jedną nogą dyndającą niczym złamana kończyna.

Marzę, żeby ta przestrzeń mogła do mnie przemówić, opowiedzieć mi swoją historię. Czy Cameron tu była jako modelka czy kandydatka na modelkę? Błagała o miłość czy może o życie? Czy oprawca dzwonił do niej z tego złotego smukłego telefonu przy futrynie? Ze skreconym jak wąż przewodem? Czy to przez ten aparat rozmawiała z nim po raz pierwszy? Gdzie zaczął ją wkomponowywać w swoje chore fantazje?

Skupiam się na telefonie, aż raptem słyszę drganie tuż za mną. Odwracam się, ale nikogo nie ma, jednak dźwięk słychać nadal, jakby ciche łomotanie młotkiem w ścianę albo w rury dobiegające z szafy na tyłach.

Cameron, myślę i podchodzę do drzwi. Okazuje się, że to wcale nie szafa, lecz ciemna przestrzeń magazynowa z pustaków. Ściany są szare, porowate i cuchną stęchlizną. Powietrze jest gęste i tak wilgotne, że można by je pić. Połykać w kawałkach. W jednym rogu z krokwi nad małym zardzewiałym zlewem roboczym sfruwa ptak, napędzając mi strachu, kiedy z impetem wpada na ścianę. Rozszalałe szaro-białe skrzydła wyglądają jak plama. Widocznie wpadł przez rozbite okno nad drzwiami i nie może się stąd wydostać.

Czuję jego zmaganie, jakby machał skrzydłami w mojej piersi, a nie wśród pustaków. Łączy nas napędzana paniką energia i bezradność. Serce zaczyna mi szybciej bić, kiedy ptak uderza o beton, a później o krokwie, na próżno szukając nieba. W końcu z wyraźnie łomoczącym sercem przysiada na jednym z legarów pokrytych pajęczyną. W tej właśnie chwili dostrzegam kilka płócien ułożonych niedaleko, pomiędzy legarami, niczym szczeble na drabinie. Niemal natychmiast zapominam o ptaku i biorę krzesło, ostrożnie, żeby nie naruszyć niczego, na czym mogą się znajdować odciski palców. Muszę się nieco wysilić, żeby zdjąć płótna i nie spaść, ale kiedy mi się

to udaje, ogarnia mnie zdumienie; w prawym dolnym rogu mają wyraźny, zamaszty podpis Jacka Forda. Na pewno są warte setki tysięcy dolarów.

Moją pierwszą myślą jest to, że Jack musiał mieć jakiś związek z tym studiem, które funkcjonuje tu od ponad trzydziestu lat. Może tutaj malował albo po prostu wykorzystywał to pomieszczenie do przechowywania. Później przychodzi mi do głowy, że przez kilka ostatnich dekad z tego miejsca korzystały dziesiątki artystów, może więc któryś z nich kolekcjonował obrazy Jacka i niechcący je tu zostawił. Ilość kurzu na płótnach i fakt, że tu zostały, choć całe studio oczyszczono do zera, każą mi podejrzewać, że obrazy raczej nie mają nic wspólnego z teraźniejszością, z Cameron czy porywaczem. Ale on tu *był*, całkiem możliwe, że była tu także ona. Oczywiście, trzeba będzie ściągnąć tutaj natychmiast ekipę do zebrania odcisków palców, włókien i włosów, szczególnie w magazynie, który z powodu grubości ścian i wysoko umieszczonego okna mógł bez trudu służyć jako miejsce przetrzymywania ofiar. Jeśli Cameron zdołała znaleźć kamień albo inny przedmiot, możliwe, że próbując zwrócić czyjąś uwagę, rozbiła szybę. Może to dlatego porywacz zabrał ją z tego miejsca, żeby nikt nie usłyszał jej krzyków, kiedy zdejmie knebel.

Moje myśli ciągle gorączkowo krążą wokół możliwych scenariuszy, aż nagle słyszę, jak Will woła mnie z głównego pomieszczenia. Jest czerwony na twarzy, jakby wszedł tu z trudem, a ja czuję zaskakującą ulgę na jego widok. Wiedząc, że mogę się z nim skontaktować, kiedy go potrzebuję, i że on zawsze znajdzie sposób, żeby do mnie przyjechać.

Potrzebuję dłuższej chwili, żeby opowiedzieć mu o swojej teorii z tablicą ogłoszeń, a wcześniej pokazuję Willowi ogłoszenie i tłumaczę, w jaki sposób mogło przyciągnąć Cameron i możliwe, że także Shannan. Później prowadzę go do magazynu, gdzie zostawiłam oparte o ścianę obrazy, bo nie chciałam ich niepotrzebnie dotykać, na wypadek gdyby okazały się przydatne w dochodzeniu.

– Obrazy Jacka? – pyta Will z niedowierzaniem.

– Obłąd, co? Może znalazły się tu zupełnie przypadkiem.

– Albo należą do Caleba, a on jest w to zamieszany – dodaje pośpiesznie Will.

– Caleb? Dlaczego tak sądzisz?

– Bo wszystkie obrazy Jacka są jego.

– Właśnie. Jeśli wie o ich istnieniu, to znaczy, jeśli ma związek z tym lokalem, chybaby je sprzedał, jak wszystkie pozostałe? Na pewno wiedział, że tu są.

– Może. A może chciał je zatrzymać z powodu skomplikowanego związku z ojcem?

Wzruszam ramionami, dopuszczając teorię Willa, a on tymczasem dzwoni do Leona z krótkofalówki i wyjaśnia mu, że mamy do zbadania potencjalne miejsce zbrodni i że ma powiadomić zespół. Później odwraca się do mnie.

– Wiemy, kto tu był ostatnio?

– Wszystkie dokumenty są w biurze. Jest jeszcze zamknięte, a kierownik nazywa się Stan Wilkes. On mnie tu wpuścił. Może moja teoria z tablicą ogłoszeń jest zupełnie bezpodstawna, ale nie sądzę.

– Jeśli rzeczywiście masz rację, możliwe, że zwabiał w ten sposób także inne dziewczyny. Może ma już na widoku następną ofiarę.

– Wiem. Takie ogłoszenia mogą wisieć na całym wybrzeżu.

Will kiwa głową i przystaje, żeby przyjrzeć się najbliższemu stojącemu obrazowi opartemu o ścianę. Światło jest kiepskie, a powierzchnia płótna – stara i pokryta kurzem, ale mimo wszystko malunek jest widoczny. To abstrakcja, niemal prymitywna, w ograniczonej gamie kolorystycznej – tylko czerń, biel i błękit. Kształty są zupełnie kanciaste i przywodzą na myśl coś, czego nie umiem skojarzyć, ale odgaduje to Will.

– To chyba rzeźba nad Domem Masońskim?

– Cholera. Masz rację. – Zastanawiam się, dlaczego od razu tego nie zauważyłam. – To *Czas i Dziewica*. A inne?

Will naciąga na dłoń mankiet koszuli, żeby zachować odciski palców na obrazie, i ostrożnie przesuwając płótno do przodu. Są w sumie cztery i wszystkie okazują się różnymi wersjami tego samego w tej samej tonacji kolorystycznej. Odważna biel w kształcie litery „V”, sugerująca skrzydła. Czarna kreska wyobrażająca kosę śmierci. Twarz dziewczyny, okrągła i zamazana, z włosami zebranymi

w rozwodnione białe zawijasy. Tło każdego obrazu jest surowe i grube, granatowe – mimo warstwy kurzu – i wygląda, jakby zostało rozprowadzone nożem niczym lukier.

– Odrażające – stwierdza Will.

Obsesja rzeczywiście *jest* odrażająca, muszę przyznać, choć malarze często powracają do ulubionych motywów. Monet i jego lilie czy Degas i tancerki. Różnica polega na tym, że obiekt, który ewidentnie fascynował Jacka Forda, przynajmniej w okresie, gdy namalował te obrazy, fascynował także mnie przez całe życie.

– Z niechęcią przyznaję, że na swój sposób są piękne – mówię głośno do Willa.

– Chcesz powiedzieć, że przyznajesz z niechęcią dlatego, że Jack był dupkiem? – Jego mina mówi, że się ze mną zgadza. – Tak czy inaczej, powinniśmy sprawdzić te obrazy. Może Caleb pomoże nam je zidentyfikować. Poślę któregoś z moich zastępców, żeby go tu sprowadził.

– Ja mogę skoczyć. Uwinę się w pięć minut. A ty w tym czasie poproś Stana Wilkesa, żeby wpuścił cię do biura.

– Dobra, jasne. Tylko uważaj.

– Zawsze uważam.

Spogląda na mnie z ukosa, jakby chciał powiedzieć: *oboje wiemy, że to nieprawda.*

(sześćdziesiąt dwa)

Pracownię Malarską dzieli od domu Caleba zaledwie kilka przecznic, więc idę piechotą, szybko wracając myślami do ogłoszenia i do zdjęć, na które gapiałam się od paru dni, Cameron w lesie i Shannan z jej ołowianym spojrzeniem, z arogancją. Nadal daleko mi do tego, żeby zrozumieć, w jaki sposób połączyć wszystkie kropki, ale odnalezienie pracowni na pewno jest przełomem. Nawet jeśli artyści z Centrum często się zmieniali, Stan Wilkes z pewnością może podać nam listę nazwisk, które będziemy mogli sprawdzić w naszej bazie danych. Technikom kryminalistycznym bez problemu powinno się udać zdjąć odciski palców z ogłoszenia, jeśli papier nie był zbyt często dotykany czy przewieszany. Poza tym mamy obrazy, które Caleb, miejmy nadzieję, pomoże nam umiejscowić.

Wchodzę przez furtkę i widzę, że w garażu się świeci. W środku dostrzegam dużą postać Caleba spacerującego za kwadratowym oknem. Gdy podchodzę i stukam delikatnie do drzwi, Caleb stoi przed sztalugą z wielkim płótnem. Z tego, co widzę, obraz jest abstrakcją, pełną ciemnych, falistych zawijasów. Jakimś cudem mi umknęło, że Caleb też jest artystą.

– Anna? – otwiera mi drzwi. – Co się stało?

– Przepraszam, że nachodzę cię niespodziewanie. – Wchodzę do środka i widzę, że idzie w ślady ojca. Duże obrazy. Odważne, niemal dzikie linie. – Ale w Pracowni Malarskiej znaleźliśmy właśnie kilka podpisanych obrazów twojego ojca. Może mógłbyś wpaść i je zidentyfikować, no i pomóc nam ustalić, do kogo należą?

– Coś takiego. – Wyciera dłonie w ścierkę, którą trzyma, po czym wrzuca ją do dwudziestolitrowego plastikowego wiadra na betonowej podłodze, nawet nie patrząc, jakby doskonale wiedział, gdzie co się znajduje. Miejsce za nim jest nieskazitelnie zorganizowane. Pędzle i kolorowe tuby są poukładane na stole

starannie, według odcieni. W czasach Jacka, kiedy on tu tworzył, to miejsce zawsze wyglądało tak, jakby należało do rupieciarza. Teraz wszystko ma swoje miejsce, a podłoga jest zamieciona. – A co tam robiliście?

– Sprawdzaliśmy wątek w sprawie Cameron Curtis. Obrazy były zupełną niespodzianką. – Podchodzę do sztalugi i dyskretnie obserwuję, jak się przed nią przesuwają.

– W Pracowni Malarskiej? A czego tam szukaliście?

Znów zerkam na płótno i dostrzegam tym razem zdecydowanie kobiece kształty, krągłości i gabaryty.

– A, dostaliśmy pewien sygnał.

– Ciekawe. – Jego spojrzenie, chłodne i elektryzujące, krzyżuje się z moim. Bijąca od niego energia wyraźnie się zmienia, jest teraz niemal gadzia. Bada atmosferę między nami tak, jak robi to językiem wąż. Czyta w moich myślach, a przynajmniej próbuje. – Jesteś pewna, że to obrazy mojego taty?

Wiem, że nie mogę ukryć tego, co już zobaczyłam. Że składam wszystkie fragmenty układanki. Odgaduję to, czego wcześniej nie zauważałam. To, co miałam tuż przed sobą. Mogę jedynie zagrać w tę grę.

– Bez dwóch zdań. Wszystkie przedstawiają *Czas i Dziewicę*. Przypominasz sobie, czy widziałeś coś takiego za życia Jacka?

Marszczy lekko czoło i kręci głową.

– Raczej nie. Pozamykam tutaj i spotkamy się na miejscu.

– Nie ma sprawy, poczekam.

– Jasne. – Jego źrenice znów zatrzymują się na mnie. Caleb zachowuje się tak, jakby sprawiało mu to przyjemność. – Skoczę tylko po portfel i zaraz wracam. Zaczekaj.

Zamyka garaż na klucz i idziemy na podjazd, a później on idzie do domu, a ja stoję, choć mnie roznosi. Naprawdę pójdzie ze mną do Pracowni? Jest na tyle zuchwały? A jeśli tak, czy znajdę sposób, żeby poinformować Willa, że go podejrzewam, jak już dotrzemy na miejsce? Myśli wirują mi w głowie, aż nagle czuję na twarzy kilka kropel deszczu. Kiedy wychodziłam rano z domku, było chłodno i bezchmurnie, ale niebo zrobiło się szare i deszczowe. Zerkam szybko w stronę domu, żeby sprawdzić, czy Caleb wychodzi,

a później podchodzę do zamkniętych drzwi garażowych i przez okno zaglądam do środka. Chcę jeszcze raz spojrzeć na płótno, potwierdzić wrażenia. Tym razem jednak mój wzrok pada na coś innego. Fotografie przypiętą nad stołem Caleba. Czarno-białą i w pewnym sensie staroświecką, jakby została wycięta z podręcznika do historii.

Przysuwam się do szyby i niewiele brakuje, żebym ją rozpoznała, aż raptem słyszę silnik samochodu i widzę Caleba wyjeżdżającego z garażu białą półciężarówką toyotą. Zalewa mnie adrenalina i odskakuję na bok, zastanawiając się, czy zamierza mnie przejechać. Tymczasem on zwalnia na tyle, żeby zdążyć krzyknąć przez otwarte okno, z nieruchomym, niemal szklistym wzrokiem:

– Jak za mną pojedziecie, to ją zabiję.

Wciska gaz i znika.

Przez chwilę stoję jak sparaliżowana, kiedy wszystko do mnie dociera, wszystko, co mi umknęło, niczym detonująca w moim umyśle bomba. To, że profil Caleba idealnie pasuje do człowieka, który jest w stanie gwałtownie się zmienić, stać się zabójcą, potworem. Dzieciństwo złamane w wyniku porzucenia i chaosu, z ojcem tyranem i alkoholikiem. Strata Jenny, osoby, którą kochał najbardziej na świecie, a nie był w stanie zrobić nic, by ją ocalić. Nierozwiązana sprawa, zabójca nigdy nieodnaleziony. Już to wystarczyłoby, żeby wyzwolić w nim wściekłość, diametralnie go odmienić, wykręcić go u korzeni, jak dawno temu wyjaśnił mi Hap w krzywym lesie.

A jednak nie byłam w stanie dostrzec tej udręczonej strony Caleba, jego zranień – nawet kiedy całkiem niedawno siedzieliśmy obok siebie na klifie. Może zmyliło mnie to, że łączyłam jego historię ze swoją albo jego przeszłość z terażniejszością. A może po prostu zapomniałam o podstawowej zasadzie Hapa, żeby mieć oczy cały czas otwarte i wstrzymywać się z zaufaniem, dopóki ktoś na nie nie zasłuży. Tak czy inaczej, nie mam czasu na luksus wyrzutów sumienia. Nie mogę zgubić Caleba, ale nie mogę za nim jechać. A liczy się każda sekunda.

W garażu jest ciężki czarny telefon z tarczą. Z całej siły kopię w drzwi tuż nad klamką i się otwierają. Drżącą dłonią wykręcam

numer Willa, każdy miesiąc jest spięty i rozedrgany. Odbiera Cherilynn.

– Mamy podejrzanego – oznajmiam. – Jedzie na wschód miasta, być może w kierunku autostrady, białą półciężarówką toyotą. Numer rejestracyjny zaczyna się od ha czterdzieści sześć. Reszty nie zdążyłam zapamiętać. Jestem w domu Caleba Forda na Kelly Street.

– Wysyłam kogoś po ciebie – mówi, zanim się rozłączy. – Nie ruszaj się stamtąd.

Niemal kręci mi się w głowie, kiedy odkładam słuchawkę, modląc się, żeby udało się zatrzymać Caleba, zanim dotrze do Cameron. Jego groźba, że ją zabije, jeśli za nim pojedę, jest przerażająca. Ale teraz, kiedy ucieka, istnieje ryzyko, że zrobi to mimo wszystko i tak szybko, jak tylko będzie mógł.

Słyszę, jak na Main Street zaczynają wyc syreny. Wychodzę z garażu do policjantów, ale mój wzrok jeszcze raz pada na czarno-białą fotografię nad stołem. I już wiem, dlaczego wydaje mi się znajoma. To zdjęcie kobiety Pomo w tradycyjnej sukni, z dzieckiem w plecionym koszu, z piersiami luźnymi pod ubraniem, z górą zebranych żółędzi obok. Jej dom ma kształt stożka z kory i trzciny oraz desek z sekwoi. Tak jak kryjówka, którą widziałam w lesie.

Wybiegam na podjazd. Deszcz pada mocniej, a niebo jest niemal czarne. Dostrzegam policyjny wóz z włączonymi światłami i rozpaczliwie pragnę zobaczyć w środku Willa albo w drugim samochodzie, tuż za pierwszym. Oba się zatrzymują, drzwi się otwierają. Wśród padających na moją twarz i szyję kropli deszczu szukam tylko twarzy Willa.

– Pojechał do lasu – krzyczę, choć wiem, że na razie nic z tego nie zrozumie. – Żeby zabić Cameron.

(sześćdziesiąt trzy)

– Możesz nas tam pokierować? – dopytuje Will, kiedy już wszystko mu powiedziałam, zdyszana i potwornie roztrzęsiona. – Pamiętasz drogę?

Muszę przekonać nie tylko Willa, ale wszystkich dopiero co wysłanych stanowych i miejscowych policjantów, dziesiątki skoncentrowanych na sobie twarzy. Do wszystkich jednostek rozesłano list gończy z opisem samochodu Caleba, ale do tego czasu prawdopodobnie udało mu się go gdzieś ukryć i ruszyć piechotą do kryjówki Pomo. Widziałam ją tylko raz, podczas tamtej długiej wędrówki z mojego domu, znajdowała się wiele kilometrów od miejsca, z którego startowałam, kto wie, jak daleko od najbliższej drogi. Czy uda mi się trafić do niej jeszcze raz? Czy rzeczywiście wiem, gdzie jest?

– Tak – zmuszam się, żeby to powiedzieć.

Will przez radio wzywa posiłki z posterunku straży parku i stara się ściągnąć, kogo tylko można, do misji poszukiwawczo-ratunkowej, a ja studiuję mapę, czując przyprawiające o mdłości ukłucia zwątpienia. Prawdopodobnie jest to obszar na północny wschód od mojego domu, w głębi zielonego pasa terenów parku. Ale czy na pewno? Czy przechodziłam tamtego dnia przez drogę dojazdową? Czy rzeka jest aż tak oddalona od najwyższej grani? Czy zgadza się wysokość?

– Masz współrzędne? – pyta Will z tyłu.

– Tutaj. – Wskazuję znaleziony obszar, prosząc Boga, żebym się nie myliła. – Lokalną drogą pojedziemy kilka kilometrów, ale resztę trzeba przejść pieszo, podzielimy się na grupy z krótkofalówkami. Każdy zespół będzie miał kopię tego szkicu schronu Pomo, który narysowałam, razem ze współrzędnymi i numerem rejestracyjnym białej półciężarowej toyoty zarejestrowanej na Caleba.

- Jasne. – Will mruży oczy. – Dobrze się czujesz?
- Pewnie. – Staram się uspokoić. – Jestem gotowa.

Pół godziny później konwój wyjeżdża z miasta w ciszy. Dziesiątki samochodów brną w błocie na Little Lake Road w drodze do głównego wejścia do Jackson State Forest, a deszcz smaga szyby. Każdy zakręt odczuwam w głębi duszy i zastanawiam się, czy nie jest za późno.

Jedziemy z Willem bez słowa. Niebo jest takie ciemne, że równie dobrze mogłaby być noc, gdy docieramy do drogi dojazdowej – końca podróży samochodem. Tam dołączamy do reszty zespołu, wszyscy w czarnych pelerynach, które robią się śliskie, zanim zdążymy włączyć krótkofalówki, żeby wyruszyć w teren. Przejmuję prowadzenie, starając się nie myśleć ani nie dopuścić do tego, żeby niepokój zagłuszył intuicję; mam nadzieję, że moje ciało dokładnie wie, dokąd idzie, i że zaprowadzi mnie tam intuicja. Ale stawka jest w tej chwili tak wysoka, że trudno nie panikować.

Pokonujemy kilometr, dwa, dwadzieścioro pięcioro poszukiwaczy gęsiego, a czasami w ułożeniu zwartej litery „V”, dopóki teren nam na to pozwala. Wszyscy jesteśmy przemoczeni do suchej nitki.

Nawet po uruchomieniu latarek widzialność w ciężkim powietrzu sprawia problemy, roślinność otacza nas gęstą masą, wzgórza i doliny stają się coraz bardziej śliskie i strome, miejscami nie do pokonania. Za każdym razem, kiedy dochodzę do rozwidlenia, rozpaczliwie szukam punktów orientacyjnych, jakiegokolwiek znaku, że znajduję się na właściwym szlaku, ale w deszczu wszystko wygląda inaczej. Wcale nie jestem pewna, czy kiedyś tu byłam, lecz nie mogę okazać strachu ani wątpliwości. Ekipa musi wierzyć, że znam drogę. A ja muszę wierzyć w to najbardziej.

Ochłodziło się i niebo wydaje się czarne, choć nie może być później niż po drugiej. Widzę smużki swojego oddechu pod ociekającym kapturem peleryny i się zastanawiam, czy nie zgubiliśmy się na dobre. Jestem wyczerpana z powodu niepewności i wysiłku, narastającej presji i przerażenia. Głosy w głowie mówią mi, że już ją zawiodłam, że przegapiłam najważniejsze wskazówki oraz znaki.

I nagle jest. Podnoszę wzrok i wiem, że znalazłam właściwą grań. Pomiędzy gęstymi krzewami, w błocie, wdrapuję się na szczyt i widzę kryjówkę Pomo, w dole, za ciemnymi, mokrymi wnykami i wspornikami, pod sosnami i choinami mocno ociekającymi od deszczu. Jest. Grupy za mną robią nadmierny hałas, szykują broń, moje napięcie sięga zenitu.

Przez kurtkę dotykam mojego glocka, żeby mieć pewność, że jest na swoim miejscu, Will też sprawdza swoją broń.

– On chyba zdaje sobie sprawę, że idziemy – uprzedzam go.

– Skąd wiesz?

– Ostrzegł mnie, żebym za nim nie szła, jakby wiedział, że umiem tu trafić.

– Byłaś tu sama tamtego dnia, kiedy zobaczyłaś kryjówkę. Pewnie jesteś jedyną osobą na świecie, która byłaby w stanie poskładać to wszystko w całość, choćby zdjęcie w jego garażu.

– Fakt. – Wcale nie czuję się pewniej co do naszych szans. – Z pewnością zaraz się przekonamy.

Will daje sygnał i ruszamy w dół przez mokre krzaki i poszycie, jak niewielka armia próbująca działać z zaskoczenia i podstępem, co najprawdopodobniej się nie uda. Może najpierw powinien pójść ktoś z nas pojedynczo, myślę. Może powinniśmy byli rozstawić na grani snajperów, ale na zastanawianie się jest za późno, na wszystko jest za późno.

Na miejscu okazuje się, że kryjówka została zniszczona, albo niemal zniszczona. Miejsce wygląda tak, jakby przeszedł przez nie cyklon. Wsporniki i kawałki kory leżą porozrzucane niczym podpałka. Caleba ani śladu.

– Cameron! – krzyczę, ale jej tu nie ma. W środku na przemokniętym klepisku widzę jedynie ślady jej walki, rozmazane plamy krwi na pogniecionym prześcieradle, które wygląda jak agresywna akwarela, i długie, porozdzierane, przemoknięte sznury. Wiadro obok śmierdzi latryną. Poplamione łóżko ze sklejki wygląda jak ołtarz i prawdopodobnie nim było, kiedy ją gwałcił i torturował przez te tygodnie, gdy trzymał ją w niewoli.

Will daje sygnał większej części grupy, żeby się rozejść i szukać dalej. Później przez radio każe zablokować wyjście z parku. Odwraca się do mnie z poważnym, zdeterminowanym wyrazem twarzy.

– Zabrał ją gdzieś. Jak myślisz? Dokąd mógł pójść?

– Nie wiem. – Usiłuję się skupić mimo strachu. Wciąż mi się wydaje, że choć dotarliśmy tak blisko i tak bardzo się staraliśmy, nie zdołaliśmy jej ocalić.

(sześćdziesiąt cztery)

Jackson State Forest obejmuje dwadzieścia hektarów rezerwatu przyrody. W szalejącej burzy jest równie czarny jak nieodkryta planeta i z minuty na minutę staje się coraz większym koszmarem. W dziesiątkach historii opowiedzianych przez lata Hap opisał mi wszystkie wyzwania, jakie czekają w tym lesie: drapieżniki i niefortunne upadki, hipotermię i zaginięcie. Jeśli Cameron jakoś się uwolniła – myśl szalona i nieprawdopodobna – może być w potwornym niebezpieczeństwie i bez Caleba. Ale przynajmniej jest w tym lesie, a nie gdzie indziej. Te tereny mam zakodowane w komórkach, we włóknach nerwowych. Jeśli Cameron tu jest, wierzę, że dam radę ją odnaleźć.

Pozostałe grupy się rozdzielają i rozchodzą, świecąc latarkami we wnyki, pod wsporniki i w gąbczaste, puste w środku sekwoje, porozumiewając się za pomocą krótkofalówek i nawołując Cameron. Deszcz zamienia się w zimną nieregularną mżawkę, ale niebo nadal jest ciemne i nabrzmiące, ze wszystkiego wyciąga cienie, z zimnego czarnego powietrza i pnia drzewa, ze skały i wąwozu, a droga staje się coraz bardziej zdradliwa. Liczba możliwych kierunków wydaje się oszłamiająca i nieskończona, a szlaki właściwie nie istnieją. W pewnej chwili zapadam się po pas w lepkich paprociach, a grań jest tak ciemna, że mam wrażenie, że płynę. Prę naprzód, kiedy słyszę za sobą głos Willa, i czekam, żeby mnie dogonił.

– Zejdę do tej doliny – mówię, wskazując zbocze po lewej stronie. – Jeśli próbuje się ukryć przed Calebem, będzie uciekała z grani w porośnięte doliny.

– Słuszna myśl. Pójdę pierwszy.

– Obejmiemy więcej terenu, jak się rozdzielimy – upieram się. – Zaraz zacznie się ściemniać. Jeżeli pójdziesz w tę stronę... – Wskazuję zbocze po przeciwnej stronie. – ... zejdiesz do doliny, która ciągnie

się ze wschodu na zachód przez jakiś kilometr. Ja pójdę w tym samym kierunku i spotkamy się przed następnym wzniesieniem. W razie czego mamy radio.

– Zgoda. Tylko uważaj, Anno.

Obiecuję mu, że będę ostrożna, sprawdzam stopą grunt i powoli zaczynam schodzić. Po kilku minutach tracę Willa z pola widzenia, a sama znów zanurzam się w paprociach. Smagają moją pelerynę i kleją mi się do rąk, kiedy próbuję znaleźć mniej strome zejście ze wzgórza. Jednak nim zdążę się połapać, co się dzieje, ziemia robi się strasznie śliska, a ja turlam się w dół z przerażającą prędkością, kuląc się, żeby się ochronić, smagana z każdej strony przez czarne gałęzie.

W końcu docieram na dno wąwozu, wyczerpana i posiniaczona. Spadłam z wysokości dwustu metrów, niemal pionowo.

– Will! – krzyczę i nasłuchuję reakcji.

Cisza.

Sięgam po krótkofalówkę, ale najpierw szybko oceniam obrażenia. Dłonie mam poranione i czuję ból w prawym biodrze. Opuszkami palców dotykam tyłu piekącej głowy i wyczuwam krew. Poobijana i zakrwawiona dla każdego drapieźnika w okolicy będę pachnieć jak kolacja. Do tego Caleb, który może być wszędzie, w każdym z tych ciekących i drżących cieni. Wiem jednak, że Will niekoniecznie ochroniłby mnie przed Calebem, jeśli ten się uwziął, żeby mnie zabić. A ja nie jestem *aż tak* poturbowana po upadku. Postanawiam pójść kawałek dalej; cieszę się, że spadając, nie zgubiłam latarki.

Powoli, niepewnym krokiem ruszam po rozmokłym niczym bagno dnie doliny. Po kilku minutach moja latarka dostaje czkawki, jakby zaczynała jej wysiadać bateria. Potrząsam nią ostrzegawczo, potykam się o korzeń i znów upadam, prawym kolaniem mocno wbijając się w błoto. Stojąc na czworakach, widzę, jak coś przemyka z mojej lewej strony, czarne skrzydło, jakbym przestraszyła sowę albo coś większego.

Zamieram i nasłuchuję całym ciałem. Serce bije mi jak szalone. Gardło mam ściśnięte. Ruch dostrzegłam na lewo, na trzydziestu stopniach. Szukam latarki, którą upuściłam, i z trudem wstaję. Prę naprzód przez gąbczasty trawers i czuję, jak leśne podłoże obejmuje

moje stopy niczym miękkie czarne wargi. Przeraza mnie myśl, co mogę znaleźć albo kogo.

Korony drzew w górze wyglądają, jakby się splotły, a niebo jest już tylko wspomnieniem. Czuję się, jakbym ze świata wpadła w próżnię. I nawet gdybym zawołała Willa, nie zdołałby tu do mnie dotrzeć. Nie jest to test Hapa ani zabawa w surwiwal. To moje życie, a może i moja śmierć. Przypominam sobie wszystko, czego Hap starał się mnie nauczyć o dziczy, że trzeba podchodzić do niej z szacunkiem bez względu na swoją wiedzę. Dowodem jest jego zniknięcie. Wiedział więcej niż inni, miał wobec natury więcej cierpliwości, respektu i szacunku. A jednak go zabrała – przyroda – ale nie może teraz zabrać mnie. Jeśli chcę mieć nadzieję na odnalezienie Cameron. Na tym muszę się skupić, nie na strachu, lecz na tym, po co tu jestem. Bo właśnie o to chodzi w surwiwalu.

Przeciskam się przez gęste zarośla, mokre liście i gałęzie okładające mnie po ubraniu. Docieram do polany wśród starych sekwoi. Czuję ich zapach, niemal słyszę, jak oddychają. Wyglądają, jakby były świadkami, ale czego?

Nagle coś znów się porusza. Słyszę ciche, zdławione westchnienie. W świetle mojej latarki rozkwita postać. Chuda jak patyk, umazana błotem, bardziej zwierzę niż dziewczyna.

Przykucnięta w plątaniu gałęzi, ze skołtunionymi, potarganymi włosami, próbuje się ukryć. Jej wielkie oczy patrzą wprost na mnie, minę ma zbolaną i zaciętą.

– Cameron!

Wstrzymuję oddech, kiedy robi krok w moją stronę w poszarpanej flanelowej koszuli, na białych, przerażająco chudych nogach. Jest bosa.

– Kim pani jest? – skrzeczy, potyka się i upada, zbyt słaba albo zbyt przerażona, żeby utrzymać się na nogach.

Podchodzę do niej szybko i klękam. Drży, jakby miała się rozpaść na kawałki.

– Już dobrze, Cameron. Jestem detektywem i chcę ci pomóc. Długo cię szukaliśmy.

– Gdzie on jest? – Jej głos jest rozedrgany, przerażony.

– Jeszcze go szukamy, ale ty jesteś bezpieczna, przyrzekam. Nikt cię już nie skrzywdzi. Nie pozwolę na to.

– Chcę do mamy – płacze. Coś w głębi niej pęka i się uwalnia. – Chcę do domu.

Nim zdążę odpowiedzieć, słyszę szmer i szelest za nami na polanie, przemieszczające się ciało. Odwracam się w stronę dźwięku, gotowa walczyć na śmierć i życie, jeśli będzie trzeba. Ale to nie Caleb. To Hector.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak tutaj dotarł. Może wyruszył z miasta za ekipą poszukiwawczą, nie chcąc zostawiać spraw w rękach policji. A może po prostu zmaterializował się tu za sprawą magii? Jakkolwiek do tego doszło, wygląda, jakby był świadkiem zmartwychwstania. W jego dłoniach drży latarka, a jej światło podskakuje na przemoczonym ubraniu i na twarzy. To wszystko wydaje się nieprawdopodobne. Piękne.

Nie odzywa się słowem, upuszcza latarkę nadal włączoną, podbiega do nas i bierze Cameron na rękę. Jest teraz lekka jak piórko, ale widzę, że nie ma znaczenia, ile waży. Niósłby ją bez względu na ciężar.

Kciukiem włączam krótkofalówkę.

– Mamy ją. Żyje, odbiór.

Rozlega się trzask, a później głos Willa.

– Anna? Dzięki Bogu. Co z Calebem?

– Ani śladu.

– Wiesz, gdzie jesteś?

– Chyba tak. Mam pomoc. – Zerkam na Hectora i wyjaśnienia zostawiam na później. – Znajdziemy drogę i odezwę się do ciebie stamtąd. Wezwij karetkę. I żadnych mediów. Przynajmniej na razie.

– Zrozumiałem.

Zapada cisza, a ja mówię Cameron, żeby się nie bała. Że Hector jest niegroźny, że jest przyjacielem. Wyprowadzam nas z polany, trzymając latarki w obu dłoniach, na gęstą atramentową dolinę, a moje serce jest tak pełne wdzięczności, że wydaje mi się, że mogłabym pofrunąć, gdyby było trzeba.

W oddali z przodu słyszę Big River, wezbraną po burzy, bystrą, i kieruję się w jej stronę, oświetlając poszycie. Hector za mną dyszy,

jego kroki są ciężkie. Cameron po chwili nie słychać wcale. Może straciła przytomność, a może wierzy, że w ramionach Hectora *jest* bezpieczna. Dla niej to tylko jeden z wybawicieli, mężczyzna na tyle silny, żeby unieść jej ciężar. Nie wie, że jest jej bratem i dzięki temu ta chwila jest dwa razy piękniejsza.

(sześćdziesiąt pięć)

Zawozimy Cameron do szpitala w Fort Bragg, gdzie w samochodzie czekają już Emily i Troy. Zakazałam Willowi informować media, ale stacje jakoś zwiedziały się o akcji ratunkowej. Parking przed zatoką dla karettek jest zastawiony furgonetkami, przenośnymi reflektorami i kamerami na statywach. Emily musi pomiędzy nimi przejść, żeby dotrzeć do izby przyjęć, gdzie badana jest Cameron, i robi to.

– Wiem, że chce pani natychmiast zobaczyć córkę – zwracam się do niej, wprowadzając ją do prywatnego pokoju na krótką rozmowę. – I zobaczy ją pani. Ale teraz musimy pozwolić lekarzom wykonać swoją pracę. A później będziemy musieli wysłuchać jej zeznań. Jest bezpieczna i żyje. To najważniejsze.

– Ten potwór, który ją porwał, ciągle jest na wolności – mówi wzburzony Troy, jakby wcale mnie nie słuchał. – Pozwalacie mu uciec. To skrajna niekompetencja!

– Zajmuje się tym nasz szeryf i FBI. Rozesłano już list gończy, wszędzie, na północ i południe, poza granice stanu, jak będzie trzeba, wyśle się i na księżyc. Znajdziemy go.

Twarz Troya robi się purpurowa, jest nabuzowany. Rozumiem, że musi kogoś obwiniać, ale mam tego dość.

– Jeżeli nie jest pan w stanie wziąć się w garść, to będzie musiał pan poczekać na zewnątrz. Nie żartuję. Pana córka przeszła piekło. Rozumie pan?

W jego oczach błyszczy czysta pogarda.

– Jak pani śmie.

– Troy. – Głos Emily jest niespodziewanie stanowczy.

Troy zaciska szczęki tak mocno, że być może nigdy nie zdoła rozluźnić ich zupełnie. Nie ma na kim wyładować swojego poczucia winy. Z powodu wszystkiego, co zrobił, za co nigdy nie poprosi o wybaczenie. W końcu jednak niechętnie się cofa i daje za wygraną.

Kiedy przychodzi pora na wstępne przesłuchanie Cameron, zostawiam Curtisów z jednym z zastępców Willa, który będzie odpowiadał na ich ewentualne pytania, a sama udaję się do pokoju Cameron. Po drodze widzę, jak Hector wyklóca się z pielęgniarką, usiłując zdobyć informacje na temat siostry. Botki ma nadal oblepione błotem, a jego twarz przedstawia straszny widok, są na niej wszystkie możliwe emocje.

– W porządku – zwracam się do pielęgniarki, żeby dać jej znać, że ja się tym zajmę.

– Gdzie ona jest? – pyta stanowczo, gdy pielęgniarka znika.

– Usiądź na chwilę.

Wzrok Hectora biegnie poza mnie, przeszukuje cały korytarz, jakby chłopak nie mógł skupić się na niczym innym poza Cameron. To on przyniósł tu siostrę, niósł ją na rękach, aż omdlewały ze zmęczenia, a teraz znów stał się kimś obcym. Oprócz mnie nikt nie wie, kim jest.

– Jak znalazłeś się w lesie, Hector? Byłam zszokowana, kiedy cię zobaczyłam.

– Ostatnio mnie roznosiło, nie wiedziałem, jak pomóc. Siedziałem w samochodzie przed biurem szeryfa i zobaczyłem, jak wozy policyjne pędem wyjeżdżają z miasta na sygnale. Więc pojechałem za wami. Chyba źle zrobiłem, ale wyszło na dobre. W porę do niej dotarłem.

– To prawda. – Doskonale wiem, ile znaczą te słowa. – Wiele przeszła, ale mogło być dużo gorzej. Żebra ma mocno poobijane i zerwane ścięgna w barku. Będzie potrzebna operacja, jestem jednak pewna, że dobrze ją zniesie. Twarda z niej sztuka, prawda?

Kiwa głową, aż nagle jego źrenice stają się małe jak łebki od szpilki.

– Czy on ją... skrzywdził?

Po tym, ile wysiłku kosztuje go to słowo i że nie może wydobyć z siebie tego, co ma na myśli, domyślam się, że pyta, czy Cameron została zgwałcona. Żałuję, że nie mogę oszczędzić mu prawdy, ale jest na to za późno. Kiwam powoli głową, a na jego twarzy pojawia się grymas. Surowy ból zamienia się w furję, później w rozpacz.

– Co mogę dla niej zrobić? – pyta niecierpliwie.

– Hectorze, jest mi naprawdę okropnie przykro. Na razie powinniśmy jednak pozwolić działać lekarzom. Będziesz musiał się wykazać cierpliwością, jeżeli dasz radę. Proces powrotu do zdrowia na pewno okaże się dla niej bardzo trudny. Jeżeli jednak naprawdę kochasz siostrę, a wiem, że tak jest, nie będziesz przeszkadzał i nie narzucisz jej swoich uczuć. Za jakiś czas powinna się dowiedzieć, kim jesteś. Ty wszystko pamiętasz. Możesz oddać jej część wcześniejszego życia.

Jego oczy zachodzą mgłą i z trudem przełyka ślinę.

– Ten facet, który ją porwał, ciągle jest na wolności.

– Tak. Ale go dorwiemy.

– Nie możecie oczekiwać, że będę siedział z założonymi rękami. – Zaciska pięści tak mocno, że bieleją w kostkach. – On może się tu pojawić i zrobić krzywdę komuś innemu.

– Do Cameron się nie dostanie. Przed jej pokojem postawiliśmy uzbrojonych policjantów i nie zostanie bez ochrony ani na chwilę, obiecuję.

Siedzi i widzę, jak jego ciało sztywnieje. Już wiem, co nim kieruje, wiem, że jeżeli nie zacznie działać, rozsypie się w drobny mak.

– Słuchaj. Mógłbyś coś dla mnie zrobić? W biurze szeryfa w Mendocino jest mój pies. Może byś go zabrał, nakarmił, dał mu wody i przywiózł tu do mnie?

– Jej. – Prostuje się nieco, a cień częściowo znika z jego oczu. – Jasne. Pewnie, że mogę to zrobić.

Otwieram drzwi do pokoju Cameron i widzę, że rolety i zasłony parawanu zostały zaciągnięte. Cameron siedzi w łóżku oparta o poduszki, z kolanami zgiętymi pod kocem, jakby chciała stać się mniejsza, a pielęgniarka przemywa rany na jej dłoniach i nadgarstkach. Na prawym policzku ma plaster do zamykania ran, podobnie na brodzie, w miejscu gdzie założono szwy. Mimo tego wszystkiego – ran i siniaków, niewidzialnych i widocznych – jest piękna. I żyje.

Spogląda na mnie.

– Pani Anna – mówi cicho.

– Zgadza się. – Przysuwam się bliżej. – Anna Hart.

Zamyka oczy i znów je otwiera.

– Uratowała mi pani życie.

Pielęgniarka zerka to na mnie, to na Cameron i widzi nasze wzruszenie.

– Wyjdę na chwilę. Zaraz wracam.

Siadam na krześle, które zajmowała, zaledwie kilka centymetrów od wezłowania regulowanego łóżka Cameron z białą gładką pościelą.

– To ty uratowałaś swoje życie. – Gardło mam ściśnięte ze wzruszenia. – Ty wszystko zrobiłaś.

Patrzy na mnie niepewnie, jakby ona też miała się rozpląkać.

– Dziękuję – mówi cichym głosem.

– Wiele przeszłaś, ale będę musiała zadać ci kilka pytań. Wiesz, kto cię uprowadził? Rozpoznałabyś go na zdjęciu?

Odwraca wzrok.

– Możesz mi opowiedzieć, co się stało, Cameron?

Kręci głową, nadal patrząc w ścianę.

– Wiesz, dokąd mógł pojechać?

Milczenie.

– Wiem, że to dla ciebie trudne. Ale dla nas bardzo ważne, jeśli mamy go powstrzymać.

Znów nie odpowiada.

Biorę głęboki oddech i godzę się z jej zachowaniem, z zamknięciem.

– W porządku. Porozmawiamy później. Jest ci zimno? Przynieść ci jeszcze jeden koc?

Posiniaczona część jej szyi drga. Jej puls. Będę musiała znaleźć sposób, by do niej dotrzeć, ale na to za wcześnie.

– Chcę cię tylko zapewnić, że bez względu na to, co od ciebie usłyszę, nie pomyślę o tobie źle. Jesteś bardzo dzielna, Cameron.

Odwraca się do mnie lekko.

– Nie miałam wyjścia.

– Miałaś. Mogłaś się poddać.

Will czeka na korytarzu, kiedy wychodzę z pokoju Cameron.

– Coś wiesz? – pyta.

– Nie jest jeszcze gotowa.

– Rozumiem, ale to pościg. Caleb mógł pojechać dosłownie w każdym kierunku. Może przekroczył granicę z Kanadą albo rozpracowuje kolejną ofiarę.

– Myślisz, że nie wiem? – Zerkam w stronę drzwi pokoju Cameron, ściszam głos i prowadzę go w kierunku dyżurki pielęgniarek. – Ona jest słaba. Pomyśl, co przeszła. Jaką traumę przeżyła. Tego, co się stało, w dużej mierze nie da się opowiedzieć, Will.

Wzdycha, kiedy dociera do niego to, co mówię, i kiwa głową.

– Musi wiedzieć, że najważniejsza jest dla nas ona, a nie informacje. To jej się należy.

– Masz rację. – Pociera oczy opuszkami palców, wyraźnie wyczerpany. Za nim w dyżurce pielęgniarek wisi ścieralna tablica zapisana na czerwono notatkami na temat kroplówek, parametrów życiowych, zaordynowanych leków. U góry widnieje dzisiejsza data. 14 października.

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem. Mam wrażenie, że od wyjazdu z San Francisco minęła cała wieczność pełna zmian. Ja i Cameron, złamane i odmienione, jesteśmy połączone na zawsze, choć może nie istnieją słowa, by to opisać. A przecież minęły tylko trzy tygodnie. Nawet nie jeden cykl księżyca.

(sześćdziesiąt sześć)

W nocy i następnego dnia trwa pościg za Calebem. Sprowadzono psy i więcej zespołów terenowych, więcej ludzi. Każde hrabstwo w Kalifornii Północnej zgłasza się do pomocy w poszukiwaniach – w końcu czujemy, że mamy armię, przybierającą na sile ludzką falę. Rod Fraser znów wysyła nam helikopter, żeby przeszukać wybrzeże. Pokazał zdjęcie Caleba Allison Palmer i Erin McGrath, ale obie stwierdziły, że to nie ten mężczyzna uprowadził Polly. Media mimo to snują szalone spekulacje. Do miasteczka zjeżdżają kolejne ekipy telewizyjne, usiłują dostać się do Cameron i jej rodziców, polują na Willa, chcą oświadczeń i nowych informacji.

List gończy za Calebem pojawia się w Internecie i w ciągu paru godzin dociera do tysięcy ludzi, dzięki czemu nasza armia się rozrasta. Następnego ranka, 15 października, w pobliżu Galloway, na rzadko uczęszczanej lokalnej drodze, odnajduje się toyota Caleba, wypatrzona przez kobietę, która rozpoznaje numery rejestracyjne pokazywane w wiadomościach. Dzwoni do Willa, niemal krzycząc.

Wysyłamy w to miejsce dziesiątki ludzi, którzy przeczesują teren w poszukiwaniu miejsc, gdzie mógłby się ukrywać Caleb. Ale mimo tak ważnego znaleziska nie wiemy, jak długo jego samochód stał porzucony ani ile kilometrów jest w stanie przejść Caleb w ciągu dnia. Ani czy potrafi być na tyle ostrożny, żeby zniknąć zupełnie, i na jak długo.

Poszukiwania trwają, a ja z Willem i niewielkim zespołem, w którym są też agenci FBI, pracujemy nad zbadaniem każdego centymetra kryjówki Pomo i magazynu Pracowni Malarskiej, gdzie mogły być przetrzymywane, a nawet zabijane inne ofiary. Dostajemy nakaz przeszukania domu Caleba, co nawet przy dodatkowej pomocy zajmie nam dużo czasu.

Wchodzę do środka z dziwnym niepokojem, jakby czas się cofał. Jakbym po przejściu przez długi wyłożony boazerią korytarz mogła zastać Jenny w jej pokoju, grającą na gitarze albo słuchającą na swoim spręcie zespołu Simon and Garfunkel.

Pierwsze drzwi na lewo prowadzą do pokoju Caleba. Ostatnio byłam tu jako nastolatka, leżałam na kudłatym brązowym dywanie i jadłam krakersy z masłem orzechowym, a Caleb opowiadał o słynnych katastrofach okrętów i innych mrocznych rzeczach. Pokój jest taki sam, właściwie mam wrażenie, że czas się zatrzymał, że Caleb nigdy do końca nie dorósł w tym domu, dlatego że Jenny nie dane było dorosnąć. Kraciasta granatowo-brązowa narzuta na łóżku jest chłopięca. Pod dwiema ścianami stoją wypełnione książkami regały. Biurko i jedna ściana są pełne zdjęć dziewczyn, nastolatek z długimi ciemnymi włosami, czarnymi lub brązowymi, pięknymi, które były jego celem lub obsesją. Ofiarą.

Jest wśród nich Shannan na trzech zdjęciach obok siebie, wygląda na potwornie wyniszczoną, z tępym, zbolałym wzrokiem, a ten tryptyk przedstawia jej staczanie się w nicość. Nagle dostrzegam Cameron w kolorze i czerni, i bieli. Są też szkice jej twarzy i ramion, szyi i nadgarstków, każdy niuans i fragment drobiazgowo uchwycony nawarstwionymi pociągnięciami ołówka i wycieniowany. Z czułą uwagą i skrupulatną dbałością.

Przeszukuję wzrokiem pokój i ogarnia mnie coraz większe napięcie. Czuję się tak, jakbym stała nie w czyjejs sypialni, ale w laboratorium. To wszystko jest w umyśle Caleba. O tym myśli. Tego chce. To kierowało nim przez ostatnie miesiące, o ile nie lata. Muszę uwierzyć, że prawdopodobnie są też inne ofiary w miejscach, w których mieszkał wcześniej, nawet w Zatoce Perskiej. Że robił to od dawna. Że nie przestanie nigdy, jeżeli go nie złapiemy.

Kiedy Cameron po operacji leży wygodnie w swoim pokoju, zaczynamy ją z Willem przesłuchiwać, spokojnie i ostrożnie. Jej zaufanie trudno nam zdobyć głównie dlatego, że dla niej mamy związek z tą sprawą i przypominamy jej o czymś, o czym rozpaczliwie chce zapomnieć. Musimy znaleźć i powstrzymać Caleba. Inaczej nigdy nie będzie bezpieczna. Ale ja wiem też, że jeśli

znajdzie siłę, żeby wypowiedzieć choć część swojej tragedii, odtworzyć niektóre wspomnienia, one zaczną opuszczać jej ciało, zrobią w jej wnętrzu miejsce, a ona powoli dojdzie do siebie.

To skomplikowany proces, nie tylko z powodu jej kruchego stanu psychicznego. Trauma po tym, co przeszła, odbiła się na jej pamięci i zdolności skupienia. Niektóre sytuacje z opowieści wydają się jasne, inne nie trzymają się kupy. Cameron pewne szczegóły powtarza, inne zmienia. Czasami nie jest w stanie mówić, tylko płacze. Czasem znów sprawia wrażenie zupełnie pozbawionej emocji, mruga na szpitalnym łóżku, jakby nas w ogóle nie znała. Nigdy nie wypowiada jego imienia. Ale od czasu do czasu widzę, że coś przebija się przez smutek i ośpienie. Zaciekłość, ledwie zauważalna, lecz obecna. Nie da się jej zabić.

Wydarzenia kilku ostatnich miesięcy są jedną z najtrudniejszych do odtworzenia rzeczy, jednak stopniowo dzięki małym fragmentom, czasem strzępom, zaczynamy rozumieć, jak Caleb zdołał dotrzeć do Cameron. Na początku sierpnia zauważyła jego ogłoszenie na tablicy. Była wtedy z Grayem, wracali z plaży i wpadli coś przekąsić do kawiarni, ale dyskretnie oddarła numer telefonu i schowała do kieszeni. Zadzwoiła do niego w tajemnicy ze swojego pokoju któregoś popołudnia, kiedy mamy nie było w domu, i umówiła się na pierwsze spotkanie w informacji turystycznej przy Main Street.

– Miejsce publiczne – zauważam, słuchając jej. To było z jego strony kluczowe zagranie, obliczone na to, żeby zdobyć jej zaufanie. Samo miejsce też wybrał idealnie, pełne turystów, a nie miejscowych. Wiedział, że najprawdopodobniej nie zauważy ich nikt znajomy, a nawet jeśli, to będą tylko rozmawiać przy jednym z piknikowych stolików w cieniu na zewnątrz w miły dzień pod koniec lata. – Nie bałaś się pójść sama.

– Nie – przytakuje. – To chyba było głupie.

– Wcale nie. Mogło chodzić o sprawy wyłącznie zawodowe.

– Ale nie chodziło.

– Tego nie wiedziałaś.

Podnosi wzrok. Jej oczy są nadal mocno podkrążone po wszystkim, co wycierpiała, jej ciało boleśnie chude.

– Wyglądał normalnie.

– O czym rozmawialiście tamtego dnia? – pyta Will. – Pamiętasz?

– Chciał zobaczyć moje portfolio, ale nie miałam nic takiego. Wstydziłam się, że nawet o tym nie pomyślałam.

– To wtedy poprosiłaś Graya, żeby zrobił te zdjęcia w lesie? Chciałaś pokazać mu coś, co wygląda profesjonalnie.

Kiwa głową.

– Na drugim spotkaniu pokazałam mu zdjęcia. Powiedział, że są ładne, ale jemu niezbyt odpowiadają, że zamierza szkicować i chce kogoś, kto wygląda zupełnie naturalnie. Chyba miałam za dużo makijażu.

– I co było dalej? – draży delikatnie Will.

– Powiedział, że się zastanowi i da mi znać, i że jeśli to wypali, to ma mnóstwo kontaktów wśród artystów i w świecie mody. Chyba dałam się na to złapać. – Odwraca wzrok zawstydzona.

– Bo cię zmanipulował. – Żałuję, że nie mogę ponieść za nią części ciężaru, niemożliwego do uniesienia. – Wciągnął cię, złapał, kiedy straciłaś czujność. Nie zrobiłaś nic złego.

– Powinnam była powiedzieć mamie albo Grayowi. Komukolwiek.

– Chciałaś czegoś tylko dla siebie. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, jakie napięcie panowało w domu.

– Chyba tak. – Słysząc, że nie jest przekonana.

– Cameron, bardzo często o rzeczach naprawdę dla nas ważnych nie mówimy nikomu, bo nie możemy. Zachowałaś się normalnie. Poza tym masz dopiero piętnaście lat.

Milczy, a ja patrzę jej w oczy. Próbuję przemówić do niej bez słów. *Walczyłaś o siebie. Dlatego tu nadal jesteś.*

W ciągu kolejnych godzin i dni dowiadujemy się coraz więcej. Na początku września Cameron zaczęła po szkole przychodzić do pracowni Caleba i pozowała mu raz czy dwa razy w tygodniu. Nie prosił, żeby pozowała nago albo zrobiła coś, co by ją wystraszyło. Cały czas zachowywał się niemal biernie, dzięki czemu, jak na ironię, zyskiwał nad nią większą władzę. Krótko mówiąc, wszystkie jego

sidła się sprawdziły. Może sprawy potoczyły się szybko dlatego, że wydarzyły się inne rzeczy, których nikt nie był w stanie przewidzieć. Cameron pojechała do przychodni i musiała się zmierzyć z głęboko skrywaną traumą. W dodatku w którąś sobotę odebrała telefon od asystentki Troya, która zrzuciła na ich rodzinę bombę. Trudno powiedzieć, jak rozwinęłaby się sytuacja, gdyby nie te wydarzenia, w każdym razie wkrótce Cameron na spotkania z Calebem wymyślała się ukradkiem, dlatego że całkowicie mu zaufała i uwierzyła, że może spełnić marzenie o tym, żeby zostać modelką, jeżeli będzie ciężko pracować, albo dlatego że była aż tak zdesperowana, że zupełnie już nie myślała o bezpieczeństwie. Tak czy inaczej, zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, w co wdepnęła, aż było za późno. Do nocy, kiedy wymknęła się na spotkanie z nim i nie wróciła.

– Dlaczego akurat ta noc? – pytam.

– Powiedział, że powinnam poznać jego przyjaciela artystę z Los Angeles. Że będzie w miasteczku tylko kilka godzin.

– Więc poczekałaś, aż mama pójdzie spać, i rozbroiłaś alarm. Robiłaś to już wcześniej?

– Kilka razy. Myślałam, że wszystko będzie dobrze. Wierzyłam mu. Cekał na mnie w aucie. Wsiadłam i od razu wyczułam, że coś się zmieniło.

– Wydawał się pobudzony? – Zgaduję. – Odmieniony?

– Tak. Był zdenerwowany i gadał do siebie. Szeptem. To było naprawdę dziwne.

– Poprosiłaś, żeby odwiózł cię do domu?

– Nie wiedziałam, co zrobić. Dojechaliśmy do świateł, na których skręca się do miasta, ale pojechał w drugą stronę. Wcale nie jechał do pracowni. Nie chodziło o żadnego przyjaciela.

– I co było dalej? – pytam najłagodniej, jak umiem.

– Próbowałam uciec z samochodu. Chciałam wyskoczyć. Byłam naprawdę przerażona. – Naciąga koc i mocno obejmuje swoje ramiona pod bawełnianą koszulą. Pod jej dłońmi widzę gęsią skórę. – Wcisnął hamulec i na mnie nawrzeszczał. Zaczął mnie dusić i popchnął na szybę. Chyba zemdlałam.

– Wtedy zawiózł cię do kryjówki?

– Nie, najpierw zabrał mnie gdzie indziej. Do małego ciemnego pokoju, śmierdział pleśnią. Ręce miałam związane. Myślałam, że od razu mnie zabije, ale nie. – Odwraca się do okna, cała spięta. – Powiedział, że mnie kocha.

Zapada długa, pełna napięcia cisza. Przynosimy jej wodę. Proszę pielęgniarkę o jeszcze jeden koc, elektryczny; tak jej współczuję, że moje dłonie też stają się lodowate. Boli mnie serce.

– Jak długo tam byłaś? – pytam, zastanawiając się, dlaczego nie usłyszałam jej tamtego dnia, kiedy zapuściłam się do kryjówki Pomo, dlaczego ona nie usłyszała mnie.

– Z tydzień? Dawał mi jakieś tabletki nasenne.

Zerkam na Willa, nasze spojrzenia się krzyżują. Specjaliści kryminalistyki w magazynie Pracowni Malarskiej znaleźli ślady krwi z luminolem, ale żadna z próbek nie była wystarczająca, żeby ją dopasować i opisać. Zebrali też inne niezidentyfikowane dowody – kawałki paznokci, rozmaite włókna. Niektóre próbki włosów pasują do Cameron, ale są też inne.

– Widziałaś jakieś ślady wskazujące, że w tym pokoju albo w kryjówce przetrzymywał kogoś przed tobą? – pyta Will.

– Nie wiem. Chyba nie.

– Czy widziałaś z nim jakąś inną modelkę? – ciągnie. – Znaleźliśmy mnóstwo zdjęć innych dziewczyn. Między innymi Shannan Russo, siedemnastolatki zamordowanej latem, ale większości na razie nie udało nam się zidentyfikować. Wygląda na to, że robił to od dawna.

Po minie Cameron widzę, że rozumie, co mówimy. Że ma szczęście, bo żyje.

– Jak udało ci się w końcu uciec? – pytam.

Mruga powoli, ociężale.

– Byłam w tej kryjówce bardzo długo, najczęściej sama. On przyjeżdżał co parę dni, przywieźć mi jedzenie i... – Nie kończy zdania, widać, że nie jest w stanie nawet pomyśleć o tym, co było później, a co dopiero o tym mówić. Ściska koc niczym tarczę. – Nie widziałam go jakiś czas. Zaczęłam myśleć, że chce mnie zagłodzić, ale w końcu przyjechał, i to było gorsze.

– Zachowywał się inaczej? – pytam.

– Był o coś wściekły. Szalał, brał do ręki różne rzeczy, gadał do siebie, naprawdę jakby zwariował. Potem wziął nóż i myślałam, że to naprawdę koniec. – Głos jej się załamuje.

– I co się stało?

– Rozciął mi sznury na rękach i nie wiem... Pomyślałam, że nie mam wyjścia, muszę walczyć. Że to moja jedyna szansa.

– Walczyłaś z nim już wcześniej?

– Nie. Jest ode mnie o wiele większy. Był nóż, ale wydawało mi się, że sobie nie poradzę. Zaczęłam w niego rzucać wszystkim, co miałam pod ręką. Stracił równowagę i wpadł na ścianę, i zaraz wszystko zaczęło się walić. Dotarłam do drzwi, otworzyłam je kopniakiem i coś usłyszałam. On też to usłyszał. Ktoś nadchodził.

– I wtedy uciekłaś?

– Tak.

– Masz podejrzenia, dokąd mógł pójść? – pyta Will. – Wspominał o jakichś innych miejscach albo mówił, że chce uciec?

– Raczej nie. Lubi tę okolicę, lubi ocean. Raczej nie uciekł za daleko.

– Ocean? – pytam. – A co konkretnie?

– Wszystko. Opowiadał mi, że nurkował za perłami w Iranie. – Podnosi wzrok i patrzy mi w oczy. Jej spojrzenie nagle wydaje się bardzo trzeźwe. Smutne, ale trzeźwe. – Nie zawsze mówił jak wariat.

Nie zawsze, myślę. W końcu pozwalamy jej odpocząć.

(sześćdziesiąt siedem)

W Halloween, choć nie mam najmniejszej ochoty na świętowanie, stoję przed Pattersonem i obserwuję miejscowe dzieciaki. Biegają po Lansing Street, krzycząc „cukierek albo psikus”, wpadają do sklepików i firm – wszystkie mają otwarte drzwi i zapalone światła, choć dawno minęła godzina zamknięcia. W Rotary Park stanął dmuchany domek, a przed sklepem Mendosa ustawiono stół, przy którym dzieciaki mogą sobie zrobić zabawny tatuaż na twarzy. Myślę tylko o tym, że te tłumy upiórów, czarownic i superbohaterów z rodzicami kroczącymi za nimi w odpowiedniej odległości – że w ogóle wszyscy mieszkańcy miasteczka powinni siedzieć w domach za zamkniętymi drzwiami.

Wanda opuszcza na chwilę miejsce za barem i wychodzi na ulicę porozmawiać. Jest przebrana za Pipi Pończoszanę, ma druciane wieszaki podtrzymujące jaskrawe wełniane warkocze. W rękach trzyma wielką stalową misę z małymi czekoladowymi batonikami.

– Jak się czuje Cameron? – pyta, schylając się, żeby jak zwykle wymienić czułości z Cykadą, balansując misą na biodrze.

– Z każdym dniem coraz lepiej. W zeszłym tygodniu wróciła do domu.

– Świetnie. – Słucha tylko jednym uchem, głaszcząc Cykadę po łebku i za uszami, co obu sprawia taką samą przyjemność.

W tej właśnie chwili dostrzegam Willa z dziećmi, jak skręcają w Ukiah Street, ale nie ma z nimi Beth. Gdy im się przyglądam, podchodzą do nas dwie nastolatki, witają się z Cykadą, a Wanda daje każdej po garści słodyczy do ich pomarańczowych plastikowych pojemników w kształcie dyni. Uśmiechają się szeroko, jakby wygrały na loterii, obie przebrane za Czerwonego Kapturka.

Odchodzą, a ich peleryny powiewają za nimi niczym flagi.

– Gdyby to ode mnie zależało, zatrzymałabym ją w szpitalu, dopóki nie znajdziemy Caleba – mówię do Wandy. – To chyba byłoby bezpieczniejsze. Łatwiej byłoby jej pilnować tam niż w domu.

Wanda, zwykle niewzruszona, niepokoi się o mnie.

– Wszystko w porządku, Anno? Może wejdiesz i coś zjesz? Mamy dziś dobrą zupę.

– Dzięki. Jakoś się pozbieram. Ale chciałabym, żeby te wszystkie dzieciaki zniknęły z ulic, wiesz?

Podąża wzrokiem za moim spojrzeniem. Taka defilada niewinności. Tyle kruchego ludzkiego życia.

– Wiem, co przeszłaś, ale myślę, że to poniekąd odważne, zbierać dziś cukierki po domach. Nie tylko ze strony dzieci, także rodziców. Jak gdyby mówili: *tego nie zabierzesz*.

Cykada opiera się o moje nogi, jakby się zgadzała z Wandą, ale ja tak nie uważam.

– Mógłby, gdyby chciał, Wando. Mógłby zabrać wszystko.

Po chwili dochodzę do wniosku, że najlepszym miejscem będzie dla mnie dom, i wyjeżdżam z miasta z Cykadą na tylnym siedzeniu kompletnie czarną drogą z wertepami. W tym stanie umysłu mam wrażenie, że las wypacza się za snopami światła moich reflektorów, pojedyncze drzewa wyskakują niczym powyginane czarne cienie. Nie przestaję rozmyślać o tym, ile ofiar miał Caleb przez lata, ile obsesji. Na dziesiątkach fotografii w jego pokoju dziewczyny są do siebie uderzająco podobne. Takie same długie ciemne włosy i twarze o lekko zaokrąglonym kształcie. Wskazują też na coś więcej niż krótka fizyczna fascynacja Jenny, jakby Caleb szukał kopii swojej siostry.

To niepokojąca myśl, ale nie mogę się od niej uwolnić, kiedy jadę swoim ciemnym podjazdem i wyłączam silnik. Noc tutaj, w lesie, jest chłodna i wyjątkowo cicha. Żadnych odgłosów sowy, kojota, księżyc nie oświetla mi drogi. Cykada biegnie przede mną na ganek, zatrzymując się raz, żeby zaznaczyć swoje terytorium. Przekręcam klucz w drzwiach, myśląc ciągle o Jenny i jej związku z tym wszystkim. W przypadku seryjnych groźnych przestępców to, *kto* jest ich celem, stanowi kluczową kwestię w zrozumieniu *dłaczego*.

U Caleba w skomplikowanej serii impulsów z przeszłości jest także brutalne zabójstwo jego siostry. Ale jego więź z Jenny musiała się zacieśnić na długo przed pojawieniem się innych czynników: porzuceniem przez matkę, zaniedbaniem ze strony ojca alkoholika. Strata siostry nie każdego zamienia w zabójcę. Caleb musiał mieć poważne problemy już wcześniej, dlatego śmierć Jenny wywołała coś więcej niż ogromny żal – zniszczyła go.

Niezależnie od tego, jakie to były rany – a w tej chwili mogę jedynie zgadywać – w pewnym momencie stały się tak bolesne i tak namacalne, że zaczął działać pod ich wpływem. Rozpoczął polowanie na dziewczyny, nie na dorosłe kobiety. Dziewczyny podobne do siostry, którą stracił. Porywając je, w końcu miał swoistą kontrolę nad sytuacją, nad tym, jak oszukało go życie. Dzięki kolejnym ofiarom mógł przezwyciężyć bezradność, którą czuł jako chłopak, i mieć poczucie władzy.

Pogrążona w rozmyślaniach, bezgranicznie smutna sięgam ręką, żeby zapalić światło. Migocze, rozrzucając cienie. Nagle oddech więźnie mi w gardle. W domu jest Caleb, siedzi na środku mojej kanapy.

Zalewa mnie adrenalina. Czuję ją u podstawy języka, zimną i kwaskowatą. Jest ubrany na czarno, jakby chciał być niewidoczny. Jego twarz wygląda tak, jakby się unosiła nad ciemnym kołnierzem.

– Nie próbuj uciekać – ostrzega z dziwnym spokojem. Wyciąga dłoń do karku Cykady. Ona stoi przy nim zupełnie spokojnie. Przecież się znają.

Niepokój, jaki czułam w mieście i po drodze do domu, w jednej chwili zamienia się w gwałtowny, elektryzujący strach. Zalewa mnie z taką siłą, że przez chwilę się zastanawiam, czy jestem w stanie się odezwać albo poruszyć. Na ławie przed Calebem leży myśliwski nóż z ząbkowanym ostrzem, długim na siedemnaście czy dwadzieścia centymetrów. Gdzieś w umyśle przechowuję wiedzę, która może mi się teraz przydać... jakie szkody potrafi wyrządzić taka broń w zależności od tego, w jakie miejsce mojego ciała ją wbije, z jaką siłą i ile razy.

Lekko licząc, jest dwa razy większy ode mnie. Do obrony potrzebny mi będzie pistolet, który schowałam pod materacem w sypialni,

po drugiej stronie od miejsca, w którym siedzi Caleb. Muszę go obejść, żeby go wziąć. Nie ma mowy.

Caleb, jakby wyczuwając, o czym myślę, wstaje, chwyta nóż i przesuwa się do drzwi sypialni. Twarz ma chłodną i beznamiętną, jakby każdym jego ruchem kierował rozum, nie odczucia. Jakby unosił się nad sobą.

Z przerażenia dostaję skurczy przepony, całe moje ciało jest sztywne jak deska. Zerkam na Cykadę. Jest sprytna i ma intuicję. Po tym, jak na mnie patrzy, wiem, że wyczuwa, że coś jest nie tak. Nie zmieniała pozycji. Nadal siedzi przy ławie, ale wzrok na skupiony i czujny. Mówi mi, że jest na straży. Że nie jestem sama.

– Może napalę w kominku? – proponuję, próbując zyskać na czasie. – Zimno tu.

– Jasne – odpowiada sztywno, końcem noża wskazując piec na drewno. – Tylko niczego nie próbuj.

Jego ostrzeżenie daje mi do zrozumienia, że poprawnie odczytał mowę mojego ciała. Chcę uciec, krzyzczeć, zaatakować go i zaryzykować. Ale klękam przy skrzyni z drewnem i wyciągam pudełko zapalek, wąskie kawałki rozpałki, gazetę.

– Czego chcesz? – pytam świadoma, że mój głos jest dziwnie głuchy. – Po co przyjechałeś?

Jego wargi zaciskają się w wąską linię.

– To samo pytanie powinienem zadać tobie, Anno.

Zerkam na ostrze noża, który trzyma lekko w prawej dłoni, niemal ocierając nim o udo. Nie wymachuje nim, nie zachowuje się jak szalony. Właściwie jest zbyt spokojny, całkiem pewien, że jest tu górą. Bo jest.

– Co masz na myśli?

– To ty przyjechałaś za mną. Ja dałem ci spokój. Okazywałem szacunek. – To słowo brzmi dziwnie, rozpalone i zaakcentowane.

Coś znaczy. Jest kluczem. Moje myśli są nadal powolne i niepewne, podszyte strachem. Ale już to przeżywałam. Rozmawiałam z dziesiątkami morderców i psychopatów. Sporządzałam skomplikowane profile, zapisywałam oceany notatek. Stałam w pokoju Caleba, w jego laboratorium. Muszę wykorzystać to, co wiem, żeby poskładać wszystko w całość. Początek tej historii,

który napędza wszystko inne. Stary i silny impuls. To, co zrobił Caleb i co zamierza zrobić. To, co się dzieje teraz, w tym pokoju.

– Szanuję cię, Caleb – mówię. – Długo się przyjaźniliśmy.

– Fakt. Przyjaźniliśmy się. – Opiera się o klamkę, a jego czarny sweter i czarne dżinsy na tle białej farby wyglądają jak długa kreska. – Ale ty nie jesteś już taka jak dawniej, Anno. Kiedyś mnie rozumiałaś. W każdym razie tak mi się wydawało.

Podał mi kolejne informacje. Następny mały fragment całości. Wysilam się, żeby uspokoić oddech, pozbyć się napięcia z dłoni.

– Chcę cię zrozumieć, Caleb. Powiedz mi, dlaczego Cameron jest taka wyjątkowa. Bo jest wyjątkowa, prawda? Ja też ją kocham.

Caleb nagle czerwienieje. Jego szyja nad kołnierzykiem koszuli staje się dziwnie naprężona, jakby ledwie nad sobą panował.

– Robisz to od dawna – mówię. – Ale z Cameron postąpiłeś inaczej. Trzymałeś ją przez trzy tygodnie i jej nie zabiłeś. Chyba w ogóle nie chciałeś jej zrobić krzywdy.

Zerkam na niego i widzę, że mruży oczy, jakbym dotknęła czułej struny, lecz się nie odzywa. Zapalam zapalkę, w nosie i oczach czuję pieczenie siarki. Mimo wszystko cieszę się z tej czynności i tego, że mogę się maskować. Nie chcę, żeby widział, że się trzęsę. Nie może zacząć mnie postrzegać jako ofiary. Oślepię reflektorami jelenia. Jestem jego przyjaciółką. Musi uwierzyć, że go akceptuję. Że wiem, że nie jest w stanie nad sobą panować.

– Staram się postawić w twojej sytuacji, Caleb. Chciałeś zatrzymać Cameron, bo najbardziej przypominała ci Jenny?

– Nie wspominaj o niej – warczy, wyskakując lekko do przodu na piętach. Na nogach ma czarne adidasy i wygląda w nich zaskakująco lekko jak na swoje rozmiary. Musi ważyć ze sto kilogramów, lecz porusza się jak trochę drobniejszy mężczyzna, może nie z gracją, ale zwinnie. Pewnie nauczył się tego w wojsku.

– Tęsknię za Jenny, Caleb. Ty na pewno też.

Choć się nie rusza, widać, że coś w nim pęka.

– Ty jej nie znałaś.

Ogień przede mną się rozpalil, sięga poza rozpałkę do sosnowego drewna, które ułożyłam w formie luźnego trójnoga. Zapach płomieni dotykających drewna jest dla mnie jednym z najbardziej znajomych

i kojących zapachów, głęboko zakorzenionym we wspomnieniach Hapa i domu. Zapachem błogości. Ale teraz potrafię myśleć tylko o tym, jak długo Caleb pozwoli mi żyć. I czy to są moje ostatnie chwile.

Nie wiem, jak mnie tu znalazł – jadąc za mną z miasta, śledząc mnie przez wiele dni, a może nawet tygodni – ale nie ulega wątpliwości, że teraz chce zemsty. Ukradłam mu coś. Coś cennego i niezastąpionego.

Siadam na piętach i patrzę Calebowi w oczy.

– Chciałam lepiej poznać Jenny. Zawsze mi się wydawało, że w twojej siostrze jest pewien smutek. Teraz żałuję, że nie rozmawiała ze mną częściej. Chciałam pomóc.

Z miny Caleba nie jestem w stanie wyczytać, czy to, co mówię, go irytuje czy interesuje, ale odsuwa się od drzwi sypialni i siada na poręczu krzesełka, twarzą do mnie, w odległości jakichś trzech metrów. Nóż leży na jego kolanie.

– W dzieciństwie mieliśmy swój tajemniczy język.

– Słyszałam, że u bliźniaków tak bywa. Zazdroszczę, że mogłeś kogoś tak kochać.

– To było bardzo wyjątkowe. – Drga mu mięsień prawej ręki, a nóż podskakuje jakby z własnej woli. – Nie zrozumiesz.

– Nie wątpię, że to było wyjątkowe. Ale ktoś ją porwał. Skrzywdził.

Prostuje się, a jego źrenice skaczą po mnie. Widać, że jest zły, jakbym wcisnęła jakiś przełącznik.

– Jak powiedziałem, nie zrozumiesz.

Cykada chyba wyczuwa zmianę atmosfery w pokoju. Leżała przy ławie, niedaleko Caleba, ale nagle podnosi głowę i spogląda na mnie. Patrzę jej w oczy, w milczeniu przywołując ją do siebie. Nie dlatego, że mogłaby powstrzymać Caleba, jeśli ten postanowi mnie skrzywdzić, ale dla pokrzepienia.

– Nadal jesteś wściekły na swoją mamę? Czy to ma z tym wszystkim jakiś związek? Dlaczego mścisz się na kobietach?

– Jakie ty masz o tym pojęcie?

– Moja mama też odeszła. – Z zaskoczeniem słucham własnych słów, jakby pojawiły się spontanicznie w mojej głowie. – Zabiła się.

– Nie wiedziałem.

– Nigdy o tym nie mówiłam. Wiesz, jak to jest. – Ostrożnie staram się ustawić w roli sojusznika, tak żeby go nie rozjuszyć. Jest jak ludzka bomba z dziesiątkami uruchamiających ją przewodów. Niektóre widzę, ale większość jest ukryta głęboko w nim. – Czasami żałuję, że jej już nie ma, bo chciałabym jej pokazać, jak bardzo skomplikowała mi życie. Ty też masz takie myśli?

Znów mruży oczy, ale nie odpowiada.

– Dlaczego twoja mama nie wróciła, gdy Jenny została zamordowana? – Prowokuję go teraz celowo. Sprawdzam przewody w nadziei, że się nie mylę. – Wszystko było jej obojętne?

– Nie. Ale nie mogła wrócić. Nie jest silną osobą.

Teraz moja kolej na reakcję. Czuję się tak, jakbym trzymała lustro. Jakbym słyszała wersy ze scenariusza, który napisałam dawno temu. Odnoszę dziwne wrażenie, że wszystko to już się kiedyś działo. Jakby droga została wytyczona. Jakby krok można było postawić tylko w jednym miejscu.

– Nie każdy umie być silny – mówię. – Rozumiem. Na pewno musiałeś wiele zrobić dla Jenny, zastępować matkę.

– Nie miałem z tym problemu – odpowiada szybko. – Dobrze mi szło. Nasz tata był zawsze zupełnie bezużyteczny. – Intonacją przeciąga i podkreśla to słowo. *Bezużyteczny. Idiota.* Znów mam wrażenie, że spoglądam w lustro – mroczne.

– Byłeś w tym samym wieku, ale zawsze byłeś silniejszy – mówię. – Ona bywała smutna, jednak dzięki tobie humor jej się poprawiał. Gotowałeś dla niej. Tuliłeś ją w nocy. Zakładałam się, że czytałeś jej przed snem.

Nagle marszczy czoło. Wstaje rozemocjonowany.

– Przestań próbować wejść do mojej głowy.

– Chcę tylko zrozumieć, jak powiedziałeś. Czuję, że cię zawiodłam, Caleb. Jak chyba wielu ludzi.

Kiwa się do przodu i do tyłu, jakby testował swoją równowagę.

– Tak – mruczy właściwie do siebie. – Nie powinna była próbować mnie zostawić.

To zdanie trafia mnie między łopatki. Nie mówi o matce. To Jenny go zawiodła. Jenny go zdradziła. Jak mogłam tego nie zauważyć?

– Nie każdy jest silny, Caleb – powtarzam powoli, przesuając się w kuckach do przodu. Przez cały ten czas klęczałam przy kominku, tamując krążenie. Czuję mrowienie w stopach, kiedy zaczyna docierać do nich krew. Ryzykuję spojrzenie na drzwi sypialni, później na Cykadę na podłodze przy kanapie, odpoczywającą, ale czujną, o ile dobrze ją wyczuwam, aż w końcu z powrotem na Caleba. – Nie mogła dłużej tego znosić, podobnie jak twoja mama.

– Poszedłbym z nią. – To niemal jęk. Dawny chłopak jest tu z nami i ciągle cierpi. Tam się kryje wściekłość. W samym środku tej rany. – Ale nie chciała mnie zabrać. Nie słuchała.

– Musiałeś ją powstrzymać – mówię. – I tak do tego doszło. – Jestem wobec niego wyrachowana, staram się nie wypowiedzieć ani jednej niewłaściwej sylaby, choć czuję się tak, jakbym w czarnym jak smoła pokoju szukała jakiegokolwiek znajomego kształtu jak w dziecinnej zabawie. W ciuciubabkę. – Pokłóciliście się. Doszło do szarpaniny. Nie zdawałeś sobie sprawy ze swojej siły.

Lekko pochyła głowę, wzrok wbija w jakiś punkt przed sobą, jakby próbował odciąć się od wszystkiego dookoła i skupić się na *tym*, na prawdziwym dramacie, najważniejszej historii swojego życia. Musieli się pokłócić w jej ostatnim dniu w domu. Spakowała torbę, chciała wyjechać, ale ją powstrzymał i co? Przez przypadek złamał jej kark?

Nie, Jenny pojechała tego dnia do pracy. Koledzy widzieli, jak wychodzi złapać podwózkę do miasta. A to oznacza, że musiał wziąć samochód Jacka i na nią czekać, bo wiedział, że inaczej już jej nie zobaczy. Podjechał, kiedy wyciągała kciuk. Wsiadła przekonana, że tych kilka chwil może jeszcze poświęcić na to, żeby mu wytłumaczyć, dlaczego musi wyjechać. I wtedy to zrobił. Brutalnie. Udusił ją i zawiózł do rzeki. Wszystko to zrobić musiał. Potworną, rozdzierającą duszę rzecz. Ale jakiejś jego części to się spodobało. Jakaś jego część po raz pierwszy ożyła.

– Nie uważam cię za potwora, Caleb – mówię. – Możesz mi ufać. Jeśli mi pozwolisz, to pomogę ci się z tego wyplątać.

– Nie. – Jego mięśnie napinają się ledwie zauważalnie. Nagle coś się w nim łamie. Rzuca nożem w kierunku piecyka, w moją stronę.

Cykada się podrywa i zabiega mu drogę. Wszystko dzieje się z prędkością światła. Wolniej, niż płyną dni czy lata. Wieki.

Caleb traci równowagę. Potyka się o ciało psa, podchodzi do mnie, ale Cykada nie ma wątpliwości, że jestem w niebezpieczeństwie. Jej warczenie jest ciche i przerażające. Puszczam się biegiem do drzwi sypialni, ale nie trafiam. Uderzam ramieniem w futrynę. Wysoki podskok, kiedy biegnę przed siebie, odgłosy chaosu za mną, Cykada szczekająca tak, jak jeszcze nigdy nie słyszałam, a później przeraźliwy skowyt, jakby dostała kopniaka albo coś gorszego.

Teraz słyhać dudnienie kroków na drewnianej podłodze. Czuję potężny strach, ale siła przetrwania jest silniejsza i niepodważalna.

Dobiegam do łóżka, zanurzam głowę pod materac, wyczuwam zimną lufę, prążkowany uchwyt niczym wiadomość w alfabecie Braille'a, że mam się odwrócić. Odwróć się *teraz*.

Ale Caleb dopada mnie, zanim zdążę podnieść rękę i pociągnąć za spust. Jego siła pozbawia mnie tchu. Oboje z impetem padamy na podłogę, jego ciężar na mojej piersi jest niczym góra. Rzucam się pod nim, usiłując się podnieść, lecz grawitacja i siła są po jego stronie. Przyciska mnie bez trudu biodrem i łokciem, a jego ręka niczym maczuga spoczywa na mojej szyi i krtani. Pistolet w mojej prawej dłoni grzęźnie pomiędzy nami przy moim prawym biodrze.

Robi mi się ciemno przed oczami, walczę o powietrze. Walczę, żeby zachować przytomność. On podnosi nóż, rozcinając powietrze nad moją głową. Jego twarz unosi się nade mną niczym zwichrowana, nieszczęsna planeta, a ja lewą ręką macam podłogę, rozpaczliwie szukając czegoś do obrony. Nie ma nic oprócz drewna wygładzonego przez dziesięciolecia.

Sięgam nad głowę, nie spuszczać wzroku z noża, i *jest*. Opuszki palców muskają żelazny słupek łóżka. Jest twardy, nic twardszego na pewno nie znajdę. Wypnę się nieco bardziej, chwytam pręt i się wyginam. Wykręcam się biodrem i ramieniem najmocniej, jak mogę, jeszcze bardziej, i wsuwam pod siebie jedną stopę. Później podnoszę lewe kolano. Do uwolnionych kończyn napływa krew.

Caleb wytrzeszcza z wściekłości oczy, kiedy się szamoczę, a nóż mija moją twarz o kilka centymetrów, ale może on po prostu nie

potrafi się zmusić, żeby mnie dźgnąć. Jednym, ostatnim pchnięciem rzucam go do tyłu na barierkę łóżka, a jego czaszka uderza w żelazo. Krzyczy, wyje z bólu i wściekłości, a ja odsuwam się od niego niezdarne z siłą, jakiej wcale nie mam.

Nie chodzi tylko o moje życie, ale także o Cameron, żeby już nigdy nie musiała się bać Caleba ani przez chwilę. Muszę zakończyć to, co przez niego wycierpiała, ona i Shannan, i wszystkie bezimienne skrzywdzone, uciszone na zawsze dziewczyny. Odwracam się do niego, on się podnosi i z trudem idzie naprzód. Twarz ma okropną. Wykrzywioną.

– Anno! – krzyczy.

Ale dość widziałam. Dość wiem.

On nigdy nie przestanie, nigdy. Wyciągam przed siebie prawą rękę, w połowie ścierpniętą. Celuję i strzelam mu w pierś, tym razem nie partaczę. Nie chybiam. Odrzut wstrząsa moją zaciśniętą dłonią, trzy strzały, ale słyszę tylko pierwszy. Pozostałe dwa wybrzmiewają jedynie wewnątrz mnie, nie są głośniejsze niż bicie mojego serca, które koziółkuje niczym fala, wytrącając mnie z transu. Oczy Caleba są otwarte, ale nieruchome. Zgaszone. Z jego piersi tryska krew.

Kuśtykam do drugiego pokoju z prochem na nosie. Cykada leży bez ruchu na środku podłogi. Obok jej pyska dostrzegam strużkę krwi oraz płynu i przez jedną koszmarną chwilę jestem pewna, że ją zabił. Ledwie mogę zapanować nad dłonią, żeby sprawdzić jej puls. Jest. Żyje.

Działam resztkami sił i pod wpływem szoku, wypaczonej euforii. Pochylam się nad Cykadą i biorę ją na ręce. Nie walczy. Leży na mojej piersi ledwie przytomna, kiedy wynoszę ją z domu – *jak dziecko*, myślę ciągle – do samochodu, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi, żeby mogli po niego przyjść, zbadać jego ciało i go zabrać, przeszukać pokoje oraz zebrać dowody. To teraz miejsce zbrodni. Nie chcę go widzieć już nigdy.

(sześćdziesiąt osiem)

4 listopada budzę się w sypialni na piętrze u Tally, pod miękkim, wydzierganym z wełny jej alpak kocem, lekkim na moich piersiach, z Cykadą u stóp niczym ciepły kamień. Na szyi z boku nadal ma opatrunek w miejscu, gdzie dźgnął ją Caleb. Weterynarz w pierwszej chwili myślał, że może mieć uszkodzoną tchawicę albo przełyk, ale rana objęła tylko tkanki miękkie. Znieczulił ją, oczyścił ranę, odessał płyn i zszył. Przez kilka pierwszych dni dochodziła do siebie w szpitaliku dla zwierząt w Mendocino, a później zamieszkała ze mną u Tally. Była to przeprowadzka tymczasowa, pierwsze miejsce, jakie przyszło mi do głowy po śmierci Caleba, bo u Willa nie było dla mnie miejsca. Zsuwam koc, a Cykada się wierci, posyła mi zdeglustowane spojrzenie, po czym ziewa i znów zasypia. Wkładam na siebie ciepłe ubrania z torby w kącie i idę na dół. Czuję zapach kawy i francuskiej grzanki.

Widzę, że gotuje Sam. Tally czyta gazetę przy kuchennym stole. Szybko ją odkłada na mój widok.

– Jak ci się spało, Anno?

– Niestety, nie najlepiej.

– Ojej. Cykada cię budziła?

– Nie, jest bardzo cierpliwa. Miałam dziwne sny. Często je miewam. To nic takiego.

Sam podjeżdża do mnie na wózku i kładzie przede mną niebiańsko pachnący talerz. Syrop klonowy i topiące się masło. Domowy chleb.

– Wiesz, że nie wyprowadzę się nigdy, jeżeli będziesz mnie tak karmić? – żartuję z wdzięcznością.

– Nie ma sprawy – odpowiada Sam, puszczając oko. – Do zobaczenia później. Jadę do studia.

Po jego wyjściu odwracam się do Tally.

- Co takiego piszą w gazetach, czego nie chcesz mi pokazać?
- Oj – wzdycha. – Przestań. – Jest w ciemnozielonym szlafroku frotté i bawi się rękawami. – Artykuł o Polly Klaas. Pomyślałam, że powinnaś dłużej odpocząć, zanim znów się zdenerwujesz.
- Dlaczego miałabym się zdenerwować?
- Mieszkańcy miasteczka usiłują złożyć petycję o zatrudnienie eksperta od zaginionych dzieci, ale policja w Petalumie kategorycznie się sprzeciwia.
- Bardzo dziwne.
- Twierdzą, że to zakłócałoby ciągłość prac czy coś takiego. – Przesuwa gazetę w moją stronę. – Są blisko przełomu w sprawie.

Przebiegam stroną wzrokiem i widzę wypowiedź sierżanta Barresiego o tym, że mają mnóstwo zasobów oraz ludzi i nie potrzebują nikogo z zewnątrz, a także drugą – Marca Klaasa o tym, jaki jest sfrustrowany tym, że w sprawie Polly od ponad miesiąca nie pojawiło się nic istotnego.

– Może czas, żebym pojechała do Petalumy – mówię po chwili. – Nie bardzo wiem, jak mogę pomóc, ale tutaj nie mam już nic do roboty. Cameron jest w domu. Czuje się dobrze.

Tally milczy, jej niebieskie oczy są nieruchome. Obserwuję, jak jej dłonie zaciskają się na kubku z kawą stojącym przed nią, i nagle żałuję, że nie zostałam w łóżku.

– O co chodzi? – pytam z trudem. – Co się stało? Miałaś wizję, prawda?

– Nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć, Anno, ale Polly nie żyje. Jej ciała będą szukać dość długo, w końcu je znajdą, zabójcę też. W końcu zazna spokoju. Nie od razu, ale go zazna.

Czuję przytłaczającą falę smutku. Wyczerpanie do szpiku kości, bezgraniczne. Zbyt wiele martwych ciał za mną. I zbyt duża ciemność przede mną.

– Biedna rodzina. Przynajmniej będą mieli ciało i będą mogli ją pochować. Może to im przyniesie ukojenie.

– Mam nadzieję – odpowiada łagodnie. – Jej śmierć nie pójdzie na marne. Polly okaże się bardzo, bardzo ważna dla przyszłości. Dzięki niej zmieni się sposób poszukiwania zaginionych.

– Masz na myśli Internet – wtrącam.

– I inne rzeczy. Wszystko pokaże czas. Ona nie zniknie. Jej imię będzie wspomинane nawet za kilkadziesiąt lat.

Kiwam głową i z całych sił pragnę, żeby Tally miała rację.

– Czeka cię praca, Anno – ciągnie. – Mogłabyś zostać u nas na zawsze. Uwielbiam z tobą przebywać. Ale wydaje mi się, że powinnaś wrócić do domu. Twoja rodzina cię potrzebuje.

Odwracam wzrok. Najogłędniej mówiąc, na moje serce prosto z nieba spada potworna stalowa kula.

– Nie mogę.

– Jesteś na to gotowa, choć może o tym nie wiesz. Powinnaś być przy synu. Potrzebuje matki.

W tej chwili wszystko się wali. Zaczynam płakać po cichu. Nie mogę złapać tchu, żeby wydać z siebie dźwięk.

– Ile ma?

– Prawie siedem miesięcy – szepczę. Nie dopuszczałam do siebie myśli, jak będę się czuć, opowiadając tę historię Tally czy komu innemu. Ukrywałam się przed nią. Przed bólem i żalem. Przed ciężarem poczucia winy nie do udźwignięcia. – Nie było go, kiedy zmarła Sarah.

– Co się stało? – Głos Tally jest łagodny i pełen współczucia. Wiem, że muszę znaleźć sposób, żeby jej odpowiedzieć. Powiedzieć prawdę, choć wydaje mi się, że nie dam rady. Bez względu na to, co sobie o mnie pomyśli. Bez względu na to, co będzie dalej.

– Brendan miał wolne. Zabrał Matthew do swojej siostry, a Sarah spała. Ja... – Głos mi się łamie, ale zmuszam się, żeby mówić dalej. – Od paru tygodni pracowałam nad poważną sprawą i chciałam wykorzystać czas, żeby sprawdzić nowe wątki. Sarah się obudziła, a ja się zorientowałam, że nie mamy nic na kolację, więc wsadziłam ją do samochodu, zapięłam pasem, i wtedy w domu zadzwonił telefon. Czekałam na niego prawie cały dzień, dotyczył sprawy. Ofiarą było niemowlę. – Milknę, jakby ten szczegół wszystko wyjaśniał.

– Została w samochodzie – ponagla mnie delikatnie Tally. – A ty poszłaś odebrać telefon.

– Nie powinnam była jej tam zostawiać – tłumaczę nerwowo. – Ale myślałam, że to tylko chwila. Widziałam ją przez okno.

– Ale telefon cię rozkojarzył – domyśla się. A może to nie domysły. Może już się tego wszystkiego dowiedziała w sobie znany sposób.

– Dzwonił mój partner. Do winy przyznała się macocha dziecka, które znaleźliśmy martwe. Ja przesłuchiwałam ją dwa razy, ale się nie zorientowałam. Nie mogłam w to uwierzyć. Zamarłam, roztrząsając błąd.

– I przestałaś obserwować Sarah.

– Tylko na minutę. Nawet nie. – Ostatnie słowo przypomina zdławiony skrzek. Biorę głęboki oddech, żeby móc mówić dalej, i mocno zaciskam powieki. – Drzwi samochodu zostawiłam otwarte, żeby ją lepiej widzieć. Jakoś wydostała się z fotelika. Nawet nie wiedziałam, że to potrafi. Miała dopiero dwa i pół roku.

– Tak mi przykro, Anno. Co też musiałaś przeżyć...

Czy ja to przeżyłam? Czasem się zastanawiam. Czy to jest życie? Codzienne zmaganie z poczuciem winy? Z dala od rodziny? Mojego syna?

Otwieram oczy.

– Samochód stał na naszym podjeździe na skos. Odwróciłam wzrok na sekundę i usłyszałam potworny huk. Nasza sąsiadka Joyce wyjeżdżała na ulicę spod swojego domu, a była tam Sarah. – Opowiedziałam wszystko i czuję się niemal otępiała. Pusta. Nie muszę już nic ukrywać. Nie mam żadnych tajemnic.

– Och, Anno. – Oczy Tally są życzliwe. – To był wypadek. Potworny wypadek.

– Może dla Joyce. Nie miała pojęcia, że Sarah tam stoi, ale ja byłam za nią odpowiedzialna. Jestem jej matką. – Uczucie pustki pęcznieje we mnie, jakbym była połykana żywcem, od środka. – Zginęła na miejscu. Była taka malutka.

– Coś takiego mogło się przydarzyć każdemu.

– Nieprawda. Byłam zbyt rozkojarzona. Praca zawładnęła całym moim życiem. Byłam nieobecna. To dlatego Brendan kazał mi odejść. Wiedział, że to samo może spotkać Matthew. Powiedział, że nie jest w stanie mi zaufać.

– Żal to potężna siła – kwituje Tally. – Wiele rodzin, z którymi pracowałam, po latach znalazło się w podobnym miejscu z powodu śmierci dziecka. Może Brendan miał czas, żeby się zastanowić nad swoimi uczuciami. Może jest gotowy do rozmowy.

– Nawet jeśli mógłby mi wybaczyć, nie wiem, czy potrafię funkcjonować inaczej. Ja się nie zmieniłam.

– Co masz na myśli?

– Nigdy nie byłam w stanie zdystansować się od tych ofiar. Dzieci, którym próbuję pomóc. Sprawy, które prowadzę, przesłaniają mi wszystko inne. Dlatego wydarzył się ten wypadek. – Opieram się łokciami o stół. Czuję w sobie taki ciężar, że zastanawiam się, czy dam radę żyć dalej. Czy kiedykolwiek się z tego podniosę. – Tak bardzo tęsknię za Sarah.

Tally w milczeniu przysuwa krzesło do mojego. Jej ręce mnie obejmują, silne, czułe i wyrozumiałe. Jej ciało jest jak port. Jak miejsce, w którym można znaleźć ukojenie.

Zostaję w nim, zakotwiczona, aż zaczynam czuć się silniejsza. Siadam prosto, wycieram oczy i zaczynam jej opowiadać o Jamiem Riverze. Jego drobne ciało pokryte szronem znaleźliśmy w zamrażarce pod koniec lipca. Nie byłam w stanie przestać myśleć o nim i o tym, że odebrano mu niewinne życie zupełnie bez powodu. Za wszelką cenę chciałam odnaleźć zabójcę. Żeby poniósł karę. W tym czasie moja rodzina wiele ode mnie wymagała, a ja tego nie odwzajemniałam. Powtarzałam sobie, że to tylko ta jedna sprawa. Że jak ją rozwiążę, poczuję się lepiej i znów zajmę się tym, co naprawdę ważne. Ale w głębi duszy wiedziałam, że tak się nie stanie. Moja praca jest i zawsze była jak choroba, jak uzależnienie.

Może powinnam była wykazać się wobec Franka większą szczerością albo poprosić o pomoc, albo wrócić na terapię. Powinnam była zbudować w umyśle ten dom i zrobić wszystko, co możliwe, żeby dojść do siebie. Może wtedy byłabym skupiona i uważna – obecna. Kiedy Sarah wydostała się z auta, pobiegłabym i zatrzymałabym ją. Wzięłabym ją na ręce i zaniósłabym w bezpieczne miejsce.

– Nic nie przywróci ci córki – mówi Tally, kiedy kończę. Kawa nam wystygła. Śniadanie odsunęłam dawno temu. – Mogę sobie tylko

wyobrażać, jaki ból w sobie nosisz, ale ona cię nie obwinia. Jej duch jest spokojny jak inne, które widziałam, Anno. Ona jest jak słońce.

Z trudem przełykam ślinę. To piękny obraz i bardzo chcę w niego wierzyć. Taka była Sarah za życia. Jak słońce.

– Gdzie teraz jest?

– Wszędzie, jak światło. Czuwa nad bratem, ojcem i nad tobą. Jest zakochana w twoim psie. Mówi, że zawsze chciała taką Cykadę, i w końcu ma.

Znowu łązy. Skąd one się biorą? Czy ciało składa się z łez?

– Jest jej dobrze? Nie czuje bólu?

– Tylko wtedy, kiedy wie, że ty cierpisz. Chce, żebyś sobie wybaczyła, Anno. Musisz znaleźć sposób, żeby sobie to poukładać. Tak wiele masz przed sobą. W ten sposób możesz upamiętnić Sarah. Możesz osiągać cel twojego życia.

Nagle myślę o Cameron.

– Porzuciłam ją – próbuję wyjaśnić Tally.

– Cameron wie, że jest dla ciebie ważna. Poza tym ma wokół siebie mnóstwo kochających osób, które zadbają o jej bezpieczeństwo. – Zadziiera brodę i spogląda mi w oczy z przenikliwością, która mnie przeraża. – Czy tak naprawdę nie rozmawiamy o czymś innym, Anno? Albo o kimś innym? O czym nie możesz zapomnieć?

Kręcę głową i pragnę, żeby odwróciła głowę, nie drążyła. Siedzimy tu już całą wieczność, rozmawiając o potwornych, niemożliwych do przeżycia problemach. A jednak od razu wiem, co ma na myśli. Jasona i Amy. Od tamtego Bożego Narodzenia, kiedy miałam osiem lat, każda historia jest tą samą historią. Cameron stała się bliższa mojemu sercu niż inni, ale sprowadzenie jej do domu nie uwolniło mnie od ciężaru w piersiach. Zabicie Caleba też nie.

– Chyba nie jestem w stanie zmienić się na lepsze, Tally. Jestem taka od dawna.

– Każdy może się zmienić. Robimy to ciągle, za każdym razem, kiedy zmieniamy choć jedną rzecz. Nie doceniasz się. Pomogłaś wielu ludziom, Anno. Pomóż i sobie. Pomóż Matthew. Zobaczysz, co się stanie.

– A jeżeli Brendan nadal mnie obwinia? Bardzo go zraniłam.

Jej oczy znów są łagodne i mądre.

– Może cię obwinia. A może wybaczył ci dawno temu i czeka na ciebie.

Kilka godzin później Tally odprowadza mnie do samochodu. Pomagam Cykadzie wejść na tylną kanapę i rzucam torbę na podłogę. Nie jest mi łatwo. Moje emocje są ciągle chaotyczne, a wątpliwości – głośne, ale już wiem, co powinnam zrobić. Nie wiem, czy znajdę siły, lecz muszę spróbować. Nawet gdybym miała pojawić się w progu na kolanach, Tally ma rację. Muszę wrócić i ze wszystkim się zmierzyć. Muszę być matką, bo nią jestem. I siostrą, którą też jestem. Muszę odnaleźć drogę do Jasona i Amy. Może zatrzasną mi drzwi przed nosem. A może oni też wybaczyli mi dawno temu. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Siadam za kierownicą bronco.

– Rozmawiałyśmy tyle razy, a nigdy nie wspomniałaś Hapa. Dlaczego? Nie mogę uwierzyć, że nie przygląda się temu wszystkiemu z drugiej strony. Że mnie nie obserwuje i nie pomaga postępować właściwie. Dlaczego mnie zostawił?

– Czujesz jego obecność?

Zaskakuje mnie.

– Tak.

– To dlaczego mówisz, że zostałaś sama?

– Nie widziałam jego ciała. Chyba dlatego nie pozwalam mu odejść.

– Anno, zapytam cię o coś, co może zabrzmieć dziwnie, ale zastanów się nad tym przez chwilę. Gdzie jest Hap?

Gdzie? Przecież to ona jest jasnowidzką. Nagle doznaję olśnienia. Hap jest we mnie. Słyszę go ciągle. Wszystkie jego lekcje. Jego głos.

– Tutaj.

Spogląda na swoje stopy, ciągle w łapciach. Owija się szlafrokiem i spogląda na mnie z taką poufałością, że niemal zapiera mi dech.

– Ludzie, których kochamy, nigdy nas nie zostawiają, Anno. Już to wiesz. Tak rozumiem duszę. Jako miłość.

(sześćdziesiąt dziewięć)

Spędzam w Mendocino jeszcze jeden dzień. Długi dzień – bez żadnych planów. Idę na cypel w zimnym wietrze popatrzeć na wzburzone morze. Latarnia morska w Point Cabrillo pochyla się do mnie i odsuwa. Idę na Covelo Street i staję przed domem Hapa i Eden, i zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie we mnie tyle miejsca, żeby pomieścić w nim wszystkich, a także siebie, zdrowych na duszy oraz ciełe i nie; zaginionych i świeżo odnalezionych. Nasze migoczące bez przerwy gwiazdy. Nasze dusze i kształty, jakie przybierają, próbując odnaleźć się nawzajem w ciemności.

Jadę na cmentarz Evergreen z naręczem paproci w ceramicznym wazonie. Jadę do Rotary Park i zastaję Lenore i Claya, którzy pakują się przed powrotem do Denver i wyraźnie się cieszą, że mnie widzą. Daję im mój domowy numer w San Francisco i udaję się do Curtisów, żeby się pożegnać z Emily i Cameron, licząc na to, że pozwolą, żebym niedługo je odwiedziła.

Cameron jest w swoim pokoju z Grayem, słuchają muzyki, siedząc na łóżku. Prawą rękę ma na temblaku przy piersi, a jej twarz nosi jeszcze ślady potwornych przeżyć. Jednak mimo wszystko widzę w niej nowo rozpalony blask. Czeka ją dużo wysiłku, ale żyje. To prawdziwy cud. Oboje są cudem, gdy tak siedzą obok siebie na łóżku Cameron przy akompaniamencie *Like a Prayer* Madonny.

Zostawiam ich i idę do kuchni, do Emily. Robi porządki w szafce z przyprawami, wszędzie porozstawiane są butelki. Czuję ulgę, widząc ją w tym bałaganie choć przez chwilę, a przecież zaraz wszystko posprząta.

– Will mi powiedział, że Cameron coraz więcej przypomina sobie na temat molestowania – mówię cicho. – Dowiedziała się już pani? Była w stanie pani powiedzieć?

Emily kiwa głową ociężale.

– To na razie strzępy. Terapeuta jest niesamowity. Bardzo jej pomaga. Ale jestem prawie pewna, że to był mój tata.

– Tak mi przykro.

Wzdycha jak staruszka.

– Mnie też. Będę ją jednak wspierać. Choćby nie wiem co, bez względu na to, jak paskudna zrobi się ta sprawa, prawda musi wyjść na jaw.

Ma rację. Myślę o policjancie, który pewnego dnia, niedługo, zapuka do drzwi jej ojca. O bardzo opóźnionej detonacji jego skrywanej tożsamości. O uzdrowieniu, które może się rozpocząć.

– Jestem z pani dumna – zapewniam.

Jej oczy zachodzą mgłą.

– Na szczęście Caleb nie żyje. Nie wiem, czy Cameron mogłaby normalnie żyć, gdyby nadal był na wolności.

– Pewnie nie – muszę przyznać, choć wspomnienie naszej szarpaniny w domku nie opuszcza mnie ani na chwilę. I może pozostanie ze mną na zawsze. – Jak się miewa pani mąż?

– Jest... Troy chce to poukładać. Obiecuje, że przy nas będzie.

– Cóż, wie pani, co robić. Może pani potrzebować chwili, żeby się zorientować, co jest dobre dla pani i dla Cameron. Ale zdoła pani to zrobić. Dostrzegłam w pani wiele siły. Mam nadzieję, że pani również ją widzi.

Pozostaje mi już tylko znaleźć Willa. Przykro mi, że muszę mu oznajmić, że wyjeżdżam, ale to najprostsza z kwestii, jakie mam do powiedzenia. Reszta jest zbyt skomplikowana, żeby znaleźć odpowiednie słowa, a jednak jakoś mi się to udaje. Opowiadam mu o Sarah, o tym, że Brendan poprosił, żebym wyjechała. O poczuciu winy, wyrzutach sumienia i potwornej rozpacz, jakie w sobie noszę. O Matthew. O tym, jak się boję być dla niego matką. Wypowiadając jego imię, mam wrażenie, jakbym zsuwała z piersi wielką górę. Opowiadam całą historię związaną z tym, jak się tu znalazłam.

– Powinnam była bardziej ci ufać od samego początku – mówię w końcu przez łzy. – Ale nie umiałam.

– Nie mam do ciebie żalu. Nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić, co przechodzisz. Tak mi przykro. Chciałbym ci jakoś pomóc.

– Ty też masz swoje kłopoty. Separacja. Rodzina. Ryzyko, że stracisz dzieci. To sporo.

Zaciska szczęki, zmagając się z emocjami.

– Podzieliła mnie z Beth nie tylko sprawa Jenny – wyjaśnia. – Od lat nie panuję nad moim piciem. Chcę wytrzeźwieć, ale nie wiem jak.

– Ja też. Może powinniśmy się jakoś wspierać. Każdy może się zmienić, Will – powtarzam za Tally. – Nawet jeśli zmiana miałaby być stopniowa.

Milczy przez chwilę, wpatrując się w biurko, w akta i samoprzylepne karteczki, na wpół wypisane długopisy w kałuży światła.

– Wiem, że to szaleństwo – mówi w końcu. – Ale nadal myślę, że będziemy pracować razem nad rozwiązaniem tych morderstw z siedemdziesiątego trzeciego roku, choć nie mają związku z Jenny. Powinniśmy się tym zająć. Czuję to.

Muszę się uśmiechnąć lekko.

– Jego słynne uczucia powróciły.

– Bardzo zabawne.

– Chcę przyjechać za parę tygodni, odwiedzić Cameron.

– Jasne. Daj mi znać, jak się miewasz, dobrze? Będę o tobie myślał.

– Kocham cię, Will. Chyba to wiesz?

– Tak. Ja ciebie też. Wróc szybko.

(siedemdziesiąt)

Wyjechać mi trudniej, niż przypuszczałam, choć wiem, że wrócę – do Willa, Wandy, Graya i Emily. Do Cameron. Przechodzę całą Lansing Street i nie jestem w stanie wsiąść do auta. Smagana chłodem, ubrana za lekko na ten przenikliwy wiatr, spoglądam w górę na *Czas i Dziewicę*, nieskazitelnie białych na tle błękitnego nieba, całkiem bezchmurnego i niewinnego, milczącego i wszechobecnego. Na klepsydrze siedzi samotna wrona, nie patrzy na mnie, lecz w dal, jej głowa z profilu wygląda jak zwrócony ku morzu wskaźnik. Symbol w całej układance symboli, tajemnica w zasięgu wzroku.

Przez dekady ciągnęło mnie do tej rzeźby, choć nie wiedziałam dlaczego. Teraz widzę tylko płaczącą dziewczynę z pochyloną głową, tak podobną do Jenny. Jenny na plaży śpiewającą *Dobranoc, Kalifornio*, z długimi włosami powiewającymi jej przed oczami. W tej dziewczynie widzę też Shannan w futrze z królika, z duszą zbyt ciężką, żeby ją unieść. Widzę Cameron w lesie, a później taką, jaka jest teraz, widzę, jak się cufa, schodzi z cokołu i znika z układanki. Widzę Amy z jej jasnoblond włosami w buzi, szlochającą tego dnia, kiedy została zabrana z naszego domu, z moich ramion. W końcu widzę tę dziewczynę, jaką byłam ja sama pierwszego dnia w Mendocino, zamkniętą w sobie i zranioną, podziwiającą zwykły zachód słońca. Zielony przebłysk szczęścia, jak mawiała Eden. Ale tak naprawdę wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, że miłość może mnie jeszcze ocalić, jeśli będę miała odwagę ją do siebie dopuścić.

Stoję na Lansing Street długo, zastanawiając się nad pięknem i okrucieństwem. Złem. Łaską. Cierpieniem. Radością. Które są obecne każdego dnia, wszędzie. Uczą nas, jak iść naprzód, do celu.

Dawno temu Corolla powiedziała mi, że najważniejsze nie jest to, co nam się przydarza, ale to, żeby nauczyć się to dźwigać. Zaczynam

pojmować różnicę i to, że wszystko, co się stało i kim jesteśmy, możemy udźwignąć tylko w jeden sposób – razem.

Odwracam się do rzeźby i ruszam w stronę mojego bronco, a wtedy coś za mną trzepocze i stuka. Wrona odfruwa. Rusza dalej. Uśmiecham się lekko i przywołuję Cykadę. Staje na tylnej kanapie i nastawia uszy, nie może się doczekać jazdy. Nie wiem, czy jestem gotowa, ale pora wracać do domu.

(podziękowania)

W ciągu trzech lat, które poświęciłam na pisanie tej powieści, opierałam się na zbyt dużej liczbie książek, redaktorów, kolegów i przyjaciół, żebym mogła im należycie podziękować, ale wymienię osoby zasługujące na szczególne wyrazy wdzięczności.

Moja wspaniała agentka Julie Barer wierzyła w tę książkę i zachęcała mnie do pisania od pierwszej iskry, jaka się pojawiła podczas długiego obiadu przy winie w Soho House w centrum Manhattanu, o ile dobrze pamiętam. Za jej inteligencję, niesamowitą intuicję i wielkie, odważne serce zawsze będę dziękować wszechświatowi.

Jestem bardzo wdzięczna mojej redaktorce Susannie Porter za jej perfekcję i pełne zaangażowanie w światy, które próbuję tworzyć; Karze Welsh i Kim Hovey za wydanie mojej pracy z niewiarygodną nieskazitelnością, rozwagą i dbałością.

Moja droga przyjaciółka i powierniczka od dwudziestu dwóch lat Lori Keene przeczytała dziesiątki wersji i zanurzyła się ze mną w życiu prawdziwego Mendocino, pokonując wiele szlaków, którymi w książce wędrują Anna i Hap, i słuchała, jak poszukiwałam pomysłów na te postaci oraz ich historie. Z tych i wielu innych powodów tę książkę dedykowałam właśnie jej.

Emerytowana detektyw Marianne Flynn Statz pojawiła się w moim życiu niby przypadkiem, ale wszyscy wiemy, że we Wszechświecie nie ma przypadków! Uważnie przeczytała brudnopis, odpowiadała na wszystkie moje pytania cierpliwie, mądrze i z mrocznym poczuciem humoru, po czym podała mi bogaty i szczegółowy schemat rozumienia przestępstw wrażliwych. Dzięki niej ta książka oraz Anna są głębsze i prawdziwsze. Dziękuję, Marianne! Chris Pavone, Kristin Hannah i Christina Baker Kline ogromnie mi pomogły w procesie przygotowań, wyłapując pewne rzeczy,

i choć niekoniecznie chciałam słuchać ich uwag, okazały się absolutnie niezbędne. Książka jest o wiele lepsza dzięki ich mądrym, wnikliwym opiniom. Jestem wam winna co najmniej trochę dobrego sera! Wspaniały zespół wydawnictw Ballantine Books i Penguin Random House, które są dla mnie najlepszym możliwym domem od dziesięciu lat, znakomicie wykonuje swoją pracę: Jennifer Hershey, Jennifer Garza, Allyson Lord, Quinne Rogers, Taylor Noel, Susan Corcoran, Kathryn Santora, Hayley Shear i niezrównana Gina Centrello. Emily Hartley odpowiadała na tysiące maili sprawnie i z radością. Dyrektorka artystyczna i projektantka Elena Giavaldi stworzyła świetną okładkę, a Dana Blanchette wprowadziła piękne elementy do wnętrza. Dziękuję Susan Bradanini Betz za dokładną i dogłębną adiustację maszynopisu i Steve'owi Messinie, który zgrabnie i skrupulatnie przeprowadził te strony przez czasem gorączkowy proces wydawniczy. Chcę także podziękować wiceprezesowi ds. prawnych, zastępcy głównego radcy prawnego Matthew Martinowi za przeczytanie książki z niezwykłą wrażliwością i za jego wskazówki. Nicole Cunningham i superzespół The Book Group wspiera mnie w każdy możliwy sposób, to najobrotniejsze i najbardziej czarujące kobiety na świecie. Zwłaszcza Elisabeth Weed przekazała swoją opinię w kluczowym momencie, za co jestem ogromnie wdzięczna. Dług wdzięczności mam także wobec Jenny Meyer i Heidi Gall, które pomagają we wszelkich kwestiach dotyczących praw autorskich i sprzedaży; mojej niezwykle czarującej brytyjskiej agentce Caspian Dennis z Abner Stein; również mojej niewiarygodnie bystrej i cudownej agentce filmowej Michelle Weiner z CAA. Dziękuję Kristin Cochrane, Amy Black, Lynn Henry, Valerie Gow, Sharon Klein i ich wspaniałym kolegom z Penguin Random House Canada, a także Jenny Parrott z Point Blank/Oneworld w Wielkiej Brytanii za tak entuzjastyczną reakcję wobec mojego potencjału i tej opowieści.

Tworzenie w nowym gatunku bez wątpienia byłoby trudnym zadaniem bez następujących książek i źródeł, które pełniły rolę drogowskazów: *The Body Keeps the Score* Bessela van der Kolka; *Waking the Tiger* Petera A. Levine'a; *The Unsayable* Annie G. Rogers; *I'll Be Gone in the Dark* Michelle McNamary; *The Fact of a Body*

Alexandrii Marzano-Lesnevich; *No Visible Bruises* Rachel Louise Snyder; *In the Name of the Children* Jeffrey L. Rineka i Marilee Strong; *The Killer Across the Table* Johna Douglasa i Marka Olshakera; *Criminal Minds* Jeffa Mariotte'a; *Unsolved Child Murders* Emily G. Thompson; Fundacja Polly Klaas (pollyklaas.org); archiwalne numery „Petaluma Argus-Courier”; *Polly's Face* Noelle Oxenhandler, „The New Yorker”, 22 listopada 1993; *Who Killed Polly?* Franka Spieringa; *Polly Klaas* Barry'ego Bortnicka; archiwalne numery „Los Angeles Times”; *Images of America: Early Mendocino Coast* Katy M. Tahja; *History of Mendocino and Lake Counties, California* Aureliusa O. Carpentera; *Historie z nieba. Światło od bliskich. Lekcje dla żyjących* Laury Lynn Jackson; *Gathering Moss* Robina Wall Kimmerera; *The Songs of Trees* Davida George'a Haskella.

Chcę też bardzo podziękować autorom, których prace pomogły mi zrozumieć, co zamierzam osiągnąć w mojej książce: Tanie French, Kate Atkinson, Louise Penny, Rene Denfeldowi, Peterowi Rockowi i Gabrielowi Tallentowi. Dziękuję za wasze wspaniałe doradztwo, choć nieświadome!

Na wsparcie i przyjaźń Briana Groha, Patti Callahan Henry, Beth Howard, Sarah McCoy i Eleanor Brown mogę liczyć zawsze, gdy najbardziej ich potrzebuję. Jesteście niesamowitymi osobami i fenomenalnymi gawędziarzami. Dziękuję! Kat Berko, moja wspaniała asystentka, spadła mi z nieba; nigdy nie pozwolę jej odejść. Inni przyjaciele i członkowie rodziny są nieustannie niezastąpieni w tak wielu kwestiach, że nie jestem ich w stanie wymienić: Sharon Day, Pam i Doug O'Hara, Beth Hellerstein i Dan Jaffee, Boo Geisse, Brad Bedortha i cały klan D'Alessio; Terry Dubow, Toni Thayer, Sarah Willis, Karen Sandstrom i Eastside Writers; Heather Greene; dziewczynom z Kauai Gals, ze specjalnym podziękowaniem dla Cynthii Baker, Meg Wolitzer, Priyi Parmar, Amandy Eyre Ward i Michelle Tessler; a także Davida Kline'a i Jona Zeitlera, którzy dziewczynami nie są, ale przyjęli mnie ciepło i sprawili, że na Kauai w każdej chwili czułam się jak w domu.

Dziękuję Karen Curtis i Cykadzie (tej prawdziwej!) za miłość i inspirację, a także licznej ekipie z Cleveland, która w trakcie pisania

książki dbała o moje zdrowie; karmili mnie, ubierali, czesali i trzymali wszystko w ryzach: Quincy'emu D'Alessio, Samowi D'Alessio, Alenie Sorensen, Karen Rosenberg, Nan Cohen, Aaronowi Kamutowi, Kath Lepole, Brianowi Schriefferowi, Leigh Sanford, Penny Conover, Kriście Gorzelanczyk, Lindsey Campanie, Erice Scotese, Karen Miner, Oldze Chwa, Dave'owi Vincentowi i Ronowi Blockowi.

Jestem wdzięczna Ricie Hinken i Letti Ann Christoffersen, moim dwóm matkom; moim siostrzenicom i siostrzeńcom Margaret Bailey, Jacobowi Baileyowi i Samowi oraz Mitchell Reller za nieustanną zachętę zawodową i osobistą oraz moim siostrom, Teresie Reed i Penny Pennington, które są moją busolą.

W końcu dziękuję moim dzieciom za to, że są kluczowym elementem mojej domowej ekipy: Connorowi i Jamilyi, Beckettowi i Finnowi. I oczywiście Piper! Nie ma słów, by wyrazić, jak bardzo was kocham i jak bardzo wam dziękuję.

(od autorki)

Dziesięć lat temu, nie wiadomo skąd, pojawiła się inspiracja do napisania książki o prawdziwej kobiecie, pierwszej żonie Ernesta Hemingwaya, Hadley. Nigdy wcześniej nie myślałam o napisaniu powieści historycznej, nie mówiąc o takiej, której bohaterem jest osoba, która istniała naprawdę. A jednak kiedy zanurzyłam się w procesie przygotowań i pisania, bardzo silnie poczułam, że nie tylko opowiadam historię; uczciłam w ten sposób pamięć i ducha Hadley, udzieliłam jej głosu.

Coś dziwnie podobnego wydarzyło się przy pisaniu *Gdy gwiazdy ciemnieją* – której pomysł pojawił się w sposób równie niespodziewany i tajemniczy, z elektryzującym wewnętrznym *tak*, na które nauczyłam się zwracać uwagę. Wyobraziłam sobie specjalistkę do spraw osób zaginionych obsesyjnie starającą się odnaleźć zaginioną dziewczynę, a przy okazji zmagającą się z uporządkowaniem własnej przeszłości. Niemal od razu wiedziałam, że fabuła musi być osadzona w Mendocino – małej nadmorskiej miejscowości w Północnej Kalifornii, gdzie mieszkałam jako dwudziestolatka – i że musi się toczyć w czasach przed DNA, przed pojawieniem się telefonów komórkowych, przed eksplozją Internetu i zanim wydziały kryminalne zaczęły zatrudniać amatorów w przekonaniu, że sprawy zabójstw uda im się rozwiązać za pomocą laptopa.

Rok 1993 wybrałam instynktownie – przypadkowo – ale kiedy zaczęłam gromadzić materiały, z przerażeniem dowiedziałam się, że w tym samym rejonie geograficznym i w czasie, który mnie interesował, doszło do serii uprowadzeń młodych dziewczyn, z których najgłośniejsza była sprawa dwunastoletniej Polly Klaas. Polly została uprowadzona z nożem przy szyi wieczorem 1 października 1993 roku ze swojego pokoju w Petalumie na oczach

dwóch koleżanek. To przerażające wydarzenie wzbudziło w rodzicach innych dzieci najgłębsze obawy i uruchomiło największą obławę w historii Kalifornii. Mieszkańcy Petalумы zjednoczyli się, żeby pomóc w poszukiwaniach Polly. Tysiące ochotników pomagały przeczesywać obszar wielkości siedmiu i pół tysiąca kilometrów kwadratowych i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę prowadziły centrum poszukiwań do 4 grudnia, kiedy dziewięć tygodni po uprowadzeniu w pobliżu opuszczonego młyna przy drodze sto jeden niedaleko Cloverdale w Kalifornii znaleziono zwłoki Polly.

Agentów FBI doprowadził do ciała trzydziestodwuletni podejrzany Richard Allen Davis, z obszerną kartoteką, między innymi dwoma wcześniejszymi porwaniami, który wiele razy złamał warunki zwolnienia warunkowego i dwa razy wymknął się policji w tygodniach po uprowadzeniu Polly – do jego pierwszego zetknięcia z policją doszło zaledwie godzinę po porwaniu, kiedy dwóch policjantów pomogło mu wydobyć jego wysłużonego forda pinto z błotnistej rowu, choć było wyraźnie widać, że jest pijany i dezorientowany, ma ubłocone ubranie i gałęzie we włosach. Być może wtedy Polly jeszcze żyła i była niedaleko.

Muszę przyznać, że nie mogłam spać przez te tygodnie i miesiące, kiedy badałam sprawę Polly i innych. Ogromne cierpienie ofiar i ich rodzin wkładało się do moich snów – i na papier. Zaczęło mi zależeć na tym, żeby ich historie opowiedzieć najszczerzej i najbardziej rzeczowo, jak się da, aby w ten sposób uczcić ich pamięć, śmierć i zniknięcie. Wypowiadanie ich imion stało się dla mnie aktem świętym. Swoistą modlitwą. Jednak muszę wspomnieć, że opisywanie prawdziwych wydarzeń i ludzi wymaga wielkiej wrażliwości oraz delikatności. Dlatego aby uszanować ich prywatność i pragnienie zachowania anonimowości, zmieniłam imiona koleżanek, które były z Polly w dniu porwania.

Miesiąc po uprowadzeniu córki Marc Klaas założył Fundację Polly Klaas, oddolną organizację non profit, która od tamtej pory pracowała z tysiącami rodzin, policjantami i ochotnikami, pomagając w poszukiwaniach zaginionych dzieci. Fundacja pomogła również zmienić system prawny Kalifornii, w którym obecnie

obowiązuje kara dożywotniego pozbawienia wolności dla wielokrotnych brutalnych przestępców, oraz wprowadzić system alarmowy Amber Alert we wszystkich pięćdziesięciu stanach.

Rodzice Polly wielokrotnie mówili, że to, jak ludzie zjednoczyli się w poszukiwaniach ich córki, pokazało najlepszą twarz ludzkości, było światłem w ciemności nie do zniesienia. Dotarło do mnie, że chcę o tym napisać. O tym, jak mieszkańcy miasteczka potrafią się zjednoczyć w obliczu tragicznych wydarzeń. O tym, że jeśli chcemy prawdziwego uleczenia, potrzebujemy siebie nawzajem.

Pisanie powieści jest ciekawym połączeniem wysiłku i uległości, zarządzania i bezradności. Dopiero na późnych etapach pisania w pełni do mnie dotarło, *dlaczego* tak mnie ciągnęło do tej właśnie, a nie żadnej innej historii. Moja przeżywająca trudności detektyw Anna Hart ma obsesję na punkcie traumy i jej uleczenia, molestowania i skomplikowanych ukrytych powiązań pomiędzy ofiarami i oprawcami, dlatego że *ja* mam obsesję na tym punkcie od dawna. Obdarzyłam ją też innymi aspektami mojego życia – dzieciństwem spędzonym w domu dziecka i ogromną miłością do przyrody jako najlepszego lekarstwa. To, co Anna wie i myśli na temat ukrytych blizn powstałych wskutek molestowania, ja wiem jako osoba, która molestowania doświadczyła.

To drzwi, których nie chcemy otwierać, rozmowa, której nie chcemy prowadzić, a jednak fakty są niezbita: co siedemdziesiąt trzy sekundy ktoś w Ameryce staje się ofiarą napaści seksualnej. Co dziewięć minut jedną z tych ofiar jest dziecko. Osiemdziesiąt dwa procent ofiar poniżej osiemnastego roku życia to kobiety. Skutki przemocy seksualnej mogą być długotrwałe i głębokie, wywoływać zespół stresu pourazowego, myśli samobójcze, używanie narkotyków i nadużywanie leków, lepki wir wstydu i bezradności.

Czasami rozglądam się po ulicy i się zastanawiam, która z dziewczyn i kobiet idących z naprzeciwka – obecnie, w 2020 roku, w maseczkach i z zachowaniem dystansu społecznego – przeżyła to co ja. Jestem przekonana, że smutek łączy ludzi, owszem, ale wierzę też, że może być źródłem siły i empatii. Ból Anny Hart doprowadził ją na jej ścieżkę, do jej przeznaczenia, a mój przywiódł mnie właśnie tutaj. Do tych postaci, prawdziwych i wymyślonych,

do paprociowego lasu ociekającego mgłą, do klifów nad wzburzonym Pacyfikiem, do domku w ciemnym lesie i do samego serca tej książki, która jest najbardziej osobista ze wszystkich dotychczas przeze mnie napisanych.

Cykada istnieje, podobnie jak krzywy las z udęczonymi, powykręcانymi cyprysami. Siedziałam u Pattersona, sącząc whiskey jak Anna i Will, i piłam kawę w GoodLife. Mieści się na Lansing Street, naprzeciwko Domu Masońskiego, na którym od ponad stu lat góruje nad miasteczkiem jaskrawobiała rzeźba *Czas i Dziewica*. Możecie się tam ze mną spotkać i możemy wybrać się na spacer na klify, rozmawiając na wietrze niosącym nasze głosy coraz dalej i dalej.

O autorce

Paula McLain jest autorką bestsellerów z list „New York Timesa”: *Love and Ruin*, *Okrążyć słońce*, *Paryska żona* oraz *A Ticket to Ride*; wspomnień *Like Family: Growing Up in Other People’s House*, oraz dwóch tomików poezji. Jej teksty ukazują się w „The New York Times”, „Good Housekeeping”, „O: The Oprah Magazine”, „Town & Country”, „The Guardian”, „The Huffington Post” i innych pismach. Mieszka z rodziną w Ohio.

paulamclain.com

[Facebook.com/paulamclainauthor](https://www.facebook.com/paulamclainauthor)

Instagram: @paula_mclain

Spis rozdziałów

(prolog)

1 ZNAKI I OPARY

(jeden)

(dwa)

(trzy)

(cztery)

(pięć)

(sześć)

(siedem)

(osiem)

(dziewięć)

(dziesięć)

(jedenaście)

(dwanaście)

2 UKRYTE SPRAWY

(trzynaście)

(czternaście)

(piętnaście)

(szesnaście)

(siedemnaście)

(osiemnaście)

(dziewiętnaście)

(dwadzieścia)

(dwadzieścia jeden)

(dwadzieścia dwa)
(dwadzieścia trzy)
(dwadzieścia cztery)
(dwadzieścia pięć)
(dwadzieścia sześć)
(dwadzieścia siedem)
(dwadzieścia osiem)
(dwadzieścia dziewięć)
(trzydzieści)
(trzydzieści jeden)
(trzydzieści dwa)
(trzydzieści trzy)
(trzydzieści cztery)
(trzydzieści pięć)
(trzydzieści sześć)
(trzydzieści siedem)
(trzydzieści osiem)
(trzydzieści dziewięć)

3 CZAS I DZIEWICA

(czterdzieści)
(czterdzieści jeden)
(czterdzieści dwa)
(czterdzieści trzy)
(czterdzieści cztery)
(czterdzieści pięć)
(czterdzieści sześć)
(czterdzieści siedem)
(czterdzieści osiem)
(czterdzieści dziewięć)
(pięćdziesiąt)

(pięćdziesiąt jeden)

(pięćdziesiąt dwa)

(pięćdziesiąt trzy)

4. KRZYWY LAS

(pięćdziesiąt cztery)

(pięćdziesiąt pięć)

(pięćdziesiąt sześć)

(pięćdziesiąt siedem)

(pięćdziesiąt osiem)

(pięćdziesiąt dziewięć)

(sześćdziesiąt)

(sześćdziesiąt jeden)

(sześćdziesiąt dwa)

(sześćdziesiąt trzy)

(sześćdziesiąt cztery)

(sześćdziesiąt pięć)

(sześćdziesiąt sześć)

(sześćdziesiąt siedem)

(sześćdziesiąt osiem)

(sześćdziesiąt dziewięć)

(siedemdziesiąt)

(podziękowania)

(od autorki)

O autorce